391

SOBÓL I PANNA

ODBITO TEGO WYDANIA:

2	egz.	na	papierze japońskim	
60	»	»	»	czerpanym holenderskim
4100	»	»	welinie.	

Razem 4162 egzemplarze, policzbowane od Nr. 1 do 4162.

№ 473 *



JÓZEF I HENRYK WEYSSENHOFFOWIE.

JÓZEF WEYSSENHOFF

SOBÓL I PANNA

CYKL MYŚLIWSKI

OZDOBIONY 85 BARWNYMI I CZARNYMI RYSUNKAMI
HENRYKA WEYSSENHOFFA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1913

I.

SOBÓL I PANNA.

Po śnie gorączkowym, niespełna czterogodzinnym, obudził się młody Michał Rajecki i żwawo wyskoczył z łóżka, choć zaledwie dniało. Sen przed polowaniem, w dwudziestym drugim roku życia, jest niecierpliwy i czujny, jak zasadzka. Śpi się tylko trochę, z obowiązku, aby oko i rękę mieć pewne do strzału, o świcie.

Spojrzał przez okno. Dobrze jest. Niebo jednostajnie perłowe, czyste; murawa srebrzy się przymrozkiem, w końcu sierpnia. Siwa porosza!

Ubierał się niedługo. Przed polowaniem nie trzeba się myć bardzo dokładnie, ani, broń Boże! — perfumować się. Przynosi to »pecha«. Zresztą wszystko było starannie przygotowane z wieczora: ubranie, strzelba błyszcząca wewnątrz luf, jak żywe srebro, ładownica pełna. Skórzane chodaki miał na noc rozmoczyć w wodzie służący, aby gotowe były do włożenia na nogi.

Pół do czwartej. Trzeba śpieszyć, bo Stanisław Pucewicz, sąsiad o pięć wiorst mieszkający, obiecał stawić się tutaj o pół do czwartej. Michał, już ubrany, poszedł obudzić służącego, który spał w swej klatce pod schodami, w półwiekowej atmosferze juchtu i tytuniu.

— Jerzy!... no, Jerzy! — gdzie chodaki?

Zerwał się stary, w zgrzebnej bieliźnie.

— A to, paniczu... Barbarka miała namoczyć.

— Powiedziałem ci, niedorajdo, żebyś sam dopilnował.

— Mało to roboty? — szemrał stary — cały dom na mojej głowie.

Zakrzątał się i wyniósł wkrótce z »piekarni«, gdzie mieszkała żeńska służba, chodaki suche i twarde, jak śpiż. Że jednak od przedwczorajszego polowania zachowały kształty stóp, więc je Michał obuł przemocą i wiązał cienkie ich rzemyki około pęcin.

Przy tem zajęciu zdybał go Stanisław.

— Już tu jesteś, Stachu? — zawołał Michał — nie słyszałem, jak zajechałeś.

— Bo przyszedłem piechotą.

— Jakto? od siebie?! o którejże wstałeś?

— Nocowałem w chacie u Trembelów.

— Ach tak!

Uśmiechnęli się do siebie obaj młodzi radośnie, obaj piękni, choć odmiennego typu. Na Michale znać było kulturę miejską i nerwowość rasy intelektualniejszej. Stanisław, o kilka lat starszy, wyrósł, jak Bóg dał, w krainie tej od pierwotnego raju mało jeszcze odmiennej. W krainie bujała silna roślinność od mokradeł ku pagórkom — i na twarzy Stacha krzewiły się od mokrych ust ku policzkom wesołe zarośla, zostawiając tylko podbródek kulturze brzytwy. Kraina miała oczy z błękitnych, ciemną rzęsą lasów otoczonych jezior — i oczy Stacha były ciemno-rzęsiste, miękkie i tajemnicze, jak głęboka woda. Lubił Stanisław otaczać się tajemnicą. I teraz niewiadomo było, dlaczego noc spędził w chacie, co tam robił, co znaczy uśmiech jego pełen niedomówień.

Uściskali się młodzi sąsiedzi mocno, jak dzieci do siebie zatęsknione.

— Napijesz się herbaty, Stachu?

— A, uchowaj Boże! od tego trawa w brzuchu rośnie. Wódkę masz?

— Mam — odrzekł Michał, chwytając za manierkę, przewieszoną już przez ramię.

— Poczekaj — ta się przyda później, w polu. Innej w domu niema?

Czworo oczu zwróciło się z zapytaniem do Jerzego.

— Pani matka w apteczce pod kluczem trzyma. Chyba, że panicze mojej? Ale to pro-osta!

— Najlepsza na szczęście! dawaj!

Z sinej butelki, dobytej z pod schodów, napili się po kieliszku. Przekąsili czarnym chlebem.

— I dosyć — zawyrokował Stanisław — czas nam: zorza już.

Ruszyli. Z nimi dwa wyżły: rudy, kudłaty Fox Stanisława, seter kurlandzki, i gładka, czarna, podpalana Hetka Michała, poenterka angielska. Fox skomlał i zataczał już koła po podwórzu, powracając raz po raz do nogi pana; młoda Hetka szła cała drżąca, truchcikiem, oglądając się bojaźliwie na boki, jakby przemyślała o czmychnięciu przed wyprawą. Trzeba ją było wziąć na linkę.

— Od czasu jak zastrzeliłem w jej obecności tego kundla, boi się bestya strzału; czasem nawet drapnie mi z pola do domu.

— Ej nic! — odrzekł Stanisław — przy Foxie pójdzie. Ale ot tobie nauka, żeby psów nie strzelać, chyba wściekłe. Każde stworzenie chce się nacieszyć życiem.

Michał przyjmował może krytycznie uwagi Stanisława, lecz słuchał go z instynktowem uszanowaniem w polu i w kniei, gdzie Stach był mistrzem słynnym na całe Kowieńskie i Inflanty.

Szli drogą sypaną między lasem olszowym i mokrą łąką. Michał kulał w swych twardych chodakach.

— Zejdźmy na łąkę, wraz lekko będzie, kiedy rozmoczysz. Choć na tej łące nic... bydłem spasiona — — A kto jego wie? czasem dubelt przelotny...

Poszli łąką, skacząc po wierzchołkach kęp zielonych, lecz rozwierających się w czarne torfowe czeluście, w które wpadało się po kolana, stąpiwszy niezgrabnie. Myśliwi szli po nich przemyślnie. Fox okładał po przepaścistej zieleni, jak po strzyżonym dywanie, tylko Hetka, zamyślona może o straconym w jej oczach kundlu, zapadała się czasem połową ciała w torfiaste przerwy. Fox hasał, jak mołojec, Hetka szła, jak kapryśna panna.

— Na nic suka! — niecierpliwił się Michał — ciągle wlecze się przy nodze.

Jakby odpowiadając na zarzut, Hetka stanęła nagle, jak wryta. Nadobne swe, miękkie kształty rozciągnęła w postać muskularną i nastroszyła do połowy czarne, aksamitne klapy. Bez dotykania nozdrzem ziemi, pełzła lisio, z wykwintną zręcznością, ciągnięta przez niewidzialną jakąś siłę. Odezwała się w niej wyżla dusza.

— Pójdź dalej — szeptał cicho Michał, podążając za Hetką, która stanęła znowu.



I Hetka szła prosto przed siebie, jakby olśniona przywidzeniem na tej zielonej, pustej dla pospolitych nozdrzy i oczu równinie.

— Dobra suka... górnym wiatrem dochodzi — chwalił Stanisław.

W tej chwili z pod nosa Hetki furknął, jak oddalający się bębenek — dubelt.

Michał strzelił i zabił dubelta.

Suka drgnęła nerwowo, przypadła skręconem ciałem do kępy, niby zraniona, i bolesne oczy zwróciła na Michała.

— Dobra Hetka! poczciwa Hetuś! Nic się suczce nie stanie...

Głaskana i pieszczona, żaliła się przez chwilę sentymentalnie swą psią mową skomlącą wyraźnie:

— A kochać mnie będziesz?... A nie obrazisz już nigdy delikatności mych uczuć?...

Hetka wystawiła jeszcze parę dubeltów wzorowo, coraz śmielej. Fox zaś wystawił jednego, dwa spłoszył, i nie dostał wałów tylko przez wzgląd na arystokratyczną wrażliwość swej towarzyszki, która nie znosiła, aby w jej obecności znęcano się nad bliźnimi jej psami.

Kilka już dubeltów mieli przytroczonych do pasów, gdy odezwał się Michał:

— Co nam po dubeltach? Nikt już ich jeść nie chce, tyle tego znosimy.

— A tobie zarazby sobola! Dobry i dubelt, póki co. Pójdziemy w zarośla, nad jezioro. Tam cietrzewie pewne i pardwy bywają i Bóg wie, co jeszcze. Czasem strzelisz — spadnie — a potem dopiero oglądasz, co zabiłeś.

Miś, młodszy i mniej doświadczony, roił codzień, wychodząc na polowanie, o jakichś zdobyczach bajecznych. Zaciekawiła go zapowiedź Stanisława:

— No i cóż tam jeszcze może być? powiedz!

— A ot zobaczysz...

— Tymczasem musimy dość długo iść drogą, na której przecie nic nie spotkamy. Szkoda, że nie wzięliśmy kałamaszki.

— Tak cóż, — odpowiedział Stach — myśliwy i po szosie idzie, a taki myśli. Za to on »myśliwy«. A pole, choć i puste, jemu gada. Dlatego on »poluje«.



Poszli drogą raźnie, lekko, w rozmoczonych już chodakach. Zamróz po darni i po kuszczach rozperlił się w obfitą, kapiącą rosę. Na widnokręgu, w wykroju wzgórza pożar różowy, radosny, obejmował niebo wschodnie, a ziemię obmywał tylko z mgieł tak, że barwiła się lokalnie, ciemno i jaśniej zielona, płowa i czarna. Aż gęsty bukiet olszyny prześwietlił się żywym ogniem i trwał przez chwilę podobny czarnej koronce na czerwonem złocie. Chwila znowu — nad kity olch podniosła się szybko ogromna twarz słońca.

Zboża i ściernia zarumieniły się, las się podzielił na uśmiechy światła i zadumy cieniów, rudym fioletem połysnęło po skibach roli, nad łąką rozsnuło się lekkie, mokre przędziwo z najcieńszych tęczowych promionków. I buchnęła radość przez całą krainę.

Po drodze różowo-szarej, zrzadka przekreślonej długimi cieniami, szli młodzi zgodnym marszem, wdychając moc zapachów niepokalanych.

Stanisław zaczął podśpiewywać:

Pojedziemy na łów, na łów,
Towarzyszu mój!
Na łów, na łów, na łowy
Do zielonej dąbrowy,
Towarzyszu mój!

Podchwycił Michał:

Aż tam leci zając, zając —
Towarzyszu mój!
Puszczaj charty ze smyczą,
Niech zająca uchwycą,
Towarzyszu mój!

Prześpiewali zwrotki odwiecznej piosenki, która tutaj hukała radośnie, nowa w młodych sercach. I zbójecka zadźwięczała ostatnia zwrotka:

A teraz się dzielmy, dzielmy,
Towarzyszu mój!
Tobie zając i sarna,
A mnie soból i panna,
Towarzyszu mój!

— Sobola nie będzie, a panny nie chcę — dodał Michał komentarz.

— Oj, nie zarzekaj się, Miś! Chyba, że kochasz się? Tedy co innego.

— Może być — odrzekł Michał tajemniczo.

A choć starszy towarzysz mignął tylko oczyma i o szczegóły nie pytał, młodszy mówił dalej, bo w tej chwili musiał mówić:

— Mnie się zdaje, że i ona trochę... Ale trudno wiedzieć, bo są wyjątkowe okoliczności.

— Nie próbowałeś zapytać?

— Tak... pod figurą.

— Pod figurą?! Tak już daleko zaszło między wami?

Parsknęli krótkim, zmysłowym śmiechem.

— Nie rozumiesz mnie, Stachu, bo nie mogę powiedzieć, o kogo chodzi. Ale... wyobraź sobie naprzykład taką gęstą leszczynę, jak ta, obok której przechodzimy...

— I wyobrażam. No?

— Byłem z nią sam na sam w takiej leszczynie.

— No i cóż? — czekał Stanisław z podniecaną już ciekawością.

— Poszliśmy na orzechy, we dwoje. O, daleko stąd — nie znasz tamtych stron. Nic prawie nie zebraliśmy, tylko — rozumiesz? — to ja podam jej rękę do trudniejszego przejścia, to ona mnie skubnie za rękaw — — A mówiliśmy o różnych rzeczach, wesoło. Jak się z nią mówi wesoło, to jej oczy mienią się fioletem. Zwykle ma oczy niebieskie — — Więc ja miałem z sobą derkę, którą wziąłem z bryczki; chcieliśmy odpocząć, rozesłałem tę derkę na ziemi i usiedliśmy na niej oboje. Wtedy nagle rozmowa urwała się — i ani rusz! — — Słuchaj, Stachu, czy ty pocałowałeś kiedy kobietę... z towarzystwa?

— Z jakiego towarzystwa?

— No, z naszego — kobietę, którą się spotyka i w salonach?

— O wa! — wykrzyknął Stanisław zagadkowo. — Ale jakże tam skończyło się między wami?

— Nic się nie skończyło — w tem rzecz! Raczej się zaczęło. Śni mi się po nocach — a już, jak mi gdzie zapachnie leszczyna...

— To nie daj ty Boże! — dokończył Stanisław ze śmiechem.

— Właśnie. I nie mogę zbyt często jej widywać, muszę udawać obojętność.

— A to czemu?

— Bo widzisz, zapomniałem ci powiedzieć, że mężatka.

— Mąż stary? nie dba o nią?

— Ale gdzie tam! trzydzieści lat i zazdrosny.

— To ja tobie dam radę, Misiutek: puść ty ją w trąbę!

— Łatwo powiedzieć!

— Łatwo i zrobić. — Zawsze sprawa z mężem — hadka. Jego trzeba kochać i jemu żonę zabierać. A i wiedzieć, że oni z sobą... dziękuję — nie dla mnie.

— Mogę ją rozwieść — rzekł Michał zapalczywie.

— I nie wiesz nawet — i nie prosiłeś jeszcze —

— Naturalnie, jeżeli ona się zgodzi. Bo widzisz, Stachu, ja bez tej kobiety żyć nie mogę.

Starszy przyjaciel spojrzał teraz uważnie na młodszego i przekonał się, że Michał nie kłamie, tylko, nie umiejąc określić swego uczucia, używa zasłyszanych formuł.

— Jakże ty bez niej żyjesz, Miś, kiedy ona daleko stąd?

— Tak nie można rozumować — odrzekł Michał z nadąsaniem i pomyślał, że Stach nic się nie zna na subtelnościach uczucia.

Szli dobre pół wiorsty, milcząc, ale bez urazy; poprostu nie udała im się rozmowa, więc milczeli.

Droga zbliżała się ku równinie mokrej, zakrzaczonej, leżącej pozornie na poziomie jeziora, które, daleko za nią, łowiło już blaski słoneczne, przetapiając je na stal i srebro. Myśliwi zeszli znowu na łąkę, ku haszczom, ziejącym wonią pomieszaną drzew, ziół, dzikich jagód. Oba psy dążyły do zarośli ze skupioną uwagą, czując w nich obfitość łupu.

— Lekko, Fox! — napominał Stanisław zawsze zbyt zapalczywego wyżła.

Razem, strzelcy i psy, zapuścili się w obszary splątanej łozy, chudej brzeziny, krzewów różnych karłowatych i zielsk wyrastających często ponad krzewy. Pod chodakami uginał się mech blady, gąbkowaty, upstrzony czerwoną żórawiną i czarną »pijanicą«, sączący wodę pod naciskiem stopy. Dur zawrotny ogarniał mózgi myśliwych.

Hetka stanęła pierwsza, jak w śpiż zamieniona. W całym jej ruchu,

w poważnych fałdach czoła, w stężałym, jak drut, ogonie, była zapowiedź grubej zwierzyny. Zrozumieli to obaj strzelcy i stanęli za wyżlicą z gotową bronią. Zrozumiał i Fox, rzucił się na ślad przez towarzyszkę odkryty i zaczął dochodzić razem z nią — wkrótce ją minął, rzucił się w bok, nerwowym galopem okrążył jakiś krzak i znowu skradał się, wyprzedzając Hetkę.

Delikatna suka poskarżyła się swemu panu krótkiem, wymownem spojrzeniem:

— Ten prostak przeszkadza mi...

Ale nie miała podobno racyi Hetka w tym wypadku, jak to oświadczył ludzką mową właściciel Foxa:

— Trzeba nacierać ostro — tu »leniak« [1]) — cieknie, a może i co większego. Tu dla Foxa robota.

Więc pozwolono wyżłowi rzucać się na boki, obwąchiwać kępy, potem iść przycupniętym kłusem, nie oglądając się na Hetkę, która, obrażona i dostojna, mając przytem wiatr lepszy, skradała się z nosem dumnie wzniesionym do góry, szła jednak już prędzej, ciągniona przez psa paliwodę.

Nareszcie oba psy skamieniały przed krzakiem, w którym miał się stać cud. Drżąc wyprężonemi ciałami, spłaszczone i rozciągnięte na mchu, jakby ogromne ciężary spadły im nagle na karki, — celowały zniżonymi łbami i pożądliwemi oczyma w jeden krzak splątany, gdzie myśliwi jeszcze nie widzieli nic.



— Pyf!

Rzucił się Fox – i w tej chwili krzak łoziny napełnił się ogromnem, czarnem ciałem lotnem, a powietrze łoskotem jakoby stu cepów.

— Bach! — pudło — — bach, bach! — jeszcze dwa razy chybiono — — Bach! — kabałdyksz!

Czwarty dopiero strzał Stanisława zwalił z powietrza czarnego ptaka, o sześćdziesiąt kroków, aż mech głuchy dał odgłos.

[1]) Stary cietrzew, wypiór.



— Co to?... stary cietrzew?! — pytał Michał, dech utraciwszy od wzruszenia.

— Gdzie taki cietrzew?! — parsknął Stanisław radosnem oburzeniem — Głuszec! I sam nie wie, do czego strzelał!

— Zdaje mi się... że z mojego drugiego strzału... pióra się posypały... — jąkał się Michał.

— Pióra to on sypie i od wiatru w tej porze — — Ale bierz jego sobie! Mało to ja piękniejszych zabił na tokach, w pełnem pierzu.

— Nie, kiedy mówisz, że twój, bierz ty.

I tak certowali się uprzejmie, ale w istocie obaj byli nieradzi: Stanisław, że zakwestyonowano jego ostatni celny strzał, Michał, że nie mógł sumiennie przyznać głuszca za swojego. A zdobycz była rzadka.

Fox taszczył w pysku ogromnego, czarno połyskującego głuszca, z obwisłem jednem skrzydłem i nawpół złożonym wachlarzem. Nad siną, zamkniętą powieką wielka czerwona brew stroiła jeszcze dumnie głowę poległego mszarów dygnitarza.

Głuszec leżał na ziemi i nikt go nie chciał przytroczyć do pasa. Wreszcie Stanisław odezwał się:

— Po co my takiego indora mamy nosić? Wyniesiem na brzeg rojstu, powiesim na brzózce i zabierzem, wracając. — A teraz idź ty, Miś, z Hetką w jedną stronę, ja z Foxem w drugą. Razem tylko proch marnujem i psy się bałamucą.

Według tego planu buszowali łowcy po gulbińskich zaroślach aż do południa.

* * *

Na »dyrwanie« [1]) suchego pagórka, na skraju błota, leżeli sobie rozpasani, przy uczcie, złożonej z wódki, chleba i wędliny. Za napój, gaszący pragnienie, służył im słodki powiew od jeziora.

[1]) Wrzosowisko, sucha polanka.

— A co? mówiłem, że ciepło ci będzie, Miś, w twojej frantowskiej hałderjupce? W pole tylko tak odziewaj się.

Wskazywał pogardliwie na poprawny myśliwski garnitur Michała, a potem z dumą na swój, zszyty z miejscowego płótna, niegdyś biały czy szary, teraz tak nasycony kurzem, farbą zwierzyny, wielobarwnemi odbitkami różnych przygód, że wyglądał, jak bluza malarczyka. Tylko kapelusz z zatkniętem piórkiem i niewątpliwie szlachecka fantazya odróżniały Stanisława od gminu.

— Choć i mrozik padnie rano, słońce sierpniowe gorące... Chcesz ogórka?

Z przepaścistej kieszeni, z pośród ładunków i jeszcze różnych gratów, pachnących prochem, dobył parę ogórków i podał je Michałowi. Okroiwszy zieloną skórę, jedli surowe owoce, »trzymające w sobie zimno«, jak twierdził Stanisław. A za przyprawę do nich służyły im znowu lotne wyziewy wrzosu i tymianku.

Tak podjedli sobie rozkosznie.

— Drzemkęby uciąć krótką — zaproponował Michał.

— Wiesz co? — i ja — odrzekł Stanisław, odwracając się twarzą do ziemi. — Pół godziny, ani minuty dłużej. Znaczę na słońcu.

I już zaczynał równo dyszeć, w takt odpychając się od ziemi potężną piersią. Michał także spróbował spać, ale się tylko rozmarzył.

Gdy opowiadał rano przyjacielowi o swej namiętnej miłości dla pani Teresy, nie kłamał, ale »koloryzował«, jak mówią na Litwie. Ani o rozwiedzeniu pani Teresy, ani nawet o zdobyciu jej serca nie pomyślał na seryo. On w uniwersytecie, ona starsza od niego.

W leszczynie znalazł się z nią — to prawda; tańcował z nią w Wilnie i w Warszawie — — Ale nie kochał jej tak bardzo w zimie, dopiero znowu na wiosnę — — Myśl o niej przychodziła mu razem z najsilniejszemi, zdrowemi wrażeniami przyrody, z wesołością kniei, z tęsknotą letniej nocy — — nie panowała jednak wyłącznie nawet nad zmysłami młodzieńca, bo przecie Klocia i Julka...

Im dłużej leżał pod magnetyzmem nieba i ziemi, tembardziej zapominał, kogo, gdzie, za co kocha. Czuł tylko, że kocha, to jest łowi swym sercowym, czy nerwowym, wybornie nastrojonym przyrządem mnóstwo fal lubych, płynących przez powietrze. Najsilniejszy z doznanych dotąd dreszczy nazywał imieniem kobiety, Teresy, ale ten dreszcz, ten obraz nie wypełniał mu serca po brzegi. A gdyby na drodze jego stanęła inna? Gdyby z jeziora świtezianka lub dryada z tych gąszczów?

Gdyby istota taka, dla której o wszystkiem możnaby zapomnieć, wszystko jej poświęcić: wiosnę, polowanie, przyjaźnie i zabawy?

Istota, którą się kocha w pierwszych latach męskiej dojrzałości, nie jest osobą — jest wcieleniem pragnień.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— Teraz dosyć — odezwał się Stanisław, porywając się na nogi — obmyśliłem, jak dalej pójdziem.

— Chyba przez sen, boś nawet chrapał.

— A taki obmyśliłem: zwierzynę zostawim w chacie Łaukinisa, bo po co nam dźwigać to wszystko — sztuk ze trzydzieści? On mnie także powie, jakie tam wiadomości o łosiach z Dusiackiej puszczy. Łaukinisa znasz?

— Słyszałem o nim.

— Zobaczysz ty jego, kiedy zapolujem w puszczy! Pierwszy »ochotnik«.

* * *

Wiadomości były niepomyślne. Łaukinis skrzywiony, chory, czy poturbowany, wylazł z chatki swej, przycupniętej w wąwozie, nieopodal od lasu, wśród plątaniny dzikich krzewów. W humorze był ponurym i anarchistycznym; jastrzębie jego oczy wyzierały dziko z młodej jeszcze twarzy; ruchy miał powolne i przeciągające się, jak kot rozespany.

Według jego relacyi Dusiacka puszcza wyplenia się coraz bardziej ze zwierzyny, a wina w tem leśników »złodziei«, którzy dzień i noc drepcą, niepokoją zwierza; koszą po lesie »łoneczki« i różne niesłychane zaprowadzili w puszczy zwyczaje. W imieniu »ochotników« Łaukinis był na nowe porządki mocno oburzony, o leśnikach zaś mówił wcale złowrogo i mściwie, będąc z nimi widocznie w porachunkach. Drzewo na Litwie należy do właściciela gruntu — to prawda; co do grzybów i jagód kwestya jest sporna; ale żeby zwierzyna przez Pana Boga stworzona na wędrowanie, oraz na łup i ochotę każdego, który ją potrafi wytropić i zabić, miała należeć do owoców zakazanych?! — to oburzało poprostu wszelkie pojęcie zawodowego kłusownika.

Był jednak i wczoraj w puszczy — »z kijaszkiem«, jak zapewniał. Choć trudno tropić po zielonej stopie, orzekł, że łosie przychodzą wczesnym rankiem do wody, jednak od dwóch dni nie przyszły.

— Kiedy panicze zapolujecie, łosia nie łosia, ale saren i zajęcy możecie dostać, ile chcąc.

— Mamy pozwolenie tylko na łosia — nadmienił Michał.

— Łoś pozwolony dobry — odrzekł Łaukinis — ale smaczniejsza niepozwolona sarna — ot co jest!

I łypnął oczyma ku Rajeckiemu szyderczo, jako miał go za młokosa jeszcze niewytrawnego. Dla Pucewicza, dawno znajomego i »kata na zwierzynę«, czuł Łaukinis respekt połączony z przywiązaniem.

Po relacyi »ochotnika« młodzi myśliwi wpadli w zadumę. Projektowane na pojutrze polowanie w puszczy okazywało się zawodnem. Michał nadąsał się:

— To łosie nie pewne?

— Nigdy one nie pewne — odrzekł Łaukinis.

— Niema po co jechać! — zawołał Michał.

Stanisław zaś monitował go:

— Ty jeszcze, Miś, miastowy myśliwy, co to on jedzie do lasu z wozem, żeby zabrać łosia. Zwierz sztuka fantazyjna! Żeby wiadomo było wszystkim, gdzie co naleźć i kiedy, to i polowanie byłoby wszystko jedno, co krowy albo kury strzelać.

— Ot, panicz czuje — aprobował Łaukinis.

Zostawili myśliwi ubitą zwierzynę w chacie i poszli w rojst nad jezioro, każdy w innym kierunku. Tu będą znowu cietrzewie, może pardwy? — Na wodzie kaczki — jeszcze może gdzie głuszec? — Choć tu już dla niego za mokro —

Ale Michał, skoro odłączył się od towarzysza, zapadł w ponure usposobienie. Trafił na stado cietrzewi — spudłował parę razy sromotnie. Uprzytomnił sobie, że źle mu na świecie: głuszca zabił właściwie Stach — łosie na pojutrze niepewne — pani Teresa daleko i zapewne wcale nie myśli o nim? — — Jak radości, tak i bóle i pragnienia młodzieńcze są tak naprężone i silne, że gdy ich kilka zbierze się naraz, składają się na nieszczęście. Michał porzucił, zakląwszy, »głupie cietrzewie« i usiadł na granicy rojstu w miejscu, gdzie umówił się o spotkanie ze Stanisławem. Długo dumał nieczynny, nieszczęśliwy.

Gdy Stanisław, obładowany nową zdobyczą, wynurzył się z krzaków i ujrzał spoczywającego Michała, zadziwił się:

— A ty co? strzelbę popsułeś?

— Nie... tak sobie... Hetka już chodzić nie chce.

Suka zastrzygła uchem na wymówione swe imię, ale zapewne nie zrozumiała.

— Ot, tobie masz! — — Tak teraz pójdziem razem górką, przez krzaki, i co który pies wystawi — twoje. Ja mam dosyć.

— Nie, strzelaj i ty, Stachu. Czuję się dzisiaj trochę niezdrów...

Stanisław spojrzał na towarzysza uważnie i rzekł z pewnem niedowierzaniem:

— To i wracajmy prędzej, prosto na leszczynę.

Ale Michał był zdrów, jak ryba w wodzie, jak myśliwy w atmosferze pogodnego wieczoru. I tak go przejęły te wonie silniejsze, te blaski rozrzewnione i miękkie, że nie wytrzymał w swych dąsach i przyznał się:

— Nic mi nie jest, Stachu, tylko mam zły dzień: strzelam źle, łosi nie będzie... i tak już wszystko...

— Tak i mów! Mało czego niema, co nam miłe! A mnie się zdaje, że i lepiej potęsknić trochę; znaczy się — lepszy smak potem. Łosie będziem strzelali jeszcze tego lata; już ja wiem jedną knieję. Wyjedziem na noc, o świcie puścim gończe...

Żywiąc się tymczasem rojeniami, szli przez pagórki zadrzewione, puste. Rojsty dziś oddały obfitą daninę, pagórki były skąpe. Ale już i myśliwi zapomnieli o swej łowczej zaciekłości, poili się błogością wieczoru.

Z łysego wzgórza rozbłysła nagle okolica kochana. Zarośla, jak potargane runo, puszyły się soczystą zielenią na miejscach wyższych, a na rojstach pleśniały szaro i żółto. Starszy gaj olszowy zasłaniał Jużynty, siedzibę Rajeckich — na widnokręgu widniały same tylko porosty zmienne odcieniami zieleni i wody rzeki Świętej, wlewające się w krętobrzegie jezioro Roszę. Wody odbijały niebo szczęśliwe; lasy szeptały miłosne tajemnice ziemi...

— Teraz już niema co: przez leszczynę i na drogę.

Podczas gdy chłodek przeciągał już hen od morza przez jeziora i przypadał coraz niżej, szeleszcząc w zapalających się różowo wełnach drzew, zapasy dziennego ciepła snuły się jeszcze nizko w gąszczach, nasiąknięte lubieżnym zapachem potu ziemi. Tym słojem powietrza zakryci, między rudymi kijami leszczyny szli dwaj młodzi, mieniąc się na twarzach i ubraniach w złocistych okach słońca, przesianego przez liście.

Naraz Fox stanął i głośno zaszczekał. Wyżeł nie oznajmia tak zwierzyny. Jakoż w kierunku, gdzie pies zwracał głowę, ujrzeli myśliwi istotę może leśną, może dziką, ale dwunogą. Przekreślona prętami lesz-

czynowych baldachów, barwą zlana z zielonawem podcieniem, smukła kobieca postać wyciągała ręce w górę po orzechy.

Spłoszyło ją szczeknięcie psa, może jeszcze bardziej widok strzelców; zebrała się w sobie, jak do biegu, ale, pomiarkowawszy się, stanęła. Myśliwi, odwołując psy, podążyli skocznie, ciekawie do miejsca zjawiska. Ale dziewczyna nie uciekała, więc łowcy, doszedłszy prędko, poczęli ją oglądać dowoli.

Rosła, bosonoga, w szarej spódniczce i koszuli zwisającej ciężkimi fałdami z dziewczęcych ramion na pierś wysoką i śmiałą, cały swój wdzięk schwytanej łani skupiła w główce ustrojonej tylko lśniącym zaplotem włosów, jasno zapatrzonej na myśliwych, zastygłej w uśmiechu i rumieńcu. Grzech jej — zbieranie orzechów w dworskim gaju — był lekki. Oczyma z głębokiego błękitu mocno podkrążonemi śniadym cieniem, ustami pełnemi pereł tłómaczyła się:

— Mam czem zapłacić...

I musiała przez chwilę wytrzymać na sobie żar spojrzeń obu młodzieńców, którzy, nie mówiąc nic, patrzyli. Ona zaś trochę tylko drżała ciemnemi rzęsami.

Aż odezwał się Stanisław:

— Ach ty, Warszulka, gdzie zalazła?!

Wtedy ona, czując, że skończyła pokutę, zniżyła pędem do ręki Stanisława kształtną swą główkę, w której ciasno plecionym warkoczu tkwiło trochę polnego kwiecia. Ale Stach rękę cofnął, okrążył szybko ramieniem kibić dziewczyny i wyciął jej całusa w oko i w ucho.

Wyślizgnęła się zgrabnie, wcale nie urażona, owszem na nowe wystawiła się niebezpieczeństwo, pozdrawiając Michała. Tylko ten nie potrafił skorzystać z chwili tak gładko, sam onieśmielony przez tę krasę polną, przejmującą do szpiku.

Formalności zostały ukończone.

Teraz Stanisław przemówił po litewsku, przyjaźnie i grzecznie:

— A ty, Warszulka, gdzie na robotę chodzisz?

— Do Jużynt, paniczu, do siana.

Michał, wychowywany od dziecka w mieście, a do Jużynt przyjeżdżający tylko na wakacye, słabo mówił po litewsku. Stanisław zaś wybornie.

— To ty może pod Gulbiną »otawę« [1]) grabiłaś?

---

[1]) »Otawa« — drugi pokos siana; to, co w Królestwie »potraw«.

— Grabiłam, paniczu.

— A my tam strzelali w brzeźniaku; mogli i której dziewce biedy narobić.

Warszulka rozśmiała się serdecznie z żartu. Aż ręce do oczu podniosła, potem rozświegotała się swobodnie:

— Kiedy panicze strzelali, to do nas dwa ciecieruki z krzaków przyleciały i na kopach usiadły. To my ich rękami łowiły, ale złowić nie można było — poo-szły!

Nie wszystko rozumiał Michał, namyślał się głównie nad tem, że dziewczyna ma głos, jak polna fletnia.

— Tobie, Warszulka, daleko do domu, do Sztarańc; — przeciągał Stach konwersacyę ze znaną mu krasawicą — ty codzień do domu powracasz?

— Nie, paniczu, w »odrynie« [1]) w Jużyntach nocuję.

— W Jużyntach? — — Tak ty, Warszulka, bój się, to Jużyncki panicz przed tobą. Ty jemu za orzechy zapłacisz.

— Oj-jee!... — zawołała dziewczyna przeciągle i wszystko, oprócz respektu i bojaźni, wyrozumieć było można z tego wykrzyknika.

Miś, ująwszy się pod boki, przeginał się w swej zgrabnej kurtce, ale nie mieszał się do rozmowy i Warszulka nawet spostrzegła, że panicz, bardziej niż ona, jest zażenowany. Stanisław zaś był w swoim żywiole: słynął u dziewcząt jako szarmant.

— Nie dasz ty nam orzechów, Warszulka. Gdzie ty je schowałaś?

Obrzucił wzrokiem postać dziewczyny, tak lekko i obciśle osłoniętą, że można było na niej zdefiniować każdy kształt wypukły.

— Aha! w zanadrzu chowasz! — — dawaj!

I sięgnął już zuchwale, tylko że Warszulka, baczna jak sarna, obróciła się na piętach i sama, sięgnąwszy błyskawicznie do zanadrza, podała Stanisławowi garść zielonych, ogrzanych jej ciałem orzechów.



— Bierz panicz — —

— Grzeczna panna! — ale nie dosyć — trzeba było samemu dać wziąć.

Wybrał kilka orzechów z jej twardej, czerwonej, małej dłoni i uścisnął ją lekko za palce. Ona zaś podała kolejno orzechy Michałowi.

[1]) Budynek specyalny na przechowanie siana. W »stodole« chowa się zboża.

— Jeden wezmę... na pamiątkę.

Wziął i schował do kieszeni.

— Ot, wileński kawaler! — podrwiwał Stanisław przyjaźnie.

Ale Warszulce bardzo się podobał pomysł Rajeckiego. Nie rzekła nic, tylko przydługo, z otwartemi ustami, spoglądała na młodszego panicza.

— Pora nam, słońce zachodzi — rzekł Stanisław i wyciągnął serdecznie rękę do dziewczyny.

Ona podała mu dłoń nieśmiało, ale nie schyliła się już do pocałunku w rękę. Stanisław odszedł, jakby nie chcąc patrzeć, jak się tam pożegna Michał.

Miś, spostrzegłszy ten manewr, poczuł nagle ściśnięcie serca, rozkoszne. I zobaczył dziwny, fosforyczny płomyk w oczach dziewczyny i namiętną bladość jej policzków. Zbliżył się do niej, pociągnięty niewyrozumowanym instynktem, chwycił ją za kibić i wpił usta w jej usta, które czekały na niego z mocy bożków leśnych rozkazu dziennego.

Dogonił szybko Stanisława, który gwizdał.

Miś szedł radośnie, zlekka marszcząc czoło, i chciało mu się śmiać i śpiewać — i oglądał się za Warszulką, która stanęła znowu, opodal, rozpływając się już w gęstym cieniu drzew. Zdało mu się, że ona oczy ma w mroku świecące, jak boginka, że wabi go i w szeptach liści jest i jej rusałczy jakiś pokrzyk:

— Oj-jee! — — Oj-jee! — —

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Droga. Dwie wiorsty dobrego marszu do domu. Michał niósł się jak na skrzydłach obok Stanisława, który mu dotrzymywał kroku, ale milczał i pogwizdywał ciągle.

— Dlaczego tak milczysz, Stachu?

— A cóż? polowanie się nie udało...

— Jakto?! Natłukliśmy tego sztuk... ze czterdzieści, dzień taki piękny od początku do końca... Mamy głuszca — i pannę!

— Ot widzisz! — dzielmyż się teraz, towarzyszu mój! — zaprojektował Stanisław.

— No, głuszec twój — przyznał bez wahania Michał.

— A tobie panna! — ja dobry przyjaciel, nie ten z piosenki.

Miś nie odpowiedział — potwierdził więc układ milczeniem i wyiskrzonym uśmiechem, którym zdawał się wciągać w nozdrza całą rozkosz ziemi. Po chwili zapytał:



— Ta Urszulka czyja córka?

— Łaukinisa.

— Tego, cośmy widzieli?!

— Nie, brata.

I znowu po długiem przełknięciu śliny zapytał Michał:

— Ile ona ma lat?

— Musi ze siedmnaście, ośmnaście... W sam raz! Ale cóż tobie? Ty zakochany...

Tymczasem Stanisław dźwięcznym głosem zaintonował piosenkę, której słowa i nuta, nigdy chyba nie wydane, błąkają się po litewskich dworach i polach od lat już...

Gdybym przebywał w niebios przezroczach,
Tobym się kochał w anielskich oczach;
Ale że w prochu duch się mój toczy,
To oddam życie za Laury oczy.

Podchwycił Michał wtórem ostatnie dwa wiersze i poszedł dwugłos, jak organ po lesie olszowym.

— Dlaczego »Laury«? — zauważył Miś po prześpiewaniu.

— Ha, można i do Warszulki zaśpiewać.

— Rytmu nie będzie.

— Dorobim my jej!

I, śmiejąc się, huknęli obaj:

Ale że w prochu duch się mój toczy,
Wolę pokochać Warszulki oczy.

— Ha, ha! żeby ona wiedziała, że my tu pieśni dla niej składamy! — zawołał Miś.

— Czuje ona, nie bój się — odrzekł Stanisław magistralnie.

— A czy myślisz, że ona... — zaczął Michał i urwał.

Stanisław spojrzał na młodszego przyjaciela z rozrzewnioną ironią:

— Chcesz? to ja jej zapytam...

— Nie, nie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Od olszyny, rosnącej przy zachodnim boku drogi, cienie padały już na łąkę tak długie, że zdawały się opierać na krawędzi widomego świata. Jeszcze gdzieniegdzie na pagórkach płowych leżała blada poświata i wyższe kity drzew żegnały słońce tęsknym rumieńcem. Wkrótce stał się powszędy panującym cień.

Lelek-kozodój ukazywał się nad łąką i zaledwie chwyciłeś okiem jego kształt wielkiej jaskółki, już znikał w ciemnym gąszczu olch, migał się znów przez drogę, wielkości kobuza, rósł do widmowych rozmiarów.

Zdaleka płynęły jakieś głosy, jakieś śmiechy i huczki — — czy słychać aż tutaj bąka od jeziora? Czy śmieje się sowa lub inne licho leśne? — Czy może od dworu z Jużynt dolatują rozwydrzone pogawędy dziewcząt z parobczakami?

— Aha, sobota dzisiaj — zrozumiał Stanisław i błysnął oczyma ku Michałowi.

— Sobota — więc co?

— Dziewczęta parzą się w bani nad jeziorem — — Młody ty jeszcze myśliwy, Miś!

— Ależ wiem... naturalnie: kąpią się w łaźni, a potem buch! w jezioro. Wiem.

— A potem do odryny na siano — dokończył Stanisław. — Warszulka już tam pewno jest.

— Kiedy ona w leszczynie została?

— Po nocy jej orzechów nie zbierać. Przez gaj ona, jak koza, do bani pobiegła — i bliżej jej przez gaj do jeziora.

Miś znał już ten sport sobotni podpatrywania dziewcząt przy łaźni stojącej nad samem jeziorem. Wprawdzie nie wybiegała żadna, jak nimfa płocha, rozgrzana, by zanurzyć się w chłodną wodę. Czynili to parobcy, gdy się kąpali razem po ukończeniu tualety panien. Ale o pannach była taka legenda. Nuż im dzisiaj właśnie strzeli to do głowy?

Wyobraził sobie Warszulkę białą, jak pędem śmiga przez krzaki, przez gładki nurt, pruje go rozgłośnie krągłemi biodrami, bujną piersią — — A czyby ją poznał, gdyby szła z całem takiem stadkiem białych kozic? — — Pewnie? — — Poznałby ją po tym krzyżu tak prostym, po smukłej szyi — — no i po oczach! Przecie ona ma oczy błyszczące w ciemności.

— A ty widzisz tam? — zapytał Stanisław, wskazując na blade niebo.

Na niebie, porządnie rozciągnięte w ostry szyk prujący powietrze, ciągnęły kaczki. Przystanąwszy, usłyszeli myśliwi szum ich pociągu, szmer mechaniczny, urywany, śpieszny. Ciągnęły w kierunku jeziora.

— Cóż? pójdziem na półwysep? Do ciemnej nocy możemy jeszcze

zabić kilkanaście kaczek. Ot, krakwy ciągną, same te największe, bez zielonego pióra w skrzydle — —

— Będziesz mi opowiadał, że widzisz stąd pióra i po nocy!

— A ja ci mówię, że to te. Każdy gatunek ma trochę inny swój zwyczaj w locie — to szyja bardziej prosto, to skrzydłem inaczej robi — — A tam — widzisz? — cyranki. Mniejsze i wałęsają się trochę w locie. Już ty mnie wierz!

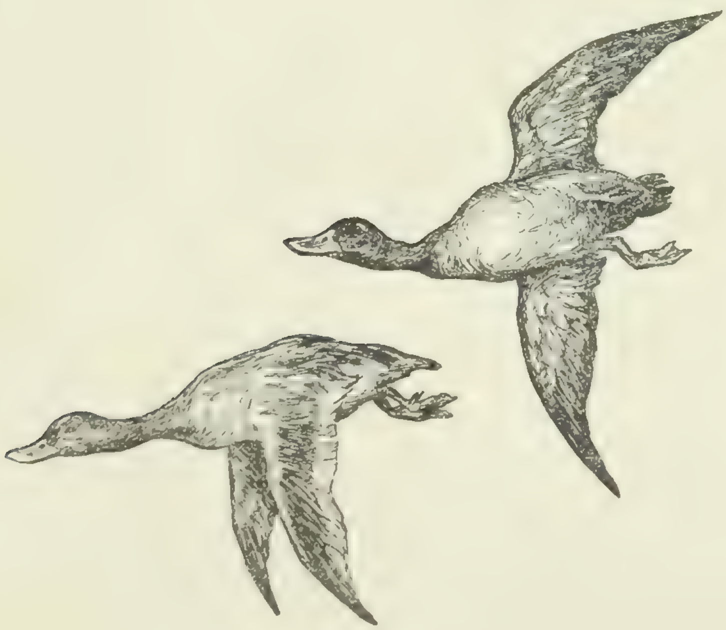
— Dobrzeby i kaczek nastrzelać — rzekł Michał — ale dobra i kolacya. Nie głodny jesteś?

— Wiadomo, głodny. Tylko że kaczki pięknie ciągną. Za godzinę będzie już zapóźno... A stanąć to my możem i przy samej bani... Coś tam zawsze na strzał nadciągnie.

— Tak mówisz? A — no to idźmy nad jezioro.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Noc ciemna, noc pachnąca rajem i grzechem, zakryła dalszą wędrówkę dwóch myśliwych i nawet wieść o niej.



II.

WIECZORYNKA.

Może już czas do lasu? Słońce zachodzi.

— Poczekaj, pośpiejem, kiedy słońce zniknie za pagórkiem. Nory o pięćset kroków stąd, na samym brzegu lasu.

Młodszy Michał wyrywał się na niepowszednią zabawę podpatrzenia borsuka, wychodzącego z nory na żer nocny. Starszy, Stanisław, zdawał się władcą tajemniczego państwa, tworów leśnych i polnych, które, choć ukryte w trawach, zaroślach, a nawet w ziemi, meldowały się widać raportami swemu panu i pogromcy. Albo przez szpiegi miał Stanisław powiadomienia? Dość, że obiecał na dzisiaj borsuka, niezawodnie.

Tymczasem siedzieli myśliwi śród różowego od zachodnich promieni ściernia, na wielkim głazie, wrośniętym w szczyt wzgórza w miejscu odwiecznem, skąd ludzie nie chcieli zabierać kamienia, ani go prochami rozsadzać, bo służył za ławę do odpoczynku i za belweder. Chcesz pola stąd obejrzeć — złocą się i zielenią, dymią mgłą na milę i dalej. Chcesz się w gaj wpatrzyć? — Stoi jak rozpięty szpaler wirydarzowy, utkany z kilku zieleni, przetykany już złotem w tej porze, na brzozie, na dębie, na osinie.

Pali się jeszcze w powietrzu namiętność lata, ale snuje się już i tęsknota jesieni. Michał powróci wkrótce do miasta; kończą się ferye uniwersyteckie. A dobrze było w tym roku na wsi kowieńskiej, lepiej może nawet, niż lat ubiegłych... Zwierzyny huk, pogoda piękna i ta Warszulka... Jak nimfa, ustrojona przez wyobraźnię w wyśnione tęcze,

im bardziej kryła się, migała gdzieś w leszczynie, gdzieś na łące przy sianobraniu, gdzieś przy jeziorze zaczarowanem nocą, im narowniej uciekała z rąk, tem silniej, rzewniej stawała się upragnioną.

Przez las, na który patrzył, zobaczył ją i teraz Michał, ale nie w obłokach, owszem na ziemi tej pachnącej, w ogródku chaty ojców jej w Sztarańcach, w koszulce bez kaftanika, w prostej spódniczce po kostki, rytmiczną taką w ruchach swych wdzięcznych i silnych.

A Stanisław zobaczył ją i poznał w oczach młodszego przyjaciela.

— Ja tobie i Warszulkę dzisiaj pokażę.

— Gdzie? — spytał żywo Michał, rumieniąc się.

— Ona tobie nie mówiła?

— Jakoś przez parę dni nie widziałem jej...

— A ot — obaczysz.

Ruszyli ze wzgórza zbożowego na łąkę suchą, podesłaną pod gajem nakształt ciemno-zielonego kobierca, na którym stał mur drzew rozmaitych, sztuką arcy-Ogrodniczki ułożony śmigle i barwnie dla rozkoszy wzroku. Ruczaj sączył się krętym, głębokim rowem wzdłuż lasu. Była kładka w jednem miejscu do przejścia, ale tak chwiejna i zmurszała, że myśliwi woleli rów przesadzić skokiem.

Las już zamroczył się w podcieniach i mocno pachnął żywicą sosen; wyrastał na gruncie nierównym, pogarbionym w szańce, przykopy i mamelony, zaczem wydawał się jeszcze wyższym, a przygodni starożytnicy poznawali w tych wybujałościach gruntu »okopy szwedzkie«. To było niepewne; za to wiedzieli wszyscy współcześni »ochotnicy«, że te wzgórza leśne gęsto są przekopane przez lisy i borsuki.

Stanisław z powołania i przekonania wszechwiedzący myśliwy, dzisiaj zaś gospodarz na własnym, dziedzicznym gruncie, dawał Michałowi szczegółową instrukcyę:

— Kiedy postawię ciebie, tak już na godzinę, dwie — sza! I papierosa — ani projektu. A jeśli stary wyjdzie, poczekaj, aż on tobie cały pokaże się. Do głowy wysuniętej nie strzelaj — choćby ty jemu głowę na bigos posiekał, szmergnie napowrót do jamy — a wtedy choć górę rozkopuj! I jamnik do ścierwa nie pójdzie. Tak ty sobie to wszystko w pamięci trzymaj, jeżeli chcesz mieć torbę z jego skóry i sadło z niego na lekarstwo dla ciotki chcesz wytopić.

Michał miał oba te zamiary, ale przedewszystkiem chciał do nowych trofeów łowieckich dodać pierwszego w życiu borsuka. Szli coraz ciszej, omijając butami chróst po ziemi rozrzucony, aż stanęli na małym

wzgórku, podziurawionym kilku kosymi otworami. Niektóre z nich były już jakby zabliźnione mchem i darnią, prawie zamknięte; lecz dwa świeciły rozdrapanym u wylotu piaskiem. Stanisław obejrzał, skradając się, wszystkie otwory, marszczył czoło, schylał się, jakby wietrzył; nareszcie rozjaśnił oczy dziką wesołością i rzekł szeptem, stawiając Michała za drzewem i wskazując dwa świeże wyloty:

— Tu i tu — — pewnik! Ja pójdę na inne. I tam bywają.

Gdy sam pozostał, Michał zaczął wypytywać las o wszystkie ewentualności niechybnie zbliżającej się przygody — — I las odpowiadał szeptami, które gwarzyły jeszcze wysoko, pod przeczystem niebem, podczas gdy ziemia była już zupełnie cicha; oddychała tylko woniami, bez dźwięku.

— Oba świeże wyloty są w jednym kierunku — więc stoję dobrze; borsuk, gdy wychyli się, nie zobaczy mnie — — Tu trzeba strzelić szybko, bo stok stromy; borsuk zaraz zniknie mi za wzgórzem i w jałowcach — — Tu lepiej: więcej miejsca, daleka przez las wizówka — — Ale znowu ja stąd bardziej jestem odsłonięty — —?

Posunął się o dwa kroki, chcąc się lepiej jeszcze ukryć i przelicytować w chytrości zwierza. Ale stwierdził, że stąd znowu nie widzi wylotu pierwszej jamy; powrócił na poprzednie stanowisko. Z cichą dokładnością chirurga złamał strzelbę, opatrzył, czy właściwe włożył do luf ładunki.

— Tak — loftki. Stach mówi, że nie kulą strzela się do borsuka, tylko loftkami. Może być ciemno, muszki nie chwycisz, trzeba mierzyć po lufie, z rzutu... Zresztą do nor ile kroków? — piętnaście — — nabój kulą pójdzie — — Święty Hubercie, patronie myśliwych! — — —

Stojąc, jak mur, ze strzelbą w pogotowiu, Michał oczyma tylko biegał po norach. Gdy mu się wzrok mącił od wytężenia, wznosił oczy w górę i obmywał je w kojącem, tęsknem przezroczu. Jeszcze ptak jakiś gwizdał nieopodal — z wielkiej odległości dochodziły szczekania psów ode wsi, zapewne od Sztarańc — — Nagle niebo pobladło znacznie, o cały jeden ton gamy barwnej, i cisza zasnuła wierzchołki lasu. Teraz dopiero słońce zaszło na dobre, za las, za wzgórza, za kraj ziemi.

Wzgórze zaczęło nabierać innych zarysów, roztapiać się w niepewnym poziomie lasu. Błyszczał jeszcze piasek przy dwóch norach, ale inne ułożyły się teraz w mszystej twarzy pagórka nakształt paszczy i głębokich, wyrazistych oczu. I po lesie różne tworzyły się dziwadła.

Wykrot brzozy, który już za dnia ciągnął oczy swym cudacznym rysunkiem, zdefiniował się teraz: był to ogromny brodacz, klęczący z otwartą do krzyku wielką gębą i wzniesionemi do góry ramiony — — rozpacznym tylko ruchem woła, albo modli się, ale milczy, zaklęty w drzewo — — Każdy krzak ma swą twarz, gdy się wpatrzyć, każdy konar należy do jakiegoś sennego lub kroczącego chyłkiem cielska — —

Trzasnęła gdzieś gałązka, nie przy norach. — Może lis się przekrada, a może... W tej wiosce, gdzie psy szczekają, mieszka Warszulka; a nuż, zapóźniona w lesie, za grzybami, lub orzechami, przechodzi tędy? — — Możnaby i borsuka poświęcić!...

Gorąco uczyniło się Michałowi, choć na ukazanie się tutaj miłej dziewczyny liczył tyle, ile na poruszenie się brodacza zaklętego w brzozę. Ale przecie Stanisław gadał coś o tem, że dzisiaj jeszcze pokaże mu Warszulkę... Czyżby do Sztarańc mieli w nocy zajechać? A gdyby żartem przysłał ją tutaj na nory? — — Głupstwo! — nikt nie idzie, nie rusza się nic w lesie, tylko jasność jakaś mylna i błękitna wsącza się powoli między czarne gmachy drzew i niebo znowu się rozjaśnia. Księżyc wypływa ponad las — —

Michał zwrócił znowu oczy na nory i drgnął, lecz nie zmienił pozycyi ciała, tylko strzelbę, gotową do strzału, mocno ścisnął w garści. Po jaśniejszym piasczystym odkosie nory rozglądała się cicho i bacznie głowa jakaś, niby węża, czarno i biało pręgowana po czaszce. Tylko zamiast tępej, żabiej mordy miał ten wąż ryj ruchomy, marszczący się w szybkich skurczach — — Borsuk wysunął się i wietrzył.

— Cicho teraz, bacznie i nie strzelać, dopóki...

Powtarzał sobie w myśli Michał przestrogi Stanisława, gdy borsuk przemyślną swą głowę wielkiej łasicy odwrócił tak, że błysnął — zdaje się? — krągłem, jak czarna perełka, okiem, w stronę zasadzki. I znikł pod ziemią.

— Strzaskałbym mu łeb niechybnie i zostałby na miejscu! Jasno przecie od księżyca i na tem żółtem tle widzę muszkę, jak na dłoni!

Zżymał się Michał, aż spocony od emocyi, pomimo chłodu nocy — — Przecie nie zawinił nic, nie przegapił, nie ruszył się, więc jeżeli Stach zna się na rzeczy i nie łże, trzeba czekać. — —

Noc zapadła szczera, a chociaż księżyc już teraz panował na niebie i wdzierał się jaskrawemi smugami do lasu, to właśnie na wzgórzu borsuczem pokładły się takie cienie gęste i zwodnicze, że Michał nie

poznawał już owej nory pełnej obietnic i muszki na końcu lufy nie dostrzegał pod mrokiem, padającym słupem na miejsce jego zasadzki.

Wtem zadudniało, jakby kto drzwi otwierał od piwnicy. Nad tą samą norą ukazał się łeb, widoczny jednak wyraźnie, a po chwili za cienką stosunkowo szyją, niby długi, wypchany wór — cielsko borsuka wychynęło z pod ziemi. Stanął na wzgórzu, otrząsnął się z piasku rozgłośnie i, chwytając w chrapy świeżą woń nocnego żerowiska, pomyślał rozkosznie:

— Gdzie też dziś pójdę na kolacyę?...

Tyle tylko żył. Błysnął i zagrzmiał strzał Michała. Borsuk wyskoczył w górę, jak potworna piłka, uderzona obuszkiem, raz — — drugi raz cisnął się do góry krzywo jakoś i runął ze wzgórza w krzaki.

— W głowę dostał — — czy gotów? — — Na komorę teraz!

Jak pierwej mierzył przypuszczalnie w głowę, tak teraz Michał wyliczył instynktem przednią łopatkę i posłał za borsukiem drugi strzał w gęstą, ruchomą ciemnię.



Coś jeszcze załomotało — i cisza.

— Jest! jest! leży! — krzyknął głośno rozszalały z radości strzelec, ogłaszając swój tryumf lasowi, milczącemu ze zgrozy, i zapewne rodzinie zmarłego, drżącej ze strachu pod ziemią.

Rzucił się do swego łupu, potknął się w ciemności o korzeń drzewa, prawie stoczył się ze wzgórza za borsukiem, dojrzał go leżącego bez ruchu, namacał, posiadł.

Trzeszczały teraz na drodze chrósty pod szybkimi krokami: Stanisław stanął niebawem przy Michale.



— A co? wierzyć Stachowi, kiedy mówi? Stary, pudów ze dwa — dodał, trącając nogą zwłoki rozciągniętego na mchu zwierza. — My jego tylko za nogi do brzegu lasu zaciągniem, a tam czeka tarantas — i na wieczerzę do Potyłty! [1])

Drożyną leśną ciągnęli za nogi ubitego borsuka, przez wertepy, które tylko właściciel lasu i myśliwy mógł rozpoznać po nocy. Michał opowiadał szczegółowo, podniecony, dumny, cały ogarnięty rozkoszą powodzenia:

— Rozumiesz? najprzód wytknął łeb z dziury, rozglądał się — a ja nic. Stoję, według rozkazu, jak pień. Dopiero, kiedy księżyc rozbłysnął, patrzę, aż... i t. d.

Stanisław słuchał niedbale, lecz potakiwał głową, zadowolony, że wszystko spełniło się według słów jego.

— A teraz — rzekł — pokażemy borsuka całemu stadku dziewcząt. Ot pisku będzie!

— Gdzież to ich będzie takie stado?

— A u mnie w Potyłcie. Dom pobudowałem na folwarku, a w domu jedna gospodyni i dwanaście dziewek do mlecznego gospodarstwa.

Wyszli z gaju na pagórki polne, całe srebrne. Księżyc prawie pełny

[1]) Tiłta — po litewsku: most. Wiele folwarków nazywa się na Litwie Potyłta, jak w Królestwie — Zamość lub Podmoście.

oblewał je płynnym błękitem, witał młodych myśliwych swą twarzą skrzywioną starego birbanta, mrużąc jedno oko obiecująco. Stanisław huknął: hop, hop! — i wkrótce tarantas, zaprzężony w parę żwawych koni, miękko przykłusował po rżysku.

— Borsuka z tyłu na deskę między koła! Przywiązać!

Wydostali się przez rżysko i rowy na drogę, pomknęli tęgim kłusem do Potyłty, pół wiorsty. W rozbłękitnionem powietrzu ukazały się wkrótce parkany nowej osady, wędzarnia, jak wielki grzyb pośród sadu owocowego, budynki gospodarskie, gęsta kępa drzew i dom z długim oszklonym gankiem, drewniany.



— Chałupa, panie Michale — drwił Stanisław — nizkie progi! Ale obaczysz, za progami czem chata bogata...

Podjechali pod ganek. Na schodach stał podstarzały jegomość, wojskowej postawy.

— No cóż, kapitanie? wieczerza gotowa? dziewki wystrojone? — zapytał Stanisław.

— Wszystko w porządku — zaraportował wesoło »kapitan«, który nigdy w wojsku nie służył.

— Pan Tytus! — zawołał Michał, poznając starego Pakosza, mieszkającego od kilku lat w Gaczanach, dworze głównym Pucewiczów, jako pomocnik w gospodarstwie, krewny i przyjaciel.

Uścisnęli się i weszli do domu, który tylko większymi nieco rozmiarami różnił się od chaty włościańskiej. Zbudowany z drzewa, rozdzielony na salon czyli świetlicę i na piekarnię, czyli część gospodarską z mieszkaniami służby, dom przypominał bogatą chatę nawet zapachem tataraku i świeżego chleba. W dużej świetlicy paliła się lampa naftowa i kilka świec na stole, zastawionym przysmakami i butelkami.

Zasiedli do stołu, pełni raźnej ochoty młodości, ucieszeni świeżą zdobyczą, gotowi na wszystkie inne. Kapitan Pakosz rad ogrzewał swą wesoło połyskującą siwiznę przy ognisku młodych, a niepoślednio lubił i ogrzanie się wódką, którą z włoska nazywał »vudiola«.

— Vudiola nie woda, gęby dla niej nie szkoda — zawołał, wznosząc pierwszy kieliszek.

Trącili się i wypili.

— Wódek to nastawiłeś, kapitanie, jak na przyjęcie całego sztabu. A wieczerza? A usługa? — fukał przyjaźnie Stanisław starego krewnego.

— Poczekaj! Licho was wiedziało, kiedy borsuka zadusicie. Jak tylko posłyszałem strzał, poszła komenda: kurczęta na rożen! A dziewkom kazałem szorować się tłuczoną cegłą, żeby to rumiane były i gładkie.

— Ot wynalazł! Wiedzą one same, jak się stroić. Kapitan już zapomniałeś.

— Co znowu?! Niedawno jedna tak zakochała się we mnie, że aż spuchła.

— Pewno na twarzy, od płaczu?

— Wiadomo! Nasza Litwinka kiedy kocha, to i płacze.

Tymczasem pisk i chichot rozlegał się ode drzwi, napół uchylających się. Kapitan i Stanisław poszli żywo ku drzwiom i dalej do sieni, wypędzając stamtąd drożące się »dla przyzwoitości« dziewczęta.

Cztery ich weszło, śmigłych i raźnych jak greckie kanefory, tylko zupełnie inaczej ubranych, od stóp w trzewikach aż do głów w pstrokatych, luźnych chustach. Każda niosła półmisek w wyciągniętych, tęgich ramionkach, a drobiły śpiesznie, aż grad się rozlegał po podłodze. Pierwsza — o dziwo! — weszła Warszulka!

Zaczerwienił się Michał po uszy, zwłaszcza gdy modrooka znajoma pocałowała go w rękę, a on ją w głowę, według tradycyi.

— No i cóż? nie mówiłem? — zapytał tryumfalnie Stanisław.

— Ano tak... prawda... skąd-że ona się tu wzięła?

— Przyjąłem ją zawczoraj do folwarku.

— To... to zabawne.

Pomimo radości z oglądania Warszulki, Michał był i stropiony: Stanisław wiedział o jego zalotach i powinien był przypuszczać, że Warszulka jest jego kochanką. Niestety — nie była nią. Z wzajemnego ich obejścia wynikało teraz jasno, że panicz i dziewczyna przyglądają się sobie tylko, zapewne z upodobaniem, lecz bez ściślejszej znajomości.

Tymczasem kanefory, postawiwszy na stole półmiski, pozdrowiły mężczyzn, olśniły ich wesołą barwnością swych twarzy i ubioru, podnieciły sprawną gibkością postaci — i uciekły.

— Ot, dobrał sobie Stach czwórkę, że osobliwość! — chwalił kapitan.

— Cóż? podobają ci się, Misiu? — — Warszulka ładna, a może ładniejsza ta Marusia, z ustami jak maliny.

Szybko zaspokoili pierwszy głód, wychylili po parę dużych kielichów, które po emocyach i chłodzie nocnym rozświetlają odrazu szczęściem oczy.

— A żeby tak — zaproponował Michał — zaprosić te cztery do stołu? — —

Stanisław odrzekł wprawdzie zaraz: »można« — jednak nie ruszył się z miejsca. Stanowisko jego obywatela i zwierzchnika sprzeciwiało się takiej poufałości ze służbą. Ale kapitan odezwał się przychylnie do projektu:

— Cóż? razem z gospodynią -- czemu nie?

— Ot, zuch! — zawołał Stanisław — do gospodyni ty, widzę, dobierasz mi się?

— Nie. Dawajcie mnie młode, oddam wam gospodynię.

— Kiedy umiesz, kapitanie, pójdź namawiać.

— Obaczycie! — zawołał Pakosz, powstając z pewnym trudem od stołu.

Czekali niedługo. Kapitan wprowadził pod rękę gospodynię, zlekka ociągającą się. Była to rosła, jeszcze ładna kobieta trzydziestoletnia, włościanka, ale z waszecia już ubrana i przyczesana — Marcelka, a raczej pani Marcela. Za taką parą przewodnią szły dziewczęta z zaufaniem, przejęte jednak doniosłością sytuacyi.

Usiadły do stołu wszystkie cztery na ławce, którą same sobie przysunęły od ściany. Gospodyni na krześle obok kapitana.

Nic w tej uczcie nie było podobnego do bachanalii. Dziewczęta wypiły po kieliszku, odwracając głowy od stołu, i siedziały uśmiechnięte, lecz ciche, jakby pozując dla malarza w barwach swych chust osuniętych na kaftaniki, w młodym blasku oczu modrych i piwnych, w czerwieni lic rumianych, jak wiśnie, i bledszych, niż czereśnie. Marusia miała profil tak wytwornego rysunku, że Michał zauważył:

— Ubrać ją w suknię balową, pomyślą, że księżniczka.

Marusia ledwie po skupieniu na nią spojrzeń zrozumiała, że o niej mowa. Westchnęła krótko i omijała oczy mężczyzn, jak ptak bojący się magnetyzmu węża.

Najśmielej strzelała oczyma Warszulka, a oczy jej, podbite bronzowo, rzucały rzeczywiście, przy zmianie światła, fosforyczne iskry.

— Dyabła ty musisz mieć w sobie, kiedy ci z oczu błyska — rzekł do niej Stanisław po litewsku.

Zachichotała dziewczyna i porwała się z ławy do ucieczki. Skorzystał z tego Miś, aby ją mocno chwycić w pół, przytrzymać i usiąść na ławie między nią a Justyną, dużą, rozrośniętą, jak biała rzodkiew. Czwarta, Anula, była szczupła, z włosami jak len, prawie białymi. Dziewczyny litewskie są przeważnie rosłe a chude.

Bywają uciechy towarzyskie bez rozmów. Wszyscy przy tym stole bawili się serdecznie, choć rzadko padało jakie słowo.

— Pij, Warszulka, zdrowo pić na pełni.

— Dziękuję, paniczu.

— Jedz, Anula, siły nie masz nawet do ubicia masła.

— Podołam, paniczu.

Tylko Marcela odpowiadała na pytania obficiej i po polsku. Nieliczne słowa przerywały ciszę i na jej tle wydawały się większemi, znaczyły co innego, niż zwykle. Nawet stary Pakosz, wielki gaduła, milczał, mrużąc oczy tęskne, wpatrzone w obecnych, ale szklaną rosą odbijające dalekie wspomnienia.

Krzyżowały się jednak między towarzystwem myśli różne i ochoty. Aż bijące do głowy wino rozwiązało języki i ogólnie zajmującą kwestyę.

— Gorąco tu! — zawołał Miś.

— Gorąco — zgodzili się wszyscy.

— Wyjdźmy na powietrze — wniósł Stanisław.

Gospodyni i dziewczęta zaraz powstały od stołu, mniemając, że ich przyjęcie skończone.

— A nie! — pójdziecie z nami do sadu — poszukamy jabłek po księżycu.

Śmieszki dziękowały za wieczerzę, przyczem nie obyło się bez dotykalnych objawów serdeczności, półobrotów i wykrętów nimfek wiejskich od natarczywych zalotów satyrów dworskich.

Stłumione śmiechy — jeszcze więcej blasków w oczach — parę tylko imion wyszeptanych i westchnień niesytych — snuła się prosta, odwieczna sielanka, bujna i rzewna, warta zaiste więcej dla młodych serc, niż salonowa dyalektyka miłości.

Księżyc nad sadem dziwował się twarzą pełną,mąd rze wyrozumiałą, jakby skłonioną na chmuropodobne ramię, którem drygał pobłażliwie:

— Ach, dzieci!...

Troje dziewcząt szło w pobok, trzymając się za kibicie; Stanisław zatrzymał się, gawędząc z gospodynią, Miś z Warszulką oddalili się trochę po dróżce między jabłoniami, pokrytej trawą i obfitą rosą.

— I cóż, Warszulko, co z nami będzie?

— Nie wiem, paniczu.

— Ty masz może narzeczonego?

— Nie mam, paniczu.

Patrzyła śmiało, gorąco i rzewnie w oczy Michała, już nieskrępowana wyjątkową sytuacyą wieczerzy z panami. Sad był jej kolumnadą, pośród której zwykła była rozmawiać. Ale noc tylko mówiła i rozgrzana młodość; słowa ciągle padały skąpo.

— A ja tobie nie podobam się, Warszulko?

— Dlaczego nie? Kto powiedział?

W cieniu jabłoni Michał chciał otoczyć ramieniem kibić dziewczyny i poczuł przez luźny kaftanik wdzięczną łodygę jej ciała, mięsistą i gibką. Ale zaraz jej ręka, niespodziewanie silna, ujęła i odsunęła jego ramię.

— Nie trzeba, paniczu.

I szli dalej, a Miś na nowe zdobywał się pomysły:

— Chcesz, Warszulka, jabłka z drzewa?

— Niedojrzałe.

— Już ja wybiorę.

Księżyc świecił tak jasno, że Michał wybrał owoc zupełnie rumiany, zerwał i podał go dziewczynie. Zaraz oddarła duży kęs błyszczącymi zębami, aż skrzypnęło, obejrzała wnętrze jabłka i uśmiechnęła się na znak, że dobre.



— Daj mnie jabłko, Warszulko — —

— Kiedy mam tylko jedno...

— Właśnie to.

Ważyła w ręce nadgryziony owoc. Chwycił go Miś, wypił ustami mokrą słodycz, odgryzł kąsek i podał znowu jabłko dziewczynie, która w niem zatopiła rozszerzone śmiechem usta.

Teraz stara lipa, pozostawiona na pagórku przy założeniu osady, lipa, która pamiętała zapewne dużo legend miłosnych, okryła młodą parę swym gęstym, namownie szepczącym cieniem.

Miś zbliżył się do samego ucha Warszulki i rzekł do wtóru z lipą:

— Pocałuj mnie bez przymusu...

Tym razem Warszulka uznała to widać za stosowne i nieuniknione. Błysnąwszy oczyma ku oddalonemu towarzystwu, podała Misiowi usta zimne, pachnące jabłecznym sokiem.

Długo smakował je młokos, rozgrzał je, dobrał się do lepszego smaku zdrowej krwi; ujął tak mocno w pół dziewczynę, że poczęła się niepokoić, szamotać się w objęciu. Chwycił ją oburącz jeszcze silniej, podciął kolana, uniósł całą i rzuciłby ją na ziemię, gdyby nie głos jej urywany, dyszący rozkoszą ale i błaganiem:

— Panicz!... panicz!... zostaw... niepięknie! —

Byłoby zaś może i pięknie pod tą lipą na murawie, pośród harmonii wsi rozkochanej w czarach nocy, gdyby nie ten miesiąc zbyt jasny, gdyby nie ci ludzie blizko...

Zrozumiał to jednak i, trzymając dziewczynę jeszcze całą mocą, rzekł jej prosto w usta, miłośnie, ale łagodniej:

— No dobrze... puszczę dzisiaj jeszcze...

Podziękowała mu gorącym, szczerym pocałunkiem.

I szli już teraz na księżycowym widoku, uspokojeni trochę zmysłowo, ale ze wzbierającą w sercach lubą przyjaźnią, która zniewalała do wyznań. Oczywiście Miś nie dawał za wygraną:

— Więc powiedz, kiedy, Warszulko? gdzie?

— Kiedy nie można tego lata...

— Tego lata? — — dlaczego?

Nie odpowiedziała dziewczyna; nagły smutek przewiał przez jej oczy rozmiłowane.

— Więc powiedz mi, — nalegał Michał — dlaczego tak się bronisz ode mnie? Już trzeci raz? — —

— A bo ja dowiedziałam się o paniczu...

Michał uczynił błyskawiczny rachunek męskiego sumienia. Były tam grzechy dalekie i bliższe — — Klocia — — Czy Warszulka o nią zazdrosna?

— Coś ci tam nagadali w piekarni. Głupstwa! Ja żadnej nie kochałem... tutaj, oprócz ciebie.

Romansowe dziewczę spojrzało ze ślicznem niedowierzaniem w oczy młodego.

— Panicz mówisz... a i nie myślisz.

— Nie czujesz, Warszulko, że cię kocham?

— Czuć ja czuję — — Ale mnie mówił furman Adryan —

— Że co? — — Łgarz ten Adryan, cygan.

— Że panicz po niedzieli wyjedziesz na długo.

— To może być.

— Tak mnie smutno zrobiło się, że całą noc płakałam —

— Po co płakać, dziecino? Pocałować się lepiej mocno i dzisiaj i codzień, aż do mego wyjazdu.

— Jeszcze smutniej byłoby; gdyby za dwa dni mnie porzuciłbyś panicz, jaby oczy wypłakała i nie poznałbyś mnie i nie ukochał już po powrocie.

— Więc cóż wymyśliłaś?

— A już tak: kiedy panicz powrócisz...

— A jeżeli za rok dopiero?

— I rok poczekam.

— To smutne, Warszulko.

— Smutne, a smutniej byłoby zaczynać.

Poszli już teraz na spotkanie reszty towarzystwa, które trzymało się w jednej kupce. Dziewki zanosiły się od śmiechu z litewskich konceptów Stanisława. Ucichły na widok zbliżającej się pary Misia z Warszulką, powyciągały szyje, łypiąc oczami ciekawie, a trochę i złośliwie — młode płonki, z których kiedyś rozwiną się kumoszki. Warszulka była poważna, dumna jakaś, niby narzeczona.

Chodzili jeszcze kwadrans po sadzie. Ze wzniesienia, na którem stał nowy folwark Potyłta, kraina roztaczała się szeroko, ograniczona z jednej strony przez blizki las, z drugiej rozlana w niezmierne, błękitno-szare, puszyste jakieś jezioro. Było tam jezioro za dnia, ale dalej i błękitną tylko stalą kosy przecinające krainę. Teraz wyszło z brzegów pod wpływem księżyca, zrzedło i rozprowadziło się senną powodzią w bezmiar. Kilka zaledwie pagórków łowiło suchy, księżycowy błękit, jak wyspy w morzu roześnionem. Tylko brzegi tych wód cichych, widoczne od folwarku, mętne i dymiące, dawały poznać, że to mgła tak się rozpełzła i rozpanoszyła.

— - — —

Prując mgłę szerokiemi piersiami pary koni rysistych, przez wązką, łąkową drożynę wracali Michał ze Stanisławem w tarantasie, za nimi Pakosz podążał jednokonną kałamaszką. Od opuszczonego folwarku dolatywał chór głosów piskliwych, ale czystych, zawodzących pieśń litewską, weselną czy pożegnalną? — kto ją wie? — ale przejmującą.

— Powiedz, Stachu: dlaczego ty ją tutaj sprowadziłeś?

— Na służbę. Potrzebna mnie była na miejsce Teofili, która za mąż wyszła. Nie bój się: ani ja na nią patrzę — odpowiedział Stanisław i na osłoniętą część pytania Michała.

Przyjaciele na Litwie wierzą jeden drugiemu. Więc Michał pozbył



obaw i niepokoju o nowe stanowisko Warszulki — ale zarazem wyprowadził z odpowiedzi Stanisława nowe zapytanie:

— Ty, Stachu, stałeś się w tym roku sensatem. Pamiętasz przeszłego lata? Co na placu, to nieprzyjaciel! albo raczej przyjaciółka — — Gdzież twoja Grasia? a Barbarka ta ruda? —

— Po-szły!

— Dokąd?

— Jedna za mąż, druga między ludzi.

— A cóż teraz? — nic? — jakoś nie widziałem cię z żadną — A ty masz do nich szczęście, przepadają za tobą.

— I ja je lubię; to najlepszy gatunek kobiet. Słodkie, wierne, robocze — — wiadomo, nie każda.

— Więc dlaczegoż tak wyglądasz, jakbyś stracił gust do nich?

— Postarzałem... Et! ja tobie innym razem opowiem.

— —

Konie parskały rytmicznie, wyrzucając z nozdrzy mgliste trąby pary. I większe w ciemności, skupione uważnie wobec zwodnych zasadzek nocy zamglonej i księżycowej, sunęły wspaniale, wysokie w szyjach, niecierpliwe i sforne zarazem, paradyery setne.

Skręt na drogę szerszą, białą od księżyca. Przez lipy kwaterowe wieje lekka woń dymu i stajen, migają dwa, trzy, cztery światła. Ktoś czeka w stajniach, ktoś czeka we dworze — — Kochają i tęsknią w tym kraju...

III.

WALNA OBŁAWA.

Jechali już parę godzin dużym traktem utartym i zapylonym przez stałą pogodę, jechali dla skrócenia podróży i bocznemi drogami, których linia kręta wiła się potrójną zieloną wstęgą darni, unormowana przez tysiączne przejazdy wązkich, jednokonnych kałamaszek. Jechali przez pagórki wydęte, jak bochny wyrośniętego ciasta, blado-złocone zbożami i ścierniem, rozstawione na łąkowej zieleni, z zatkniętymi po nizinach pękami olszyny, a po szczytach z przejrzystemi trzęsieniami brzóz. To znowu brzegami jezior słodko pachnących, cichych, ale tak wielkich, że woda z nich szła do brzegu ciągłą płaską falą i, zamierając przy lądzie, wzdychała. Jechali już długo bez rozmowy, zapędzeni w ogromne życie ziemi, która dyszy cicho i zdaje się spać, a przecie pilnuje trzeźwo i mądrze swych wzrostów, przemian, swej niechybnej w żadnym calu estetyki. Kto ma zdrowe zmysły i mózg niestępiony przez obce przyrodzie myślenia, czuje, jak razem z trawą rośnie.

Byli to nierozłączni towarzysze letnich polowań: Stanisław Pucewicz i Michał Rajecki, w tarantasie parokonnym, z woźnicą Adryanem. Tarantas był nowomodny, najlepszego podobno modelu: wasąg leżał na drągach i półresorach, zamiast na pierwotnej desce; między siedzeniem głównem a kozłem wązkie miejsce było jeszcze przegrodzone ścianką na dwie klitki, do których dwie osoby wsuwały nogi, jak do futerałów; maleńkie siedzenie woźnicy tkwiło wysoko, niby na słupku; całość pię-

knie lakierowana pod barwę czekoladową. Takie tarantasy wyrabiał jeden stelmach w Kownie, pomysłowy mechanik.

Obudził się Michał z podróżnego marzenia:

— Będzie już pół drogi, co?

— Do Szetekszny, gdzie zanocujemy, będzie. Ale do puszczy, gdzie jutro obława, ho, ho! wiorst jeszcze czterdzieści.

— Psiakrew! kawał drogi!

— A tobie co, Miś? Ot — kraj poznajesz. Ochota tobie włóczyć się po cudzych, a po swoim nie łaska? I dzień sam ten do podróży: nie to, żeby nadto ciepły, ale wietrzyk jeszcze latem pociąga.

— Pyszny dzień... tylko mi noga trochę ścierpła, bo tu i fuzye i torba z owsem... Na co właściwie jest ta deska między naszemi nogami?

— Na deskę ty nie narzekaj! Żeby nie ona, tarantas na którymbądź mostku tak i rozsypałby się — w poprzecznej desce cała moc jego.

Trafiło to Michałowi do przekonania, bo właśnie przejechali przez most karkołomny dosyć wzniesiony nad rzeczką, przegradzającą drogę. Konie, przemyślne Żmudziny, przyzwyczajone do miejscowej techniki mostowej, która zasadniczo nie przytwierdza bali do legarów, dostrzegły błękit wody między balami, opuściły głowy, zbadały szanse przejścia i nawpół załamanym skokiem odważnie przesadziły przeszkodę; tarantas zabrał między koła prawie pół pomostu, wyskoczył w górę, porzucił bale i szczęśliwie przebrnął. Następny podróżny będzie już musiał most ten ułożyć własnoręcznie, zanim go przejedzie, jeżeli Bóg pozwoli.

— A jeśli tobie noga ścierpła — dodał Stanisław — suń ty mnie ją na kolana.

— Co znowu!? — bronił się Michał — sam siedzisz niewygodnie.

— Suń, kiedy mówię! — powtórzył Stanisław szorstko i dobrodusznie. Między myśliwymi już tak: czasem legnie jeden na ziemi, a drugi, nie przywykłszy głowę nizko kłaść, położy ją tamtemu na miękkie, jak na poduszkę.

Przemocą ujął nogę przyjaciela, przełożył przez dzielącą miejsca deskę i wziął na swoje kolana. Pozycya okazała się niewygodną, ale tymczasem ścierpnięcie przeszło.

Mało lasu było po drodze, gaiki tylko i kępy, bo podróżni przemykali okolicę gęsto zaludnioną, między jeziorami. Nie znikały z oczu



osady mieszkalne, jedne bardziej przyziemne, zatopione w zieleni, pod strażą licznych krzyżów — to wioski i zaścianki, drugie górniejsze, błyskające pobielanym murem pod czubami pysznych drzew, jak pod piórami herbowemi — to dwory szlacheckie. Kraj wydawał z siebie wonie wyborne: traw koszonych na otawę, ajeru i łąk przyjeziornych, przy osadach zaś lekką woń drzewnego dymu. Jechało się przez Bożą salę sklepioną błękitem, gdzie oddychały same stworzenia zdrowe, nieskażone grzechem, niepamiętne śmierci, jak w raju.

Rozbłysło znowu jezioro wązkie, nakształt kanału okrążające wyspę, na której stały poważne, kolumnowe mury pośród parku.

— To już Soły? — zapytał Rajecki.

— A tak, — odrzekł Pucewicz — ja właśnie myślę, czy nie zajechać nam do dworu, żeby rozpytać o jutrzejszą obławę. Z Soł napewno także pojadą.

— Zapóźno dojedziemy na noc do Szetekszny — nadmienił Michał.

— Pośpiejem!

Dawna siedziba Morykonich w Sołach, sztuką przyrody, czy ludzką, oblana jest dokoła jeziorem. Przez najwęższą wodę prowadzą do pałacu mosty zbite mocno, metodą dawniejszą, odpowiednie wielkiemu

pałacowi z podjazdem o sześciu kolumnach, noszącym wybitną cechę polskiego XVIII wieku.

W pałacu mieszkali obecnie dzierżawcy Sol, państwo Jełczaninowie, szlachta ze Słonimskiego. Rajecki ich nie znał i wyraził skrupuł, czy wypada mu wstępować do nieznajomych.

— Ot, fanaberye! Pan Mikołaj, przyjaciel nas wszystkich, z Pucewiczem jedziesz, a cóż to Rajecki z Jużynt człowiek obcy, czy co?

Oczywiście. Żmudzkie koniki, parskając do wypoczynku, zajechały przed podjazd. Natychmiast we drzwiach głównych ukazało się kilka osób ciekawych, między któremi nie było jednak gospodarza, ani jego żony. Pucewicz wyskoczył z tarantasa i witał panie, całując je po rękach; mężczyzn ujmował w objęcia. Znał wszystkich. Serdecznie zaproszeni przez gości, podróżni, otrząsnąwszy tylko pył z ubrań, wchodzili do pokojów, gdzie dopiero ujrzeli pana Mikołaja Jełczanina, siedzącego w wygodnym fotelu przy błogiem smakowaniu herbaty. Wstał i grzecznie powitał gości, ale powiedział tylko:

— Dziękuję, że nie ominęliście.

I pogrążył się znowu w kontemplacyjny spokój.

Pani Jełczaninowa, dużo ruchliwsza, okazała wymowniej swe zadowolenie z odwiedzin i przedstawiała zebranym młodego Rajeckiego, który prawie nikogo tu nie znał.

W wielkiej sali, trochę pustej, okna, drzwi i gipsatury sufitu świadczyły jeszcze o dawnym przepychu, a kręciło się tyle osób rozmaitego typu i ubioru, że Michał zapytał cicho Stanisława:

— Imieniny jakieś, czy co?

— Nie. Oni tu w Wiłkomierskiem tak jeżdżą ciągle jedni do drugich w gościnę. Dzisiaj spotkasz ich tutaj, jutro wszystkich w innem sąsiedztwie. I dobrze: ludzie do ludzi przywykają.

Zebrane towarzystwo nie wydawało się pochodzącem z jednej prowincyi; o modzie miejscowej nie można też było powziąć wyobrażenia. Typy były na ogół polsko-litewskie, lecz niby przeszarżowane w osobliwościach twarzy i ubioru. Starsze panie, Michałowe, Hieronimowe, Justynowe, ubrane z nadmierną prostotą, nie kryły się jednak wcale po kątach, brały owszem szeroki udział w rozmowie. Młodsze miały bardzo rozmaitą powierzchowność: jedne, niepodległe wszelkiej modzie, ubrane z męska, z krótkimi włosami, z papierosami w ustach, drugie, w elegancyi uczesania i ubioru nie ustępujące Warszawiankom.

Zawsze jednak, pomimo rozmaitości ubiorów, damy przedstawiały

mniej odmian charakterystycznych, niż mężczyźni, ubrani jednostajniej, lecz zadziwiający każdy odrębnością typu. Gładki elegant, petersburskiego nieco kroju, rozmawiał z kościstym włościaninem, właścicielem sąsiedniego folwarku, obleczonym w długi, czarny surdut, niby w półsutannę. Okrągły, jowialny jegomość, w surducie skrojonym jak czamara, podsłuchiwał z przyjazną ironią perorującego w gronie dam chudego mężczyznę o postawie rycerskiej. Był to słynny z wymowy pan Narcyz Podolski.

Szpakowaty, spiralnie skręcony czub nad twarzą tragiczną, uroczystość ruchów składały postać, pobudzającą do uśmiechu, nie błazeńską jednak, owszem rozrzewniającą przez jakąś, widzianą tylko na obrazkach, starożytną dworskość. Najładniejszej pannie prawił homeryczne komplimenty, że zaś był jeszcze kawalerem, trzeba go było przez grzeczność słuchać. Zażenowaną pannę wybawiła z kłopotu siedząca w pobliżu matka:

— Panie Narcyzie! opowiedz nam pan o tej rewizyi. Wszystkie drżałyśmy, gdy nam doniesiono.

Szarmant ostatnie spojrzenie ukośne skierował do panny, mówiąc:

— Pozwól, królewno, że się teraz do matki zwrócę!

I półobrotem na krześle w stronę starszej damy zaznaczył przejście od liryzmu do epickiej powieści. Mówił głośno, oczyma łowiąc szersze koła słuchaczów:

— Było to pełne trwogi i babilońskiego zamętu. Drzemałem po południu w swych Sołohubiszkach, znękany sytuacyą własną i ogólną, gdy mnie obudziła naraz służba pałacowa...

— Odkąd-że to masz służbę pałacową, panie Narcyzie? — wtrącił jowialny jegomość w czamarze — chyba gospodyni Miodziuchowska i stróż nocny?

— Nie czep się słów, ale myśl pojmij! — odrzekł uroczyście Podolski — mowa salonów nie jest mową pospolitą. Zbudzony tedy przez służbę, dowiaduję się, że strażnicy przyjechali do mnie na rewizyę. Jak żyję, nie sympatyzowałem z anarchistami, więc widać, że zemsta ludzka zesłała na mnie tę opresyę.

— Ktoby się tam mścił i za co? — wtrącił ktoś znowu — szukali po całej okolicy.

— Nigdzie mniej winy nie znaleziono, jak u mnie! Ha! — pomyślałem — przyszedł czas ofiary za grzechy cudze. Ubrałem się tedy kompletnie, gdyż wobec niebezpieczeństwa nie wolno być śmiesznym. Czego

żądacie? Oto stoję przed wami gotów na męczeństwo — — »Bumagi social-rewolucyjnego komitetu!« — Jestem przyjacielem porządku — odpowiedziałem. Nie zrozumieli widocznie, zaczęli szukać. Szukali w kątach i po strychach, w kufrach i szafach, aż dobrali się do mej biblioteki, pełnej białych kruków.

— Do tej szafki w kancelaryi?

— Do tej samej. Białe kruki z natury swej są rzadkie, nie może ich być tysiącami. Mam kolekcyę, z której czerpię ukojenie w ciężkich życia chwilach. Tu mi Sokrates mówi przez Platona, tu grzmi Skarga swem słowem proroczem, tu mi na lutni kwili Syrokomla...

— Jakżeż to, panie Narcyzie? zacząłeś strażnikom czytać wyjątki?

— Nie bluźnij! Milczałem. — A to co? — rzekł strażnik, otwierając księgę in quarto. — »Prawda ruska« — odrzekłem — dzieło naukowe. — Nu, my to dzieło konfiskujem. — Niech wam służy — odpowiedziałem z boleścią, bo księga jest niezmiernej rzadkości. Po opukaniu murów, oderwaniu części podłogi, siepacze opuścili mnie nareszcie, wracając do Erebu, skąd są rodem.

— I na tem się skończyło?

— A no tak — prawda ruska się znalazła, ale łyżki srebrne zginęły.

Potoczył wzrokiem uroczystym po słuchaczach, którzy odpowiedzieli głośnym śmiechem. Rad z tego wyniku, Podolski nie rozprężył jednak tragicznych fałdów swej maski, gotów do opowiadania nowych dziwów.

Ale Pucewicz i Rajecki szukali powiadomień o obławie na wilki w puszczy Szymańskiej, do której jechali. Wielu mężczyzn tutaj zebranych wybierało się również na tę obławę, ogłoszoną przez nadleśnictwo rządowe. Poszły wici przez kilka powiatów, nawet do sąsiednich guberni; każdy, kto miał strzelbę i ochotę, mógł podążyć do Szymańc na pogrom wilków, których kilka podobno gniazd trapiło okolicę.

Michał i Stanisław nie mogli się lepiej udać po informacye, jak do obecnego tutaj pana Benedykta Talmonta, łowczego z Tyszkiewiczowskich lasów, który także dążył na obławę.

Był to mąż ogromnego wzrostu i rozrostu, sławny siłacz, jednak łagodnego animuszu; świadomy swej mocy, nieproporcyonalnej do powszedniości, podawał na powitanie rękę, nie zaciskając dłoni, niby drewniany obuszek. Chociaż oblekł dzisiaj swą postać w czarne sukno,

wyglądał jak Wyrwidąb uwięziony w worku. Pod bujnym wąsem szczerzył mu się szeroki uśmiech, rysy twarzy były regularne, choć z kamienia ciosane, oczy wesołe.

— Jakież masz czucie na jutro, panie Be edykcie? — zapytał łowczego Pucewicz.

— A już, panoczku, dobrze będzie. Książę Radziwiłł przyjeżdża z Towian.

— Z Towian?! mil dwadzieścia?!

— Jemu na polowanie choć za morze. Do wabienia wilków on pierwszy majster i strzelczyków ma, że nie daj ty Boże lepszych! — a psy tropowe — awantura! Od króla angielskiego z Hamburga on ich dostał.

— To chyba z Londynu, panie Benedykcie?

— Z Londynu czy z Hamburga, teraz są w Towianach. I tylko przy angielskiej trąbce chodzą. Zagraj im, panoczku, na naszym rogu, durne, jak pokurcze.

— Wszystko pięknie byłoby, tylko myśliwych za wiele. Ilu myślisz, że będzie ze strzelbami, panie Benedykcie?

— A choćby i stu, tak cóż? Dobrych myśliwych stawiać będziem na stanowiskach, resztę postawim na skrzydłach, albo i puścim między nagankę.

— Jeżeli się zgodzą — powątpiewał Stanisław. — Któż będzie prowadził polowanie?

— A już sam książę z Towian.

Przez te wieści obiecujące obława nabierała uroku i szans powodzenia. Tembardziej śpieszno było młodym myśliwym w dalszą drogę ku Szymańcom. Pucewicz kazał swemu woźnicy zajechać.

— Bez przekąski nie puścimy — zdecydowała pani Jełczaninowa tak stanowczo, że trzeba było jeszcze pozostać, aby nie uchybić serdecznie gościnnym zamiarom.

W przyległej sali długi stół był nakryty już dawniej i zastawiony szczelnie zimnymi przysmakami: wędliną, ciastem przeróżnych gatunków. Przy tym stole amatorowie popijali sporadycznie herbatę. Teraz podano parę dań ciepłych, które zgromadziły całe towarzystwo.

— Wołowiny nie można dostać — skarżyła się pani Jełczaninowa — czy u państwa w Jużyntach i w Gaczanach tak samo?

Rajecki i Pucewicz potwierdzili, że i w ich okolicach odczuwano brak mięsa jatkowego; karmiono się w lecie przeważnie ptactwem dzikiem i domowem.

Odezwał się Podolski:

— Nie jest przeznaczeniem człowieka jeść mięso, które sprowadza humory sangwinistyczne i drapieżne. Nie jadałbym zupełnie mięsa, gdybym nie ulegał niektórym przywarom, dla towarzystwa.

— A wódkę pijesz, panie Narcyzie? — zapytał Pucewicz. — wszak i to pokusa?

— Ulegam jej — odrzekł stary kawaler.

— Kielich goryczy albo słodyczy?

— Mieszany — wybrał Podolski i spełnił kielich.

Wstąpił weń tem śmielszy duch epicki.

Rajecki mało mówił, rozglądał się i słuchał. Rodem stąd, lecz przywykły do podróży i wielkich miast, patrzył na najbliższych swych rodaków oczyma już porównawczego spostrzegacza. Ale zarazem wszystkie ich osobliwości i odmiany gatunkowe były mu odczuciowo zrozumiałe i pokrewne. Zasadniczo kochał ten kraj, tych ludzi, na których nauczył się już patrzeć z ościennego stanowiska — przygotowywał się pół-świadomie do zawodu kronikarza swej ojczystej ziemi.

Zachodziło już słońce, gdy nasi myśliwi wyrwali się z gościnnych objęć zgromadzonego w Sołach towarzystwa i wsiedli do podróżnego tarantasa. Parę innych wehikułów podążyło przed nocą na bliższe ku Szymańcom popasy. Niektórzy myśliwi zanocują w Sołach i wyjadą do dnia, aby się stawić o dziewiątej rano o kilka mil stąd na miejscu przeznaczonem na schadzkę dla wielkiej obławy.

Czy rosa padła na pylną drogę, czy myśliwi i konie orzeźwili się parogodzinnym odpoczynkiem? — tarantas pomykał lżej jeszcze, niż po południu, jakby zrośnięty organicznie z końmi i ludźmi. Złote od zachodu niebo przed oczyma podróżnych opierało się już na zamkniętej obręczy lasów; zrzedły osady; kraina wesołych pagórków i jezior układała się stopniowo w płaszczyznę łąkową i leśną, parującą leniwemi mgłami, nad któremi las pływał i czerniał przywidzeniem.

— Ale droga tu dobra — stwierdził Michał.

— Niczego sobie, póki lato — odrzekł Stanisław — tylko już w roztopy tutaj ciężko. Zjeżdżamy w okolice puszczy.

— Cóż mówiłeś, że tak daleko? Przed nami te lasy, to chyba już puszcza Szymańska?

— Szymańce i nie Szymańce. Samego rządowego jest 20.000 dziesięcin, a policz lasy obywatelskie przyległe — moc tego jest. Do Sze-

tekszny jeszcze mila, a z niej do głównego leśnictwa, gdzie mamy się zebrać, znowu pojedziem trzy mile jutro rano.

— Kawał drogi, Stachu, do tych wilków!

— A ty myślałeś, że wilki na kiermasz do Komaj przychodzą i tylko je kijami bij?

— No nie, ale...

Kraj coraz gęstszym oblekał się mrokiem i pod tą osłoną majaczył mylnie: na jednobarwnej, kępami zadrzewionej przestrzeni zdawało się czasem, że przy drodze wyrasta gęsty, mocno podszyty gaik, a z niego błyska krwawe jakieś oko — — aż to chata! — i druga, trzecia — cały zaścianek przyczajony pod drzewami, niegościnny, wypatrujący z ukrycia, co tam dudni po drodze. — — Mokre puchy mgieł ścielą się po łące szeroko, szeroko — tu już śpi wszystko — chyba świtezianki polotne przyjdą potańczyć, gdy księżyc wzejdzie — — aliści pływa coś stałego po tej toni: to także chatynka samotna, jakby płynąca w sen... Po drodze coraz węższej, coraz mniej znacznej na okolicznej ciemności, posuwał się teraz tarantas ostrożnie, trochę na pamięć woźnicy i koni. Nagle Adryan wstrzymał konie.

— Czort jego wie, paniczu, gdzie tutaj droga...

Pucewicz wychylił się: drogi rzeczywiście nie było widać ani śladu. Jednak woźnica, i to taki wyga, jak Adryan, powinien był ją bodajby przeczuć.

— Mało to my tędy jeździli? — ofuknął Stanisław woźnicę — Wszak widzisz: Szetekszna jak na dłoni!

— Gdzie ona jest, to ja wiem, tylko ona nie na dłoni, ale za dwiema kanawami [1]) na łące. Jeżeli panicz wiesz lepiej, sam wieź.

— Ach ty, Adryan! musiałeś znowu pociągnąć wódki z furmanami w Sołach?

— Ot nie zgadłeś, panicz! Jeść, to dali, a słono, że w gardle piszczy, ale pić ani — ni.

Pomimo zapewnienia, Stanisław, znając buntowniczy animusz Adryana, gdy sobie podpił, postanowił obejść się z nim ugodowo. Wysiadł z tarantasa i rozejrzał się w sytuacyi. Normalny dojazd z tej strony do Szetekszny był przez wilgotną łąkę, poza którą majaczył szereg drzew sadzonych. Za tą linią jest dwór niewątpliwie, trzeba tylko jeszcze przebrnąć parę przeszkód.

---

[1]) Kanawa = szeroki rów kopany.

— No tak cóż?... prosto jechać na tę przerwę, co świeci między drzewami. Tam kanawa rozjeżdżona — i my przejedziem.

— A jak tarantas podziękuje za służbę, nie moja będzie wina — mruknął Adryan.

— Powoli tylko!

Tak się też stało. Umiejętnie prowadzony przez wprawnego, choć opryskliwego woźnicę i przez cierpliwe żmudzkie mierzyny, tarantas dał pierwszego nurka w rowie na łące krzywo w poprzek, aby zmieścić długi swój kadłub; cudem równowagi utrzymał się na stokach rowu, wybrnął, macał potem kierunek po kapryśnej powierzchni zadarnionej, trafił w lukę między dwa drzewa, chlusnął do rowu, gdzie pomimo suszy stała jeszcze woda — i podróżni znaleźli się z niemałem zadowoleniem między budynkami folwarcznymi. Stąd gładko już i z fantazyą zajechali przed dwór.

Piętrowy dom mieszkalny był z drzewa i tonął wśród okolicznej i pnącej się po ścianach roślinności. Wcale nie był oświetlony, powstawał tak nagle z mroku, że zdawał się sam z mroku zbudowany, przyśniony. Jednak pies szczekał z daleka, a z wnętrza domu dochodziły stłumione dźwięki gry fortepianowej: ktoś tu żyje — —

Drzwi wchodowe nie były zamknięte, więc Michał ze Stanisławem weszli do sieni, a wiedząc, że dom jest kawalerski i przyjazny, wesoło huknęli, jak po lesie:

Hop, hop!...

Po chwili dwóch dzielnych młodzieńców, ubranych do konia, wyszło ze świecami. Dopieroż miła niespodzianka i powitania! Gospodarz, Mikołaj Rudomina, był krewnym Rajeckiego i zaledwie od niego starszym. Drugi młodzieniec, kolega Mikołaja, spędzał lato w Szetekszniе.

— Któż to gra u was? — zapytał Pucewicz — czy damy macie w domu?

— Nie, tak sobie we dwóch muzykujemy o zmroku.

Jakieś wydano naglące rozkazy, bo rozlegał się po pokojach tupot bosych nóg i furkanie spódnic. Rozbłysły lampy, gotowano wieczerzę. Choć goście zapewniali, że jedli w Sołach, że proszą tylko o szklankę herbaty, regulamin, ściśle przestrzegany przez gospodynię, nie pozwalał gościom iść spać bez wieczerzy, spożytej na miejscu. Spełniono więc ten miły w dobrem towarzystwie obowiązek, gawędząc głównie o jutrzejszej obławie, na którą wszyscy czterej młodzi wybierali się wczesnym



rankiem. Rudomina słyszał również o przyjeździe do Szymańc księcia Radziwiłła z wyborną swą służbą łowiecką.

Pełni otuchy poszli spać wszyscy około północy.

* * *

Plotły się Michałowi ze wspomnień dnia i z rzeczy zasłyszanych, lub dawniej wyśnionych, baśnie rozbujałe. Długo wiedział, gdzie spoczywa, w jakim układzie ścian i okien, i wyobraźnią tworzył jeszcze świadomie — — Potem zawirowało wszystko, co się mieściło w czasie i przestrzeni, poniosło się w ogromne, lotne kręgi...

Wilków jest moc między Sołami a Szetekszną, ściągają wszystkie do Szymańc, gdzie gotuje się walna bitwa — — Bo nie są to właściwie wilki, ale nieprzyjaciele — — ciągną szwadronami przez drogi leśne, na wielkie polany, my zaś (myśliwi) skoncentrujemy swe siły, gdy przybędzie Radziwiłł ze sztabem i obejmie nad nami komendę. — Wilki mają jednakowe szare mundury, my rozmaite ubiory; szkoda nawet, że tak rozmaite, bo trudno się rozpoznać w mroku i w lesie — — Ja (Rajecki) postępuję w szeregu z Pucewiczem i Rudominą, który ma przydomek Dusiacki. Ja tu noszę także swój przydomek Dunin, a Pucewicz — Dołęga. To każdy wie, tak się już umówiliśmy na naradzie w Sołach — W pobliżu kroczy i Podolski, przezwany Chudomarą, idzie wielu znajomych z pobliża i z bardzo daleka, niegdyś widzianych — — Jakiś wspaniały leśnik litewski z odkrytą głową, z prawicą wzniesioną na przekleństwo wrogom, ze sztandarem rozwianym w lewej ręce, stanął przed nami i prowadzi przez zwały drzewne, przez trupy... Już są trupy...

naszych! Inny leśnik przyczajony prowadzi sforę wyrywających się na wroga psów — a są to właśnie »rozjuszona Strapczyzna i Sprawnik zajadły« — Razem teraz wszyscy! — Gdzie Radziwiłł ze sztabem? Zagrały piekielnie psy — z ust chorążego-leśnika dobywa się okrzyk bojowy — trąbią na bitwę!...

Zbudził się Michał w nerwowym podskoku, spocony i oprzytomniał, ujrzawszy jasne od dnia szyby. Realny głos trąbki dźwięczał pod oknami: gospodarz, ubrany już do lasu, budził swych gości sygnałem.

— Hasło bojowe... — uśmiechnął się Michał pogardliwie do rzeczywistości, którą była wyprawa na bezbronne, osaczone, nieliczne wilki... Zerwał się jednak ochoczo z łóżka.

Gdy spojrzał przez okno, zdziwił się radośnie. Był dotąd przekonany, że się znajduje w ponurem, zgubionem pośród wertepów, dworzyszczu. Zobaczył zaś teraz, że mieszka w uroczym domu, okrytym przepychem powojów, ocienionym drzewami, niby wielka altana.

Otworzył okno — owocowe zapachy dojrzałego lata wionęły z sadu, odmłodzone przez tchnienie poranku, przecedzone przez rosę, kapiącą z liści. Zewsząd dochodził do uszu rozćwierkany zachwyt ptaków nad nowym cudem wschodzącego słońca. Dzień był już ciepły; będzie o południu skwarny.

* * *

Ochoczo usposobieni dojeżdżali myśliwi z Szetekszny do punktu zbornego przy głównem leśnictwie, zbudowanem na karczunkach we środku puszczy. Niby jarmark wśród lasu! Kilkadziesiąt podwód najrozmaitszych: kałamaszki, tarantasy, wolanty, rosyjskie perelotki i linijki cisnęły się w nieładzie około banalnego, urzędowego domostwa nadleśnictwa. W tłumie przeróżnych twarzy i ubiorów, od poważnych obywateli, wybornie wyekwipowanych na łowy, aż do hołoty strażniczej w kitlach, w czapkach mundurowych, uzbrojonej w brakowe karabiny, spotkali Pucewicz z Rajeckim wielu znajomych. Naganka, złożona z miejscowych włościan, sennie koczowała w pobliżu, około ośmiuset chłopów i wyrostków.

— Patrzaj! — mówił Stanisław do Michała — Mateusz Siesicki, Onufry Klimowicz, Jan Rosen, Komar z Bejsagoły, Kończa z Łukini — ot nabrało się szlachty jak na wybory. A tam i nasi młodzi Romerowie z Antonosza — pójdziem ich rozpytać.

Witali się, ściskali. Zaraz po pierwszych słowach padło zapytanie:

— Radziwiłł z Towian jest?

— Niema i nie będzie — odpowiadano kwaśno.

— To któż prowadzi polowanie?

— Zapewne ten pan nadleśny, który tam siedzi w budynku i »czaj« pije z innymi urzędnikami?

Rozczarowanie, wiszące już nad całą kompanią, udzieliło się i nowoprzybyłym.

— Nic z tego nie będzie, tylko wracać do domu! — rzekł porywczo Rajecki.

— Tak i zrobił pan Michał Romer z Bohdaniszek; przyjechał mil dziesięć, zobaczył, co się święci, zawrócił napowrót do domu.

— Poczekaj pan, panie Rajecki — rzekł pułkownik Chmara z Rarogów — nadleśny człowiek inteligentny i jegermajster sławny. On i w Białowieży w leśnictwie służył.

Ostatecznie było to zdanie całej zgromadzonej kompanii: skoro nas los tu zapędził, spróbujmy szczęścia.

Wkrótce nadleśny wyszedł z budynku z gronem bliższych znajomych i nawet dam. Rosły mężczyzna, w mundurze oficera piechoty, bardzo ugrzeczniony, przedstawił się kilku starszym panom. Towarzystwa z budynku i z pod gołego nieba zmieszały się na chwilę, wymieniły z sobą kilka ukłonów — lecz po pięciu minutach rozdzieliły się na dwa żywioły odrębne, jak woda i oliwa, pozostawione w spokoju po sztucznem zatrzęsieniu flaszy.

— I pora już jechać — —

— I pora — były jednogłośne wnioski.

Stanisław z Michałem na swym tarantasie wmieszali się w nieskończony, powolny szereg wozów i pieszych, ciągnący lasem na niepewną przygodę pierwszego ostępu. Las poziewał pod skwarem słonecznym. Wydawał się młodym na starej ziemi; rzadki świadek, i to zwykle powalony, przypominał o »rówiennikach litewskich wielkich kniaziów« — widocznie gospodarowała tu oddawna »kupiecka lub sądowa... siekiera«. Ale las pędził odważnie od ziemi bujnymi porosty, ufny w przyszłe wieki. Pomimo chudego drzewostanu puszcza była sobą, dyszała niepokalanym zapachem żywic, mchów i traw osobliwych, nie spotykanych w gajach, ciągnęła swą głębią i ciszą. I myśliwi, choć osłabieni w łowczej nadziei, nasiąkali atmosferą puszczy, która, jak morze, koi ogromem.

— Nic nie będzie — dąsał się jednak niecierpliwy Michał.

— Będzie, co będzie — odpowiedział Stanisław. — Ot mnie naprzykład dawaj dziesięć wilków, otoczonych sieciami, nie oddam za jednego spotkanego znienacka — dalipan!

— Ja wolę dziesięć pewnych — odrzekł stanowczo Rajecki.

— A ty zobaczysz później, Miś, gdy postarzejesz i nasycisz się strzelaniem. Tobie jeszcze ręka świerzbi do strzału.

— A ty po co chodzisz do lasu, Stachu?



— Ja inaczej. Ot tobie ochota, kiedy wylezą pod nogi wilczęta głupie, zapędzone, uszy stuliwszy! Pluniesz śrutem z dwóch rur i gotowe — leżą jak pieski niewinne. A dostań ty starego wilka na strzał choć o pięćdziesiąt kroków — ot sztuka!

— No, to kulą go strzelać!

Dostań ty jego najpierw na strzał, mówię ja tobie! Stać musisz, jak mur — i zakryty — i zapachu od ciebie żadnego być nie powinno — wilk ma wiatr gdzie lepszy od lisa, nawet od wyżła. — — Ot, zdarzyło się mnie widzieć na rzadkim lesie wilczycę, idącą z pod obławy tak, jak do tamtego zawału — kroków dwieście. Obława jeszcze hen! o wiorstę, a wilczyca już przy linii myśliwych. Wypadła w skokach, stanęła — i tylko te oczy łajdackie wycelowała na linię — — — I w bok! jak po sznurku sunie o dwieście kroków od linii, ani sążnia bliżej do obławy, ani do nas. Szast, szast! śmiga, a co minie które stanowisko, zwróci głowę przechytrą, jakby się każdemu kłaniała: widzisz ty mnie? i ja ciebie, kawalerze. — I znowu szast, fyrt! kokietuje szyją na wszystkie strony — szyję ma zwrotną, jak panna. Taką sobie wybrała dróżkę po lesie złodziejka, że się nam wszystkim pokazała, dopadła do ostatniego przed zaciągnięciem skrzydła i kiwnęła nam chwostem na pożegnanie. — A ja tobie mówię: tę parę minut, kiedy szła wilczyca wzdłuż linii bez strzału, to ja pamiętam dziesięć już lat, jak... no, jak pierwszą w życiu dziewczynę.

— Żeby choć taką dzisiaj! — zawołał Michał rozpłomieniony.

— I może być — odrzekł Stanisław. — Cóż ty myślisz? Wilki ska-

pryszą, że Radziwiłł nie przyjechał? Już ja pytałem dobrych, znajomych leśników: wilki wabią się codzień w ostępie, który bierzemy.

— Tylko szkoda, że o świcie nie rozstawiono naganki — nadmienił Rajecki.

— Tu twoja racya — zgodził się Pucewicz — zapóźno bierzem ostęp. I jaka będzie komenda, sam Bóg raczy wiedzieć.

Gdy się dowleczono do stanowisk, nadleśny przeczytał myśliwym jakieś »przepisy obowiązujące«, których jedni nie zrozumieli, drudzy nie słuchali. Potem rozstawił osobiście wszystkich znajomych z pośród obywatelstwa. Trwało to długo, jeszcze dłużej czekano potem na ruszenie obławy. A gdy ta zaczęła hukać i trąbić, głosy płynęły sennie po puszczy. Żaden strzał nie ożywił wesołym grzmotem tej beznadziejnej melopei.

* * *

Po trzech takich głuchych miotach towarzystwo mocno niezadowolone ujrzało przecie coś weselszego: ognie, zwiastujące koczowisko na śniadanie. To przynajmniej pewne! Można będzie dać wyraz zasłużonej krytyce i rozprostować na murawie strudzone członki. Nic bowiem tak nie utrudza, jak próżna włóczęga po kniei; widok zwierzyny i strzały działają na myśliwego, jak trunek podniecający; pusty las zasępia i zaostrza trudy polowania; kto ma reumatyzmy, odzywają mu się niechybnie; kto włożył nowe buty, cisną go nieznośnie.

Myśliwi rozłożyli się dwoma obozami, jak poprzednio przy leśniczówce — woda i oliwa. Między znajomymi nie brakło prowiantów, ani nawet szubienicznego humoru, zwłaszcza po zakropieniu robaka. Padły najprzód niezbędne wyrazy narzekania:

— Głupia awantura jechać tak daleko, żeby usłyszeć »bumagę« o wilkach. Przeczytali nam.

— To już typowo »kazionne« — szemrał drugi. — Co tylko oni urządzą, kończy się »bumagą«.

— A wilki jednak są, — odezwał się kto inny z fantazyą — leśnicy wysłuchali: wyły przez całą noc.

— Kiedy? dzisiaj?

— Ej, nie! trzy dni temu.

— W tem i rzecz — zakończył ktoś i wszyscy uspokoili się, zgłębiwszy do dna rozczarowanie.

Ale pan Benedykt Talmont był w wybornym humorze, jako łow-



czy stwierdzający partacką robotę kolegi po fachu. Zmoczywszy już wąsy obficie, dawał znać miganiem oczu i ruchami swojskiego niedźwiedzia, że niejedno on wie, co się stosuje do okazyi i do opowiedzenia. Zaczepił go Pucewicz:

— Cóż, panie Benedykcie? u nas inaczej, co?

— Wiadomo, — odrzekł Talmont, kiwnąwszy łapą — wilki albo wysłuchaj w nocy i zaraz obstaw chłopstwem i sieciami przed świtem, albo już w pojedynkę strzelaj, kiedy popadnie.

— Jakże to w pojedynkę? Gdzież jego spotkasz?

— A panież ty mój! bywa. Ot mnie trafiło się w zimie, nad ranem. Śpię ja sobie, oczy zamrużywszy, tylkoż drzwi ciurrr... Kto tam? Leśnik mój, Szutas, wchodzi i mówi: panie łowczy, wilk! — Gdzie on? Świnię mi porwał — mówi — i za kark do lasu taszczy żywą, a ogonem tak i zagania, fit — fit — żeby równego kłusa z nim szła.

— Czy przypadkiem nie łże ten leśnik? — zapytał z uśmiechem pan Kończa.

— A panież mój! — człek prosty, i nie potrafi! — — To my z nim biegiem za wilkiem puścili się, strzelbę chwyciwszy. Wilk nie bardzo szparko szedł, jak panowie i domyślacie się, w takiem ze świnią towarzystwie. Lasem my szmyrg, szmyrg — aż słyszymy: świnia kwiczy w niebogłosy. Tedy my chyłkiem poza krzakiem, poza krzakiem, dobiegamy do małego błoteczka. Patrzę — osobliwość! Wilk na żywej świni siedzi, skórę jej zdarł od pośladka, zarzucił na głowę i zębami od szynki napoczyna! Czy dacie panowie wiarę?!

Nikt już nie protestował; śmiali się i dopraszali dalszego ciągu.

— Ja tedy ostrożnie, żeby świni nie dobić, wilkowi w głowę celuję. Bach! — wyskoczył w górę — leży. Mój Szutas do niego z kijaszkiem, ogon jemu podejmuje i wali; a złodzieju ty! a dwie już mnie owce porwałeś, jeszcze świni tobie!... Aż tu wilk na równe nogi zrywa się i zęby wyszczerzy! — — Szutas odskoczył, ja nie pośpiałem strzelby nabić, a bury jak pójdzie — tyle my jego widzieli!

— Żelazny wilk! — rzekł pan Kończa. — I świnia zapewne przy życiu pozostała!

— Dorznęli biednieńką — tylko już szynek z niej nie wędzili na święcone, że napoczęte były przez wilka. Proboszcz mówił: nie wypada.

Odetchnął rozgłośnie mówca i sam parsknął szczerym śmiechem. Z pozycyi przykucniętej rzucił się na cztery łapy, chwycił za pustą szklankę i wyciągnął ją do kogoś, który nalewał wino.

— Dajcie pić, panowie — upał mocny — —

— Po tej bajecznej szynce musiało ci w gardle zaschnąć, panie Benedykcie?

— A już... Wasze zdrowie, panowie! —

I ledwie otarł wąsy, zaczął znów opowiadać, z figlarnym w potężnej paszczy uśmiechem:

Tego wilka taki ja dostałem nareszcie. Smolarze znaleźli omdlałego na drugi dzień. Zadali oni jemu jeszcze farnapiksu po łbie i po bokach, tylko, zasłyszawszy już, jaka bestya żywuszcza, przywiązali go do drzewa za zadnią łapę, kiedy wychodzili na robotę. Aż wracają wieczorem na to miejsce, panież ty mój — a wilk stoi przy drzewie uwiązany za nogę! Tedy nareszcie jeden smolarz siekierą głowę mu przerąbał — i takim tylko manierem skóra tego wilka u mnie przed łóżkiem leży.

— Gadajcie sobie o wilkach, — odezwał się pan Onufry Klimowicz — a my po śniadaniu i wilka nie dostaniemy i deszcz po nas utnie; spojrzyjcie na te chmury — —

Nad las wschodziły rzeczywiście gęste, szybkie kłęby. Barwa nieba i lasu posępniała, oddalenie zaś, w którem znajdowali się myśliwi od jakichkolwiek siedzib, sprawiało pewność, że gdy deszcz lunie, przemoczy wszystkich do szpiku.

Sprzątano tymczasem talerze i szklanki do koszów. Nadleśny rządowy posłał już obławę na nowy ostęp. Ale z powodu niepewności wyniku i z obawy deszczu nie wszyscy myśliwi podążyli na stanowiska: panowie Siesicki i Klimowicz odjechali do siebie; inni wzięli z bryczek, co kto miał, burkę lub kitel. I rozpoczął się miot gorączkowy bardziej z powodu oczekiwania ulewy, niż wilków.

Był już niepokój i w falach powietrza i przy ziemi. Lekkie poświsty wpadały w czuby drzew liściastych, znacząc po lesie miejsca, gdzie rosła brzoza i osina. Do gąszczów przyziemnych przypadały z wyższych pięter oniemiałe sójki, drozdy, dzięcioły – śmignął i furkający cietrzew. Nad lasem ciągnęły, gwarnie i fałszywie kracząc, przyjaciółki słoty, wrony. Z oddali puszczy coś zbliżało się, hucząc płynnie, jak spiętrzona z liściastego żywiołu fala: przychodziła niechybnie, szeroka jak świat, nieuchronna jak los. Aż usłyszeli naraz myśliwi niby swarliwy szept zbliżającego się tłumu. Szczyty drzew poczęły drgać nerwowo, uchylając raz po raz liście i drobne gałązki pod ciężkiemi, szumnie spadającemi kroplami; jeszcze myśliwi chronili się od nich pod osłonę większych konarów.

Stali jeszcze — hukała tam głucho jakaś naganka — ale już nikt o niczem innem nie myślał, tylko o ukryciu się przed walną ulewą. Uderzyła wreszcie z zenitu, prostopadle, lejąc zrazu rozkosznie przez powietrzne upały, świeża i pachnąca trochę fosforycznie — wkrótce dotkliwa, ogłuszała szumem, siekła snopami wody, której już pełno było wszędzie: na rozmydlonej darni, na drzewach aż do wnętrznych zamroków, za kołnierzami oszołomionych myśliwych.

Jak w każdej przygodzie bez wyjścia, ludzie poczęli zbiegać się instynktowo do kupy, dążyli w kierunku pozostawionych furmanek. Tam woźnice poodwracali poduszki powozowe, zasunęli wehikuły, jak się dało, pod gałęzie, okrywali się derami, skórzanymi fartuchami, czekając, rychło panom sprzykrzy się polować w taką pogodę. Konie tylko zdawały się lubować w ciepłej natryskowej kąpieli: kiwając głowami aprobacyjnie, parskały z zadowolenia.

Kto żyw dopadał do swej podwody, zlewał wodę z ronda kapelusza, otulał się jak najszczelniej, lub zakapturzał i wydawał woźnicy niecierpliwy rozkaz:

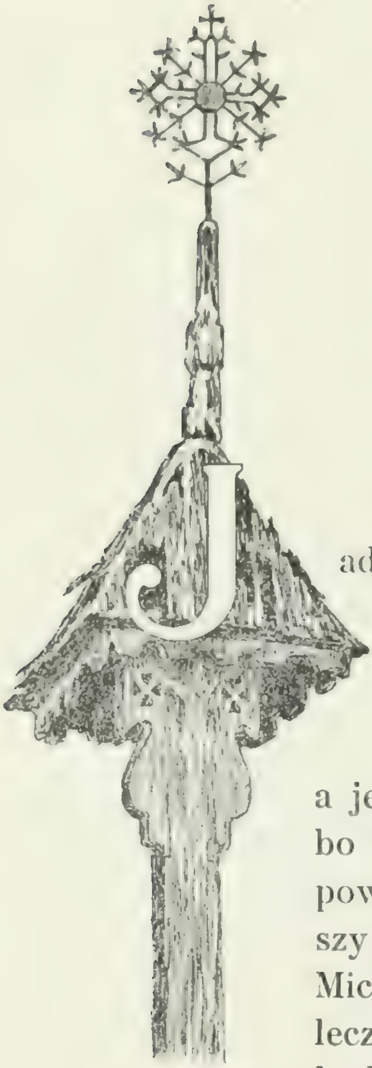
— No, wyrywaj, a ostro!

Jedni drugich żegnali pośpiesznem tylko mruknięciem przy wymijaniu się bryczek; niektórzy i nic nie powiedzieli, źli i opryskliwi, jak związane niedźwiedzie. Nadleśny stanął odważnie przy głównej drodze, w gumowym, ociekającym płaszczu, podobny do zmokłej wrony, i ukłonem wojskowym grzecznie żegnał mijające w popłochu obywatelstwo. Odpowiadano mu tak i owak, poczem prawie każdy burczał przez zęby:

— A, niech was dyabli z takiem polowaniem!

IV.

POŻEGNANIE PÓL.

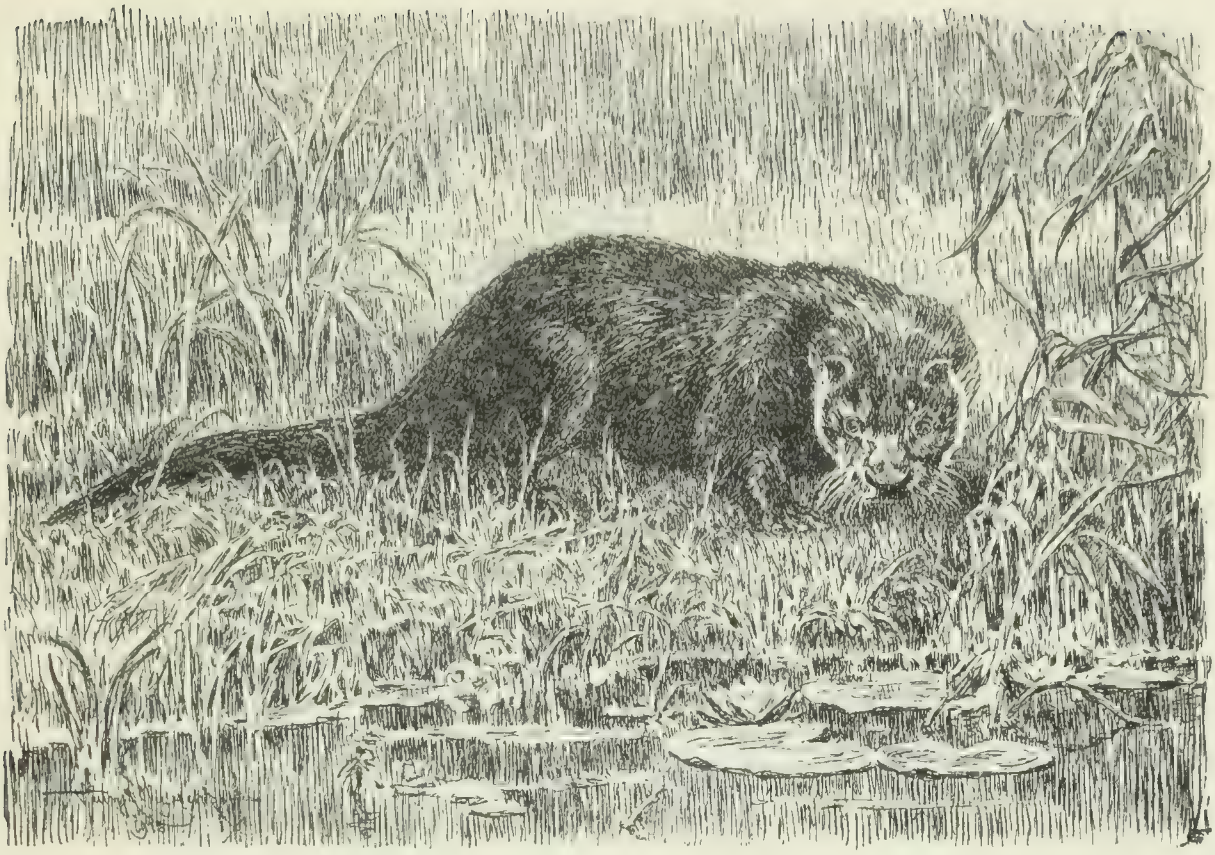


Jadąc bryczką z Jużynt do stacyi kolei, 1-go września, Michał Rajecki składał wiersze na pożegnanie letnich wakacyi. Wiązane wyrazy, nabrzmiałe wrażeniem bezpośredniem, sprawiały mu rzewne ukojenie. Żałował kraju i ludzi, których opuszczał, a jednak znajdował rozkosz i w samem ich żegnaniu, bo młody nie boi się żegnać dobrych dni, pewien, że powrócą takie same, lub lepsze jeszcze. Źródło rozkoszy jest w nas i zwie się młodością. Nie miał więc Michał wrażenia, że coś umiera w nim i około niego, lecz że coś tylko usypia na rychłe, odświeżone przebudzenie.

I cieszył się właśnie, że dzień jest jeden z najpiękniejszych tego początku jesieni. Mijał miejsca zabaw i wzruszeń, jakby odwracał karty oryginalnego pamiętnika, rozłożonego na rodzinnej ziemi.

Gdy zjechał z pagórka, na którym stał dwór, zasłonił mu widok dworu, parku i jeziora gaj olszowy, zwany Burbułą, świeży jeszcze, gdyż czarna olcha długo nie żółknie, rudzieje dopiero od mrozów. Obecnie pysznił się gaj całą jeszcze męską urodą. Lakierowane, ciemne liście leżały ciężką masą nad niewidzialnymi prawie pniami, nad wilgotnym mrokiem podcieni; linia wierzchołków zalewała falistym kirem srebrną siność nieba. Niebo wybladłe było, jak twarz kobieca zatęskniona, obiecująca rozkosz daleką.

W tych gąszczach Burbuły, przyległych do parku, strzelał Michał pierwsze drozdy i szpaki, z jakiejś pierwotnej guldynki, temu już dzie-



sięć lat. Na tamtym krańcu błotnistym spotkał niegdyś, spudłował, lecz przecie widział na własne oczy wydrę, przemykającą mokrym rowem do jeziora. Spojrzała na niego, uroczyła go swym wzrokiem przemyślnym, swem oślizgłem ciałem ogromnej pijawki. Śniła mu się po nocach zawsze niedościgła, ani ręką, ani strzałem.

W tej Burbule włóczył się czasem po wiecznie rosistej, bujnie na rdzawym torfie zatrawionej ziemi, i nie myślał o polowaniu, lecz wynajdywał nienazwane pokrewieństwa między człowiekiem a resztą przyrody, powstawanie uczuć z zapachów, uczuć ze szmerów — — uczył się fonetyki porozumień ze zwierzem, z lasem, z wiatrem — — Może nie myślał, — jeżeli myślą jest już sąd sformułowany i prawo odkryte — ale wchłaniał te fale ostrych, bezpośrednich doświadczeń, które zgęszczają się później w wypowiedziane myśli. W rozmowie z pachnącym gąszczem olszowym stawał się poetą; gdy wychodził z niego na kraj uśmiechnięty słońcem, niósł jeszcze w oczach, w uszach i w nozdrzach pełno tajemnic lasu. Wietrzały potem, ale osadzało się z nich coś na dnie duszy.

Mokry gaj olszowy wspinał się dalej na grunt wyższy i mieszał się z leszczyną. Zaleciało znowu odmiennem, świeżem bardzo wspomnieniem — wionął niby zapach pierwszego pocałunku Warszulki.

— Dryada tych gajów — szepnął Michał, gdy bryczka, porzucając zarośla, skręciła między pagórki polne.

I myślał przez chwilę, jakby najpoetyczniej wpleść Warszulkę do pożegnalnego wiersza — — Zasunęła mu się trochę za mgłę innych wrażeń towarzyskich, zgiełkliwych. W ostatnich dniach dużo podróżował rzemiennym dyszlem, objechał sąsiedztwo na pożegnanie. Od Pucewiczów z Gaczan zajechał wprawdzie do Potyłty umyślnie, aby pożegnać Warszulkę, ale ją zastał przy robocie około mleka, w kwaśnych woniach garnków i skopków, z rączynami tak uwalanemi, że nie śmiała ująć panicza za rękę. I kręciło się ich tyle, parobków, dziewek, około tej samej roboty, że Michał zdołał zaledwie przemówić parę słów ukradkiem do Warszulki. Takie pożegnanie, może na cały rok, było doprawdy niedostateczne. Ale cóż robić? — — Śliczna dziewczyna, coś nawet w niej jest odmiennego od tych samiczek zwinnych przy grabieniu siana i obrządku gospodarskim, coś gra w jej głębokich oczach, niby młoda dusza wyrywająca się do szczęścia — — ale cóż robić? — warunki towarzyskie, przemożne różnice klasowe — — Do zabawy dobra taka Warszulka; do wspólnego życia zbyt nikła...

Kiedy bryczka potoczyła się przez pola, wjeżdżając stopniowo na stoki łańcucha pagórków, zmieniły się wrażenia i myśli Michała. Podmuch rzeźwy, prawie morski, rozcieńczał tutaj słabe ciepło jesiennego słońca, w przeczystem powietrzu jaskrawo barwiły się rozłogi. Na wytartej pozłocie ściernisk pajęczyny babiego lata rozciągały swe mgły jedwabiste. Bezkwietne murawy łąk i łęgów międzypolnych przekładały ciemną, strzyżoną zielenią role podorane czerwonawe i zboża tu i ówdzie pozostałe na pniu: rude pszenice-jarki, potargane i brudne wyki nasienne, przywiędłe kartofle. Zalatywała prądami specyficzna woń lnu, rozesłanego po łące, lub moczonego w kałużach i jeziorkach. A już na drzewach, wszędzie rozrzuconych, były wszystkie barwy tęczy z przewagą szczerego złota.

Szare z szarej roli podrywały się stada siewek, zdaleka podobne do wędrującej po ziemi kurzawy. Z drzew zaś przydrożnych głośne już o sto kroków i oblepiające gałęzie niby gronami czarnych owoców, furkały nagle ogromne chmury szpaków, szybkie, skłębione przy ostrych łukach powietrznych zawrotów. Jedno takie stado nadciągnęło nad bryczkę, a spostrzegłszy ją, zawróciło nagle nad końmi kupą tak gęstą, że aż przesłoniła słońce zwartym cieniem i zaszeleściła wichurą.

— Żeby tak strzelba w ręku! — pomyślał Michał — kilkadziesiąt by ich padło z dwóch strzałów — —

Bardzo zaś wysoko pod niebem ciągnęły kaczki już za morze. Gdy je zobaczył Michał, najmocniej ścisnęło mu się serce: był to znak najoczywistszy końca letniej pory myśliwskiej. Zaczynają się masowe polowania na zające; mało ich tutaj, ale gdzieindziej u nas pada ich po kilkaset dziennie! — Zaczynają się i wielkie łowy na grubego zwierza w tej ostatniej, kapitalnie myśliwskiej porze roku, którą on, Michał, przebyć musi na uniwersytecie. — Nie na męki tam jedzie — życie koleżeńskie ma swe ponęty, nawet upojenia — ale czar pól i lasów odbiega w dal na długo — — Za morze ciągną kaczki!

Obejrzał się tęsknie za siebie na topniejący w oddaleniu wysoki pagórek Jużynckiego dworu, ośrodek zdrowych, poetycznych wrażeń lata.

Bryczka zaś wspinała się trudno na stromą »Czerwoną górkę«, dochodząc do granicy Jużynt. Michał, patrząc za siebie, nie widział, że z górki schodziła wolno, świątecznie ubrana w czarny kaftanik i jedwabną na głowie chustkę, pięknie obuta — Warszulka. Na prawem ramieniu opierała wysoki drzewiec grabi. Odwrócił się Rajecki ku koniom, gdy już dziewczyna była o kilkanaście kroków. Zadziwił się radośnie. Że zaś bryczka wspinała się powoli, wyskoczył z niej łatwo na drogę.

— Warszulko! a ty dokąd? Cóż ty grabić będziesz o tej porze?

— A już tak... — zająknęła się dziewczyna, białymi zębami i głębokiemi oczyma odpowiadając wymownie, dlaczego znalazła się na drodze panicza.

— Antoni! — zawołał Rajecki na woźnicę — wjedź na górę i poczekaj tam: ja wejdę piechotą.

— I lżej koniom będzie — odrzekł Antoni z dowcipnym uśmiechem.

Michał stanął w pół góry, za bryczką, przyciągnął do siebie główkę dziewczyny, która chciała pocałować go w rękę — i pocałował ją dość nieśmiało w policzek.

— Wiedziałaś, kiedy wyjeżdżam?

— Sam panicz mówiłeś w Potyłcie.

— I puścili ciebie z domu od roboty?

— Gaczański panicz pozwolił.

— Na cóż te grabie?

— Tak... żeby ludzie na drodze nie pytali...

— To bardzo dobrze.

Bryczka tymczasem wdrapała się na szczyt wzgórza i znikła za szczytem. Para młodych stała bez świadków pośród ogromnej roztoczy polnej. Patrzyli na siebie, nie wiedząc, co począć. Michał dziwił się nawet sam sobie, że z tą prostą dziewczyną, będącą ostatecznie szczegółem w jego życiu, nie umiał się znaleźć tak, jak według bieżących pojęć należało — ani pierwej, ani teraz. Warszulce zaś, która czuła w sobie moc kochania i skarby rozkoszy do podzielenia z tym młodym mężczyzną, wydawał się on niedostępnym, odgrodzonym przez mury tradycyjnego i osobistego dostojeństwa. Usta mu da, ale chciałaby mu oddać duszę, tylko on o nią nie prosi — — Michał zaś przeczuwał właśnie tę duszę, wyrywającą się do niego, prostą, ale całą i świeżą, jak ją Bóg stworzył — i wobec tej świętości czuł się nieśmiałym.

Trzeba było jednak coś dalej powiedzieć:

— Więc zostajesz w Potyłcie, Warszulko?

— A już, kiedy trzeba...

— Pan Pucewicz dobry musi być dla was?

— Dobry.

— I gospodyni dobra?

— Dobra, paniczu.

Nieopanowana ciekawość poniosła Michała do zapytania:

— Czy pojechałabyś ze mną do miasta, Warszulko?

Jak każda natura pierwotna, Warszulka nie rozumiała warunkowości zdania, przypuszczalności lub pół-żartu propozycyi. Pojęła tylko, że panicz mówi o wzięciu jej na służbę do miasta, mówi zaś tak późno i lekko, że widocznie mało dba o to.

— Takiej, jak ja, paniczowi w mieście nie trzeba — odrzekła chmurnie.

— Owszem, byłabyś u mnie gospodynią.

— I nie wiem, czy matka puściłaby.

— Możnaby jej zapytać.

— Kiedy panicz wyjeżdżasz...

— To też ja tak tylko mówię, Warszulko. Może na przyszły rok?

— Na przyszły rok... — powtórzyła dziewczyna i westchnęła szybko, aż podniosła widocznie kaftanik wysoką falą piersi.

Michał żałował już swej niebacznej propozycyi, miarkując, że Warszulka łatwoby się na nią zgodziła. Wykonanie zaś takiego planu byłoby bardzo przyjemne, lecz pociągnęłoby za sobą skandal i tam, na uniwersytecie, i tu, w rodzinnym kraju Michała. Zmienił rozmowę.

— Pisać pewno nie umiesz, Warszulko?

— Nie umiem, paniczu.

— A czytać?

— Trochę po litewsku, na książce od nabożeństwa.

— To ja napiszę do pana Stanisława, a w liście będzie coś i do ciebie, Warszulko.

Podniosła na młodego oczy miłujące i olśnione. Nie przewidywał Michał, jaką ogromną tęczę marzenia rzucał na jej horyzont przez to czarowne słowo: list będzie i do niej!

— I ty będziesz o mnie myślała, Warszulko? I powiesz panu Stanisławowi, co mnie ma od ciebie napisać?

— Myślę to ja zawsze... a powiedzieć, cóż ja powiem? Żyj panicz zdrów i szczęśliwy...

Ujęło za serce Michała to wyznanie, pozbawione wszelkiego egoizmu. Równą sobie kobietę pocałowałby w rękę — ale i dla Warszulki poczuł rozrzewnione uszanowanie; ujął ją za dłoń mocno, a drugą ręką przygarnął rozpaloną główkę dziewczyny do swej twarzy także gorącej.

— Daj mnie co na pamiątkę... do zabrania z sobą... może kwiatek?

Ale nie miała przy sobie kwiatów, nawet w warkoczu — — i przy gliniastej, stromej drodze nie było nigdzie kwiatów w pobliżu —

— Daj mnie medalik z szyi, Warszulko... czy nosisz?

Trzymał ją w pół, wpatrzony w jej oczy, aż bolesne od miłowania, i łagodnie sięgnął do szyi. Ona położyła na piersi dłoń ochronńczą:

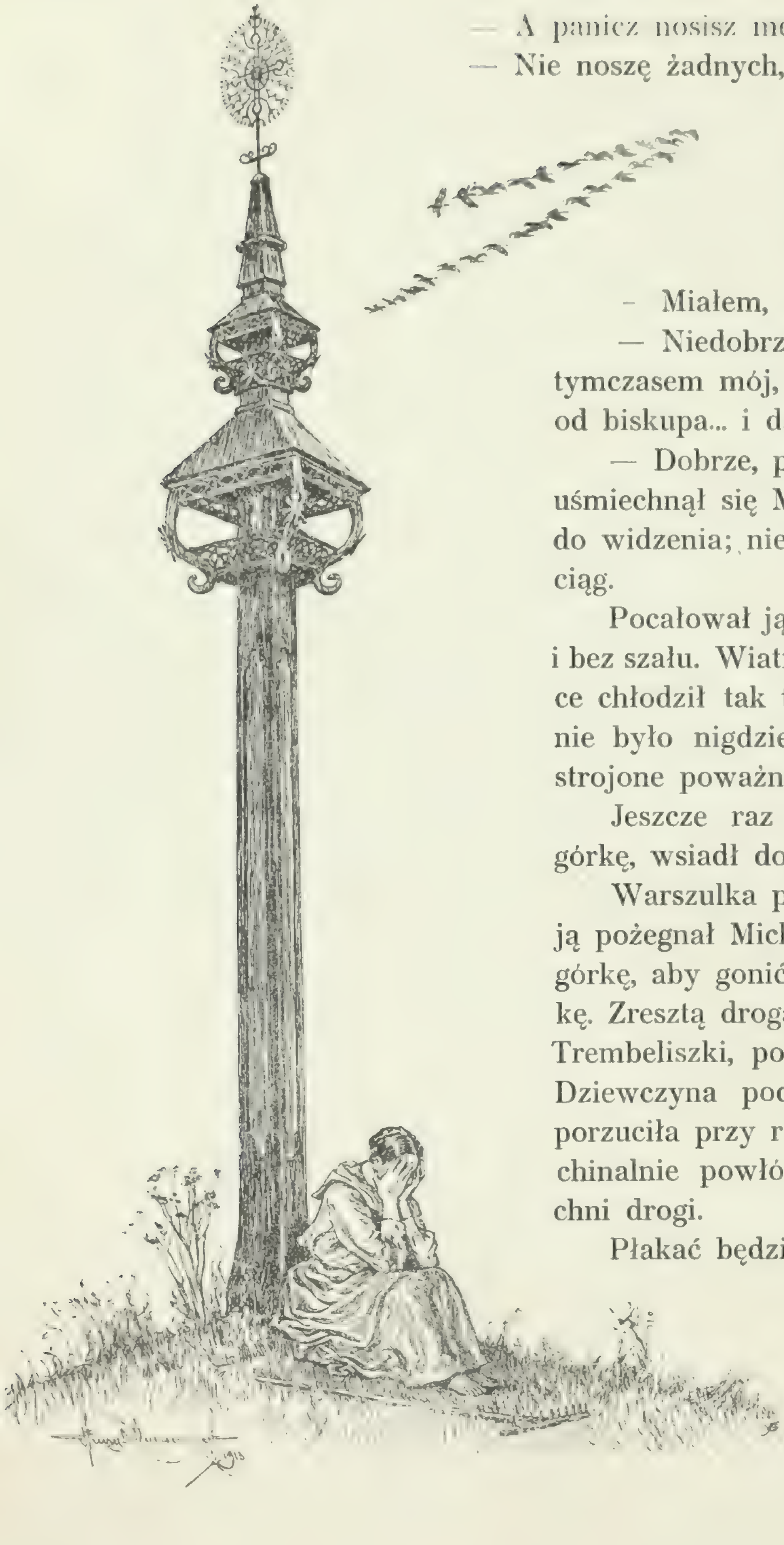
— Nie można, paniczu — poświęcone!

— To i cóż? — sam będę nosił — — Daj!

Patrzyła ciągle w oczy swego pana — i w oczach jej cały kobiecy dramat walki wstydu z namiętnością, obowiązku z szałem, grał się błyskawicami, aż śniady cień pod jej oczyma ściemniał, pogłębił się — i uległa przemożnej pokusie. Sięgnęła w zanadrze, dobyła swe świętości: na czarnym sznureczku blaszany medalik i krzyżyk. Odcięła zębami medalik i podała go Michałowi. — Wnet wyrwała mu się z objęć, kryjąc twarz rękoma, jakby poczuła ciężar swego grzechu.

— Dziękuję, będę go nosił — rzekł Michał poważnie, zawijając tymczasem medalik w pierwszy lepszy urwany liść i chowając do pugilaresu. — Weź i ty coś ode mnie na pamiątkę, Warszulko.

Wzruszyła ramionami: co ona może wziąć? Oglądała postać Michała ciekawie, jakby ją całą pragnęła przy sobie zatrzymać. Nareszcie oczy jej zaświeciły nieśmiałym pomysłem:



— A panicz nosisz medaliki... złote?

— Nie noszę żadnych, Warszulko.

Spojrzała na niego zgorszona: był więc uosobieniem grzechu, bezbożnikiem?... Przeczuł to Michał i poprawił się:

— Miałem, ale zgubiłem.

— Niedobrze bez żadnego... panicz noś tymczasem mój, a w mieście dostań dwa... od biskupa... i daj mnie jeden.

— Dobrze, postaram się, Warszulko — uśmiechnął się Michał rzewnie. — A teraz do widzenia; nie trzeba się spóźnić na pociąg.

Pocałował ją w usta bez przymusu, ale i bez szału. Wiatr jesienny przez blade słońce chłodził tak tęskno i skromnie — ludzi nie było nigdzie na widoku, ale pola, nastrojone poważnie, patrzyły.

Jeszcze raz — — Michał wbiegł pod górkę, wsiadł do bryczki i odjechał.

Warszulka pozostała na miejscu, gdzie ją pożegnał Michał. Nie wbiegła nawet na górkę, aby gonić oczyma uciekającą bryczkę. Zresztą droga wpada zaraz w zaścianek Trembeliszki, potem skręca i ginie z oczu. Dziewczyna podniosła grabie, które była porzuciła przy rozmowie, i jęła niemi machinalnie powłóczyć po spylonej powierzchni drogi.

Płakać będzie dopiero później — teraz błogość ma w sercu, bo ją panicz kocha — tyle przynajmniej, ile panicz kochać może — — Zajechał do niej umyślnie na

pożegnanie, dzisiaj zaś mówił z nią tak słodko i z uszanowaniem, niby z gospodynią — — O medalik prosił — I dobrze, że ten jej medalik będzie przy nim na długie miesiące rozłączenia: spojrzy kiedy, przypomni — — A czas rozłączenia minie, jak minął i rok ubiegły: roboty dużo przy mleczywie, przy lnie, przy obrządku w oborze noce będą coraz dłuższe, spać można dłużej — — A kiedy przyjdzie wiosna, to już i on z nią — może i na Wielkanoc?

Ale tymczasem jesień jeszcze ciepła, i żyć można pod niebem, i grzybów dużo po lesie, i odryny jeszcze pełne pachnącego siana — a on coraz dalej, dalej... Tu był, tu jeszcze ślady jego foremnych butów pańskich, a ona niebacznie zagrabia te ślady...

Chwyciła ją rzewność nieuchronna; usiadła przy drodze, głowę na kolanach oparła i płakała. —

A Miś jechał szybko, bo woźnica poganiał, aby powetować opóźnienie i zdążyć na pociąg. Coś ciepłego czuł pod powiekami, niby łzy — coś drżącego śpiewnie w sercu, niby jej głos, niby muzykę. I genialnem, lecz nietrwałem jasnowidzeniem obejmował koleje przyszłego swego życia.

Będzie miał wiele do czynienia z Kobietą w przeróżnych jej postaciach: z Królewną, z Bajaderą, z Przytulną i Złowrogą, lecz nie spotka nigdy takiej dziewczęcej, z dobrej woli poddanej istoty, z którejby i towarzyszka dnia, i ozdoba nocy, i matka zdrowym dzieciom wyrość mogła — nie spotka takiej, jak Warszulka — —

Przebłyski rajskiego instynktu człowieka w gmatwaninie cennej przez wieki i wytartej przez wieki, wywyższającej i zabójczej, wytwornej i podłej cywilizacyi!

Wiatr wieje — podnosi kurz z ziemi, obrywa już liście — nie może ciągle trwać wiosna. I suszy oczy młodego, suszy mu serce nawiewem coraz nowych wrażeń. Wiatr życia gra na eolskiem narzędziu młodej duszy, znieczula się, dźwięcząc, arfa...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Woźnica zaciął konie i puścił je cwałem.

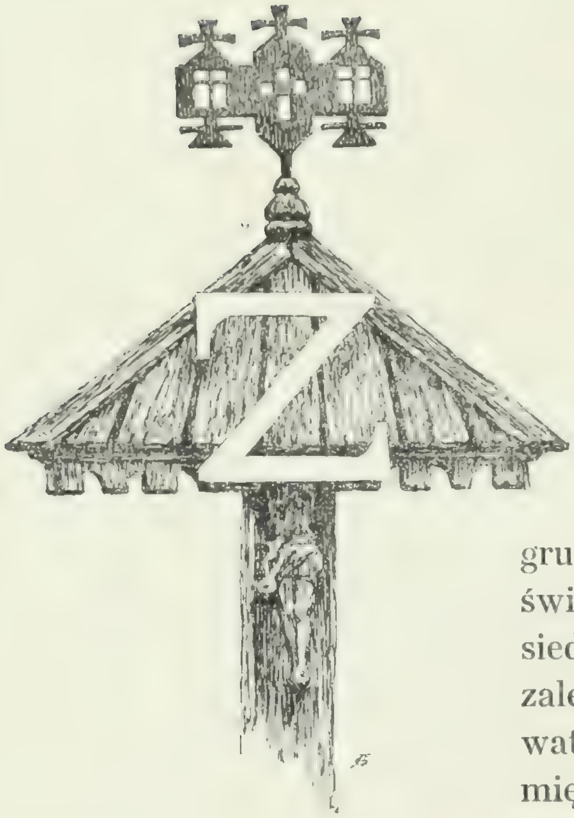
— A wo i maszyna już fajkę pali, paniczu! — zawołał, wskazując biczem na pochyłą trąbę dymu, wypływającą z dalekiego lasu.

— Trzeba dojechać, Antoni, inaczej czekać musiałbym do nocy.

— Pośpiejem, paniczu. Maszyna stoi tu dziesięć minut, a i naczelnik niczego sobie... człowiek spokojny.

V.

TREMBELISZKI.



Zima tego roku wcześniej zapadła i trzymała bez odelgi tak, że w połowie grudnia mało co czarnego było już na świecie, wszystko pod śniegiem. Dachy siedzib nosiły kołpaki olśniewająco białe, zaledwie o zachodzie rumiane; pagórkowate pola i nawet jeziora zastygły jednym, miękko falistym rozłogiem, po którym jeździć mogłeś bezpiecznie sankami, gdzie cię ochota niosła, śmigać od miejsca do miejsca, skróconą drogą, gdy kraj znałeś. Czerniały tylko lasy, ale i te skrócone od ziemi przez zaspy, konarami zaś, również ośnieżonymi, zlewające się z białem niebem.

Wobec takiego porównania w białości ziemi, nieba i wszystkiego, co między niemi wznosi się i barwi w innej porze roku, nie można było docenić należycie wspaniałości chaty Trembelowej, wśród dużego sadu, wśród pięknych atynencyi gospodarskich, w sąsiedztwie posiadłości samych krewniaków, Trembelów, skąd cała osada zowie się Trembeliszkami.

Z chaty wyszła dziewczyna rosła, bardzo jasnowłosa, i głowa jej odkryta zaświeciła wśród bezbarwnego obrazu, jak róża w płowy len ubrana. Powiodła po okólniku oczyma jakby zadziwionemi tym powszednim widokiem, znajomym przecie tak dobrze od kamieni w podmurówkach aż do skrzyżowanych, rzeźbionych deszczułek na szczycie świrna. Coś jej się podobało dzisiaj osobliwie w oglądanych przedmio-



tach, bo oczy miała pełne tęsknego uśmiechu. Po chwili poszła przez sad ku płotowi, skąd widać było drogę. Poszła posuwiście, ale z gracyą, jakby pamiętała o efekcie swej powierzchowności. Dziewczyna litewska nie rzuca się, nie rozmachuje; pomyka jak dziki ptak po ziemi, przemyślnie, wdzięcznymi ruchami.

Na powierzchni pól, krysztalącej się w słońcu, zrywały się małe wicherki, śnieg dymił. Wiatr północno-zachodni ciął ostro po twarzy. Janielka Trembelówna patrzyła długo z za płotu, pod wiatr, aż jej się oczy zaszkliły wesołemi łzami.

— Skoro zapowiedział, przyjedzie — myślała uparcie, i gorącem pragnieniem nagliła śnieżny bezmiar, aby wyłonił z siebie ruchomą plamkę sanek w pożądanym kierunku.

Tymczasem na drodze do Gaczan spostrzegła dwie plamki zbliżające się, nie większe od zabłąkanych na śniegu kuropatw — — Ludzie pieszo — — Kobiety — — Kogo innego przywoływała myślami Janielka, lecz choć dla rozrywki można przypatrzyć się, kto taki i po co dąży do Trembeliszek. — Poznała wreszcie ruchy i rysy tych kobiet; były to: Warszulka i Marusia, dziewki folwarczne z Potylty, od Pucewiczów.

Właśnie stamtąd oczekiwała Janielka gościa; twarz jej, różowa od urodzenia, zabarwiona kraśniej przez mroźny wiatr, oblała się silniejszą jeszcze czerwienią i oczy siwe błysnęły ciemnym błękitem. Ale czy radować się, czy smucić? Stanisław Pucewicz przysyłał może przez dziewki wiadomość, że sam przyjechać nie może dzisiaj?



Tymczasem dziewki, okutane w chusty, ośnieżone na butach i spódnicach, stanęły na podwórzu i wesoło, choć z odcieniem deferencyi uścisnęły dłoń Trembelówny, bogatej gospodarskiej córki.

— Naszego panicza niema jeszcze u was? — zapytała Warszulka.

— Dlaczego miałby być? — odrzekła Janielka, strzygąc wyniośle jasnemi rzęsami.

— Będzie on. Poluje w saneczkach, a co upoluje, to wam przywiezie. Nas przysłał, żeby wam pomódz w przędzeniu.

— Dziękuję, siostry.

Trzeba było je przyjąć uprzejmie i godnie. Janielka wprowadziła je do wnętrza chaty, na prawo od sieni, do świetlicy, gdzie Dominikowa Trembelowa przędła, mrucząc przeciągłą piosenkę.

— Matulu! mamy pomoc dworską do przędzenia — zawołała Janielka.

Kobieta podniosła na przybywające dziewki oczy poważne, ale gdy wkrótce w uśmiechu pokazała białe, długie zęby, młódki przysunęły się do niej, aby ucałować jej rękę. W kapturku jakimś średniowiecznym twarz czterdziestoletnia wdowy Trembelowej była jeszcze świeża prawie i ładna, a dobre jej usta namawiały do zaufania.

— Zdroweście i żywe, dziewczęta? — odezwała się uprzejmie. — Przynieś, Janielko, dwa kołowrotki z komory i daj samowar; ciasto możesz dać także.

Ale gospodarska córka, pomimo gościnności, ociągała się z usługiwaniem dziewkom dworskim. Poczuła to cienkoskórna, choć młodziutka Marusia.

— Pokaż tylko, gdzie, Janielko. Już ja przyniosę i herbatę przyrządzę. Ja z tem zwyczajna.

Więc Janielka z Marusią wyszły z pokoju, Trembelowa pozostała z Warszulką.

— Cóż ty, Warszulko, masz takie podbite oczy?

— Z urodzenia już takie, matko, a i wiatr w polu wielki — łzy wyciska.

Starsza kobieta spojrzała na młódkę badawczo:

— A ty, Warszulko, nie bawisz się z chłopcami, co?

— Ani ja patrzę na żadnego — odrzekła dziewczyna chmurnie i dobitnie.

— A swojemu paniczowi nic nie pozwalasz? — zapytała Trembelowa, jeszcze przenikliwiej świdrując oczyma.

Warszulka wzruszyła ramionami.

— On mnie tyle, co obraz na ścianie.

— Cóż, nie piękny dla ciebie?

— Może i piękny...

— Nie dobry?

— Dobry on — — matka wiecie, że on nie dla mnie...

— Wiadomo — odrzekła stara i spuściła oczy na kołowrotek.

Przestały mówić. Sine, wieczorne już światło wchodziło do izby przez dwa spore okna zamrożone w kwiaty, walcząc z rubinowymi błyskami od komina, na którym ogień trzaskał, ale się jeszcze nie rozbuchał i nie zapanował w izbie. Z drugiej połowy chaty dochodziły głosy gospodarujących: Janielki z Marusią. Warszulka siadła na zydlu pod ścianą i smutnemi oczyma ścigała płomyki, oplatające coraz ściślej olszowe szczapy w kominie. Ale żeby uniknąć nowych badań Trembelowej o przyczynę dramatu tych młodych oczu, zaczęła rozglądać się po ścianach.

Na ścianach wisiały mocne w kolorze ryciny oprawne, lub bez ram przyszpilone do zrębu. Były tam piękne karty z »Albumu Wileńskiego«, podpisane po polsku, obok jaskrawych obrazków pobożnych z napisami litewskimi. Dziwną koleją między te obrazki swojskie dostał się i drzeworyt, przedstawiający bitwę pod Gravelotte, z ilustracyi niemieckiej. Nad łóżkiem, wysoko usłanem, wisiał duży portret biskupa i poety kowieńskiego, księdza Wołonczewskiego. Lekka woń ziół i drzewnego dymu sprawiała, że w cichej izbie było coś z atmosfery wiejskiego kościoła, kołyszącej do marzeń podniosłych i tęsknych — Warszulka wspominała ubiegłe lato.

Ale weszły do pokoju Janielka i Marusia, wnosząc najprzód kołowrotki, następnie żółty samowar, pogwizdujący sennie o rozkoszach gorącej herbaty, i zaczęło się krzątanie wesołe a porządne, przerywane niewielu słowami porozumienia. Aż, gdy wszystkie kobiety zasiadły przy kołowrotkach, a herbata naciągała w czajniku, zaszła potrzeba wspólnej gawędy lub pieśni.

Więc rozpoczęła Janielka:

Przyjechała Kolada na siwym koniku.
Postawiła konika siwego w odrynce,
Sama siadła w kąciku na miękkiej pierzynce,
Postawiła dudeczki na słupku przy piecu,
Głośno grajcie, dudeczki, — dziewczęta, hoc hecu [1]).

Ale zwróciła uwagę Trembelowa, że piosnka, choć zimowa, trochę przedwczesna, bo Kolada jeszcze nie nadeszła. I wogóle dziewczęta były nie przy głosie i nie w humorze. Jedyna Marusia żyła jeszcze półdziecinnem życiem bez troski i bez tęsknoty; obie jej towarzyszki brały się już za bary z losem, nosicielem doli i niedoli, który dojrzewającej dziewczynie przedstawia się zawsze w postaci mężczyzny. Janielka miała przynajmniej ujrzeć natychmiast swego chłopca, ale myśli Warszulki wybiegały za swoim tak daleko, w tak niepewne krainy, że gubiły się i, goniąc bez nadziei, płakały. Widziała parę razy w życiu kolej żelazną i raz większe miasto, Dynaburg. We snach pomieszały jej się teraz te wielkie olśnienia oczu z tęsknotą za Misiem Rajeckim, Goniła go wagonami grzmiącymi przez kowieńskie pagórki, i dalej przez kraj nieznany już i groźny. Starała się wyobrazić go sobie w miastach, których nazwiska zaledwie niedawno z powodu Misia zapamiętała, w jakiemś Wilnie, Warszawie, ogromniejszych jeszcze, niż Dynaburg. Muszą tam krążyć, jak w Dynaburgu, panny w kapeluszach, z wielkiemi, czarnemi oczyma, a każda z nich ma mnóstwo ponęt, zdolnych przyciągnąć młodego panicza — — Gdyby Warszulka mogła, napisałaby do niego — lecz nie umiała pisać! — — Żrącą swą tęsknotę zmuszona była chować w zanadrzu, żywić ją samemi wspomnieniami ubiegłego lata i nadzieją na przyszłe. Wymyśliła sobie jednak, w swem szarem życiu służebnicy, zajęcie ukochane, zmierzające prosto do upragnionego celu; uczyć się po polsku. Nie było to łatwe w towarzystwie, w którem się obracała, jednak możliwe: w Potyłcie gospodyni umiała po polsku; Trembelowe, matka i córka, mówiły czasem tym pańskim językiem. Dlatego Warszulka lubiła odwiedzać chatę wdowy. — Później — kto wie? możeby proboszcz z Jużynt nauczył ją pisać? — —

— Dobrze to Janielce! — myślała zazdrośnie, widząc, jak Trembelówna przędła nieuważnie, zerkając ku oknu i nasłuchując.

Ale Janielce było tymczasem coraz gorzej.

Dzień kończył się szary i wietrzny. Czy to z ziemi podniesione,

---

[1]) Jan Czeczot: Piosnki wieśniacze. Wilno, 1844.

czy z nieba spadające, przesypywały się w powietrzu tumany drobnego śniegu. Słychać było aż w chacie, jak gaj olszowy, oddalony o kilka staj, rozegrał się żałośnie na swych pniach napiętych, jak czarne struny. Wiatr wpadał czasem hucznie w komin i dym z paleniska pędził na izbę: trzeba było mocnego i krętego wiatru, aby takim basem zagrać potrafił na krótkim, szerokim kominie — — —

Porzuciła nareszcie Janielka kołowrotek i wybiegła z izby. Obudzona z zadumy cała gromadka zwróciła teraz uwagę na to, że noc się zbliża, a Pucewicza jeszcze niema.

— Widziałyście, kiedy wasz panicz wyjechał i w jaką stronę? — zapytała Trembelowa dziewcząt z Potyłty.

— Wyjechał to on zaraz po śniadaniu — odpowiedziała Marusia — siadł w »rozwaliny« [1]) bez furmana, wziął fuzyę — ale dokąd, tego my nie wiemy.

— Napewno pod Dusiacką puszczę — dodała Warszulka — tam zając gęsto pomyka w tę porę, i szarak i bielak.

— A ty skąd wiesz?

— Z ochotników my, matulu.

Stara pokiwała głową, uznając zasadniczo kompetencyę Warszulki.

— Mówił wam panicz, że do nas przyjedzie?

— Mówił on.

— Może jemu kompania wypadła?

Na to pytanie dziewki nie umiały odpowiedzieć. Stara dalsze snuła przypuszczenia, usprawiedliwiając opóźnienie gościa.

— On i grubego zwierza mógł spotkać...

— W pole wyjechał, to chyba wilki — odezwała się znowu fachowo Warszulka — ale jeszcze tego roku nie słyszano o wilkach w naszej okolicy.

— I dzięki Bogu! — odparła Trembelowa.

Jednak same słowa wymienione i zmrok zapadający i jęk wiatru budziły stopniowo w wyobraźni obecnych niepokój.

— Gdzież to Janielka? — zapytała matka.

— Wieczerzę, musi, przystawiła w piekarni.

— Nie słyszę jej — — schodź, Marusia, zobaczyć.

[1]) »Rozwaliny« — rodzaj sań bardzo nizkich i dobrze prujących śnieg nierozjeżdżony.

Nie było Janielki w piekarni. Przeszukawszy chatę, Marusia wyszła na podwórze. Po chwili obie dziewczyny wpadły napowrót do izby.

— Wieje, matulu, mocno wieje! — zawołała Janielka tragicznie.

— I z nieba już śnieg sypie na dobre — dodała Marusia z dziecięcym spokojem.

— A to jemu źle może być, jeżeli w polu — rzekła Trembelowa marszcząc twarz troskliwie.

Nie było innej rady, jak czekać. Ale Janielka musiała odmiennego być zdania, gdyż prawie pędem wybiegła znowu z izby.

Ściemniało się; zapadała noc bez księżyca, nie czarna jednak, tylko mętna od złowrogich wirów śnieżycy, która chlastała teraz w szyby chaty sypkim, siekącym gradem. Ogień prawie zagasł na kominie, więc Trembelowa sięgnęła na półkę po lampę, lecz, że mało było nafty w szklanym zbiorniku, poszła do komory po blaszaną bańkę z naftą. Jakoś tej bańki nie można było się doszukać. I Janielka, pomimo nawoływań, nie wracała. Ale matka zbyt wielkie miała zaufanie w statku i rozsądku córki, aby ją posądzić o jakąś nieroztropność. Więc tylko dla oświetlenia izby zapalono, modą starożytną, smolne łuczywo i zatknięto je między dwa bale ściany.

Nie furkały jednak kołowrotki, tembardziej nikomu nie przychodziła na usta piosenka. Wymieniwszy już uprzednio wszystkie uwagi stosowne do okoliczności, trzy kobiety siedziały, milcząc, z chłopskim uporem oczekując losu. Jednemu sen spokojny w nagrzanej chacie — drugiemu może i śmierć w mroźnych odmętach — — wszystko to już bywało na świecie, nawet w Trembeliszkach.

Dominik Trembel, chłop czterdziestoletni, jak sosna, zgrzał się mocno przy rąbaniu drzewa w boru i, powróciwszy do domu, nie jadł, majaczył w nocy — po kilku dniach już nie żył — będzie cztery lata temu — Wieczne jemu odpocznienie — — A tamtego roku jak to ogarnęła śnieżyca pod Dusiatami Matieszunową Teresę z dwojgiem dzieci! Żeby nie pies, nie odnalezionoby przed wiosną wszystkich trojga, tak i skamieniałych pod śniegiem, jak święta figura przy drodze — Zimą śmierć luta jest i głodna i podchodzi bliżej pod wioski — — —

Dumała stara Trembelowa i pozierała przez okno, aż krzyknęła, krzyżem szybko się żegnając.

— Matko Ostrobramska! pożar!

Błysnęło w oknie sino, jak od błyskawicy — nie można było przez zaśnieżone szyby rozeznać, gdzie i co się paliło — i wkrótce zgasło.

— Może Bóg dał, że śnieg ogień zdusił?

Ale rozbłysło znowu dziwne światło nieopodal.

Wszystkie kobiety wybiegły na podwórze.

Na wysokiej żerdzi dopalał się płomień niezrozumiały, buchający, jak pochodnia. — Snadź go zobaczono i z chat innych, bo paru młodych Trembelów, sąsiadów, stało przy węgłach domów z wiadrami, w pogotowiu do oblania strzech, gdyby się zajęły. Spokojnie jakoś stali, widać, że niebezpieczeństwo nie groziło bezpośrednio; pomimo wiatru dolatywały pokrzyki, niby krótkie rozkazy. — Za płotem sadu wybuchła znowu zorza na wysokiej żerdzi, oświetlając kilka twarzy, raczej rozbawionych, niż dramatycznych.

Aż dziw ogarnął Trembelową! Poznając synowca, Antoniego, zawołała:

— Antanas! zwaryowali wy?! co wy tu robicie?!

Młody Trembel, pilnujący z wiadrem w ręku chaty od iskier, które i tak zamierały w wilgotnem powietrzu i na powszędy rozmiotanym śniegu, odpowiedział spokojnie:

— Wasza Janielka tam świeci Pucewiczowi i nas sześciu zbuntowała, żeby pomagać. Z pakułów, z chróstu, porobiła wiązki, naftą oblewa i zapala. A nam kazała chat pilnować. Pomoże, nie pomoże, ale o chaty nie bójcie się —

Pobiegła matka do dzielnej dziewczyny, która, przygotowawszy sobie parę żerdzi i zapas wiązek, oblewała je naftą z bańki i podnosiła kolejno zapalone żagwie. Pomagało jej w robocie dwóch młodych krewnych.

Spostrzegłszy matkę, Janielka szybko pocałowała ją w rękę.

— Nie brońcie, matulu!

Nie broniła Trembelowa. I inni przestali dziwić się pomysłowi, wiadomo było bowiem już powszechnie, że Stanisław Pucewicz ma się do Trembelówny. Do tak bogatej i pilnie strzeżonej jedynaczki zalecać się było można tylko w uczciwych zamiarach, więc Stanisław uważany był przez cały ród Trembelów za konkurenta Janielki. Mieli go zaś już dawno za swojego, kumali się z nim i cenili go jako znawcę roli i kniei, jako przyjaciela ludu.

Zapalano żagwie jedną po drugiej, gdyż kilkanaście już osób zasmakowało w tym pomyśle miłosiernym. Długo jednak żaden widok, ani głos od pola nie rozerwał zamieci i poświstu śnieżycy. Zdawało się czasami, że coś chrapie, coś jęczy po ludzku — — nie przybywał nikt

oprócz cieni znikomych, które gęściej skłębiony śnieg tworzył na podobieństwo stad jakichś, pędzących wilczym pędem, to znów postaci wysokich i wiotkich, konwulsyjnie roztańczonych w wichrze — —

Nareszcie w ponurą symfonię zimy przeniknął maleńki głosik błagalny — — pierwsza usłyszała go Marusia:

— Chyba dzwonek? — —

Słuchano pilnie — nowa żagiew buchnęła płomieniem.

— Dzwonek! napewno dzwonek od duhy!

Jęczał i zbliżał się szybko, potrząsany miarowo — — Czuć było już w powietrzu przez jakieś prądy, przez jakieś porozumienia elektryczne, że prosto na ogień zdąża istota ożywiona, wyrywająca się śmierci, podwójna dusza — człowieka i konia — — Ale osnowa mroku, zadziergana przędzą śnieżycy, nie puszczała jeszcze przez siebie widoku. Nareszcie otchłań rozwarła się i wyłoniła cień ruchomy, gęsty, niby lecącą wprost na widzów piramidę — Chwila! — a czarny koń, chrapiąc i rzucając z nozdrzy kłęby pary, osadził się pod nogami oczekujących, zadzierając wysoko dumną głowę pod obręczą duhy. Oczekiwano go przecie! Jednak wyskoczył z mroku tak wielki i widmowo nagły, że oniemił wszystkich na mgnienie.

Odezwał się głos męski z za konia:

— Czy zdrowi i żywi, Trembele?!

— Czy zdrów i żyw?! — odpowiedziała radosnym chórem gromada, poznając głos Pucewicza.

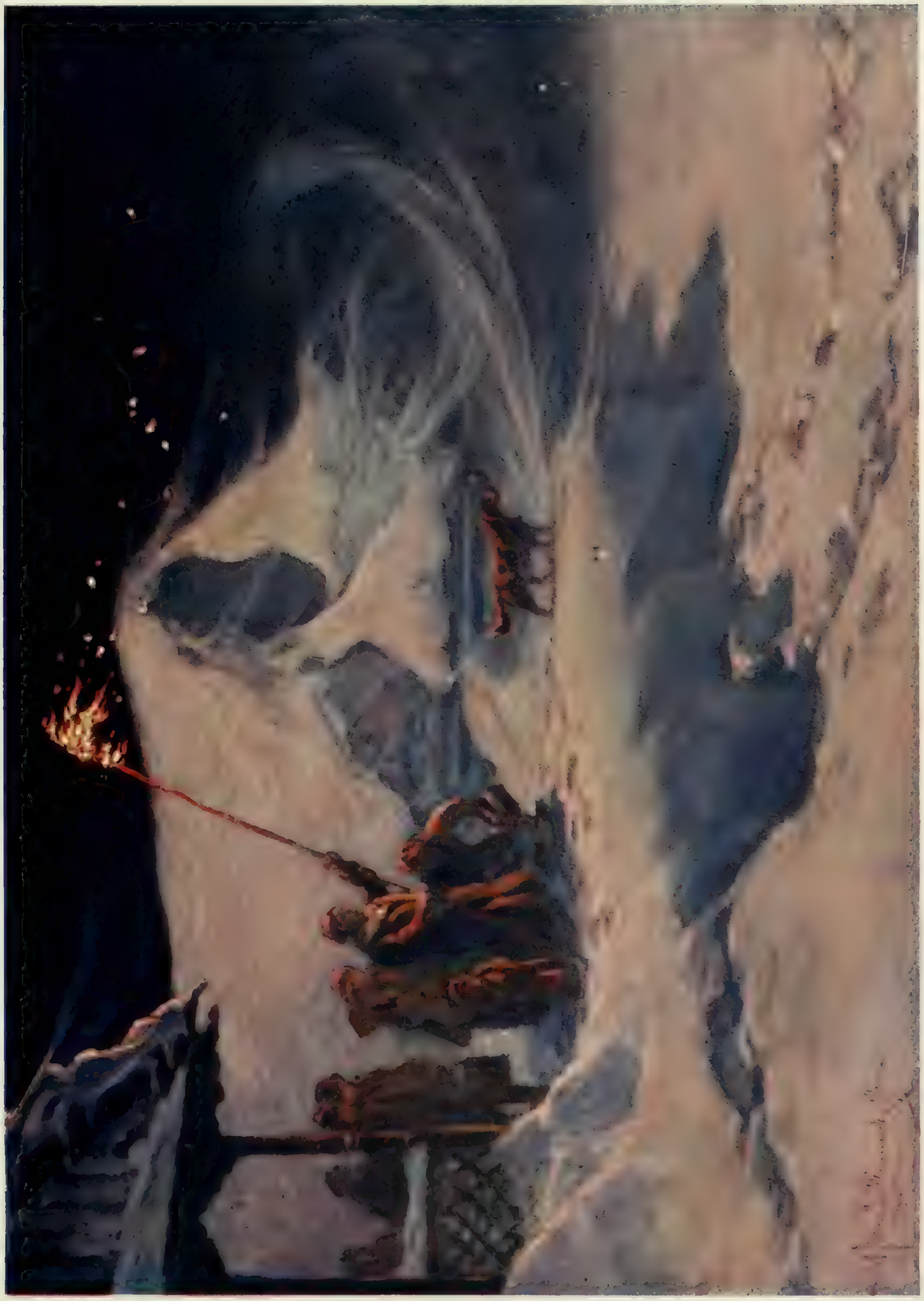
Zaczem paru młodzieńców ujęło przy pysku konia, parskającego i zlanego potem, a z nizkich rozwalin, gdzie napół leżał, napół klęczał, wydobył się Stanisław z pewnym trudem, widocznie zgrabiały od zimna. Trzymał jednak fuzyę w lewej dłoni, a prawą podawał kolejno przyjaznej gromadzie.

— Dziękuję, bracia! I sambym trafił, ale zawsze ogień pomógł.

— A czegoż to panicz zajeżdżasz od płotu, nie od drogi? — zapytał wesoło Antoni Trembel.

— Żeby prędzej... A! i Janielka tutaj?! I matka?! — — Dziękuję. — Dobądźcie z sań zające — trzy tam są, jeśli ich dyabli nie ściągnęli w tę pogodę — —

Nadrabiał miną i szedł do chaty. Ale skoro się znalazł w cieple, pod chwiejnym blaskiem łuczywa, wyglądem przestraszył kobiety. Blady był bardzo, obrośnięty szronem na twarzy i na ubraniu i osłabiony, gdyż niezwykle ciężko usiadł na ławie.



— Pożycz, Janielka, butów i nowego kożucha od Antana! — zawołała matka.

W mig znalazły się buty i suche ubranie. Chociaż trochę się bronił, dał się Stanisław rozebrać do bielizny, czując, że zdrętwiałemi rękoma nie byłby chyba w stanie sam sobie poradzić. Warszulka i Marusia zaczęły chichotać, niezdecydowane, ale dumna Janielka poważnie uklękła przed Stachem i troskliwie, a zgrabnie ściągnęła mu buty. Więc i wszystkie, razem z Trembelową, jęły z niego zwlekać lodowate ubranie.

— Usiądź, panicz, przy ogniu — — napij się gorącej herbaty —

— Nie macie czasem wódki?

Znalazła się i wódka. Grzany z zewnątrz i z wewnątrz odzyskiwał Stanisław humor i wymowę.

Janielka zaś mogła go słuchać tylko dorywczo, gdyż gotowała w piekarni zabielaną boćwinę na wędzonce i baraninę z kartoflami. Wchodziła wprawdzie często do świetlicy, przysiadała w kącie, niema i wpatrzona w Stacha. Ale wkrótce znowu biegła do swego zachodu, gdyż wieczerza winna była być smaczna i suta.

Stanisław zaś, rozpieszczony troskliwością, podniecony zajęciem, które budził w swem kobiecem audytoryum, opowiadał:

— Wiecie, matko, że mi jednak te ognie, coście palili, dobrze pomogły.

— To Janielka tobie, paniczu, tak świeciła. Ot starej do głowy nie przyszło; nigdy my tego nie robili — i do głowy nie przyszło.

Janielka właśnie zajrzała do świetlicy — rozpromieniła twarz, potem spuściła oczy i uciekła do swych zajęć gospodarskich. Stanisław przeprowadził ciepłem spojrzeniem znikającą postać dziewczyny i mówił dalej:

— Kiedy dojeżdżałem do Dwireż, zaczęło wiać na potęgę — i mrok zapadł dzisiaj pół godziny wcześniej, niż wczoraj. Ale myślę ja sobie: do Trembeliszek wiorst dwie letnią drogą, a teraz prosto i tyle niema; znam ja tu przecie każdy krzaczek. Jadę ja naprzód drogą zwyczajną — sto kroków za wsią już ani śladu. Zmiarkowałem, że zamiast przez mostek — wiecie? ten pod świętym Janem? — przejeżdżam przez zamarznięty ruczaj na lewo. Dawaj więc ja kierować się na prawo, ale już szczerem polem, bez śladu. Toć przecie od Dwireż widna wasza wysoka olszyna, i zdaje mi się, że ją widzę przed sobą. Jadę i jadę — ani olszyny, ani wioski. — Myślę ja: puszczę konia, niech idzie, gdzie chce...

I pierwszy raz się zdarzyło, że mój kary zdurniał! Wyrywa prosto przed siebie, a trochę ciągle na prawo. Musisz ty wiedzieć, myślę, jadę i jadę. Aż tu mi koń wpada w zaspę, ledwie, że się nie schował! I dotąd nie wiem, w jaki my tam wąwóz zaleźli. Znowu ja tedy za lejce, cofam konia z tej zaspy, znowu twardo, sanie idą wierzchem — jedziemy tęgą rysią z godzinę. Nareszcie uważam: jakieś kupy, ni to stogi, ni to torf kopany — bo, zdaje się, jedziemy pagórkiem... No i poznaję chaty. Czy dacie, matko, wiarę? — zajechałem napowrót do Dwireż!

— Chryste Panie! Dlaczegoż panicz tam nie zanocowałeś?

— A cóż to mnie widzieć nie chciałyście dzisiaj?

Wiadomo, chciały... — tłómaczyła się Trembelowa, poczciwie zafrasowana.

— Więc ja już drugi raz na inny manier. Lejce w garść i prosto przez łąki na zarośla olszowe. Trafiłbym chyba z zawiązanemi oczyma! A tu ani zarośli, ani drogi między niemi, choć rysią jechałem pół godziny. Tylko czuję naraz, że zjeżdżam z pagórka i jadę po gładkiem, szparko, a pod koniem dudni. Jezioro? — myślę — ale niema jeziora po drodze do was. I znowu pagórek. aż koń przed nim stanął. Co u Pana Boga?... Miałem wiatr z lewej strony, teraz z prawej — i znowu z lewej — Czy wiatr tak kręci, czy ja kręcę? Myślę ja tedy: kiedy spotkam pagórek, wlezę na wierzch i spojrzę, czy gdzie czego nie widać. A kiedy stanąłem na pagórku, patrzę: zdaleka ogień — mnie zdawało się, że w Dwireżach. Wszystko już jedno — jadę prosto na światło. Zgasło — zatrzymałem się — znowu ogień. I ja i mój kary zrozumieliśmy, że ludzka to robota, i dalejże na te ognie. Tak i dojechałem do was. — Teraz gdy miarkuję, musiałem ja zjechać ze stromego brzegu na Gaczańskie jezioro, het z drogi, i tam mogłem między brzegami jeździć aż do rana. — A już lejców nie czułem w garści.

Zapachnęło w izbie smakowitą parą od garnków, które Janielka przyniosła i postawiła przy ogniu, zabierając się do nakrycia stołu obrusem. Odezwał się Stanisław:

— Oj, dajcie jeść prędzej, a stołu nie nakrywajcie dla mnie — wszak czysty — i ja już u was nie obcy.

— Jak chcesz, paniczu.

Więc brzęknęły tylko talerze i sztućce dobyte z szafy i położone na stole, przy którym już siedzieli Pucewicz i Trembelowa. Dziewki zaproszone zostały łaskawym giestem gospodyni. Boćwina na wędzonce łaskotała nozdrza; zaległo pochlipujące milczenie.

A gdy wszyscy podjedli zupy i mięsa, jeszcze cisza zamykała usta. Marzyło się bezpiecznie w zasobnej chacie, jak w fortecy, urągającej zasadzkom zimy i nocy.

Zmorzone wysiłkiem fizycznym i serdecznemi wzruszeniami głowy ogarniał sen taki, jakiego króle zazdroszczą chłopom — słodka, nieuchronna bezwiedza. Kobiety wyniosły się wszystkie do piekarni, świetlicę ze świeżo zasłanem łożem oddano Stanisławowi. Zaledwie wyciągnął się na niem, usnął. I kobiety posnęły, gdzie która legła, na wązkiem łóżku, czy na sienniku, położonym na ziemi.

Tylko Warszulce krążyły długo po główce uparte pytania, czy w wielkich miastach bywają takie zawieje? — — Czy, wyjechawszy za rogatki, naprzykład na polowanie, można zabłądzić i nie powrócić na noc do miasta? — — Chyba nie — bo w mieście są wysokie wieże, a na wieżach pewno zapalają latarnie. — — On, ten młody panicz Jużyncki, polował zapewne i dzisiaj? — On za zwierzyną poszedłby daleko, dalej, niż za nią, za Warszulką — — jemu strzelba najdroższa! — Z trzeźwych rozmyślań powstały majaczenia, z majaczeń obrazy senne, i biedna dziewczyna podróżowała wyobraźnią przez całą noc za ukochanym chłopcem, tęsknie i wiernie, dogonić go nie mogąc, włócząc się za nim, całując pragnieniem — podczas gdy jędrne serce odmierzało równem biciem jej los realny na sienniku pod piecem.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

A gdy kury wszystkie przepiały i świt się wytarł z ciężkich, jęczących mroków, kraj około Trembeliszek zajaśniał jeszcze bielszy, zupełnie cichy i tak niewinny, jakby nigdy nie był polem niepokoju i zatracenia.

VI.

CHASKIEL.

Myśliwstwo jest od wieków zabawą królewską, ale przed tym szeregiem wieków było kapitalnem zajęciem ludowem, częścią życia każdego dorosłego mężczyzny, i wtedy to nosiło w sobie cechy niepożyte, było walką człowieka ze zwierzem i doświadczalnem zgłębianiem tajemnic przyrody przez człowieka. Siła i urok pierwotnego myśliwstwa przetrwały w instynktach niektórych łowców, prostaków w nauce, ale mistrzów w obcowaniu z przyrodą, albo takich ludzi cywilizowanych, którzy umieją zdziczeć na pewien czas, aby odpocząć od nudów i trosk cywilizacyi.

W starym naszym świecie wiele urządzeń ludzkich zwietrzało i nachyliło się do upadku. I polowania królewskie utraciły swą istotną treść, zmieniając się w rzezie, doskonale przygotowane. Ale pierwotny instynkt łowca nie przeminął, gra i rozpala się w młodych, w urodzonych myśliwych, okrasza nawet łowy królewskie i na ich wzór organizowane polowania wielkopańskie.

Coś podobnego marzyło się Michałowi Rajeckiemu podczas jazdy sankami przez piękne i rozległe bory księcia Jerzego S.***, położone na południu Królestwa. Podczas feryi zimowych przyjechał Michał w te dalekie strony, dostawszy zaproszenie na słynne polowania, odbywające się tu w pierwszych dniach stycznia.

Tego dnia polowano na dziki. Szereg kilkunastu sanek zajeżdżał na pierwsze stanowiska, wioząc myśliwych i przybocznych ich strzel-

ców. Sanki sunęły bez dzwonków krętą drogą między nawisłymi konarami drzew iglastych, osypując z nich śnieg na konie i ubrania ludzi; wynurzająca się z gąszczu podwoda wyglądała jak część lasu jednolita z zaśnieżoną dziczą, oderwana i cicho płynąca. Czasem tylko płozy zadudniły głucho, uderzając o wybujały korzeń. — Poranne niebo nad borem, białe, zaledwie mroźne, zapowiadało nowy śnieg. A może i dotrzyma pogoda do wieczora?

Michał siedział w saniach, oznaczonych liczbą 4, razem z przygodnym towarzyszem, panem Wiktorem Liebem, którego tutaj dopiero poznał. Pan Liebe, człowiek czterdziestoletni i zimny, wydawał się ze wszech miar obcym Michałowi, a nawet psuł mu przez swe towarzystwo urok polowania. Najbardziej to korciło Michała, że mu towarzysz dawał nauki techniczne o broni, strzale i obowiązkach myśliwego, a on, Michał Rajecki, choć dopiero student uniwersytetu, miał się już za wygę w łowiectwie.

Zaświeciła naprzykład pośród wysokiej ciemni lasu smuga, porośnięta młodą olszyną i suchem sitowiem około zaśnieżonego łożyska ruczaju. Michał widział już nieraz taką pozycyę w lasach kowieńskich i, pociągnąwszy nozdrzami znajomego zapachu, zawołał:

— Tutaj, panie, stanowisko na lisa, co?

Pan Liebe zaś, zmierzywszy młodzieńca wzrokiem zimnym, zawyrokował:

— Niema tu lisów w głębi lasów; lis trzyma się tam, gdzie ma polowanie na drobniejszą zwierzynę, bliżej pól i zagajów. Gdzie niema zajęcy, królików, kuropatw i tym podobnych, tam nie spotka pan i lisa. A tutaj tylko dzik, sarna, kuna leśna, rzadko zając większego gatunku, trochę bardziej siwy.

— Bielak — wtrącił Rajecki.

— Nie, panie. Bielaków tutaj wogóle niema. Ich strefa zaczyna się dopiero od Niemna i dalej na północo-wschód.

Michał notował w pamięci to, co mówił Liebe, czując, że nudny myśliwy ma słuszność, ale niechętnie przyznawał się do swych braków doświadczenia.

— Polowałem głównie na Litwie; — rzekł po chwili — tam inna knieja, odmienna zwierzyna. — Czy pan kiedy strzelał pardwy?

— Paręset ich zabiłem w okolicach Pskowa, nad Pejpusem; tam dopiero ich prawdziwa dziedzina.

— A zabił pan kiedy rysia?



— Mam dwa rysie i trzy żbiki w mojej książce myśliwskiej.

»Niech cię dyabli!« — chciałby powiedzieć Rajecki, nie mogąc zaimponować Liebemu ani pardwami, których dość już dużo nabił, ani rysiem, którego nigdy w lesie nie widział. Przytem Liebe nie wyglądał na zwykłego w myśliwskiem rzemiośle łgarza, musiał to wszystko wiedzieć i wykonać, co mówił. Tylko mówił jak książka, jak docent, łuskający ziarna cyfr i praw z kwiatów poezyi, z tego wszystkiego, co żyje, pachnie, odurza w opowiadaniach istotnego myśliwca.

To też z podwójnem zadowoleniem ulgi od towarzysza i dopięcia celu wyprawy doczekał się Miś zatrzymania szeregu sanek na rozstajnych drogach, gdzie stary łowczy Kowalski, w mundurze ze szlifą, oczekiwał na przyjazd księcia i jego gości. Obok łowczego stało paru strzelców umundurowanych, wyprężonych po żołniersku.

Ani powitalnego sygnału na trąbkach, ani głośnych rozmów. Kilka cichych ukłonów, krótka konferencya księcia Jerzego z łowczym i równie przyciszona komenda, aby myśliwi szli za Kowalskim, który im wskaże stanowiska.

Sunie cicho drożyną szereg postaci przemyślnie ubranych, szarych, jak kora, zielonych, jak mchy, starając się udawać ruchami niedościgłą zręczność i ostrożność dzikiego zwierza. Ale gdyby nie piekielne wynalazki zabójczych maszyn, gdyby nie zmowa wielu, tworząca siłę, gdzieby też człowiekowi do ostrożności wilka, do lekkości jelenia, do siły dzika! Jedyną wyższość człowieka stanowi ta wyrobiona od pokoleń pretensya panowania nad przyrodą, ten wyostrzony instynkt przyciągnięcia do siebie całej rozkoszy, która żyje i pleni się po ziemi.

Coraz to ktoś z szeregu pozostawał na stanowisku, oznaczonem liczbą na zatkniętym nieokorowanym paliku. Była komenda zachowania ciszy, niepalenia tytuniu i niedawania pierwszego strzału do innej zwierzyny, jak do dzika.

Michał Rajecki otrzymał stanowisko pod liczbą 4 i wróżył sobie

dobrze z tego numeru, który nie zawiera złowrogiego prognostyku, jak naprzykład 7 lub 13. Myśliwy zabobonny jest, jak gracz. Szmat lasu naokoło stał się teraz terenem troskliwych konjunktur młodego strzelca. Stoi za ośnieżoną jodłą, osłonięty przez nią od strony zajmowanego ostępu — to dobrze — tylko, że bardzo mało widoku ma przed sobą — trzeba kordelasem obrąbać chociaż te kilka gałęzi. — Linia, na której stoją myśliwi, wązka, prawie zagubiona pośród zwierających się konarów — i strzelać po linii nie wolno. — W razie przejścia zwierzyny przez linię, strzał za siebie wygodny tutaj, na prawo, gdzie las jakby wyleniał rzadką podłużną zatoką. — Coby szkodziło dzikowi wpaść właśnie w tę zatokę? — — Michał, wyobrażając sobie w tem miejscu cień ogromnego dzika, z lubością przeprowadził go lufami sztućca aż do miejsca wymarzonego strzału.

Opatrzył potem sztuciec, który po raz pierwszy nosił w lesie, kupił go bowiem przed kilku dniami od znajomego i wypróbował tylko do celu. Dwururowy ten »expres« miał być znakomity, jednak Miś zauważył z nieukontentowaniem, że dwóch tylko myśliwych tutaj miało broń podobną, z kurkami i do dymnego prochu; inni nosili bezkurkowe i bezdymne, nadzwyczaj lekkie i składne sztućce nowej budowy. Zazdrościł im Miś z całego serca — — no, ale przecie ma i on dwie groźne kule w lufach, które podobno już niejednego położyły dzika, a nawet niedźwiedzia... Ściskał w garści i oglądał na wszystkie boki swe narzędzie strzeleckie, główny przewodnik do rozkoszy i tryumfów boru. Sztuciec leżał dobrze w ręku, nie przeważając zbytnio lufami naprzód, ale miał przykład z poduszką niezręczny dla Michała i kolbę za mało złamaną. Rajecki złożył się kilka razy, mierząc na wszystkie strony, aby się przygotować do szybkiego strzału. Zimowy las milczał, jak zaklęty; drzewa w swych śnieżnych futrach spały wspaniale. Jeżeli gdzie osunął się szmat śniegu i, rozproszony przez niższe gałęzie, spadał srebrnymi puchami, było to raczej oznaką zbliżającej się odwilży, niż jakiegokolwiek ruchu w lesie.



Ogarnęło młodzieńca trzeźwe marzenie na podobieństwo snu, którego dekoracya byłaby dotykalna. Wszędzie wokoło te nieprzejrzane w swej rozmaitości kształty, tułowie, twarze, skłębienia ważkiej okiści śnieżnej, rozwieszone po powietrzu, rozwalone po ziemi, — z których układu odczytuje myśliwy awanturnicze historye. Myśl dzienna, radość czy troska, wiesza się po tych bezmiarach, traci na wadze i ścisłości, ale zyskuje ogromną lotność i przenikliwość w dziedzinie przeczuć i wrażeń nieuświadomionych. Płyną do cię głosy bez falowania powietrza, pojmujesz budowę niestworzonych kształtów, logikę urojonego życia. Pryska to przy pierwszym usłyszanym gwarze ludzkim.

Odezwał się zdaleka sygnał trąbki — — odpowiedział drugi, znacząc skrajne posterunki ruszającej na myśliwych naganki. I bardzo słaby jeszcze, ale szeroki i radosny, doleciał pierwszy okrzyk idącego tłumu.

Michał chwycił sztuciec, odwiódł kurki i, przyglądając się własnym rękom, stwierdził, że drżą. Wysiłkiem rozumowania doprowadził się do spokoju. Stojąc nieruchomie, jak pień, oczyma tylko lustrował, jak mógł najgłębiej, zwikłane przepaści leśne.

Co pewien czas grał sygnał z daleka, to na prawo, to na lewo. Michał, będąc po raz pierwszy na tak paradnem polowaniu, nie znał jeszcze nut tych wszystkich melodyjnych porozumień między myśliwymi, służbą łowiecką i naganką. Zgadywał jednak, że te sygnały, które słyszy, znaczą: »lewe skrzydło prędzej!« — »prawe wolniej!« i tym podobne komendy. Ale naraz zadzwoniło hasło gwałtowne, grane na wielu trąbach w różnych miejscach, fałszywe od wzruszenia i pośpiechu — jednocześnie wybuchł z pośród naganki wrzask, niby zgrozy i trwogi. Tam już zobaczono dzika.

Nie działo się jeszcze nic w promieniu widoku Michała. Tylko śnieg zakołysany wrzawą oderwał się tu i ówdzie od drzew i chlapnął miękko na ziemię, tylko parę sójek zbudzonych zerwało się, wrzeszcząc i sypiąc białe strumienie z miejsc swego odlotu.

Aliści ta pewność, że w pobliżu są dziki, napełniła bór drżącym niepokojem — — Coś dudni? — — Nie, to chyba naganka się zbliża — Dudni coraz wyraźniej, trzeszczą chrósty — — i znowu przycichło, a nawet okrzyk naganki, choć bliższy, nie tak już namiętny — — Więc dziki są tu gdzieś, między matnią, która je zagarnia, a zasadzką, która na nie czeka, najeżona strzelbami. — — Teraz idą niewątpliwie: słychać jak łamie się przez gąszcz stado — w powietrzu rozszedł się lekki

swąd chlewni i załaskotał nozdrza Michała, jak edeński jakiś zapach. — Gdyby tędy! gdyby w tę rzadszą zatokę! — — każdy nerw, każdy muskuł młodego strzelca prężył się i pożądał.

Idą! idą! — ale gdzie?! — śmigają na lewo, jeden, dwa, trzy... jeszcze parę — — zaledwie plamy ciemne, szybko przesuwające się poza tą nienawistną przędzą gąszczu i śniegu — cienie, mrzonki już, wspomnienia — — I prawdopodobnie zdobycz dla innych!

Michał opuścił sztuciec i zazdrosnem, rozpaczliwem spojrzeniem przeprowadzał znikające stado. W oddaleniu z trzech stanowisk na lewo padł strzał, potem dwa, szybko jeden po drugim — — Kto tam stoi? — Zdaje się, że sam gospodarz? A może Liebe? — ten osieł!

Gdy tak zżymał się Michał, usłyszał na prawo przed sobą skrzypienie śniegu, jakby kto w ciężkich butach zbliżał się kłusem. — Już pewno strzelec z naganki nadchodzi? — Dość obojętnie zwrócił się w tamtą stronę i naraz osłupiał.



Ogromny odyniec wynurzył się z gąszczu i w chwili, gdy go ujrzał Michał, stanął przed nim, ryjem wprost, o jakie czterdzieści kroków. Mgnienie było wzajemnego namysłu, strzelca i zwierza.

— Strzelić go w ryj? niepodobna! — uprzytomnił sobie Michał.

— Wróg! śmierć! — charknął rozgłośnie potwór, i będąc już blizko linii, runął przez nią w najbliższe haszcze za ostęp.

Ale Rajecki trzymał go już pod wymierzoną lufą, przeprowadził przez linię i w chwili, gdy odyniec zasuwał się w krzak, strzelił. Poczuł, jak mocna kula z biczowym trzaskiem wywinęła się z gwintów, usłyszał, jak palnęła w śmigające cielsko, niby w bęben, i jedno mgnienie czekał, bez oddechu. Dzik migał jeszcze przez krzaki ze dwadzieścia kroków, gładko i ciężko, jak ciągnięta mechanicznie czarna kłoda... W chwili, gdy Michał chciał pociągnąć za drugi cyngiel, odyniec powalił się o ziemię, aż stęknęła.

Strzelec przykucnął, potem wspiął się na palce, wychylał na boki aby poprzez opadający dym i zwikłane zarośla pożreć oczyma swą zdobycz. Pamiętał jednak, że ze stanowiska zejść mu nie wolno przed dojściem naganki. Ale nie było potrzeby: w rozkopanym śniegu, mimo osłony gałęzi, widać było nieruchomą masę leżącego dzika, jak czarny pagórek.

Krzyknąłby lub zatrąbił — ledwie, że nie zapłakał. Uczuł gorąco krwi po całem ciele, i bór zawirował mu w oczach. Czekał niedługo, bo już naganka ciekawie dochodziła, a dwaj strzelcy mundurowi, dążąc po ogromnym tropie, zmiarkowali już po odgłosie strzału, że dzik dostał, zobaczyli go teraz leżącego i, winszując Michałowi, podnieśli trąbki do ust; zadzwoniła tryumfalna fanfara: śmierć dzika.

Śpiesznie schodzili się na ten odgłos myśliwi, przewidując niezwykły wynik. Ze stada odstrzelono dwa warchlaki, ale mało kto na nie patrzył. Tutaj, gdzie grają trąby, musi być dopiero coś do obejrzenia.

Kilku myśliwych zebrało się wnet na stanowisku Rajeckiego, który starał się opanować gotującą się w nim, dumną radość i spokojnie udzielać objaśnień. Patrzono mu w oczy z zazdrością i z uszanowaniem.

— Jakże wyszedł? sam, czy ze stadem?

— Sam szedł.

— To też i pojedynek! ogromna sztuka!

— I jednym strzałem?

— Jednym.

Łowczy Kowalski śpiesznie dochodził do Rajeckiego:

— Miał tu być Chaskiel w ostępie; podobno pan go położył?

— Zabiłem ogromnego dzika — odrzekł Rajecki — co to za Chaskiel?

— Mamy tu takiego. — Największy dzik w lasach, z rudemi bokobrodami, zupełnie fizys grubego Żyda — dlatego tak go nazywamy.

Jeżeli to on, to ma pan wenę: bestya nigdy jeszcze na strzał nie wyszła...

Z innej strony przybywał książę Jerzy. Raźniej się uczyniło wszystkim od widoku jego pięknej, wysmukłej postaci, rozświecającej krajobraz. Wołał:

— Brawo, Miś! Podobno zabiłeś Chaskiela?

— Nie wiem; trzeba go obejrzeć.

— Naturalnie, że go obejrzymy.

Dzik leżał na miejscu, gdzie padł, otoczony wiankiem chłopów i chłopców z naganki, trzymających się jednak opodal od powalonego potworu. Myśliwi i służba łowiecka ruszyli teraz do niego.

Wtem łowczy zatrzymał postępującego z nim księcia Jerzego:

— Niech książę pan uważa: dzik żywy — rusza zadnią nogą.

Przystanęło całe towarzystwo; naganka odstąpiła jeszcze dalej, w niejakim popłochu. Łowczy zaś zawołał jednego z umundurowanych strzelców:

— Hej, Koper, dobądź-no kozika i uspokój tego jegomościa!

Więc Koper obnażył długi kordelas i, skulony drapieżnie, ruszył ku dzikowi. Ale zanim doszedł, odskoczył. Nieruchoma dotąd kłoda ożywiła się niepojętym ruchem. Jakby zbudzony piorunem, dzik odbił się od ziemi z szaloną sprężystością i stanął ogromny, najeżony na karku, mierząc ryjem w zwartą kupę myśliwych, głośno kłapiąc i furkając paszczęką, z której błyskały ogromne kły zakrzywione.

Z wrzaskiem rozbiegła się naganka; wielu powłaziło na drzewa. Tylko myśliwi skamienieli na miejscu, chociaż rozbrojeni, lub niegotowi do strzału.

Ta ich postawa zdecydowała dzika, że nie natarł na nich. Sztywnym gmachem cielska zwrócił się w inną stronę, gdzie mu drogi nie zastępowano, i przezorny, choć wściekły, runął między drzewa, trafił na sanie zajeżdżające, zepchnął je z drogi potężnem uderzeniem ryja, spłoszył konie i dostał się do gąszczu, przez który sunął zdrowo i silnie, aż zniknął. Padło za nim parę strzałów bezskutecznie.

Dopiero myśliwi, ochłonąwszy, zaczęli rozważać niepospolity wypadek.

— A to złodziej! przyczaił się.

— Omdlał!

— Jakżeś ty go strzelił, Misiu?

Rajecki wzruszył tylko ramionami desperacko.

— To był pewno Chaskiel!

— Nie. To czarny dzik z tych grubych, krótkich: nie miał nic rudego na sobie.

— Jakto?! — przecie miał rude wiechy po bokach łba przynajmniej po ćwierci łokcia!

— Gadanie!

— A widzieliście oczki? Kiedy ryj zmarszczył, kłapiąc, to mu te małe oczki świerkały paskudnie. Dyabeł na dobrą duszę musi tak spoglądać.

— Dlaczego on właściwie nie rzucił się na nas?

— A no... szlachta dotrzymała kroku — staliśmy, jak mur — — A naganiacze stchórzyły — patrzcie! ten jeszcze na drzewie siedzi!

Śmiano się nerwowo, ale i biadano. Trzeba przecie posłać w trop za taką sztuką — — jest ciężko ranny, skoro leżał bez ruchu — — Jak to długo on leżał? Pewno kwadrans, albo i więcej — — Ostatecznie, źle strzelony.

To było właśnie męką Michała Rajeckiego, który ze zdobytego stanowiska pogromcy odyńca — może Chaskiela? — zszedł do poziomu niewprawnego strzelca. Czy strzelił dzika za krótko, czy za nizko? — — Dlaczego nie posłał mu drugiej kuli? — —

Chociaż więc za tropem posłano dwóch tęgich strzelców, Michał nosił już w sobie nieszczęście na resztę tego dnia. Dopiekło mu zwłaszcza, gdy dla przejazdu na nowe stanowisko musiał znowu wsiąść do sań z Liebem. Towarzysz nie omieszkał natychmiast wziąć go na egzamin:

— Jak go pan strzelał? na sztych, na blat, czy z tyłu?

— Strzeliłem do prawego boku — mierzyłem na komorę.

— Ile kroków?

— Ze czterdzieści.

— W powolniejszem tempie, czy w pełnym biegu?

— Szedł ostro.

— To już rozumiem — zawyrokował Liebe — dzik mógł dostać przez brzuch; nastąpiło krwawienie wewnętrzne, ale nie śmiertelne, skutkiem którego omdlał. Albo... — Liebe podniósł palec po kaznodziejsku — był to typowy »Hohlschuss«, strzał trafny co do kierunku biegu, ale za nizki. Jest takie miejsce na nizkiej łopatce, gdzie kula przejść może, nie dotykając poważniejszego organu...

Miś nie słuchał już, owszem chciałby zamknąć usta natrętowi, lecz

wstrzymywała go powaga Liebego i grunt obcy, na którym się znajdował. Los, czy wybór gospodarza przeznaczył mu na dzisiaj tego kompana w sankach; musiał go do wieczora przecierpieć. Profesor zaś nie ustawał w wymowie; po wykładzie o anatomii dzika, o strzałach skutecznych i nieudatnych, przeszedł do wad strzeleckich i zapytał znowu:

— Jak pan naprzykład składa się ze sztucera?

— Zwyczajnie.

— No, niech pan się zmierzy.

Rajecki ociągał się, lecz, naglony ponownie, przyłożył niedbale sztuciec do ramienia.

— O, widzi pan! — zawołał Liebe — lewą dłoń przysuwa pan za blizko do antaby cynglowej. Ujdzie to jeszcze przy strzale śrutem, ale gdy się chce dokładnie strzelić kulą, trzeba lufę położyć na wyciągniętej lewej ręce. Tym sposobem uniknie pan zdołowania, nawet przy szybszem pociągnięciu cyngla. O — niech pan uważa — —

I Liebe ruchem prawie żonglerskim ujął swój sztuciec, położył go na lewej ręce, pogłaskał cyngiel wolnym ruchem wskazującego palca prawej, uczynił to parę razy, mierząc na boki z sanek, przyczem twarz jego, poprawnie bezmyślna, jaśniała dumą i namaszczeniem. Młody myśliwy dużo mógłby się nauczyć od wytrawnego technika, gdyby był w lepszym humorze. Ale cała ta rozmowa drażniła go teraz nadzwyczajnie, dotykając otwartej w sercu rany.

— Teraz więc zdaję już sobie dokładnie sprawę, dlaczego odyniec, pozornie powalony...

W tej chwili zatrzymał się szereg sanek. No, nareszcie! Miś, jak oparzony, wyskoczył, wyrywając się do swych nowych przeznaczeń i do samotnej rozmowy z lasem.

Dowiedział się z komendy, że w tym miocie dziki niepewne, więc po pierwszym strzale, który padnie w nagance, strzelać będzie można na linii wszystko, co wyjdzie, oprócz kóz i samic głuszca. Otrzymał stanowisko znowu czwarte. Dobra, czy zła wróżba? — Na poprzedniem czy mu się powiodło, czy właściwie miał nieszczęście? — — bo jakże? — powalił dzika, prawdopodobnie Chaskiela, a ten ośmielił się zmartwychwstać!

Już tedy las, rzadszy w tem miejscu i wysokopienny, spowszedniał mu, nie gadał takich dum tajemniczych i świeżych, jak tamten. I przekorne chochliki leśne płatały mu ciągłe figle. Jeszcze nie ruszyła naganka, gdy wyszedł na niego truchcikiem stary lis i stanął, wspięty na kępie o jakie trzydzieści kroków od stanowiska. Ale nie wolno było je-

szcze strzelać do czego innego, jak do dzika, przed umówionem hasłem. I właśnie lis, o którego zjawieniu się w głębi lasów powątpiewał Liebe! Niechybnie zabiłby Miś tego ładnego lisa kulą, rzuciłby go pod nogi swemu natrętnemu profesorowi i rzekł:

— Patrz pan — są tu i lisy, jak mówiłem.

Znowu gdy po ruszeniu naganki i po umówionem haśle zaczęły padać strzały na linii, usłyszał Rajecki śpieszny galop w ostępie i przeszło go mrowie radosne — — Ech, tylko sarny! Wprawdzie i to piękne, a polotne, a ostrożne, chociaż niewinne. Pięć... siedm sztuk zbliża się we wdzięcznych susach — trzeba tylko poznać między niemi kozła — — Jest i kozieł, tchórz sromotny, idzie drugi za starą, długoszyją kozą, która bystrem okiem ogląda teren ucieczki, przemyśla o ratunku stada. — Tędy! — wybrała naiwnie, rzucając się cwałem przez linię, wystawiona zupełnie na strzał Michała; za nią cała drużyna płocha, ufna tylko w chyżość, prześmignęła przez linię rozwleczonym szeregiem. Ale właśnie duży kozieł, którego Michał miał na oku, szedł, zasłonięty przez kozy, jak na złość. Strzelić i przypadkiem powalić kozę — byłoby kapitalnym grzechem myśliwskim. Rajecki wybierał chwilę dogodną, wybrał, aż stado znacznie się oddaliło — — strzelił nareszcie na odległość kilkudziesięciu kroków i chybił kozła.

Niewielkie to nieszczęście — jednak wypadnie ze strzału tłómaczyć się towarzyszom, zapewne znowu panu Liebemu. — — Jakoś trzebaby poprawić swą reputacyę strzelecką — —

Z lasu, w połowie wysokości pni, wywinął się spory ptak pstrokaty, ciężki, niby spadający pędem ku ziemi. Jarząbek! — rzadki i ładny numer do policzenia między trofeami. Ale strzelać go kulą migającego między gałęziami — doprawdy napróżno! Michałowi przykro się zrobiło, że nie wziął z domu strzelby śrutowej.



Inni myśliwi przezorniejsi mieli z sobą obok sztućców i śrutówki; dopiero w lesie zauważył to Rajecki.

I tak doszła obława do kresu drugiego miotu. Schodząc ze stanowisk, myśliwi gromadzili się znowu do punktu zbornego. Paru miało po jarząbku, książę Jerzy zabił kunę leśną. Lisa i kozła, które przeszły przez stanowisko Michała, widziano z innych miejsc — niczego nie dojrzy

tak trafnie strzelec-współzawodnik, jak zwierzyny chybionej lub przepuszczonej na cudzem stanowisku. — I co do lisa wyrazili niektórzy zdanie, że trzeba było go strzelać; lis jest nieprzyjacielem, bije się go wszędzie, gdzie się go spotka. Wprawdzie Liebe i sam właściciel polowania pochwalili Rajeckiego, że trzymał się ściśle zakazu i nie strzelił przed umówionem hasłem. Co zaś do chybionego kozła wszyscy byli zdania, że trzeba było go trafić.



Michał zapadał w coraz gorsze usposobienie, zwłaszcza gdy jeden ze strzelców, posłanych w pogoń za odyńcem, powrócił i oświadczył, że dzik idzie zdrowo, z początku farbował, ale potem już i farby na tropie nie było. Postępuje za nim jeszcze drugi osacznik, biegły w rzemiośle tropienia, jednak bez wielkiej nadziei.

Myśliwy nie powinien poddawać się przygnębieniu, jeżeli chce zachować swe zalety strzeleckie; zły humor wpływa na przytomność oka i pewność ręki; zły humor, jak licho przekorne, zdaje się nawet wywoływać szereg wypadków niepomyślnych; omota duszę myśliwego taką przędzą smutku, że mu już i knieja brzydnie i zwierz wydaje się drwiącym i towarzysze niemal wrogami. Myśliwy powinien być ochoczy, podchmielony swem dziennem zadaniem, przedsiębiorczy i ścigły, jak ten, który kocha.

Na trzeciem stanowisku nie ujrzał Michał wcale zwierzyny i wogóle ostęp był głuchy, bez strzału, bo spodziewane tu dziki wyszły przed rozstawieniem naganki. W następnym znowu miocie zajęto dziki, ale duży pojedynek bez ceremonii cofnął się na naganke, roztrącił ją i wymknął się z ostępu. Ze stada odstrzelono znowu parę sztuk, lecz Michał dowiedział się o tem dopiero po zejściu ze stanowiska, gdyż dziki przeszły od niego daleko.

Wesoły sygnał specyalny zatrąbiono na śniadanie. Wie każdy, kto polował w lesie, jak wieloraka i natężona radość bucha do myśliwego od tych dymów jałowcowych, od obiecującego pobrzęku naczyń, od wypoczynku po trudach i wzruszeniach. Głód budzi się nagły, namiętny; oczy śmieją się do wódki, do smakowitej zawartości puzder i rondli,



do rozmowy o przebiegu myśliwskiego poranku w jego szczegółach zadziwiających. I nie są to tylko wspomnienia zdarzeń już ubiegłych, zaprawne tęsknotą; to pół mety do końca wyprawy, biwak pełen chluby czynów dokonanych, ale i nadziei spełnienia innych przed zmrokiem. Jeszcze nie wieczór! — ten wykrzyknik przysłowiowy krąży w powietrzu nad rozmarzonemi głowami, drży w sercach nienasytnych. Kto mało zabił do południa, może do wieczora zostać jeszcze »królem«; kto miał wenę, może ją podwoić — — Nemrod, »myśliwy przed Panem«, kiedy śniadał, rozmawiał z bogami.

Ale żeby odczuć urok takiego popasu, trzeba nie mieć plamy na łowieckiem sumieniu. Rajecki zaś nosił się z ciężką swą zgryzotą: Chaskiel czy nie Chaskiel, stracony odyniec był przedmiotem ciągłej rozmowy przy śniadaniu. Pomimo, że książę Jerzy uprzejmie osłaniał odpowiedzialność Misia, że Hrebnicki i Czarnkowski cytowali podobne przygody ze swych wspomnień, że nawet pedanta Liebego zagłuszył gwar wesoły, Rajecki, niby sam postrzelony, myślał ciągle o swem nieszczęściu i czuł się niemal pohańbionym w kole myśliwych.

Jednak podziałał na niego magnetyzm ogólnego ożywienia i, gdy wyruszono na nowe stanowiska, Miś poczuł znowu dobrze wróżący dreszcz oczekiwania na niebywałe przygody.

Były rozmaite — tylko ciągle omijały Rajeckiego, drażniąc aż do rozpaczy jego wyobraźnię łowiecką. Bo, że tam zabił kozła i dwa zające kulami — to były raczej przekąski, niegodne wspomnienia wobec



żrącego apetytu na dzika. Inni liczyli już między trofeami dnia sporo czarnej szczeci: Liebe zabił dużego wycinka, hrabia Czarnkowski miał dwa dziki, książę Jerzy dał do dzików dubleta. Na Misia nie chciały te zaklęte bestye wychodzić.

Słyszał je otrąbione, tuż-tuż dudniące po knieci, oczekiwał ich z bolesnym prawie skurczem serca — i znowu żegnał się z nadzieją.

Gdy zakładano ósmy z rzędu miot, bór zaczął ciemnieć, gdyż cienisty był wielce w tym ostępie, a dzień kończył się bezsłoneczny; cienie rodziły się w gąszczach i parowały ku niebu. Miękki oddech odwilży przeżerał rozwieszone po drzewach śniegi z nadzwyczajną szybkością, obnażał coraz czarniejsze powikłania pni i gałęzi. Poczęło szerzyć się przez cały bór kląskanie topniejącego śniegu, który tu i ówdzie bacał o ziem nagłym opadem, aż sprawiał złudzenie, że ciężki jakiś zwierz zrywa się z legowiska. Już i z powietrza wilgoć opadała drobniutko skroplona, coraz bardziej do deszczu podobna.

Noc nadchodziła, a jeszcze nie słychać było huczków; obława miała podobno daleką drogę przy zaciąganiu tego ostatniego miotu, a zapewne i naganiacz nie szedł już tak raźno, jak pierwej, z niedowierzaniem macał butem śnieg oślizgły i żółkniejący pod naciskiem, trzymał się instynktowo kupy i nie hukał już tak ochoczo. Jednakże głuche, na podobieństwo jęków wydawanych przez sen, zaczęły dochodzić okrzyki.

Kończył się dzień Michała; nadzieja, jak ten śnieg, topniała i zachodziła w mrok. Z pogromcy Chaskiela schodził na pospolitego zabójcę kozła i paru zajęcy. Hukało wprawdzie po lesie coraz głośniej, strzelcy prowadzący obławę nie szczędzili sygnałów dla kierowania tłumem, który darł się przez las zamierzchający, podchodził coraz bliżej do linii myśliwych, niosąc z sobą cienie jeszcze nadziei, ale i rozpacz kresu polowania.

Strzał na linii — — Wybuch dalekich głosów ludzkich, jak ogromne westchnienie wichru, powoli zamierające — — Po chwili usłyszał Michał tupot, ten już słyszany, wrażony w mózg jak cudowna melodya wspomnienia i pożądania — pojedyńczy chód dużego dzika. Łamał się przez śnieg i gąszcz, z prawa na lewo — to dla ucha było niezawodne; ale dojrzeć go, a tembardziej wziąć na cel w mroku było niepodobieństwem. Jakiś kształt gęstszy przesuwał się przez kształty rzadsze — coś potwornego, niby łeb smoczy rozpoczynający wężowe cielsko, szło przez ciemny bór, znacząc swą drogę cieniem i trzaskiem. Aż ucichło i stanął olbrzym, o pięćdziesiąt, czy o sto kroków? — noc nie pozwalała zgadnąć.

Stał za ciemnym krzakiem, rozkrzewiającym kształt w bajeczne jakieś rozrosty: wielkie kłaki po bokach łba — łokieć szczeciny na karku — — Przecie to dzik? — — tak, Chaskiel!

Już miał Rajecki zmierzyć się i palnąć na chybi trafi, gdy przyszedł nań zimny dreszcz opamiętania. A może to nie dzik? — może człowiek okutany tak grubo i przyczajony? I huczki już blizko! — — kulami ze sztućca, który nosi o wiorstę, tak szyć po lesie na oślep nie wolno — — —

Ruszyło się cielsko z za krzaka i odchodziło wolno w dalsze cienie. — — Napewno dzik — ogromny, jeszcze większy od pierwszego odyniec. Nie inny, tylko Chaskiel! Przewalał się zmorą wśród ciemności, znowu pono przystanął, znowu ruszył. — — A już las trzeszczał od posuwającego się zastępu obławników. Z miejsca, gdzie Michał zrozpaczonemi oczyma wypatrywał po raz ostatni widmowego dzika, wyszedł teraz strzelec dworski, powoli, niby zalękniony.

— Widzieliście tego ogromnego dzika? — pytał gorączkowo Rajecki.

— Nie, panie; dzików tu nie widzieli.

— A dlaczego obława tak wrzasła?

— Ej, kozy! po nocy im wszystko straszne.

Jednak Rajecki nie śnił: widział odyńca: żaden kozieł sarni tak się nie rusza, ani tak ciężko nie stąpa — — Więc, gdy myśliwi zaczęli się schodzić, Michał jął znowu wypytywać. Ale nikt nie widział dzików. Ktoś tam strzelił podobno do jastrzębia kulą, i chybił.

Było tak późno i ciemno, że książę Jerzy kazał zaniechać na dzisiaj tradycyjnego otrąbienia w lesie ubitej zwierzyny: pióra, turzycy i szczeci, polecił tylko dać na trąbkach krótkie hasło końca polowania. Pokot otrąbiony zostanie regularnie, gdy zwierzynę przywiozą przed pałac. Tymczasem siadać do sań i śpieszyć z powrotem, bo odwilż się wzmaga i śnieg puszcza na drogach.

Michał odział na kożuszek myśliwski burkę z kapturem i, usadowiwszy się w swych sankach, ogłuchł na wszystkie wrażenia poboczne, zwłaszcza na rozmowę towarzysza. Rozprawiał ze swą wizyą z ostatniego ostępu.

Ten ogromny dzik, większy może pozornie z powodu zapadającej nocy — to był zapewne ów niefortunnie strzelony w pierwszym miocie odyniec, Chaskiel. Miał wielkie bokobrody — zdaje się, że miał? — ależ miał napewno! — — I to się objaśnia, dlaczego nie dostrzegła go obława;

raniony dzik leżał sobie sennie, a gdy zbliżały się huczki, wstał, uszedł z jedno staje, znowu przystanął i wymknął się między linią myśliwych a skrzydłem obławy, dzięki ciemności i brakowi psów. Że też nie biorą tu do takiego polowania choć sfory psów tropowych, a choćby już zwyczajnych pokurczów, któreby przecie lepiej trafiły na trop postrzelonego dzika, niż te głupie strzelczyki, fanfarony od trąbienia! — — Jeżeli to był Chaskiel — — —

Szereg sań sunął przez las zupełnie już ciemny, bardzo szybko, gdyż pierwszy woźnica pędził, jak pijany, a inni nie chcieli pozostać w tyle; stopniowo jednak szereg wydłużał się. Śnieżna smuga drogi rwała się już miejscami pod odwilżą i przepadała w ciemności. Woźnice zaczęli hukać jeden do drugiego. Sanie, w których siedział Rajecki z Liebem, pozostały wkrótce jakby osamotnione w ogromnym oceanie mroku. Tylko rasowe konie rwały naprzód, pochrapując — musiały wiedzieć, kędy droga. Zdając się zupełnie na przemyślność koni i woźnicy, siedział Michał pod swym kapturem, rozgrzany i zatopiony w marzeniach.

Chaskiel gdzieś mieszka w tych obszarach mroku — może gdzieś leży w topniejącym śniegu, do czarnego pagórka podobny — może, przywarłszy cielsko do pnia sosnowego, wyciera się żywicą i leczy z otrzymanej rany — jeżeli to rzeczywiście Chaskiel otrzymał tę kulę? — — A może on nosi na sobie skórę od starości pancerną i nieprzepuszczalną dla kuli? — Chyba kordelas wbity całym rozmachem pod lewą łopatkę przez łowca, który okraczyć zdoła jego siodło szczeciniaste, — chyba nóż taki, długi na trzy ćwierci łokcia, dałby mu radę? — Ale zapewne Chaskiel wędruje w tej chwili? Zgorszony zakłóceniem puszczy przez trąby i strzały, wynosi się w inne knieje, gdzie dalej drwić będzie z ludzi w dzień, a straszyć ich po nocach — —

Bór rozstąpił się w dwie ściany wyniosłe, równoległe, odsłaniając brudną, lecz przecie jaśniejszą smugę nieba. Sanie chybnęły pod górę, konie parsknęły z ulgi — szosa.

* * *

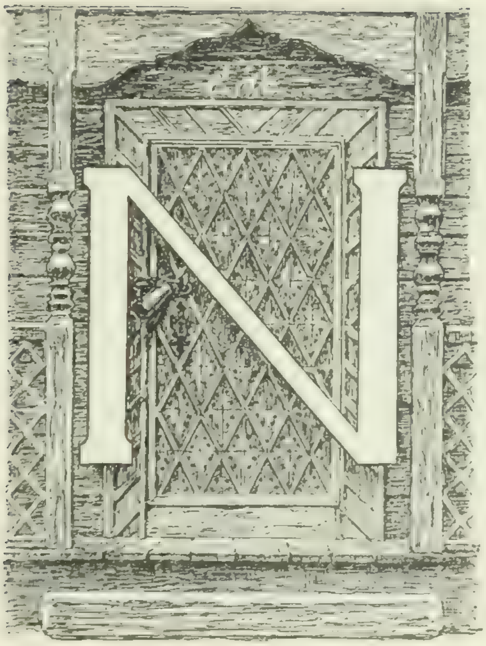
Nazajutrz osacznik przywiózł do pałacu dzika, postrzelonego przez Michała. Dzik szedł jeszcze kilka wiorst, kosztował dużo fatygi i parę strzałów. Odyniec tęgi, ważył przeszło pięćset funtów.

Ale nie był to Chaskiel. — — Najwyżej jakiś krewny, bo miał także rudawe bokobrody, tylko mniejsze. Chaskiel żyje do dziś dnia, latem wnęca się w hreczkę i w owies, jesienią w kartofle, a poznają go ludzie po spustoszeniach i po tropach tak wielkich, że je zabobonni uważają za ślady siły nieczystej. Chodzi nocami. Zjawił się tego roku przy pełni księżyca organiście, wracającemu z odpustu, konie mu spłoszył i przyprawił o ciężką chorobę, z której powodu organista dotąd wódki w usta nie bierze.



VII.

BUKIETY.



Na zakończenie noworocznych polowań u książąt S*** dzień był słoneczny, ciepły i radosny taki, że śniła się już wiosna w parku pałacowym, wielkim gaju, pokreślonym żwirowanemi drogami pośród naturalnych porostów i sztucznych sadzeń, który sprawiał w niektórych częściach złudzenie głębokiego lasu, w innych był bogatą ramą i perspektywą dla jasnych murów pałacu, oficyn, oranżeryi, różnych atynencyi mieszkalnych, przebłyskujących daleko przez obnażone z liści drzewa.

Odwilż trwała parę dni, więc w parku zaledwie w dołkach, w głębszych cieniach dostrzedz było można bryły śniegu, niby łomy marmuru wyszczerzone z ziemi. Ubite na cegle drogi były suche prawie, jak posadzka; gęste kobierce barwinku w podcieniach, strzyżone ligustrum w żywopłotach przydrożnych stroiły park w wesołą zieleń, a niektóre dęby z zachowanym na zimę liściem łowiły jasne słońce na swe pióropusze krwawe i złote. Taka radość płynęła przez powietrze, że ptaki śpiewały wiosenne swe pieśni, a nawet tu i ówdzie zbudziły się muszki niebaczne, brzękiem sławiąc rozkosz życia aż do śmiertelnego wieczoru.

Do tego salonu pod niebem wysypało się liczne towarzystwo z pałacu, po śniadaniu, mężczyźni i kobiety, wszyscy wypoczęci, rozmowni, lekko ubrani. Po trudach leśnych, podróżach, zasadzkach i obowiązują-

cych milczeniach, dzisiejsze polowanie w parku na bażanty wydawało się grą towarzyską, sportową igraszką.

Wrzały jednak w myśliwych namiętności łowieckie, zwłaszcza w tych, którzy chcieli koniecznie »przestrzelać« towarzystwo, policzyć sobie najwięcej sztuk ubitych. Trzej młodzi bracia Hrebniccy: Konstanty, Witold i Aloizy (Kocio, Wicio i Luś) mieli naprzykład pretensyę do »królowania« w każdem przedsięwzięciu, którego się jęli. Odstępowali koronę tylko jeden drugiemu, byle nie wyszła z rodu Hrebnickich. Działali zawsze razem i solidarnie, miał przytem każdy swą wybitność osobistą; jeden był najpiękniejszy (Kocio), drugi przeważnie dowcipny, umiał mnóstwo monologów i naśladował do złudzenia głosy zwierząt (Wicio); trzeci był gimnastykiem nie gorszym od Japończyków (Luś). Ale który lepiej strzelał albo który miał większe powodzenie u kobiet — tego nie można było rozstrzygnąć: wszyscy trzej działali bez pudła.

Te nadzwyczajne talenty braci Hrebnickich nie zyskiwały wprawdzie ogólnego uznania. Ten i ów radby nawet nie codzień ich widywać albo nie zapraszać. To jednak było bardzo trudne; gdziekolwiek zamierzono bawić się pospołu, tańcować, a szczególniej polować, Hrebniccy zjawiali się niby cudem. Ostatecznie zaś nie psuli nigdzie zabawy, owszem podsycali ją zarówno pomysłami, jak wytrzymałością na krytykę: można było bawić się z nimi lub ich kosztem mniej więcej jak się komu podobało. Byli zresztą z wysokiego rodu, krewni nawet książąt S. i nikt się nie dziwił, że brali udział w ich polowaniu.

Dopóki polowano w lasach, gdzie zwierz był gruby i rzadki, Hrebniccy, trzymani w ścisłym rygorze, nie mieli ani sposobności rozwinięcia swych talentów, ani szczęścia. Kociowi przyznano, po długich dowodzeniach i sporach, dzika strzelanego na spółkę z Liebem, tylko na mocy nieubłaganego »prawa pierwszej kuli«. Hrebnicki przeszył dzika przez zadnie szynki i byłby dzik dotąd chodził po lesie, gdyby go Liebe strzałem na komorę nie powalił. Miał więc Kocio niezaszczytne trofeum, Liebe zaś nosił w sercu urazę. Na Wicia i Lusia dziki jakoś nie wyszły, obaj zabili mało zwierzyny i pospolitej. Luś opowiadał, że na dziczych łowach strzela wyłącznie kulami, szył niemi kilkakrotnie po ziemi i w górę, z małem powodzeniem. Jeden jarząbek rozleciał mu się podobno w powietrzu od pękającej kuli tak, że strzelec miał do okazania towarzyszom jedno tylko pióro — —? Na zabitym przez Lusia koźle dowodzono, że ma ranę nożem wierconą na przedniej łopatce, bryzgi zaś farby po turzycy od śrutu — — Słowem Hrebniccy

żadnym czynem Herkulesowym nie potwierdzili dotąd swej głośnej reputacyi strzeleckiej. Tembardziej gotowali się dzisiaj na bażanty, których miało paść kilkaset; zaniechali nawet umizgów do pań.

Było parę bardzo godnych uwagi między paniami, które wyszły do parku, aby towarzyszyć mężczyznom w zbrojnej przechadzce. Młoda księżna Jerzowa stanęła nawet w szeregu myśliwych z bronią w ręku. Nie pierwszyzna to w polskiej tradycyi. Ponieważ łowy nie były tutaj tak niebezpieczne, jak owe w Niepołomskich lasach roku 1527, na których królowa Bona, uchodząc konno przed rozjuszonym niedźwiedziem, pozbawiła tron polski młodszego brata Zygmunta Augusta — księżna brała w polowaniu udział właściwy: stawała sama na stanowisku i nikomu nie przeszkadzała. Nie można było tego powiedzieć o pani Teresie Czarnkowskiej.

Ta śliczna brunetka z niebieskiemi oczyma wszędzie, gdzie się znalazła w towarzystwie, zakładała stacyę doświadczalną promieniowania swych wdzięków. I z polowania radaby także urządzić romansową przechadzkę, z przystankami na stanowiskach. Pedantyczni myśliwi unikali jej, wiedząc, że raczej do grzechu można ją było namówić, niż do milczenia w lesie. Ale znowu trudno opierał się mężczyzna jej oświadczeniu: »stanę przy panu«. Dzisiaj, polując na bażanty parkowe, półswojskie, było to prawie wszystko jedno, czy stać cicho, czy kręcić się i rozmawiać; wszelako Hrebniccy, pochłonięci przez swą żądzę »przestrzelania«, stronili w parku od pani Teresy, chociaż zwykle byli jej stałymi asystentami.

Nie uciekał za to od niej wcale Michał Rajecki. Usilnie się postarał o zaproszenie na te polowania, wiedząc, że zastanie tu panią Teresę, oczywiście z mężem, Augustem hrabią Czarnkowskim. Wrażenie tych wspaniałych i urozmaiconych dni salonowo-myśliwskich było dla Michała zaperfumowane zapachem pani Teresy, zaprawne niepokojem i oczekiwaniem zdarzeń wymarzonych, do których nic podobnego nie ziszczało się: August Czarnkowski był równie sztywny i podejrzliwy, jak zwykle; piękna pani, nie zaniedbując Rajeckiego, miała jednak w gronie kilkunastu mężczyzn zbyt wiele do czynienia. I dobiegający kresu tydzień był tylko pasmem uśmiechniętych, drażniących półsłówek, krótkich rozmów pod skrzyżowanemi spojrzeniami innych — kronika uczuciowa banalna, która pani Teresie zdawała się wystarczać tymczasowo do szczęścia, ale nie Michałowi.

Czuł jednak ciągłe odurzenie w mózgu i wszystko, co tu przeży-

wał, nawet w kniei, było tym lubym czadem przesłonięte. Może dlatego strzelał mniej przytomnie?

Pani Teresa stanęła obok Michała na pierwszem stanowisku. — Była to ograniczona strzyżonymi żywopłotami, między wysokim, a dość rzadkim gajem drzew rozmaitych, szeroka droga, na której myśliwi rozstawili się w małej odległości jeden od drugiego. — Nic z namaszczenia, z chytrości wielkich łowów; sznur ludzi wystrojonych i uśmiechniętych, gotował się do niechybnej i pociesznej rzezi. Zaledwie odezwały się krótkie hasła trąbek, już widać było postępującą nagankę, złożoną z dwunastu świątecznie wystrojonych strzelców dworskich i kilkudziesięciu chłopaków wiejskich. Szło to wszystko wolno, bez trudu, ani wzruszenia, które też udzielało się słabo myśliwym, stojącym na linii.

— Ile ja zabiję i czy więcej, niż tamci?... — myślał nieodmiennie każdy z oczekujących.

Złudzenie dziczy, niespodzianki leśnej, wyścigu o przebiegłość ze zwierzyną — dochodziło do zera. W rzadszych miejscach zagajenia widać już było pędzone na śmierć ofiary, jak trwożnie, a może i nieświadomie biegły po ziemi w różnych kierunkach, kurzym krokiem: koguty czeskie o szyjach barwy metalicznej, czarno-sino-zielonej, angielskie z białą na szyi obrożą, mongoły ze złocistym grzbietem, a nawet parę złotych bażantów, powłóczących łokieć jaskrawego ogona. Szare samice plątały się jak skromnie ubrana służba między tęczowo upierzonymi samcami.

— Jeżeli zabijesz takiego złotego, włożę pióro na swój kapelusz — rzekła pani Teresa.

Mówiła Michałowi »ty« na zasadzie jakiegoś pokrewieństwa; po całej Polsce dużo miała krewnych, zwłaszcza między zgrabniejszą młodzieżą.

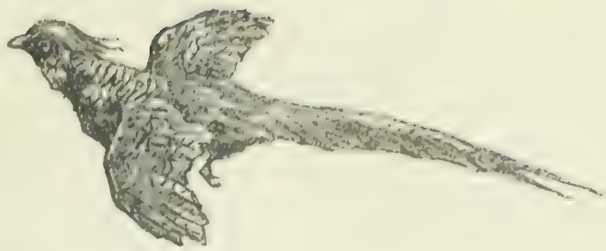
Przeciągnęło już przez linię parę kur, cicho i niby wstydliwie; nikt nie złożył się nawet do tej zabronionej zwierzyny — — Nareszcie ze środka miotu jeden kogut wzbił się w górę, ogłaszając się zdławionem gdakaniem.

— Strzelaj! — zawołała pani Teresa.

Rajecki nie strzeliłby do tego bażanta, ciągnącego o sto kroków wzdłuż linii, ale pod magnetycznym nakazem zdecydował się i palnął. — —

Bażant ani się zachwiał, płynął dalej położony na powietrzu, jak wielka ość rybacka, zbliżając się trochę do linii. Padły jeszcze dwa





strzały bezskuteczne — — błysnął czwarty — i bażant, jakby uderzył o niewidzialną szybę i o nią się rozbił, złamał się w szyi ku górze i ciężko spłynął na ziemię.

— Zdaje się, że mój mąż go zabił? — zawołała pani Teresa — lepiej strzela od ciebie; wstydź się, Misiu!

— Miał go bliżej — bronił się Rajecki.

— I bardziej zażarty na koguty, niż ty, Misiu — dodała niemiłosierna żona.

— Ach tak? — rozśmiał się Michał — on i o bażancie koguty zazdrosny?!

— Il en est capable...

Przyparte do żywopłotu bażanty zaczynały rwać się gęściej. Ale na strzał Rajeckiego nadciągały same kury,

— Za to ty masz szczęście do kur — dodała pani Teresa do poprzedniej rozmowy. — No, teraz kogut! — i drugi — patrz!

Michał strzelił, chybił i dopiero z drugiej lufy zabił jednego koguta; drugi przeleciał mu nad głową.

— Dlaczego nie masz dwóch strzelb? — Patrz — Hrebniccy mają po dwie, i Jerzy i August.

Rajecki, niezadowolony z siebie, że wykonał tylko pół dubleta, odrzekł:

— Ach, bo ja tych parkowych polowań nie lubię. To jest rzeź w kurniku!

— No, no. — Niejedenby dużo dał, aby się tu znaleźć — — Uważaj!

Tyralierka grzmiała już na całej linii. Znowu dwa naraz koguty znalazły się w sferze strzału Rajeckiego. Zawziął się, że strzeli dobrze, mierzył nieco dłużej i oba koguty ładnie spuścił z powietrza. Nic nie rzekł, tylko, zmieniwszy ładunki, wyprostował się jakoś gracko i przytupnął nogą. Pani Teresa przypatrywała mu się z zadowoleniem.

— No i cóż? lepiej ci znowu w kurniku?

Miś odpowiedział tylko szerokim uśmiechem, patrząc prosto w oczy pani Teresy — i dojrzał w nich tę zmianę błękitu w fiolet, która znaczyła najmilsze momenty w spojrzeniu tej pani. Prawie, że się nachylił do ślicznej, nie cofającej się bynajmniej twarzy — i powiedział oczyma więcej, niż to, na co się mógł zdobyć w mowie. Przepuścił bez strzału łatwego bażanta — lecz nie strofowała go już pani Teresa.

W pięciu zakładach zabito około siedmdziesięciu kogutów. Było to mało w porównaniu z ilością spodziewaną. — Jeszcze za długie bierzemy mioty — bażanty cofają się i ciągną wszystkie w zagajnik. Trzeba je przepędzić z dwóch stron, bez strzału i wtedy zająć zagajnik. Na takim planie osadziła się niesyta mordu drużyna.

Hrebniccy chodzili jak struci: jeden zabił sześć, dwaj drudzy tylko po parę bażantów. Nawet dołgać nie było z czego, bo każda sztuka padała w oczach całej kompanii, a nadto pan Liebe, bardzo krytycznie usposobiony względem cudownych braci, kontrolował ich każdy strzał. — Teraz, albo nigdy! - myśleli Hrebniccy, zbliżają się do owego zagajnika, gdzie w każdym razie będą »bukiety«, czyli masowe wzloty bażantów.

W prostokątnej ramie wyższego gaju był zagajnik kilkoletni sosnowo-brzozowy, ze cztery morgi. Do tego gąszczu służba łowiecka spędziła ze wszech stron bażanty, a teraz myśliwi rozstawili się, aby je wystrzelać. Ciasno było w tym miocie: jeden myśliwy od drugiego stał o kilkanaście kroków.

Rajecki dostał stanowisko między dwoma Hrebnickimi: Kociem i Wiciem; na prawo za Kociem stał Liebe; pani Teresa świeciła jasną swą postacią, tym razem przy księciu Jerzym. Wogóle wszyscy stali tak blizko, że podniesionymi zaledwie głosami porozumiewali się między sobą; głosy dźwięczały radośnie, podniecone oczekiwaniem i sportową ochotą. Tylko młodzi Hrebniccy milczeli zawzięcie, oglądając każdy swe dwie dubeltówki, wyciągając ramiona dla sprawdzenia elastyczności rękawów, gotując się nerwowo do czynów niepospolitych. Kocio zrzucił nawet kurtkę i pozostał w kamizelce z rękawami, może dla uwydatnienia posągowej swej postaci, obszytej w wełnę, jedwab i rzemień — wszystko angielskie.

Wesoło, jak do tańca, zagrały trąbki i wybuchły huczki z obławy na pohybel ptasiej rzeszy, już zaniepokojonej wśród gąszczu i traw młodego zagaju, który drgał od krzątań przyziemnych. Błękitno-srebrne, raźne, zimowe słońce rozpływało się w powietrzu, nakrapiając jaskrawszą barwą oporne jeszcze liście, rumieniąc się na pniach sosen, przepadając w ich ciemnych koronach. Na śmierć miały piękny dzień bażanty. Jakoż z heraldyczną dumą wznosiły się ku niebu tęczowemi piórami, wysoko ponad las, szukając zbawienia w górnym błękicie. Ale od brzegu lasu szczekała zażarta strzelba.

Strzelano na wyprzódki, niezbyt celnie. Dużo było, widać, między

myśliwymi głodnych osiągnięcia najwyższej cyfry zabitych bażantów. Ledwie kogut wykwitał z zarośli jak powolna raca, o sto kroków od linii już grzmiano do niego. Czasem trzeci, czasem i szósty strzał ściągnął go dopiero z powietrza. Czasem znów jakiś desperat, ciągnąc nizko i prosto na myśliwego, aż go szumem piór oszołomił, wykręcał się od śmierci i przepadał w lesie.

Michał był z urodzenia dobrym strzelcem i, choć jedną tylko miał fuzyę, postanowił użyć jej najskuteczniej, zwłaszcza, że strzelało się przed oczyma całej kompanii.

— Byle nie chybić pierwszego! — myślał, bo wiedział, że pierwsze pudło źle go usposabia i psuje mu rękę.

Zobaczył koguta nadciągającego zdaleka prosto na jego stanowisko i czekał, aż się przybliży na strzał normalny. Gdy już podniósł strzelbę do ramienia, padły jednocześnie dwa strzały z prawa i z lewa — i bażant złamany, rozwichrzony młyńcem, zataczając jeszcze łuk z rozpędu, upadł o kilkanaście kroków przed Michałem. Kocio i Wicio odstrzelili mu ładną sztukę z przed nosa.

Rajecki opuścił fuzyę i czekał. Na Wicia teraz ciągnął kogut. Rajecki chwycił go na cel, i z rzutu strzeliwszy dobrze wprzód, strącił piorunem z powietrza. W sekundę później rozległ się strzał Wicia, już do spadającego ptaka.

— Panie Hrebnicki! — zawołał Michał - do trupa się nie strzela:

— Ostatni śrut! — odparł Wicio.

Nie było czasu na sprzeczkę. Bażanty ciągnęły już bez przerwy, aż drżało powietrze od szumu skrzydeł, od gdakań samców, od krzyków blizkiej naganki, biorącej coraz zapalczywszy udział w pogromie, od huku strzałów, rozgrzmoconych po lesie.

Przy każdym szumnym wzlocie:

— Kogut! — — ba-bach! — Kogut! — ba-ba-ba-bach! Kura — — cicho. — I znowu hałas.

Rajecki naliczył sześć kogutów zabitych z rzędu i pamiętał jeszcze mniej więcej, gdzie spadły. Ale wkrótce stracił nietylko liczbę, lecz i świadomość miejsca, kształtów i szybkości, jak we śnie. Przyparte przez obławę do samej linii tęczowe ptactwo tryskało w górę istotnymi bukietami żywych kwiatów, całych drzew bajecznych, drżących na powietrzu bez gałęzi, bez łodyg, z samych ruchliwych głośnych kwiatów.

Instynktowo sięgał po najpiękniejsze, zrywał, strącał — — łamał machinalnie fuzyę, która na szczęście odrzucała wybornie puste ładunki,

wkładał nowe, znów szukał ofiar w rozkosznie ubarwionym błękicie. Zaledwie widział, jak który bażant ginął z jego ręki: czy pchnięty całym nabojem krzywo wzwyż i obezwładniony w powietrzu — czy »zeskrzydlony« i młyńcem jednej zdrowej lotki wiosłujący w dół, — czy padał przed nim, czy prosto mu na głowę, aż usunąć mu się trzeba było z powietrznej drogi — czy runął w lesie ciężko o twardą, nagą ziemię.

Na całej linii, lecz głównie w pobliżu Rajeckiego grzmiały salwy tak gęste, że trudno było zdać sobie sprawę, kto i do czego strzela. Hrebniccy miotali się, jak w tańcu świętego Wita, zmieniając fuzye, sięgając strzałami swoje i nieswoje sztuki, posyłając przybocznych strzelców, aby chwytali postrzelone bażanty. Cała linia myśliwych, gdyby ją można było wyobrazić sobie odciętą od pełnego jaskrawych lotów nieba, wyglądała jak szereg ludzi połączonych sznurem elektrycznym, przez któryby puszczono silny prąd, wyłamujący członki w dziwaczne podskoki. Pan Liebe zaś stał spokojnie, bez strzelby w ręku; czasem tylko chwycił strzelbę od stojącego przy nim służącego i celnym strzałem strącił blizkiego koguta.

Wyczerpywał się jednak powoli zagajnik, kanonada słabła, obława dotarła już do krańca. Jeszcze bażant jeden i drugi, skulony do ostatka pod krzakiem, gdzieby usiedział cało, tracił głowę i wyrywał się w powietrze na śmierć niechybną.

Michał odetchnął głęboko; teraz dopiero spostrzegł, że trzyma w ręku lufy gorące, jak żelazo do prasowania, i że mu z prawego policzka krew spływa na ubranie.

Podszedł do niego Liebe:

— Dobrze pan strzelał, panie Rajecki. Czy pan wie, ile zabił?

— Zdaje mi się, że ponad czterdzieści...

— Tak, ma pan 46 sztuk.

— A pan to skąd wie?

— Zapisywałem. Przy takich masowych rzeziach nie bawi mnie strzelanie; zabiłem tylko te, które się gwałtem napraszały. Ale bawi mnie obserwować całą linię i notować, jak się kto zachowuje — można z tego wyciągnąć pożyteczne nauki.

Schodzili się strzelcy do kupy, a ściągał ich ze stanowisk pomocnik łowczego, który dla kontroli ubitej zwierzyny prowadził regestr, ile w każdym miocie kto zabił. Urzędnik ten, stojący podczas pędzenia na krańcu jasnej linii, widział także, komu najlepiej się wiodło, więc, zbliżywszy się do Rajeckiego, rzekł z ukłonem:

— Ależ pan ślicznie strzelał — i to z jednej fuzyi? Ile mam zapisać?

— Czterdzieści sześć — odrzekł Michał — prawda, panie Liebe?

— Tak jest — odrzekł zawzięty pedant — może się pan nie trudzić zapytaniami na naszych czterech stanowiskach. Mnie od tak śpiesznego strzelania głowa boli, więc zapisywałem: ja mam tylko 8 kogutów, pan Witold Hrebnicki ma trzydzieści kogutów i dwie kury, pan Rajecki 46 kogutów, pan Konstanty Hrebnicki 28 i także dwie kury.

— Przepraszam! — zawołał Kocio — mam 62 sztuki!

— A ja 54, oprócz tych, których jeszcze szukają — wrzasnął Wicio.

— To się tak zdaje w gorączce — odrzekł uparty Liebe — znana jest bażancia gorączka; ale ja wiem, bom mało strzelał i zapisywałem.

— Ależ, panie Liebe, bardzo pana proszę... ja muszę lepiej wiedzieć...

— Jak panowie sobie chcą liczyć, nie przeszkadzam. Tylko ponieważ ja się znam na tem i zapisywałem, więc mogłem się omylić najwyżej o jakie dwie sztuki...

Słuchał już tej sprzeczki książę Jerzy z pobłażliwym uśmiechem.

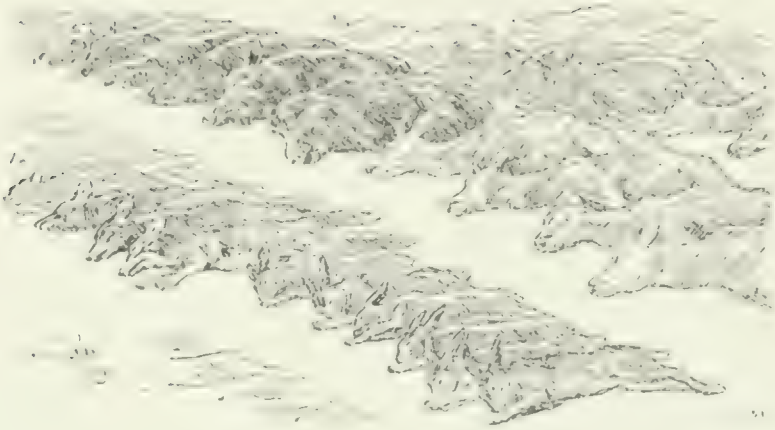
— Daj im pokój, Liebe! Oni obliczają według rachunku prawdopodobieństw.

— Ależ Jerzy!...

— No, wracajmy teraz do domu na zasłużony posiłek. Strzelcy zbiorą i przyniosą nam bażanty.

* * *

O szóstej po południu, przy ciemnej już nocy, rozłożono ozdobnie przed pałacem pokot ubitej zwierzyny. Nie wszystka tu była z tygodnia polowań, bo odwilż nie pozwalała na dłuższe przechowywanie; położono jednak wszystkie dziki wypatroszone — było ich siedmnaście — i dzisiejsze bażanty. Co do liczby bażantów zachodziły poważne wątpliwości: podanych przez myśliwych było sztuk 500 z górą, służba zaś łowiecka, po sumiennem przeszukaniu, podniosła tylko 360 — — ? Tę niewinną malwersacyę, przypisywaną bez wątpienia myśliwym, kazał książę Jerzy zamazać w raporcie strzeleckim, skąd też wynikło, że nie otrąbiono króla polowania. Według osobistych zeznań najwięcej sztuk ubił Wicio Hrebnicki; według innych, prawdopodobniejszych obliczeń prze-



strzelał go Michał Rajecki, który nadto posiadał między trofeami największego dzika, wprawdzie nieszczęśliwie strzelonego i dobitego przez służbę łowiecką. Podłowczy zaś, który prowadził regestr i nie pierwszy raz miał do czynienia z cudownem pomnażaniem i znikaniem zwierzyny, twierdził napewno, że najwięcej zabił sam książę Jerzy, właściciel polowania, co także było wynikiem niewłaściwym do otrąbienia. Aby więc pogodzić te wszystkie pretensye, ogłoszono bezkrólewie.

Leżały więc pokotem zające, nie indywidualne, jakby z jednej wylane formy, symetrycznie mnożąc w długi szereg sztywne skoki i słuchy. Leżały kozły sarnie, rozmaitsze już co do wielkości, i bardzo rozmaite dziki: czarne i brudno-rude odyńce z wielkiemi, zakrzywionemi szablami przy ryjach; bezbronne w ryjach, a groźne tylko ciężarem i racicami maciory; wycinki, których kieł prosty i ostry pruje uderzeniem, jak nóż; przelatki, jeszcze pokaźne; i niewinne, płowo pręgowane warchlaki. Leżały lisy ryże i bardziej siwe, jakby skupione pokutnie w śmiertelnem rozmyślaniu o przebiegu swego złodziejskiego życia. Na granicy sierści i pióra ustawiono kunsztownie na podesłanych liściach kunę leśną, niby skradającą się do ptactwa; ale w trzy dni po śmierci miała już tylko pozór dużej liszki bezwładnej w swem ciemnem, kosztownem futerku.

Następowały długie szeregi rozmaitego ptactwa; nieprzeliczone bażanty w czterech odmianach: czeskie, angielskie, mongoły i złote; czarne samce i grubo nakrapiane pstrokacizną samice-cietrzewie; do cieciorek podobne, lecz mniejsze, jarząbki; szare, aksamitne kuropatwy z samcami wyróżnionymi przez rudą na piersiach podkowę; inne jeszcze skrzydlate eleganty, ślicznie umyte rosą, wygładzone aż do połysku, oprócz tych, którym słota pośmiertna, lub zakrzepła farba potargały trefione pióra; drobne, lecz dla jałowcowego smaku poszukiwane kwiczoły. Osobno leżały przy lisach drapieżniki skrzydlate: lekkie jastrzębie i kanie, zwinne gołębiarze i kobuzy.

Kompania pałacowa, wyszedłszy z pokojów, rozglądała to wszystko

ciekawie przy łunie czerwonej, bijącej od zapalonego w żelaznych koszach łuczywa. Wystrzegano się jednak »przestąpienia« leżącej pokotem zwierzyny, zanim nie zostanie otrąbioną, wiedząc, że to grzech myśliwski karygodny. Skoro otrąbią pokot, można już będzie dostępować z każdej strony do rzędów i oglądać pojedyńcze sztuki.

Stanęły w szeregu strzelczyki, po brzegach łowczy i podłowczy; podnieśli trąbki do ust i popłynęły rytualne hasła. Zagrano najprzód »pochodnego«, otrąbiono potem godnie pióro, kitę, czarną szczeć i turzycę, wreszcie koniec polowania. Łowczy Kowalski odczytał krótki raport, niby protokół z wymienieniem dni, rewirów i ostatecznej liczby ubitej zwierzyny każdego gatunku.

Oglądano teraz pokaźne sztuki: odyńca, zabitego przez Michała, starego lisa z kitą niepospolitej długości, kunę leśną. Rozmowy o epizodach odprawionych łowów przeniosły się do salonów, a zarazem i głucha sprzeczka o bażanty i o królowanie. Objawiał się dyskretny pomruk przeciw Hrebnickim, którzy strzelali dość pospolicie, ale nazbyt gracko opowiadali.

Nie przeszkodziło to jednak pani Teresie oddać pół wieczoru Kociowi, śmiać się z nim i rozmawiać, a przez to dawać mu sposobność do pozowania na efeba, bez czego Kocio nie mógł się obejść, gdziekolwiek się znajdował. Nie zapominała wprawdzie pani Teresa o innym kuzynie — Rajeckim (Hrebniccy byli także jej kuzynami) i drażniła go zaczepkami rozmowy, błyskami fioletu w rozbawionych oczach, wreszcie bezpośrednim magnetyzmem i zapachem swej wypieszczonej postaci w walcu, którego spróbowano wieczorem, pomimo, że były zaledwie cztery młode panie w towarzystwie, a między niemi księżna Jerzowa, choć strojna i ładna, nie chciała tańczyć z powodu różnych sprzecznych obowiązków. Pani Teresa panowała tu niepodzielnie, miała swe wieczorne polowanie z użyciem wszystkich obecnych mężczyzn do naganki.

Gdyby zapytano znienacka Michała, czy bawi się, czy zżyma — nie umiałby odpowiedzieć. Pani Teresa była mocno ponętna i wcale obiecująco dla niego uprzejma. Ale po co zadaje się tyle — naprzykład — z Konstantym Hrebnickim, właśnie najantypatyczniejszym z obecnych? — — Michał uczynił nawet do tego aluzyę w tanecznej rozmowie z panią Teresą. Udała wielce zdziwioną:

— Muszę być przecie ze wszystkimi uprzejma... I tak już August wytrzeszcza na nas oczy, gdy tylko rozmawiamy na osobności...

— Czy to czułe, czy nieszczere, co mi powiedziała? — myślał Rajecki. — Dlaczegoż August nie wytrzeszcza oczu, gdy jego żona powraca ciągle do rozmowy z Kociem? — — —

Patrzył — trzy pary wirowały w walcu, trzej bracia Hrebniccy. Kocio szkicował jak z łaski efekty choreograficzne. Wicio opowiadał w tańcu coś bardzo śmiesznego swej damie, gdyż sam śmiał się dowcipnie, Luś suwał z takim rozpędem, jakby się zabierał do machnięcia kozła przez głowę swej tancerki.

Michał zadumał się. Naraz wszystko, co miał przed oczyma, wydało mu się wątpliwem i śmiesznem. Zaczął sprawdzać swe młodzieńcze, radykalne pojęcia o świecie na widzianych tutaj okazach i przykładach. Czy generalna panująca tu uprzejmość, mdła i egoistyczna, ma w sobie coś z miłości i z przyjaźni? Czy elegancya pospolitych funkcyi życiowych, ruchów, ubioru wiele ma wspólnego z estetyką? Czy nawet to polowanie, metodyczne i kłótliwe, nie zatraciło w sobie smaku poetycznej awantury? Raziło to Michała dotkliwie, że w tych formach życia pod polorem znikło wiele zasadniczych zarysów. — — Pod wpływem tych rozmyślań zatęsknił niespodzianie do wrażeń pod wielu względami przeciwnych.

Lato w tym kochanym, świeżym, jak usta dziewczyny, powiecie jezioroskim! Kraj pagórków i jezior, gdy się go nawet przypomni, przejmuje rozkoszą realną, płynącą od ziemi zapachem, od serc pokrewnych magnetyczną przyjaźnią. — — Żeby Stanisława Pucewicza sprowadzić tu do salonu, patrzanoby na niego, jak na raroga: Stach nie jest efektowny w stroju wieczorowym i nie umie nawet po francusku... Ale zobaczyć go w lesie, zabiegającego na przesmyk, wycierać z nim mszary i haszcze, pogadać z nim o tajemnicach kniei, o prastarych zwyczajach zwierzyny, o wszystkich szczerych i bezpośrednich wrażeniach przyrody — to mi towarzysz! W kozi róg zapędziłby tutejszych znawców polowania. — —

A jak lubo kochać na wiosnę i w lecie! Żeby tak dobrać sobie towarzyszkę sprawną jak samica leśnego ptaka, z nią hasać po polach i kniejach, całować na jej ustach smak dzikich jagód, na jej włosach wonie żywicy i ziela, myć się rosą lub kąpać się w jeziorach, żywić się pospołu zdobyczą polną i leśną, przyledz razem na noc w wonnych przepaściach nowego siana i budzić się o świcie, zaglądającym w olśnione radością oczy. To byłoby życie! — —

Gdzieby do tego pani Teresa! Ona pół dnia się ubiera i przebiera, a gdy się ukaże — no, piękna jest — — cóż po samym widoku?

Spotkał fiołkowy płomyk w oczach pani hrabiny, mijającej go w uścisku tanecznym z kim innym. Odpowiedział uśmiechem, a piękna pani nawet nie zgadła, że ją Michał zdradzał myślą z nimfeczką wiejską, z Warszulką.

Postanowił Rajecki dzisiaj jeszcze napisać do Stanisława Pucewicza, zapowiedzieć mu swój przyjazd na ferye wielkanocne, a w liście pozdrowić serdecznie Warszulkę.

VIII.

NA CIĄGU WIOSENNYM.

Zorza pozachodnia, pełna jeszcze słońca, rozzłocona na jednej połowie nieba, od drugiej już ścigana przez opalową, fioletem nasiąkającą bladość, dawała rozpoznać, że sztywne olchy, wiotkie brzozy i krzewiny przyziemne już się owiły ciepłą, zieloną gazą na zimowych węzłach gałęzi, — że na łączce leśnej, zwłaszcza, gdzie mokrzej, miliony ostrych mieczyków nastawiły się do góry, blado-zielone, a tu i ówdzie jaskry niewątpliwie krzyczą żółtymi płomykami, że już wiosna.

Chłodno jednak; mgła, która pociąga przez gąszcze, na wysokości człowieka, i ściele się na łączce niżej, musi być jeszcze oparem z zamrozu zimowego, bo chwyta za nozdrza i przez łopatki idzie dreszczykiem, tem dotkliwiej, że człek za dnia doznał już nieśmiałej pieszczoty wiosny.

Dwoje ludzi stoi na czatach. Niezbyt zakryci, raczej stonowani z gajem zamierzchającym, wypatrują czegoś po niebie, mniej baczni na ruchy i zjawiska przy ziemi. On ze strzelbą w pogotowiu, pożądliwie rozgląda się po kitach drzew przezroczystych; dziewczyna, za nim stojąca o kilka kroków, jakby pod nakazem magnetycznym wodzi spojrzeniami po miejscach, gdzie pada wzrok młodego strzelca. Milczą uparcie, przekonani, że tak trzeba.

Jeszcze tu i ówdzie po krzakach rozlega się ćwierkanie ptasiego drobiazgu, tulącego się do snu; większy ptak gwiźnie czasami i urwie,

jakby rozgłośnie poziewał. Pospólstwo leśne do snu się układa. Ale są ptaki rzadkie, romansowe, które teraz dopiero wybierają się tajemniczo na miłosne schadzki.

— Byleby tędy ciągnęły! — powtarza jednomyślnie para młodych, chociaż nie porozumiewa się między sobą słowami.

Aliści żaby zdaleka rozpoczęły rechot tak rozgłośny, że zagłuszyły wszystkie misterne gwary w gaju, tembardziej nie dałyby usłyszeć dyskretnego szeptu i pogwizdu słonki, gdyby już która zechciała ciągnąć. — — Trzeba polegać na doskonałości młodego wzroku, który obejmuje i przewierca całe widome powietrze.

Urwały nagle żaby swój jarmark swarliwy, pojękiwały teraz cicho, na dwa tony, kołysząc las do snu; aż ucichły zupełnie, miarkując, że usnął. Bo las już spał, otulony mgłą ciemniejszą; niebo żółte i szklane wypukliło się nad nim wysoko.

Przez wierzchołki drzew przewinął się cień chwiejny i szybki, bez szelestu piór, ani głosu, — niby nietoperz, tylko większy i mądrzejszy w ruchu; nie krążył, trzepocąc się, lecz zręcznym polotem wymijał gałęzie, przemknął i przepadł.

Michał Rajecki zoczył słonkę zapóźno, odwrócił się za nią, podniósł strzelbę, ale już nie zdążył strzelić.



— Ona była — rzekła cichutko Warszulka z pod drzewa, przy którem stała przytulona.

— Gdzie tam! lelek! — odpowiedział Michał arbitralnie.

Dziewczyna nie zaprzeczyła, choć było oczywiste, że ta córka i wnuczka »ochotników« nie mogła się omylić.

Pilniej odtąd przezierał Michał powietrzne szlaki i wkrótce usłyszał pożądany sygnał: rozległo się dwukrotne chrapnięcie, zakończone lekkim, ostrożnym świstem. Słonka ciągnęła prosto na polankę, przy której stał Michał.

Ale czy ujrzała myśliwego, czy względna jasność polany wydała jej się podejrzaną, skręciła szybko na las, jakby ją wiatr zwionął, i między frendzlami olch migała na lewo, wykrętnie. Michał nie czekał tym razem łatwiejszego strzału, obliczył instynktowo oddalenie i szybkość lotu i między dwa czuby olchowe — palnął. W uroczystej ciszy huk wydał się oburzającym gwałtem; coś szurgnęło przez krzaki — może

zgorszona sarna? — zadrżało coś w wierzchołkach, jakby senny las na hałas się obruszył.

Tymczasem Warszulka, nie pytając, ruszyła szybko ze swego stanowiska, patrząc zrazu w górę, w miejsce, gdzie Michał strzelił między olchy, potem, obrawszy sobie cel, niece na lewo, pobiegła, bujając giętko biodrami, i przepadła w krzakach.

Nie poszedł za nią Michał i dobrze zrobił: prosto nad głowę przyciągała mu nowa słonka. Strzelił spokojnie i trafnie — ptak runął mu łukiem z powietrza pod nogi — strzał był tak zwany »królewski«.

Gdy podniósł z ziemi zupełnie obezwładnionego ptaka i z lubością macał ciepłe jego aksamity, wynurzyła się z gąszczu Warszulka, trzymając ostrożnie w dwóch palcach poprzednio ubitą słonkę. Cieszyła się, jak ze swojej zdobyczy: zęby jej i oczy błyszczały w półmroku łowiecką i dziecinną razem zaciekłością. Michał podniósł do góry dopiero co ubitą słonkę, a dziewczyna tak samo okazywała tę, którą w gąszczu znalazła. Tak się zeszli i przymierzyli oba ciałka ptasie misternie centkowane, zwisające jak barwne chorągiewki.

— Moja ptaszka większa — śmiała się Warszulka — i dziób u jej dłuższy.

— Obie piękne — odpowiedział Michał.

I zdziwił się, że dziewczyna mówi jako tako po polsku, gdyż dotychczas rozmawiał z nią tylko po litewsku.

— Skąd ty, Warszulko, nauczyłaś się po polsku?

— A już tak... zimową porą...

Pełne umiłowania jej oczy zaledwie błysnęły ku młodzieńcowi, ukryły się pod powiekami, a rumieniec zakwitł widocznie, choć przy dniu bladym.

— Dobraś ty, Warszulko, i szczęście przynosisz — ot, mamy już dwie słonki. Miałem słuszność, żem cię zabrał tutaj; i ze Stachem Pucewiczem lepiejby nie poszło.

— Ja ich wiem, gdzie z powietrza kocą się, kiedy strzelisz — tłómaczyła jak umiała dziewczyna — z Łaukiniem, bratem ojca, do lasu chodziłam.

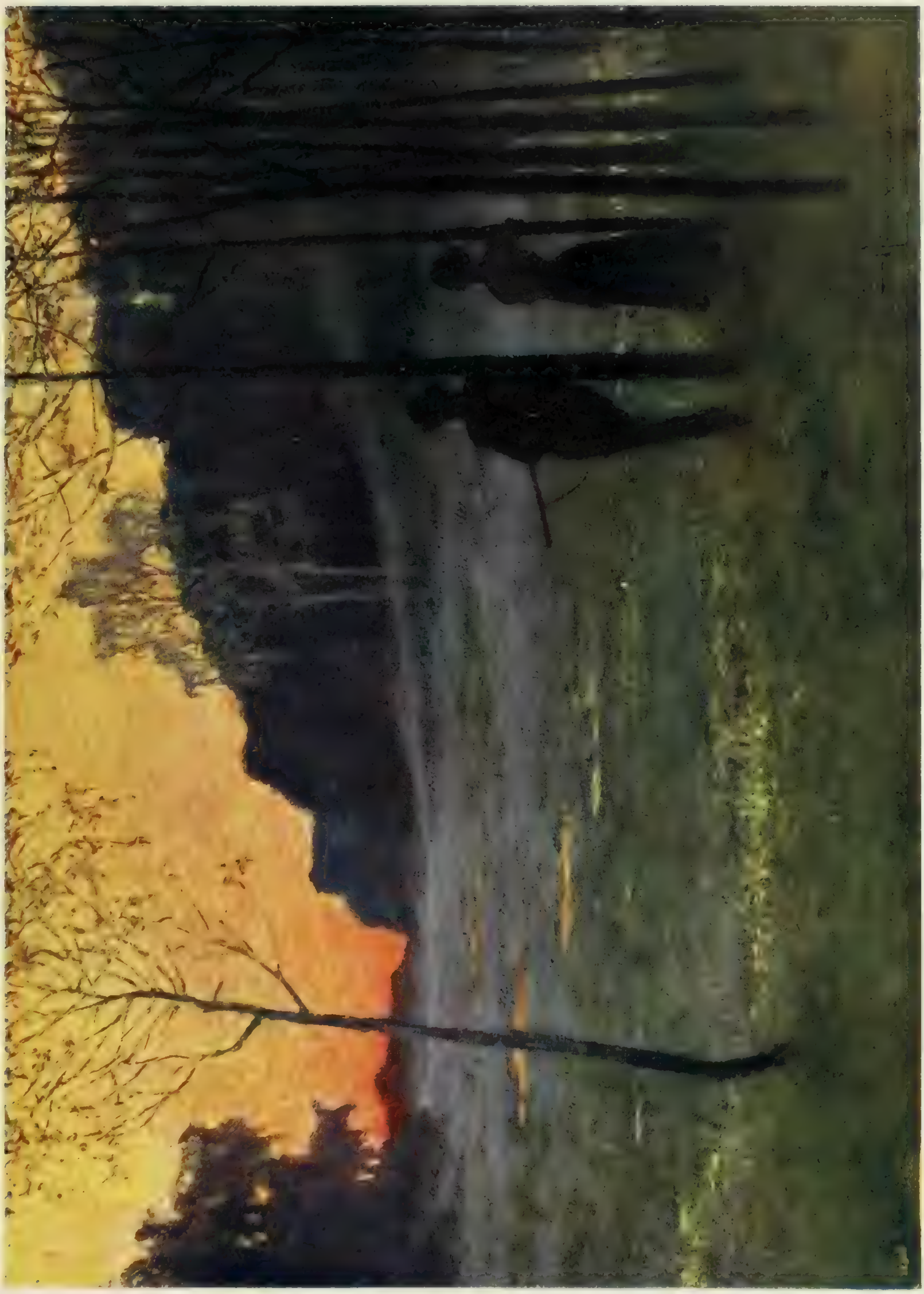
— A z młodymi nie chodziłaś?

— Oj je!

— To cię musiał który i pocałować?

— Nie kcącej nie pocałujesz...

— Gdybym ja poprosił?



— A już kiedy panicz... tak i nie wiem...

Wobec tej wątpliwości Miś chwycił dziewczynę w pół i do oczu jej drżących, przymkniętych, do ust miłośnie rozchylonych przycisnął wargi łakome. Pierś jej, zwiniętą w skrzyżowaną chustę, zgniótł impetem uścisku, aż poczuł głuchy młotek jej serca. Ale śmiał się i szeptał słowa lekkomyślne.

Spojrzała mu w oczy; nagłym, a dziwnie silnym obrotem wyrwała się z objęć. Bez tchu stanęła pod drzewem:

— Panicz... i nie myślałeś o mnie w mieście... Panicz tylko kiedy widzisz... to i kcesz...

— Owszem, Warszulko, myślałem. Pisałem nawet do Pucewicza, żeby cię pozdrowił.

— Jeden raz!

— No, jeden tylko... do ciebie przecie pisać nie mogłem.

Chłód pewien powiał między nimi. Rajecki zauważył, że dziewczyna wymagająca jest, jak dama. Warszulka zaś czekała jakichś słów, jakichś zdarzeń wymarzonych codziennem rojeniem przez długą jesień i zimę — i nie odnajdywała tych rojeń w chwili obecnej. Stał przed nią ten sam panicz piękny, umiłowany ale — obcy.

Odezwała się nareszcie:

— Kcesz panicz jeszcze ptaszki strzelać, nie trzeba rozmawiać.

— Masz racyę — rzekł Rajecki, prawie zadowolony z przerwania tej konwersacyi.

I stanęli znowu na poprzednich miejscach, wpatrzeni w niebo coraz ciemniejsze i w szczegóły drzew, które poczęły tracić swe koronkowe przezrocza, zwierać się w masy gęstsze. Na łączce nie widać już było zielonych mieczyków, ani płomiennych jaskrów; za to ostatnie blaski dzienne skupiły się na kałuży, połyskującej zwierciadlaną szybą. Mgła się oziębiła i przenikała przez ubranie do skóry.

Słonki zaś długo nie chciały nadlatywać na miejsce niedawnych strzałów, gdzie błąkała się jeszcze woń prochu. Już wybierał się Michał na drugi brzeg łąki, aby tam spróbować przed zapadnięciem nocy, gdy usłyszał wabienie słonki za sobą, zbliżające się w przeciwnym do poprzedniego kierunku. Wabienie było silniejsze i podwójne: chrapania i gwizdki mijały się, jak fuga. — — Jakoż na otwartej między drzewami połaci nieba ukazały się naraz dwie słonki.

Zagrzmiał strzał z dwóch luf, ale ptaki zwinęły się tylko w po-

wietrzu, zniżyły lot i przepadły. Nie można już było daleko przeprowadzać ich oczyma.

— Zdaje się, że druga spadła? — szepnął Michał do towarzyszki.

— Ciemno już — odpowiedziała Warszulka, ale nie ruszyła się z miejsca.

Więc i Michał zniechęcił się do szukania bardzo niepewnej zdobyczy.

Znowu zawisł na niebie lotny cień słonki, niewyraźny, jak przywidzenie, gdyż płynęła bez głosu. Michał strzelił jednak z przyrzutu, na chybi trafi. — — — Coś uderzyło o ziemię, plusnęło nawet — słonka spadła zapewne w wodę między krzakami.

Natychmiast gorliwa Warszulka rzuciła się na przypuszczalne miejsce z nie mniejszym zapałem, jak wyżeł aportujący. Przepadła w krzakach, rosnących na mokradle i zdaleka słychać było, że brodzi. Aż Michał krzyknął:

— Daj pokój, Warszulko! Pal dyabli słonkę! Nogi zamoczysz w tej zimnej wodzie...

Ale nie doszła z krzaków żadna odpowiedź. Po kilku zaś minutach zakasana, kicająca przez kępy, lecz wesoło tryumfalna, przybiegła uparta dziewczyna, trzymając słonkę w ręku.

— Dosyć tego będzie — rzekł Michał — trzy słonki nie każdego wieczoru przynosi się do domu. I noc już.

— A już musi dosyć — —

— Spódniczki nie zamoczyłaś? — —

Schylił się i śmiałą dłoń przeprowadził po spódnicy dziewczyny, obejmując jej smukłą, sarnią nogę od goleni aż do pęciny. Głos jego zabrzmiał tak miękko i poczciwie, że Warszulka zaledwie się wzdragała. Odpowiedziała śpiewnie, jakby rozrzewniona:

— Od chłodnej wody biedy mnie nie będzie... ja przywykłszy...

Michał zarzucił strzelbę na plecy, prawem ramieniem otoczył stanik Warszulki, i tak ją prowadził po drodze ku domowi, czule i żartobliwie:

— Prawa noga! nie lewa! — — o tak — razem marsz!

Było zaś dobrych pięć wiorst do Potyłty, gdzie mieszkała Warszulka, a sześć do Gaczan, gdzie miał nocować Rajecki. Trzeba było śpieszyć: noc już zapadła, a Warszulka pod jakimś tylko pozorem wybiegła z folwarku, bez wiedzy gospodyni, namówiona przez Michała. Ciemno było w gaju i ciemno dalej na łące, bo noc gęstniała bezksię-

życowa, drzewa zaś nie opuszczały drogi, rosły sobie przy niej, jak Bóg dał, to wązkim szpalerem, to znowu rozszerzając się w gaiki i rojsty.

Rozgrzali się młodzi, idąc tęgim marszem, noga w nogę; Warszulka dorastała do pół glowy Michałowi, który był przecie słusznego wzrostu. Trzymali się zaś ciągle razem pomimo nierówności gruntu; częściej Michał potknął się i zboczył, a wtedy Warszulka przewijała mu ramię pod ramię, lub za tors go oplotła, zwinną swą postacią towarzysząc mu nieodłącznie. Podobała się jej kapitalnie ta nowa i niewinna pieszczota; głos jej, gdy się odzywała, dźwięczał radośnie.

Michał zaś myślał — po męsku — że to wszystko faramuszki, że znowu mija okazya bez stanowczej rozkoszy, — bo jakże tu w pośpiechu, wśród chłodnej nocy, po rosie? — że ostatecznie ubliżają jego męskiej godności te zaloty, trwające już prawie od roku, zaloty do chłopki, ślicznej, smakowitej, nawet i dobrej, ale tylko służącej folwarcznej. — Projektował, choć bez przekonania:

— Cóż, Warszulko? noc jest — schowamy się gdzieś razem, co?

— I nie myśl panicz! Mnie trzeba zaraz pokazać się gospodyni — i tak bieda będzie.

— Mówiłaś przecie, że do przyszłego roku? Jest ten przyszły rok.

Dziewczyna zachichotała cicho, odsunęła się trochę od towarzysza, nie zwalniając chodu, i zaciągnęła mocniej końce chusty pod brodą.

— Szak teraz panicz przyjechałeś tylko do drugiej niedzieli... Kiedy powrócisz na sianokosy, tak tedy...

Michał przystanął i postawą swą gniewną zatrzymał też Warszulkę.

— Ty chyba żartujesz ze mnie? Ani trochę mnie nie lubisz?

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy przestraszone i zawołała:

— Ja... ciebie, panicz?!

Michał badał przez chwilę oczywistą jasność i siłę tego wyznania — — objął dziewczynę w pół i za główkę, krąglącą się jajkowato w cienkiej chustce.

— No tak... wierzę ci, Warszulko. Ja ciebie także serdecznie, odrazu pokochałem...

Zarzuciła mu ramiona na szyję, podała usta i liczko całe spłakane nocną rosą. Pocałunek był czysty i rzewny, prawie smutny w swych nieziszczonych pragnieniach. Stojąc wśród zimnej nocy, rozłączyli usta, patrzyli sobie głęboko w oczy.

— Czegoż więc chcesz, Warszulko?

— A już sam... pomyślisz...

Zaledwie uszli dalej kilka kroków, splątani jeszcze ramionami, spostrzegli naraz oboje, że jakiś cień smyknął przez krzaki na prawo, nieopodal od drogi i w kierunku ich podróży. Warszulka drgnęła, ale, zamiast przytulić się do towarzysza, odsunęła się od niego.

— Co tam za licho? — odezwał się Michał, zdejmując instynktowo strzelbę z ramienia — nie zwierz, zdaje się?... Niby człowiek pochylony?

— Nie zwierz — powtórzyła z pewnością Warszulka.

— Boisz się? — zapytał Michał z uśmiechem — przecie idziesz ze mną, mam strzelbę, nawet nabitą.

I szybko włożył do luf ładunki.

Ale dziewczyna była widocznie stropiona i przyśpieszała kroku.

— Ja i jedna chodziła w nocy... tylko, że już ten może być... taki...

— Kto taki? wilkołak?

— I nie mów tak panicz, bo wywołasz — przeżegnała się szybko — ale u niego »strelba« była.

— Więc cóż? kłusownik, złodziej.

— Nie złodziej, a ochotnik — poprawiła Warszulka.

— Jak tam chcesz go nazywaj; nas przecie nie zaczepi.

— A taki bywa między nimi, co... Bóg jego wie?

Zaciekawiony Michał przypuszczał, że Warszulka nie może dokładnie się wytłómaczyć po polsku. Udzieliła mu się jednak pewna obawa, czy od tego cienia nie grozi jakieś niebezpieczeństwo, więc poczuł się do czujności i do męskiego obowiązku obrony płci słabej.

— Idź ty, Warszulko, na lewo, ja na prawo. Niech on tylko spróbuje zbliżyć się do nas, już ja go zapytam, kto on taki.

I potrząsnął strzelbą.

— Nie, nie — zawołała żywo Warszulka — jego tylko patrzeć trzeba, gdzie on idzie... Ja pójdę na prawo.

Zadziwił się znowu Michał i postępował bacznie, tuż przy lewem ramieniu Warszulki.

Porost drzew zwężał się przy drodze w miejscu, do którego dochodzili; przez kilkadziesiąt kroków był tylko rzadkim szpalerem, dalej znowu rozszerzał się w zalew olchowy na łące. Noc, choć już zupełnie szczera, jakoś się rozjaśniła, bo i oczy podróżnych przywykły do oryentowania się w ciemności. Na łące dojrzeliby wyraźnie ruch zająca, nietylko człowieka. Gdy tak szli między drzewami, ciągle bacznie zerkając na prawo i za siebie, Warszulka zawołała stłumionym głosem:

— A wo! skoczył na drogę! idzie za nami!

I zerwała się do ucieczki.

— Poczekaj! i ja widziałem — zawołał Michał rozdrażniony, ujmując za ramię dziewczynę — ja go tu zaraz zapytam!

I, odwracając się wstecz, krzyknął po litewsku, z nastawioną strzelbą:

— Jaki tam dureń włóczy się po krzakach?!

Nikt nie odpowiedział, ani się poruszył.

— Jak jeszcze raz mi się pokażesz, strzelę jak do psa!...

Warszulka ujęła Michała nerwowo za ramię:

— Nie strzelaj panicz! Może być znajomy...

— Znajomy?!

— Jest taki, co chodzi za mną...

Tymczasem oboje poszli dalej równym, śpiesznym krokiem. Ale Rajecki spochmurniał; coś mu w tej przygodzie nie podobało się. Warszulka jakoś zagadkowo wyrażała się o tajemniczym człowieku, postępującym i teraz zapewne za nią. Może skryta Litwinka mieć nawet coś na sumieniu? — —

Nareszcie droga stała się prawdziwą drogą między polami. Pomimo nocy połyskiwało niedalekie jezioro, pagórki nagie weselej profilowały się na niebie gwiaździstem, na prawo i na lewo migały iskierki okien od siedzib ludzkich. Widać przynajmniej o sto kroków we wszystkie strony — pusto, nikt nie idzie.

Po długiem milczeniu odezwał się Michał, jakby przez grzeczność podtrzymywał konwersacyę:

— Cóż ty w zimie porabiałaś, Warszulko?

— Wiadomo, jak na służbie: w oborze, przy maśle i przy kołowrotku.

— Ale i bawiłaś się czasami, powiedz?

— Zabawa u mnie była pierwsza, kiedy mnie po polsku uczyli.

— Któż cię uczył?

— Ci, co umieli, mówili, a ja słuchała. Tak i nauczyła się pomaleńku.

— A czytać nie próbowałaś?

— Czytać ciężko. Panicza naszego prosić żynowałam się. Proboszcz obiecał, ale cóż — chodzić daleko, a przyjdziesz — proboszcz czasu nie ma.

— Ja cię nauczę.

— Od panicza jaby najlepiej pojęła — zawołała Warszulka ciepło i wdzięcznie.

— Dobrze. Ale naprawdę nie bawiłaś się wcale? Nie tańcowałaś w zapusty?

— Była u nas wieczorynka, to ja powiedziała, że mnie nóżka boli — nie tańcowałam.

— Jednak chłopcy chodzą za tobą, co?

— Za kimby takie nie chodziły!

— Jeden może bardziej, niż inni?

— Mnie czy jeden, czy dziesięć — wszystko równo. Ja nie dla tutejszych.

— Jaka harda! — odrzekł Michał, udając, że nie rozumie pokornego wyznania, zawartego w słowach dziewczęcia.

Warszulka może nie zrozumiała wyrazu, ale uchwyciła kapryśną ironię, brzmiącą w tonie Rajeckiego, i, nic nie odpowiadając, westchnęła.

Mało już rozmawiali, bo zbliżał się prozaiczny kres wyprawy — folwark Potyłta, pogrążony w mroku niegościnnym; jedno tylko światełko migało przez drzewa sadu — zapewne czujne oko gospodyni.

— I cóż powiesz, Warszulko, że tak zapóźniłaś się?

— A już nie wiem... że byłam u ojców w Sztarańcach... ale może gospodyni nie powierzy.

— Pomyśli, że z chłopcem gdzieś się zapodziałaś?

— Może i pomyśli...

Smutek raczej, niż wstyd, dźwięczał w głosie dziewczęcia. Michał zadumał się nad tem, że gdyby tu chodziło o pannę z »towarzystwa«, byłby powodem jej »kompromitacyi«. Ale przecie chłopi mało dbają o takie pozory — — Czy nie dbają? — — I gdyby przynajmniej ta wyprawa była choć trochę grzeszna! Wziąć od dziewczyny wiejskiej parę całusów — to przecie fraszka. Przy pierwszem spotkaniu ją pocałował — i cóż się stało? — Stało się wprawdzie to, że odtąd o niej myśli, ściga ją pożądaniem — — A ona może jeszcze głębiej to odczuła? Ona może po swojemu — kocha? — Nawet z pewnością tak jest. Dziwaczy się — to już zwykłe dziewczęce maniery. — — Cokolwiek z tego wyniknie, jedno wypada uczynić w tej chwili: jeżeli ją mają posądzać, że z byle kim włóczy się po nocy, niech przynajmniej zobaczą, że nie z pierwszym lepszym, lecz z nim, z Michałem. Więc odezwał się po tym kunsztownym namyśle:

Lepiej będzie, Warszulko, że ja z tobą pokażę się gospodyni. Powiem, że spotkałem i zabrałem cię na słonki — —

— Oj, lepiej!

Uśmiech jej zakwitł nagle całą radością wiosny.

— A teraz do widzenia po naszemu — —

Objął ją i pocałował gorąco, bo już doszli do płotów sadu. Odtąd trzeba było zachowywać się wstrzemięźliwiej.

— I kiedy spotkamy się znowu?

— Kiedy panicz kcesz... Ja ze wszystkiem...

Urwała. Chciała dodać zapewne: »jam twoja«.

A tu psy podwórzowe już poczuły zbliżanie się ludzi, zaszczekały rozgłośnie, rzuciły się na spotkanie. Znały oczywiście Warszulkę; Michał, choć mało znajomy, był w ubraniu myśliwskiem, niósł strzelbę i zwierzynę; psy litewskie, jak ludzie, należą do cechu »ochotników«, poczuwają się do solidarności z myśliwymi. Więc wśród przymilań i podskoków kundli Michał i Warszulka doszli do folwarcznego domu.

Do gospodyni, która wyszła na ganek, przemówił Rajecki stylem trochę skomponowanym, jak młody władca sąsiedniego kraju, z operetki:

— Dobry wieczór pani Marceli! Proszę się nie gniewać na Warszulkę, którą spotkałem i prosiłem, żeby mi pomogła szukać zabitych słonek. Zapóźniliśmy się, bo droga daleka. Biorę to na swoją odpowiedzialność.

— I nie wiedziałam, że panicz znowu w Jużyntach! — odpowiedziała Marcelka.

— Wczoraj przyjechałem.

— Może panicz do nas na arbatę, kiedy łaska?

— Dziękuję; śpieszę do Gaczan.

— Naszego panicza tam niema; do Dyneburga pojechał.

— Wiem. Ale starszy pan w domu, u niego zanocuję. Dobranoc pani Marceli! Dobranoc, Warszulko!

* * *

Ostrożnie szedł Michał z Potyłty do Gaczan. Noc była ciemna, uprzednia zaś wędrówka z Warszulką zbudziła mu w wyobraźni zagadki niepokojące. Kto był ten człowiek uzbrojony, który widocznie postępował ich śladem? Zapewne nie zbójca, bo jakiegoż spodziewał się obłowu i jakie miał szanse ze swą lichą pewnie rusznicą przeciw do-

brej broni Michała? — — Kłusownik? — prawdopodobnie, lecz dlaczego ich śledził? — A może mściwy konkurent, może kochanek Warszulki?

— Teraz ona mnie kocha, to pewne — ale dawniej? — —

Ze strzelbą nabitą stąpał Michał uważnie, przeglądając drogę i jej okolice, chociaż polne rozłogi nie dawały miejsca na zasadzkę.

— Ech! wogóle głupstwo! włóczęga jakiś szedł w tym samym kierunku, a nie chciał się pokazać — — Ale dlaczego Warszulka, z natury odważna, tak się stropiła? — —

Widać już było lipowe kwatery dworskie i znajome, gościnne zapachy przewiewały mgłę polną; psy w Gaczanach, wszystkie myśliwskie, zaledwie dopadły, poznały kompana myśliwego i, wesoło skomląc, przeprowadziły go do drzwi dworu.

Służący, Pypka, spotkał Michała w przedpokoju:

— Starszy pan czeka panicza z arbatą.

— Zaraz, niech się trochę przebiorę. Walizkę moją przysłali z Jużynt?

— Jest. Pan prosi, gdyby nie czekając.

Jakoż przez drzwi otwarte do jadalnego pokoju widać było przy dużym stole wygodnie rozpartego, z długą fajką pana Leonarda Pucewicza w pozie oczekiwania, która była mu niby przyrodzoną. I odezwał się:

— Chodź tu, jak stoisz, Misiu! Nie dziwacz się! Niemasz niewiast w naszej chacie. A pokaż, jeżeli co ubiłeś.

Więc Rajecki, otarłszy tylko buty, złożywszy strzelbę i ładownicę, wszedł do jadalni, niosąc w ręku trzy słonki.

— Piękne! — chwalił pan Leonard, macając ptaki — pani matce zawieziesz; dla nas to zbyteczna potrawa, bo kucharka tak piecze, że wszystko jedno, kogut, czy słonka, na węgiel spalone, a smaku się nie dopytasz. No siadaj — dodał, uderzając dłonią po stole, krytym marmurkową ceratą. — Pypka! podawaj, co tam uwarzyli.

Pomimo pierwotności niektórych urządzeń dwór wewnątrz miał swą powagę; tu i ówdzie pod nizkim, belkowanym pułapem wisiał ciekawy obraz olejny; między meblami, raczej ciesielskiej roboty, błąkał się piękny zegar gdański. I pan Leonard miał cechy wcale nie gminne, pomimo zaniedbania w ubiorze i ospałości człowieka zdawna rozleniwionego; zmęczone jego oczy dużo czytały i pamiętały, były zarazem dobroduszne i przenikliwe. Wiedziano powszechnie, że stary Pucewicz skończył »kameralia« na uniwersytecie dorpackim, że można polegać

na jego przyjaźni, prawości i wszelkich cnotach biernych. Czynów przestano od niego wymagać; zwłaszcza od czasu, gdy owdowiał, pogrążył się w smutku i w domatorstwie.

Namiętnie kochał dzieci swe, ale ich kierunek pozostawił losowi. Syn, Stanisław, niebardzo chciwy nauki szkolnej, za to wielce uzdolniony do gospodarstwa i myśliwstwa, uprawiał z powodzeniem oba te zawody. Córka, Irena, niespokojniejszego animuszu, kształciła się najprzód w domu przy matce i nauczycielce, ale gdy matki zabrakło, zapragnęła wstąpić do gimnazyum w Dyneburgu, potem do konserwatoryum, gdyż wybitne miała zdolności do muzyki. Ojciec był z temperamentu obu tym porywom przeciwny, jednak nie zabronił. I panna Irena po studyach wyszła za mąż, kilka lat temu, za bardzo podobno zdatnego pianistę, Bomsego, spolonizowanego Niemca. To wszystko wcale nie było po myśli pana Leonarda; żywił do dzieci skrytą urazę, że go nie słuchają, chociaż je kochał w dalszym ciągu i pobłażał im de facto. Jego czynna troskliwość ograniczała się do szukania dla swego potomstwa pożytecznych wpływów obcych, a to w celu, aby Stanisław stosownie się ożenił, a Irenka Bomse wychowała przynajmniej swe dzieci według tradycyi Pucewiczów.

Pan Leonard był odwiecznym przyjacielem Rajeckich, wiedziano w Jużyntach prawie wszystko o Gaczanach i na odwrót. Nawet z młodym Michałem, synem nieboszczyka przyjaciela, mówił pan Leonard poufnie, jak z blizkim krewnym; że zaś, pomimo apatyi, miał umysł wyrobiony i giętki, nie onieśmielał Misia powagą swego wieku.

— Stach przyjedzie jutro z Dyneburga; — odpowiadał ojciec Pucewicz na zapytanie Michała — niech się trochę w mieście przewietrzy, bo mi zdziwaczał na wsi. Orać, polować — wszystko to pięknie, ale trzeba się obracać i w swojem właściwem towarzystwie, nietylko ciągle z chłopami i ze zwierzyną. No powiedz, Misiu, co sądzisz?

Michał przez grzeczność potwierdził. Ale naprawdę pierwszy raz uprzytomnił sobie, że tak jest rzeczywiście. Czy inaczej byłoby lepiej? — wątpliwe. Stach był dla niego uosobieniem lasu i wsi litewskiej. Gdyby się przerobił na sensata i salonowca, straciłby w każdym razie wiele wdzięku.

— Trembele i Trembele! — mówił stary z rosnącym ferworem — dobrzy sobie ludzie; dziad ich, Nikodem, był ekonomem u nas. Ale naprowadza mi tu chłystków, gadających po litewsku, za stołem sadza. Toć i ja nie stronię od ludu, jednak zachować trzeba dystans.

Michał, wzywany poniekąd na arbitra między ojcem a synem, czuł się nieswojo, nie mógł dojść do własnego zdania w tej mierze dla prostej przyczyny, że nigdy poważnie o tem nie myślał. Trembele? — Tak — był u nich kilka razy ze Stachem na podwieczorku podczas polowań na kaczki i cietrzewie. Stach umizga się do Janielki. Ładna dziewczyna, ale co za porównanie do Warszulki! A zresztą w Jużyntach nie widywał chłopów gośćmi we dworze. Tu ich Stach zaprasza — Co lepiej?? — —

Wyraził coś w tym rodzaju chwiejnie, z restrykcyami i nie wspominając wcale o Janielce. Ale staremu Pucewiczowi właśnie o nią chodziło.

— Wiem, jest tam spódniczka, która go ciągnie: córka Dominikowej. Cóż on tam z nią?... To chłopy harde, może im się przywidzieć, że Pucewicz ożeni się z Trembelówną?...

Rajecki wykręcał się absolutną niewiadomością co do stosunku Stanisława z Janielką. I naprawdę niewiele o tem wiedział.

— Widzisz, Misiu, jest tak: Stach ci przyjacielem, ale i ja także. Młody jesteś, lecz bywasz po miastach, po uniwersytetach, możesz mieć dobry wpływ na Stacha, chociaż starszego. Chodzi tu o przyszłość naszą, Pucewiczów. Z całem zaufaniem udaję się do ciebie, abyś mi powiedział, co wiesz o ich stosunku. Romansują z sobą, co?

Michał, pogłaskany i ujęty przemową starego przyjaciela rodziny, odpowiedział otwarcie:

— Mogę panu wyjawić tylko moje przypuszczenia, bo Stach mówi mi o wszystkiem szczerze, o Janielce zaś bardzo mało i tajemniczo.

— To właśnie najgorzej! — frasobliwie potarł czoło pan Leonard — pewno wyobraża sobie, że się w niej kocha?

— Może być; od pewnego czasu zmienił się trochę.

— To jest, że mniej biega za innemi dziewczynami? — — mów wyraźnie, Misiu — I ja przecie byłem młody — rozumiem.

— Niby... tak — wykrztusił Rajecki.

— A przez całą zimę żebyś go widział, Misiu! Wypędzałem do miasta, do Wilna, gdzie są u przyjaciół panny na wydaniu — nie i nie! Poluje i siedzi w Trembeliszkach! Daj Boże, abym się mylił, ale on może chce się żenić z tą... Janielką?

Wstał od stołu i przeszedł się, rzucając wielkie kłęby dymu fajczanego. Tylko najsilniejsze wzruszenia wyrywały go z pozycyi siedzącej bez koniecznej potrzeby.

— Ej nie... — uspokajał Michał — przecie widziałem go wczoraj; mnieby powiedział. No i panu!

— Gadał mi tam coś ostatnimi czasy... o demokratyzacyi społeczeństwa, wyobraź sobie! Ładna mi demokratyzacya — schłopieć! Chłopa oświecić i podnieść — co innego. — — Ot jak mi wyrósł: czytać nawet nie umie! Przeczyta w durnej gazecie dziesięć durnych frazesów i stosuje do swoich amorów! Tybyś takiego głupstwa nie palnął, Misiu?

— Wie pan — rzekł Michał trochę dla popisu nowożytnością poglądów — wobec szczerego uczucia interesy klasowe mogą zamilknąć. A taka dziewczyna dobra i kochająca może być dokształcona przez męża...

— Przez Stacha? właśnie wynalazłeś! zdziczeje mi, schłopieje, a za sto lat z Pucewiczów będą Pucajtysy!

— Albo Pucewiczowie staną się prawdziwie krajową gentry.

— Gentry? — to po angielsku?

— Nową, naczelną klasą.

— Rozumiem, rozumiem — — widzę, żeście wszyscy, młodzi, oczadzeni przez teorye.

Usiadł znowu na swem miejscu, pociągnął herbaty i dymu, zadumał się.

Tymczasem zadudniało przed podjazdem. Czyżby Stanisław już powracał? — — On!

Wszedł raźnie, wiejąc pachnącym nocnym chłodem, uśmiechnięty, jak człowiek spokojnego sumienia. Pocałował ojca w ramię, stary objął go miłośnie za głowę, zapominając widocznie o troskach wobec widoku zdrowo kwitnącego syna.

— A przywiozłeś szpikulec do fajki?

— Jest, ojcze, jest — — Dla ciebie, Misiu, nowina! Słonki ciągną pod Dusiacką puszczą, że choć kijami bij! Pośpiałem tam na zachód, sześć zabiłem.

— Ja tylko trzy w Sztarańskich zaroślach.

— Powiadali mnie — dodał Stach — że ciecieruki tokują, aż spać o świcie nie można w miasteczku, w Dusiatach. Chcesz? jutro na noc na toki!

— Czemu nie! — bo nawet pojutrze za późno: Wielki piątek.

Stanisław posilił się szybko i pociągnął Michała do swoich pokojów, gdzie jeszcze stary Pakosz, udający zastępcę w gospodarstwie pod nieobecność Stanisława, zdawał mu raport z czynności dziennych.

— W Potyłcie groch sialiśmy, ale zabrakło na pół dziesięciny.

— Czemu nie dobrałeś, kapitanie, z Gaczańskiego świrna?

— Posłałem Wejkutisa, ale póki wrócił, już i słońce zaszło.

— Et! — — A ile mleka było w tutejszej oborze?

— Było... nie to, żeby mniej, niż wczoraj, ale i nie więcej.

— Ile garncy?

— Wejkutis zapisywał, dlatego on i nie pośpiał z grochem do Potyłty.

— Nie mogłeś to, kapitanie, sam zabrać do kieszeni grochu na ten kawałek pola, zamiast butelki?

— Zostaw! — burknął gniewnie Pakosz — dwa pury[1]) grochu wsuniesz ty do kieszeni! A wódki, wiesz, przez cały post nie wąchałem.

— Za to na Święcone podpijem sobie regularnie — rzekł przyjaźnie Stanisław, całując starego przyjaciela.

— I obraza boska byłaby inaczej! — odpowiedział udobruchany »kapitan«.

Gdy zostali sami rozciągnięci na dwóch łóżkach w jednym pokoju, odezwał się Michał do Stanisława:

— Kiedy widziałeś Janielkę?

— Wczoraj przed wyjazdem. Ona mnie dzisiaj nie czekała, powiedziałem, że powrócę jutro, ale pośpieszyłem.

— A ja z Warszulką polowałem na słonki.

— Ot kiedy frant! — — Ja tobie... jutro...

Równy, potężny oddech oznajmił Michałowi, że Stanisław już śpi. — — Zasnął wkrótce i Michał — obaj z przyciśniętymi do poduszek sennymi obrazami swych ukochanych.

---

[2]) »Pur« — miara starożytna litewska, pojemności mniej więcej pół korca.

IX.

CHŁOPSKIE POLOWANIE.

Nocą, przez las ogarnięty głębokim mrokiem nieregularne kroki jakichś istot żywych stukały po twardem, przepadały we mchach, czasem chrupnęły po chróście. Ktoby je posłyszał, świadomy fonetyki szmerów leśnych, poznałby odrazu, że to nie zwierz łamie się przez gąszcze, lecz pomykają ludzie, tylko o tej godzinie popółnocnej — chyba zbójcy.

— Poczekaj, Łaukinis! Stach!... wlazłem w jakąś kupę chróstu...

Błysnął płomyk zapałki, przy którym ukazał się Michał Rajecki, zaplątany w wielkim jałowcu.

— A panicz ognia nie pal! — odezwał się dość surowo Łaukinis, idący pierwszy w szeregu.

— Lasu przecie nie podpalę — odburknął Michał — mokro...

— A ciecieruka przepędzisz, kiedy on śpi na gałęzi. Sam ich tu jarmark w brzezinie.

Nawet Stanisław Pucewicz nie ujął się za Rajeckim; Łaukinis miał dzisiaj komendę i posłuch. Więc Miś szedł dalej, trzymając się Stacha na dystans wyciągniętego ramienia, mruknął tylko:

— Ależ bo ciemno, jak w duszy grzesznika...

Postępowali znowu w milczeniu, nieco łatwiej, bo las niby się rozwidniał; między wysokie słupy gęstego cienia wdzierał się cień rzadszy, próżny zarysów. Czyżby już zapowiedź świtu?

— Aha — odezwał się Stanisław — łosia polana — to już i twoja budka niedaleko, Łaukinis?

— Po tamtej stronie. Nie idź tylko, panicz, przez środek polany, ato zapaść możesz. Tam, gdzie drzew niema, taka w niej błota, że skróś ziemi!

— Wiem, wiem... Miś! trzymaj się za mną, brzegiem lasu.

Kawał jeszcze drogi było dokoła polany, bo postępowano wolno i ostrożnie po lesie kępiastym. Polana świeciła jednak czemś w rodzaju światła, odgraniczała się ciemnością lżejszą; nieświadomego wędrowca zwabiłaby może na swe zdradne przepaści. Nareszcie poczuli myśliwi pod stopami grunt twardszy, trochę wzniesiony, i natknęli się na rodzaj stogu z jedliny, przygotowanego przez Łaukinisa na nocleg i zasadzkę. Domowa, kwaśna woń zaleciała od tej siedziby.

— Cóż to, Łaukinis, kożuchów tu naniosłeś? Nie bałeś się, że kto chwyci?

— Wilk nie chwyci kożucha bez żywego mięsa, a człowiek każdy wie, że moje — Niech który popróbuje chwycić! — —

Głos kłusownika szczęknął złowrogo.

— Chcesz spać, Miś? — odezwał się Stanisław — jeszcze daleko do toków — suń się w kożuch i śpij; już ja wczas rozbudzę.

— Dziękuję, nie jestem śpiący. A w kożuch nie ubrałbym się w żadnym razie; spociłem się od tej przeprawy po lesie.

— A noc taki chłodna...

Wszystkim trzem zachciało się dymu tytuniowego, zachodziła tylko wątpliwość, czy dym nie spłoszy cietrzewi. Jednak wobec nieprzepartego pragnienia znajdzie się zawsze usłużna teorya. Łaukinis dowodził:

— Jemu (cietrzewiowi) tylko ognia nie pokazuj, ani sam stawaj na widoku, ani głosu z siebie nie dawaj — — a zapach jemu wszystko równo. Nos u jego twardy, nie poczuje.

Wpełzł do otworu budki, zapalił fajkę od bladego płomienia siarczyka, a potem, zakrywając żar dłonią, podał ognia do papierosów dwom myśliwym. Usiedli na ziemi przed budką, rozpoznając się wzajemnie tylko po nikłych zarysach trzech plam gęstszego mroku, z których każda miała swój głos właściwy i przypominała postać znajomą. Stach, bardzo utalentowany do snu na zawołanie, ziewnął przeciągle i zarazby pewno chrapnął, gdyby Miś nie zagadał:

— Kiedy one grać zaczną?

— Tak o trzeciej — a o czwartej już po szabasie.

— Czy obaj będziemy strzelali z budki?

— Nie; ja pójdę do dnia na drugą stronę polany, w ten brzeźniak, przez który szliśmy. Albo idź ty — —

— A jaby paniczu radził w brzeźniak — wmieszał się Łaukinis, zwracając się do Pucewicza.

Zawodowy kłusownik i nocny myśliwy musiał wiedzieć, gdzie lepiej. Więc Stanisław zapytał:

— To czemu tutaj budkę postawiłeś, nie w brzezinie?

— Budka dla miastowych myśliwych. Kto czuje las, bez budki lepiej utrafi.

Nie pierwszy raz zauważył Michał niechęć ku sobie Łaukinisa. Korciło go to z paru względów: Łaukinis był powagą w zakresie dzikiego myśliwstwa i — stryjem Warszulki. Już parę razy próbował Michał przejednać go datkiem. Wolny strzelec przyjmował wprawdzie ruble niby należną daninę, ale nie pozbywał się wobec Rajeckiego wyniosłej oziębłości. Zauważył to i Pucewicz, psycholog chytry, choć nie popisujący się głośno swemi spostrzeżeniami.

— Idź sam, Łaukinis, do brzeźniaku, póki jeszcze las śpi. Prochu i śrutu masz dosyć?

— Jest na dwa, trzy strzały.

— Mało — — Masz tu sześć nabojów — mnie wystarczy.

Milcząc wyciągnął kłusownik rękę po najmilszy z podarków: proch angielski i śrut twardy, których wyższość strzelniczą już znał, ale trudno mu było zaopatrywać się w te przybory z powodu, że w miastach rzadko bywał i nie posiadał pozwolenia na broń. Wziął naboje i powędrował cicho, jak lis, na wspomniane stanowisko w brzeźniaku.

Stanisław teraz się rozgadał.

— Uważaj ty, Miś, z Łaukiniem. On chłop dobry, póki dobry; ale kiedy rozezłuje się, on na każdą sztukę gotów.

Rajecki tak się zdziwił, że odpowiedział dopiero po chwili:

— Jakto, »uważaj«? Cóż ja jemu złego zrobiłem?

— A ja już nie wiem... podobno łajałeś go?... i strzelbą pogroziłeś? — —

— Ja jemu? — nigdy.

— Może tak tylko gadali — — A wiesz? on stryj Warszulki.

— Wiem. Cóż z tego?

— Tak widzisz, on z tej przyczyny niebezpieczny.

— Nie dobrze rozumiem.

— Trzeba ich znać. Ojciec Warszulki teraz choruje, bo się prze-



rwał przy dźwiganiu. Matka dobra baba, tyle ma roboty w chacie, że i nie myśli. A ten brat ojca, który tu z nami, choć on kłusownik, po twojemu złodziej, ale swój honor ma i za siebie i za rodzinę.

— Niech go sobie schowa do torby razem z kradzioną zwierzyną — odparł Michał.

Chciałby teraz przyjrzeć się twarzy przyjaciela, aby łatwiej zgadnąć, dokąd zmierza w tej rozmowie, lecz noc była jeszcze nierozdarta. Tylko wietrzyk chłodny, poprzednik świtu, budził w liściach obiecujące szmery.

Stanisław, po krótkim namyśle, rozpoczął znowu:

— Łaukinie te nie z kątników; stara gospodarska rodzina, kowieńska.

— Ach, stara! — odrzekł Rajecki trochę niecierpliwie — I twój kamień na polu pod Gaczańskim gajem jest stary... i kowieński.

Ale Pucewicz był wyjątkowo poważnie nastrojony; pomijając żarty, ciągnął uparcie swą naukę moralną:

— A taki między nimi są różnice; jedni noszą się z honorem i dbają o niego, drudzy nie dbają. Łaukinie wszystkie chłopy harde.

— Jak Trembele naprzykład? — zagadnął Michał celowo.

— Trembele najpierwszy u nas gatunek — odpowiedział Stach z pewną dumą, jakby solidaryzował się zupełnie ze swymi sąsiadami z chat.

Obaj przyjaciele zgadywali już mniej więcej wzajemne swe zamiary w rozmowie, ale nie docierali do wyrażenia ich zupełnie jasnego. Litwini są przedewszystkiem wrażliwi i delikatni; stąd wypływa ich nieśmiałość i osławiona »chytrość« w stosunkach nawet przyjaznych; jest to w istocie oględność na wrażliwość cudzą, wielka zaleta towarzyska.

Urwała się rozmowa a tymczasem dzień wiekuiście mocny poczynał wracać do porzuconej w ciemności ziemi i ziemia jęła się stroić w swe wdzięki. Dostrzegli myśliwi, że siedzą na małem wzniesieniu, zasłonięci od polany cieniem drzew, rozpadającym się powoli na wysmu-

kłe kolumny pni, obwisłe palmy jodeł i kapryśne bukiety liścia; że nad oparzeliskiem polany mgła coraz srebrniejsza podnosi się leniwie z leża i ciągnie pochyło ku lasowi, jak stróżycha przepaści, przed dniem uciekająca. Wysoko, nad czubami jodeł, niebo nasiąkało jasnością równą, wyraźnie już odciętą od kirów lasu. Będzie radosna pogoda. — — Spojrzeli po sobie i zobaczyli nawzajem twarze powleczone bladością niewywczasu, lecz błyskające z oczu namiętną ochotą wiosenną. Uśmiechnęli się do siebie — i popłynęły dalsze zwierzenia. Zaczął Michał niecierpliwszy, bo młodszy:

— Więc mówisz, że nasz Łaukinis strzeże Warszulki? Cóż gadałeś dawniej, że ona niby... łatwa?

— Nie mówiłem, że łatwa. Piękna dziewczyna, podobaliście się sobie — wasza rzecz i wolny wybór. Tylko ja teraz lepiej ją poznałem od czasu, jak służy u mnie w Potyłcie. Dziewczyna pracowita i dobra. Ona nie z tych, co to ją tylko chwyć, już twoja.

— Próbowałeś? — zapytał Miś bez namysłu.

— Uchowaj Boże! Ale ja patrzę i widzę. Ona robotę robi, za chłopcami nie patrzy, uczyć się chce, a już kiedy kto o tobie wspomni, cała w płomieniach. Tak i jest: kocha się w tobie.

— Cóż mi z tego przyjdzie? — odrzekł Miś z nadąsaniem.

— Twoja rzecz, mówię. Tylko ja tobie dam przyjacielską radę: nie bałamuć ty jej tak poprostu.

— Doprawdy, Stachu, nie poznaję cię. Dwa lata temu zupełnie inaczej gadałeś.

— Póki żyjesz, zmieniasz się — rzekł Stanisław sentencyonalnie.

— Nawet ojciec twój zauważył, żeś zdziczał, że unikasz towarzystwa.

— Mówiłeś z ojcem o mnie?

— Mówiłem; zresztą on sam zaczął o projektach małżeńskich dla ciebie.

— O jakich? — zapytał Stach ostrożnie.

— Wogóle — odpowiedział także przezornie Michał. — Właśnie twój przyjazd przerwał naszą rozmowę.

Stanisław podniósł oczy na niebo rozrzedzone świtem i w swym szarym stroju myśliwskim, pokrytym kurzem wielu wędrówek, wsparty łokciem na kolanie, młody a poważny, wyglądał romantycznie. Mówił, patrząc w dal:

— Ot, kiedy wziąć żonkę, to już według swojego gustu, żeby to

z nią i kochać się i żyć tam, gdzie urodziłeś się i, pomoc mieć w pracy... Mnie jeden ksiądz, przyjaciel i myśliwy, tak powiedział: rośnij i rozmnażaj się według rodzaju swego.

— To z Pisma świętego — wtrącił Michał.

— A już musi być, bo mądre. — Ojciec mnie posyła do Wilna wybierać między kuzynkami; jedna ładna i druga niczego — grają na fortepianie i czytają romanse — ale zgadnij ty, co w nich piszczy. Jedna może kaprysić, że dom w Gaczanach nie taki, a druga może mnie i nie zechce... Ja swoją żonkę znać chcę, kiedy już na życie...

— Poznałbyś — rzekł Michał, pamiętny prośby starego Pucewicza — gdybyś trochę więcej żył ze swojem towarzystwem. A ty ciągle w domu, w lesie... Nawet mało bywasz w sąsiedztwie i niema w niem panien.

— Dom mój — odrzekł Stach gorąco — to już jak dla żółwia skorupa: żywego od niej nie oderwiesz. Wolej tobie w mieście leźć po drabinie do najętego gołębnika i, przez okno nos wysunąwszy, wąchać, jak pachnie rynsztok i chałat żydowski? — A las nie piękne tobie mieszkanie? Ot masz Dusiacką puszczę, gdzie siedzimy; lubię ja ją, bo nie tak wielka, żeby głuszą ogarnąć człowieka i wpędzić jego w ponurość, ale i nie mała i wszystko w niej jest: łoś przechodni, sarny lęgowe, toki najpierwsze. I patrzeć na nią miło. Obacz, gdzie te jodły het w niebo lezą, jakie brzozy szykowne i krzewiny przy ziemi osobliwe. Malują ludzie lasy na płótnie — i podobieństwa niema. A pociągnij w piersi powietrza — cóż? nie pachnie? Są tu takie roślinki i jagody, że ich ksiądz Jundziłł, sławny wileński profesor, szukał i nie znalazł. Ojciec mi opowiadał... — — Na polankach są oka otwarte, skąd patrzy czarna woda piekielnie głęboka, albo i pokryta rzęsą, jak tutaj. To o tych okach różne rzeczy powiadają, wiadomo baby i ludzie ciemni a słabi. Bądź tylko zdrów i chytry, jak zwierz — ani ty w bagno nie zapadniesz, ani tobie nic złego w lesie drogi nie zastąpi. Las myśliwemu przyjaciel...

Zaczęli byli rozmowę praktyczną o swych sprawach sercowych, ale chwila życia w lesie rozświtającym ogarnęła ich swą młodą mocą i przykuła do wrażeń bezpośrednich. Las się rysował i oblekał już w barwy, a w sercach młodych strzelców budziło się pragnienie ogromne — nie tego już cietrzewia roztokowanego, nawet nie tych ust pięknej, znajomej dziewczyny, — pragnienie uścisku wszechświata. Wyssać z niego całą słodycz, być spółczującą monadą rozkoszy w tym błogosławionym pędzie wiosennym do wiekuistego życia!



Obaj naraz myśliwi drgnęli i przypadli do ziemi, nieruchomi, jak szare kamienie na zieleniejącym trawniku. Zadzwoniło po lesie głuchym dzwonkiem, niby zdławionym śmiechem, potem wybuchnął szum, jak wystrzelony gdzieś daleko szmermel. Czarny kogut podjeżdżał, chrzęszcząc w pióra, do romansowo gruchającej cieciorki. Zagrało powtórnie bliżej w brzezinie, ale zanim pyszny szmermel zakończył miłosnego kuranta, wybuch strzału potrząsnął lasem, odbił się parę razy o niewidzialne zręby pagórków i rozpłynął. Lekkie szmery w konarach drzew dały poznać, że niejeden skrzydlaty mieszkaniec, mający zwyczaj budzić się pod promieniem jutrzni, wyrwany został ze snu przez grzmot broni palnej. W harmonii powstającego dnia, pośród miłosnej uczty wielkich ptaków, śmiertelny przemysł ludzki zazgrzytał fałszem. Ale myśliwy, gdy proch poczuje, myśli już tylko o zdobyczy.

— Szelma Łaukinis! jednego już zdusił napewno — szepnął Stanisław.

Siedzieli jak trusie kilka minut, przytuleni do jodłowej budki.

— Gra znowu! — porozumieli się przyjaciele oczyma, bez głosu.

Jakoż niepomny gromowych ostrzeżeń, zacietrzewiony w swej miłosnej imprezie, zatokował kogut nieopodal od budki. Urwał, podleciał bliżej i spoczął na kępie o kilka kroków od myśliwych.

Michał, mając umówiony pierwszy strzał, powstał szybko i wycelował na śpiewaka niemiłosierną flintę.

* * *

Strzałów padło kilkanaście, ośm pięknych kogutów mieli myśliwi na pokocie, z których cztery zabił Łaukinis, ale mu je odkupiono, na co chętnie się zgodził, bo mięso cietrzewia-samca w porze tokowiska zaledwie jest jadalne, on zaś ustrzelił sobie »przypadkiem« dwie cieciorki; więc z rublem i zwierzyną w kieszeniach wesół odszedł do domu.

Michałowi i Stanisławowi nie pilno było powracać. Rozłożyli na mchu ośm kogutów w najpiękniejszych szatach weselnych, czarnych jak polerowany heban, z bogatymi bez szczerb wachlarzami — i cieszyli się pokotem.

Tymczasem las rozbudzony był już pełen ciepłej słodyczy. Nie straszyły już gąszcze, teraz koronkowo przejrzyste, nie groziły przepastne miejsca polany, łatwe w dzień do obejścia, znaczone rdzawym kożuchem, okolone jaskrawym chłopskim haftem, żółto-biało-różowym na zielonej osnowie. Nie wybuchały już po lesie nagłe, namiętne wołania i trzepoty; po ukojonej liściastej i szpilkowej powodzi płynął koncert surdyną, niby melodyjny wiatr, złożony z weseleń drobnych ptasząt, nieponętnych dla myśliwego, więc bezpiecznych; do starych pni przywarte prostopadle, bębniły takt dzięcioły. I rumieniły się już czuby drzew, nad nimi błękit srebrzysty wołał w nieskończenie świeżą i radosną przestrzeń.

— Daj mnie jeszcze ze swoich fabrycznych papierosów — rzekł Stanisław do Michała — kręcić mnie nie chce się, tak ręce w prochu i farbie całe, a i tytuń zamókł od rosy.

Zakurzył się wonny dymek, w połączeniu z silnymi zapachami lasu i z podnieceniem nieprzespanej nocy — haszyszowo odurzający.

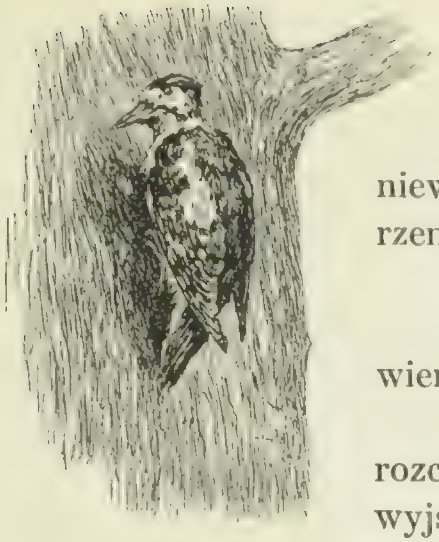
— Wytłómacz mi, Stachu — rzekł nareszcie Michał — cóż ten stryj Łaukinis taki zazdrosny o Warszulkę? Może on szedł za nami, kiedy polowaliśmy na słonki?

— Bóg jego wie, kędy on się włóczy... może i on? — — Opiekun jej, widzisz, i bardzo ją lubi.

— Chce się z nią żenić, czy co? Zdaje się, że sam nieżonaty?

— Ot nalazłeś! on żadnej żony nie weźmie, żeby jemu włóczyć się nie przeszkadzała, a jeszczeby córkę brata! Nie to. On ją chce porzą-





dnie za mąż wydać, nie tak, co to wiesz sto rubli, krowa i rodzina gotowa.

Miś, nieco zaambarasowany, odpowiedział niewyraźnie. A Stanisław błysnął ku niemu spojrzeniem niby wesołem, lecz rzewnem i badawczem:

— Bo wszak ty z nią nie ożenisz się?...

— Ja?! — zawołał Rajecki ze szczerem zdziwieniem.

— Tak widzisz — ciągnął Stanisław z pewnem rozczarowaniem w głosie — a ona może zaraz wyjść za mąż i dobrze: ma kawalera.

— Kogo? — żywo zapytał Michał — a to skryta bestyjka! Nic mi nie powiedziała!

— Ona jego; póki co, może i nie chce, ale chłopiec tęgi i z najpierwszych tutaj: Józef Trembel.

— Brat Janielki?... nie — przecie ona nie ma brata.

— Stryjeczny — objaśnił Stanisław.

Szybko powiązały się w głowie Michałowi różne spostrzeżenia z ostatnich dni, a zarazem uczuł, że napotkał w życiu sytuacyę poważną, wymagającą namysłu i męskiej decyzyi. I ktoby przypuszczał? z powodu tej małej, folwarcznej Warszulki! — — Ładna jednak, a kusząca, a tajemnicza, jak ten las...

Aby uniknąć na razie trudnego postanowienia, zwrócił obcesowo rozmowę:

— No, a ty, Stachu, co poczniesz z Janielką?

— To ja tobie powiem, kiedy pora będzie. Mnie ona nie zabawka...

Zamilkli. Bez podstępu, ostrożnie tylko odsłaniając skryte swe uczucia, wygadali się dostatecznie. Lekkomyślni przyjaciele mogliby się skusić do żartów i dowcipnych podrwiwań, z których często ktoś chce okazać wyższość swych poglądów na życie. Ci Litwini, dotknąwszy lekko nawzajem serc swych, rozedrganych głębokiem wzruszeniem, odjęli od nich ręce.

— Słońce tak głaszcze, prawie jak w lecie — odezwał się sennie Stanisław.

— Żeby to ciągle tu mieszkać! — westchnął, idąc za swem rojeniem, Michał. — Ale moje życie zaczepiło się już o tyle miejsc, osób, więzów...

X.

NA WIELKICH WODACH.



Powrócił lipiec tak świeży w zieleni i tak bogaty w zboża, owoce i jagody, w powiecie Jezioroskim, że ziemia zdawała się kwitnąć i rodzić po raz pierwszy. Aby zaś ją obejrzeć, najlepiej puścić się szeregiem jezior, powiązanych przez rzekę Świętą, cicho pędzić dubicę[1]) po trzcinach i ajerach nadbrzeżnych, albo i wypłynąć na środek, trafnie nastawiwszy dziób łódki na kierunek prądu, który ją porywa wtedy i niesie wartko, a nieznacznie, bez pomocy wiosła. Tylko pagórki ubarwione zbożami, albo zagajenie nad wodą, a bardziej jeszcze bucz[2]) zasadzony na brzegu i wyzierający nad powierzchnię, mijając śpiesznie, dają pojęcie o szybkości prądu, niosącego łódź na swym szklisto połyskującym grzbiecie.

Tę wspaniałą drogę wybrał sobie Michał Rajecki w celu polowania na kaczki — podloty, a także i dla przejrzenia nowego rozkwitu rodzinnego kraju. Wsiadł do łódki wczesnym rankiem daleko od domu, w górze rzeki, aby wieczorem powrócić do Jużynt, przeglądających się w jeziorze Roszy. Dubicę miał mocną, świeżą jeszcze, więc pachnącą żywicą sosny, której była odłamem; przy dziobie siedział suchy i zręczny rybak Stasiulanis i robił jednem wiosłem, przekładając je to na

[1]) »Dubica« — łódka z wydrążonego pnia, do którego po bokach dodają dla równowagi bale, zwane pławkami.

[2]) »Bucz« — rodzaj więcierza do łapania ryb i raków, zbudowany z obręczy, w kształcie wydłużonej beczki z siatkowemi ścianami. Zasadza się pochyło po brzegach rzek i jezior, wierzchnim otworem wychylony z wody.

prawo, to na lewo; Michał, siedząc na skrajnym tyle łodzi, przyciosanym na ławkę, przeważał cały statek swym ciężarem tak, że dziób szedł wzniesiony ponad wodą, kręcąc się na boki, jakby wietrzył i rozglądał się za kaczkami. Ale rzeczywiście wietrzył czarny pudel, Kuchta, majster do kaczek. Stojąc zadniemi łapami w głębi łodzi, a przedniemi na pławce, drżał całem ciałem sprężystem, obmokłem w wielu już dzisiejszych kąpielach; mądry swój łeb czarnego lewka trzymał sztywnie na wyprężonej szyi, zwracając go czasem nerwowo na boki; oczki to mu błyskały namiętnie z pod nawisłych kudłów, to przymykały się z delikatną dystynkcyą przed oślepiającym na wodzie pożarem słonecznym.

Święta wypływała szablistym łukiem z pośród pagórków, porośniętych wysokim lasem, rozlewając się szerzej na niższem miejscu, tworząc zatoki ciemniejsze pod wysokim cieniem, srebrne przy brzegach łąkowych. Od brzegów leśnych niedawno odbił Michał. Stamtąd teraz zagrzmiał strzał i rozhukał się po pagórkach w przeciągłą kanonadę.

— Pewno ksiądz Stulgiński nas dogania — odezwał się Michał po litewsku do rybaka, który nie mówił innym językiem.

— A jau anas [1]) — odrzekł z uśmiechem Stasiulanis, celując w dal oczyma, patrzącemi jastrzębio.

Ale jeszcze na widomym pasie wody w górę rzeki nie było widać nic, oprócz gładkiego srebra z błękitniejącym pośrodku dreszczem, który znaczył kierunek głównego prądu. Myśliwy, który strzelił, albo się zaszył w szuwary nadbrzeżne i schował się w nie cały z dubicą, — albo strzał padł wyżej na rzece, za zakrętem, pośród lasu. To było prawdopodobniejsze ze względu na rozgłośne echo. Więc Michał kazał Stasiulanisowi skierować dubicę do brzegu, na senną wodę, i czekał, wypatrując towarzysza, z którym się był umówił na dzisiaj, księdza Stulgińskiego. Był to proboszcz z Antoleptów, zawołany myśliwy i kompan setny.

Niezadługo wysunęła się od załamanego brzegu na środek rzeki dubica maleńka, jak polano, a na niej z jednego końca gruba bułka szara — to niechybnie proboszcz w ubraniu myśliwskiem — z drugiego końca nikła plamka czarna, nieprzewidziana.

— Jakiż to czarny przewoźnik na przedzie — zapytał Michał Stasiulanisa, który pilnie badał zbliżającą się łódź, aż kiwnął głową z przekonaniem:

---

[1]) A już on.

— Kunigelis isz Antaleptu [1]).

Przybywająca łódka, wpadłszy w prąd, szybko zbliżała się. Ksiądz Stulgiński spostrzegł już Rajeckiego i na powitanie wywijał młyńca strzelbą ponad głową. Księżyk siedział nieczynny i skulony w swej czarnej sutannie; pod słomkowym kapeluszem coraz widoczniej rumieniła się młodziutka twarz zamyślonego dziecka. Wiosło i długą rusznicę trzymał bezradnie na kolanach.

Przybiły nareszcie dubice jedna do drugiej, aż stuknęły się pławkami. Kuchta skomlił radośnie z pomnożenia myśliwskiej kompanii, a znajomi już zdaleka zaczęli wesoło opowiadać swe przygody.

— Dobrydzień, Misiutek! Swejkas, Stasiulanis! — gadał płynnie ksiądz Stulgiński — ot wynalazłem sobie kompana do polowania, że lepiejby kłodę do nogi przywiązał! Ksiądz Lelejko, do usług — ale do parafialnych, nie do myśliwskich. — Wywiozłem to, żeby się od książek oderwało, bo oczy ma już od nich jak królik, chciałem przewietrzyć i spławić, a to ani dubicy pędzić nie umie, ani do kacząt na wodzie strzelać nie chce. Czyż to twoi bliźni, księże wikary, czy co?

Młody ksiądz pod gradem tej dobrodusznej krytyki milczał ze spuszczonemi powiekami i nawet giestem nie zasłonił się od pocisków; siedział nieruchomy, uśmiechnięty niewinnie tylko dziewicze, bez śladu włosów policzki nasiąkały krwawym rumieńcem.

A zamaszysty proboszcz nie przestawał natrząsać się z milczącego księżyka:

— Do starki w lot dał jednak dymu — tyle, że i dymu! Kaczka naprzykład tu, a on jej sążeń za ogon śrut sypie i mnie nad uchem, aż osmalił. Oj niebożątko! czegożeś się wyrywało na polowanie?

— Ambulare tantum volui... — odszepnął ksiądz Lelejko, imając się łaciny dla ocalenia jako tako swej powagi.

Aż Michałowi żal się uczyniło biedaka i zaczepił proboszcza:

— Czy to księżom wolno zrzucać sutannę na polowanie, czy sam sobie ksiądz proboszcz dałeś dyspenzę?

— Ot! doctor utriusque juris, ale jeszcze nie gotowy. Sutannę ja całą w portki wsunąłem, a że ona szara, to na upał nawet ojcowie Kościoła zalecają. Już ty mnie kanonów nie ucz, a chcesz sutannę obaczyć — patrz! Myślisz, że to ja taki krągły? nie ja, sutanna.

---

[1]) Księżyk z Antoleptów. Wyraz pieszczotliwy, zdrobniały od »kunigas« (ksiądz).

Cięty był w gębie ksiądz Stulgiński, ale nikt się na niego za rubaszne przycinki nie gniewał, bo człek był serdecznie dobry. Szlachcic polski starego zakroju, z włościanami litewskimi żył w wybornej zgodzie. I ksiądz Lelejko, pochodzenia włościańskiego, szanował swego proboszcza, raziło go tylko, że tyle gada napróżno; chłopek nie rozumiał szlacheckiej fantazyi.

— Cóż stoim na miejscu? — zahuczał znowu ksiądz Stulgiński — kaczek mnie potrzeba ze dwa tuziny na odpust w Ucianach, a tu do południa dwie ubiłem i to klapacze chude.

— Ja mam już siedm — odrzekł z zadowoleniem Michał: — starkę, cztery podloty, a dwa klapacze Kuchta zdusił bez strzału.

— Wiadomo — odpowiedział proboszcz trochę zazdrośnie — i przewoźnika masz zucha i psa; a my tu z księdzem wikarym polujem sobie — po łacinie.

— Nie mogę księdzu proboszczowi pożyczyć Kuchty, bo ode mnie nie pójdzie; ale proszę brać Stasiulanisa, a ja księdza Lelejkę wezmę do siebie.

— A bierz jego sobie choć do Jużynt na kwaterę! — zawołał proboszcz uradowany.

Ale spostrzegłszy zafrasowanie księżyka, pogłaskał go łagodnem słowem:

— Jak chcesz, carissime frater. Rok z sobą żyjem w zgodzie, bo chociaż psa nie warteś na polowaniu, in ecclesia święty z ciebie młodzianek. Więc zostańmy już z sobą na lądzie i na wodzie — —

Ale Rajeckiego ujęła dziecięca słodycz księdza Lelejki, więc szczerze nalegał:

— Jeżeli ksiądz wikary łaskaw, bardzo proszę do mnie. Z pędzeniem dubicy ja sam sobie poradzę.

I młody ksiądz chętnie się wybierał do młodego myśliwego. Zatem ponieważ wszyscy zgadzali się, dokonano zamiany. Stasiulanis lekko i technicznie przeskoczył z czółna na czółno, ledwie oba zadrgały na wodzie. Ale ksiądz Lelejko, chociaż niewielki, stąpił tak ciężko na pławkę dubicy Michała, że ledwie jej nie przewrócił i sam nie wpadł do wody. Skończyło się na zamoczeniu nóg i na śmiechu. Nanowo skonfundowany księżyk usiadł cichutko na ławeczce i trwał tam w zarumienionem milczeniu. Twarz zaś księdza Stulgińskiego, rozszerzona do pełni zadowolenia, ożywiła się łowiecką ochotą:

— Teraz ja po swoim brzegu, ty, Misiutku, po swoim Jużynckim — i biada kaczkom!

Dubica proboszcza, sprawnie kierowana przez Stasiulanisa, odpłynęła szybko do dalekiego lewego brzegu; rzeka w tem miejscu poczynała rozlewać się w jezioro.

Rajecki zaś i Lelejko posuwali swe czółno przez trzciny prawego brzegu, rozstępujące się pokłonami, z suchym szeptem. Okazało się, że księżyk, skoro się wyzwolił z pod tyranii proboszcza, robił wiosłem niezgorzej; w każdym razie dubica płynęła naprzód, a że trochę kręciła nosem, tem lepiej wycierała szuwary, przypuszczalne kryjówki kaczek. Kuchta, ciągle w paradnej postawie na warcie, łowił wiatr w czarne nozdrza, namyślał się nad jego treścią, zerkał szatańsko, czasem drgnął i wyrywał się do skoku. I znowu zmiarkowawszy, że dobrze ułożonemu psu nie wypada kompromitować się, skacząc do wody po próżnicy, cofał głowę między łopatki, ruchem dostojnym. — — Aż nagle wychylił się gwałtownie, zebrał się potem w sobie, i odsadziwszy się zadem potężnie od łodzi, chlusnął do wody.

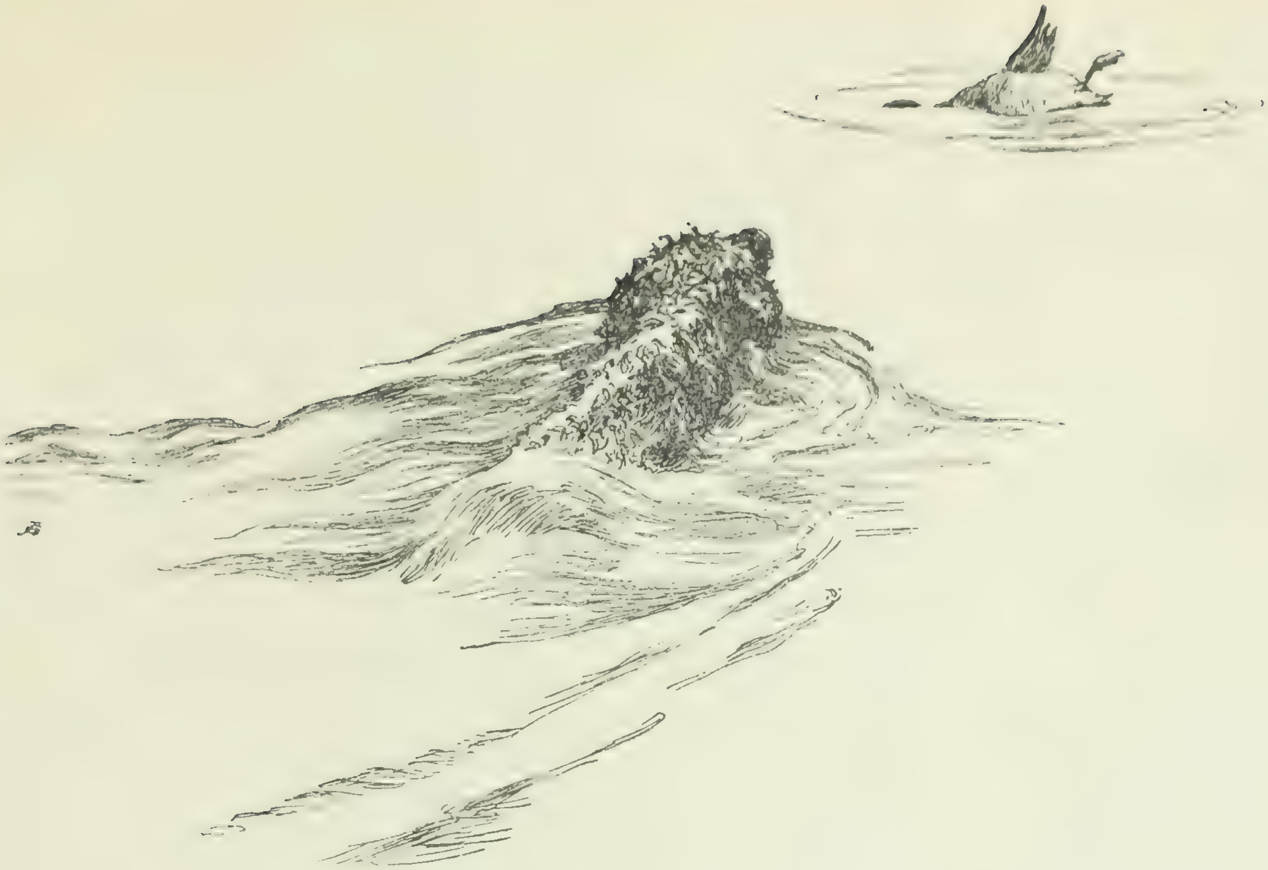
Natychmiast zagotowało się w trzcinach od trwożnych kwakań i chlupotów. Nad miecze ajeru i szyszkowate czuby trzciny ciężko podniosła się kaczka, matka stada, rozpaczliwem kwakaniem skarżąc się na rozbój. Strzał Michała strącił ją z powietrza i uspokoił na wieki. Tymczasem zgiełk nie ustawał, gdyż Kuchta uganiał się wpław za stadem kacząt klapaczy, które uciekały szeregiem, uderzając wodę nie dosyć jeszcze upierzonemi lotkami, niby wiosełkami z czarnego i żółtego pierza. Kwakanie ich było jeszcze pomieszane z pisklęcą skargą. Za spłoszoną czeredą czarna głowa pudla goniła okrutnie, to parskając, jak foka, to dając głos, jak pies gończy. Chociaż jednak głupie kaczęta zapomniały w popłochu o nurkowaniu, pies nie doganiał ich wpław, pędzał tylko i straszył niemiłosiernie. Ale zupełnie odsłaniały się i wystawiały na strzał. Jednak Michał ociągał się — zbyt marna i łatwa była zdobycz — — Spojrzał na młodego księdza, który wreszcie przemówił z ożywieniem:

— Proszę nie strzelać! to jeszcze niewinne służki Boże...

I Michał był tego zdania, choć miał serce zatwardziałe dla zwierzyny. Krzyknął na psa:

— Kuchta tu! Kuchta pfuj! mały ptak!

Pudel odwrócił nieco głowę, spojrzał na pana z niedowierzaniem i z podziwem, że kaczkę nazywa małym ptakiem, jednak płynął jeszcze



za stadem, tylko z mniejszym zapałem, bez głosu, zapewne z krytycznym namysłem.

— Jakiejże ode mnie chcą służby? — — I wyżeł lepiejby nie zwietrzył i gończy lepiejby nie gonił... Ludzka niekonsekwencya!

Ale Michał krzyknął znowu, wskazując zabitą starą kaczkę, leżącą na wodzie:

— Kuchta! daj tu! aport!

Pudel zwrócił myślący łeb we wskazanym kierunku.

— Aha... to rozumiem.

I puścił się prosto na głębszą, niezarośniętą wodę, ku zabitej kaczce. Widać było w przezroczu, jak pracowicie wiosłował cienkiemi łapkami, aby posuwać nie do pływania stworzone, całkowicie, prócz głowy, tonące swe ciało. Chwycił nareszcie kaczkę w pysk, zawrócił mozolnie i zbliżył się do czółna. Michał wychylił się na przyjęcie Kuchty, ujął go oburącz za przednie łapy i obmokłego, a wycieńczonego w postać czarnej małpy wciągnął razem z kaczką na dubicę. Obruszył się Kuchta potężnym dreszczem, opryskał myśliwych, jak z obfitego kropidła, po ubraniu i po twarzach.

— Przestaniesz ty?... smoluchu!...

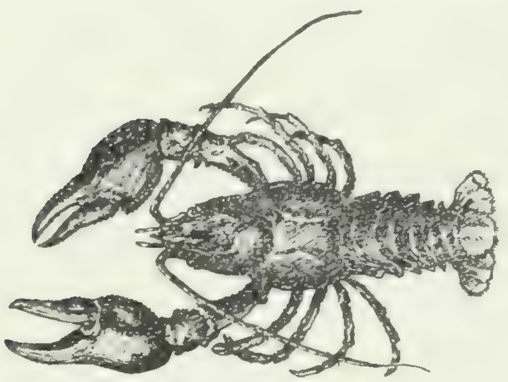
— Co znowu?!... — wyrażał pies zgorszonemi oczyma.

Ale ugłaskano go, pochwalono i harmonia nastała zupełna. Kuchta

wartował znowu, wspięty na brzegu łodzi, drżąc i dymiąc z obmokłego kożucha pod skwarem południowym.

Sennie rozlewała się godzina po wodzie coraz szerszej, coraz bardziej lustrzanej i oślepiającej gorącym blaskiem. Tylko woń jeziora, wstając słodkim oparem, chłodziła spieczone twarze myśliwych. Spały szuwary i wszelkie w nich głosy zamarły. Pospały się zapewne i kaczki; wylazłszy kulawo na brzeg, zaszyły się w gęstszą trawę gruntową, zapominając o żerze, o alarmie zasłyszanych strzałów, o świecie. I kaczka lubi zapaść w błogą nieświadomość drzemki; czy zaś w tym stanie o czemś marzy? — nie dociekli jeszcze przyrodnicy, ani nawet bliżsi dzikiej przyrody — myśliwi.

Na gładkiej wodzie roiło się tymczasem maleńkie życie muszek — tanecznic, a do zanurzonych roślin przyfruwały czasem wystrojone panny, długo coś szeptały sztywnym trzcinom i jędrnym kielichom lilii wodnych, w omdlałym pocałunku.



Plemiona podwodne, zagospodarowane w swych topielach wyśmienicie na lato, nurtowały sobie po chłodniejszych głębiach; jednak czasem jaka ryba, ciekawa, jak smakuje gorące powietrze, chlipnęła go sobie nad powierzchnią wody, a kompanie ruchliwych stynek podpływały też do wyższego nurtu, przetykając go dreszczami srebrnej łuski. Na miejscu dna przy brzegu, płytkiem i nieporośniętem, widać było wielkiego raka, który wystawiał stary grzbiet zapleśniały na słońce i z lubości rozwierał powoli czarne swe cęgi.

Od godziny nie spotkano kaczek, ani wogóle czegoś godnego strzału.

Znudzony Kuchta położył się na dnie czółna, ludzie zaś poczuli także omdlenie od upału, zanik łowieckiej ochoty, a że polowali już kilka godzin, więc i głód zaczął się objawiać.

— Cóż, księże wikary — rzekł Michał — trzeba będzie się posilić.

— Można — odrzekł Lelejko.

— Ale w tym skwarze nieprzyjemnie — przetnijmy jezioro aż do tamtej wyspy zadrzewionej; tam i cień znajdziemy i prawdopodobnie kaczki. Niech tylko ksiądz łódkę skieruje do prądu, a zaniesie nas prosto do wyspy — już ja to znam.



Lelejko wykonał, milcząc, zlecenie. Dubica, doprowadzona do łożyska Świętej, przecinającej jezioro Roszę, popłynęła z prądem. Bez wiatru na roztoczy porywającej, jechało się jak we śnie. Zaledwie odczuwalne głaskanie powietrza po twarzy sprawiało wrażenie, że raczej spotęgowany zapach wód i łąk idzie naprzeciw łodzi; a jednak źdźbła piany mijały za łodzią szybko na głębokiej, nagiej toni.

Michał położył strzelbę wpoprzek dubicy, Lelejko tak samo wiosło; Kuchta stał cicho w kierunku jazdy, rozmyślając zapewne, że gdyby tutaj skoczyć mu przyszło do wody, nie dopłynąłby chyba do rozstępujących się na wiorstę wokoło brzegów. Nie było co czynić na cudownej wodnej przestrzeni, tylko patrzeć, oddychać i myśleć.

— Prawdziwa satysfakcya tak płynąć! — odezwał się niespodzianie Lelejko.

— Rzeczywiście — podchwycił Rajecki. — A ksiądz nie często jeździł po jeziorach?

— Życie moje płynęło inaczej...

Michał skorzystał z widocznej w uśmiechu księżyka chęci do zwierzeń i jął wypytywać:

— Dawno tu ksiądz nie był?

— W szkołach będąc i w seminaryum w Petersburgu, dwa razy tylko powracałem. Wyświęcono mnie w przeszłym roku i dano miejsce przy probostwie w Antoleptach. Teraz więc ja znowu »na rodzinie«.

Lelejko załamywał się czasem na rusycyzmie, mówiąc po polsku zresztą dość gładko, stylem książkowym. Ale wstydził się swych błędów. Gdy spostrzegł z miny Rajeckiego, że ten z pewną trudnością zrozumiał zwrot mowy »na rodzinie«, zamiast w »rodzinnym kraju«, rzekł pokornie:

— Uczyłem się kilku języków razem i trochę... przemieszałem.

— A po polsku gdzie i od kogo ksiądz się uczył?

— Z książek ja raczej brałem polską naukę. W rozmowie tutaj trudno się poduczyć; wszyscy źle mówią. Ot pan co innego: kiedy dostrzeże, może poprawić?...

— Z największą przyjemnością. I widzę, że ksiądz dba o dobrą polszczyznę.

— Obowiązek tutejszemu księdzu znać oba nasze języki — odrzekł Lelejko poważnie.

Tem większej nabrał do niego sympatyi Rajecki, stwierdzając, że młody ksiądz nie należy do wojujących z polszczyzną nacyonalistów li-

tewskich, kocha zaś swój kraj taki, jakim go dzieje przez wiekowe ewolucye i próby urobiły. Przytem Lelejko, gdy przezwyciężył nareszcie swą nieśmiałość, okazywał coraz więcej rodzimej dystynkcyi i dziewiczego jakiegoś wdzięku.

— Ile też ksiądz ma lat, z przeproszeniem?

— Dwadzieścia cztery.

— Rok więcej ode mnie! sądziłem, że młodszy. — I dobrze księdzu w Antoleptach?

— Dobrze; proboszcz porządny człowiek, krewni blizko...

— I ksiądz się kieruje powoli na proboszcza?

— Jeżeli Bóg pozwoli — na profesora.

Michał przygryzł wąsika, — tak dalece z dziecięcą tą postacią nie licowała powaga profesorska.

Strzał na lewym brzegu przypomniał rozmawiającym, że ksiądz Stulgiński, pomimo tuszy i upału, nie próżnuje. Spojrzeli w tę stronę, mały wybuch błękitnego dymu oznaczył miejsce nowego strzału; po długiej dopiero chwili doleciał huk i odbił się o wysokie drzewa na wyspie.

— Będzie dobra wiorsta — rzekł Michał — i jeżeli tam znalazł stado podlotów, jak mi się zdaje, nie przyciągniemy go na wspólne śniadanie. A my przybijmy do wyspy i zjedzmy coś, bo już głód rzeczywiście dokucza.

Na dwumorgowej może przestrzeni wznosił się pośrodku jeziora wspaniały bukiet czarnej olszyny, podszyty gąszczem krzewów i jagód, opasany po brzegach wiankiem trzcin dziewiczych, nietykanych prawie przez ludzi. Rybakom nie chciało się zazwyczaj płynąć wiorsty od brzegów do wyspy. Tylko rzadkim myśliwym i miłośnikom przejażdżek wodnych znana była wyspa środkowa, dziwny i śliczny pomysł przyrody.

Rajecki i Lelejko z niemałym trudem przebijali się przez szeroki pas okolnych szuwarów, chwytając w garście snopy zielonego sitowia i przyciągając tym sposobem dubicę do twardego brzegu. Ginęli całkowicie w lesie trzcin; poczuli się przez kilka minut fantastycznie i rozkosznie małymi w gąszczu przenoszącym ich wzrost i horyzont. Gąszcz drzew tego wrażenia nie daje, tylko przepaście łodyg wiotkich, łatwych do rozsunięcia lub złamania, ale nieprzebranych w swej mnogości.

— Prawdziwy step na wodzie! — mówił Michał — a pachnie, że aż w mózgu wierci.

— Kiedy u nas żyto się uda, — zauważył Lelejko — wejść we środek — tak samo świat z oczu ginie... i przyjemnie.

— Lubi ksiądz między żytem chodzić? Ja pasyami lubię, zwłaszcza gdy kwitnie.

— Chodziłem i ja, ale przestałem; nadto świeckie myśli przychodziły do głowy.

— Prawda, przychodzą! — zaśmiał się Michał zmysłowo, bo przypomniał, że woń kwitnącego żyta budziła w nim nieodmiennie wizye kobiece, przez jakoweś pokrewieństwo zapachów. I ten las trzcinowy pod upałem odurzał podobnemi wizyami.

Przebili się wreszcie do twardego brzegu, wysiedli z dubicy i pod ścisłym cieniem wielkich drzew rozciągnęli się z lubością na murawie.

— Ile tu jagód! — wołał coraz swobodniej Lelejko.

— Ale pijanic ksiądz nie jedz; dur mają w sobie, a nawet truciznę.

— Kiedyż to czernice! o — we środku czerwone, nie białe.

— Prawda...

— A tutaj maliny! same te najwonniejsze, leśne.

Skąd się tu wzięły nasiona dobrych jagód? Czy wiatr był swatem między odległemi wzgórzami Jużynckiego parku a wyspą? czy całą wyspę oderwały jakieś przedwiekowe zalewy od większego lądu? — — Nie zastanawiali się nad tem młodzi, zbierali garściami jagody i jedli, a świeże były i gasiły wybornie pragnienie.

Michał dobył z torby zapasy jadalne.

— Wódkę ksiądz pije? — — nie?

— Napoju pijanego nie używam.

— Ale mnie przynajmniej ksiądz pozwoli... to chłodzi.

Zjedli niewiele chleba zmięsem; większe powodzenie miały surowe ogórki i wczesne różowe jabłka, zwane »perlutkami«.

— Ksiądz, zdaje się, i tytuniu nie pali?

— Nie palę: unikam wszystkich alimentów podniecających.

— Ależ ksiądz, widzę, jest wcieloną doskonałością — rzekł lekko Michał.

— Czy to wstyd dążyć do doskonałości? — odpowiedział Lelejko z dziecięcą powagą.

Zdanie było zastanawiające, ale Michał, zupełnie świecko usposobiony i nie pochopny tutaj do dyskusyi metafizycznej, ziewnął i wyciągnął się na trawie. Księżyk zaś siedział zwinięty w czarny kłębuszek, nad którym rumieniła się okrągła jagoda jego głowy.

Upał, nasycony mocnemi woniami, był pełen faunicznej namowy;

coś dziko i namiętnie dyszało w pobliżu, niby lubieżne, przyśpieszone oddechy; w powietrzu były elektryczne dreszcze, w ciszy — kobiece wołania. I gdyby w tem pustkowiu zobaczył nagle Michał błyszczące pożądaniem oczy dziewczyny, gdyby nawet świeżość warg rytmicznych poczuł na ustach, nie zdziwiłby się. »Ona« była w pobliżu.

Odezwał się nagle do Lelejki:

— Czy ksiądz przy swych zajęciach... i umartwieniach nie żałuje czasem... życia?

— Pan nazywasz życiem rozkosz fizyczną?

— Wysubtelnioną przez intelekt... przez krytykę intelektualną — nadmienił Rajecki.

— Ot właśnie. Ale jak wysubtelnioną? — U mnie jest co do tego osobna teorya.

— No? jaka?

— Teorya nie moja, podobno indyjska; ja ją poznałem z jednej książki i próbuję... przykładać do życia.

— »Stosować« — chce ksiądz powiedzieć?

— Tak, tak: stosować. Tylko ona nie ze wszystkiem przyzwoita.

— Czegoż mamy się wstydzić między sobą, mężczyznami jednych at i na pustej wyspie. Kuchta nawet nas nie zrozumie.

Drzemiący Kuchta, usłyszawszy, zwrócił pół-przymknięte oko pogardliwie:

— Nie raczy rozumieć...

— Tema, widzi pan, taka, — mówił młody ksiądz — że, traktowana żartobliwie, prowadzi tylko do grzechu słowem; a seryoznie biorąc, rzecz może i święta?...

— Możemy mówić zupełnie poważnie.

— A kiedy tak...

Przemocne skupienie i walka z nieśmiałością wybiły perły potu na białe czoło księdza. Po przerwie zaczął przez zęby, jakby się poddawał bolesnej operacyi:

— Kiedy mówiliśmy o rozkoszy fizycznej, znaczyło w języku filozoficznym: popęd płciowy.

— Zasadniczo — tak.

— Gdyby ja jego potępiał, byłoby niemądrze. To siła przez Boga stworzona, mocna i dobra. Ale jej można rozmaicie używać...

— ..... ??

— Mnie zdaje się, że ona u człowieka służy nietylko do stosunku mężczyzny z kobietą.

Michał, nad spodziewanie zajęty wywodami księżyka, zmienił swą pozycyę leżącą na siedzącą i, objąwszy oburącz kolana, słuchał pilnie.

— Popęd płciowy można... jak to mówi się? — po rosyjsku: *odoleť* —

— Opanować. Rozumiem: myśli ksiądz o abstynencyi, naprzykład w stanie kapłańskim.

— O tem i jeszcze nie... — łamał się Lelejko z trudnością dosadnego wyrażenia. — Można jego opanować, ale nie zmarnować. Ten popęd to jest wogóle siła twórcza, kosmiczna. Za jej pomocą jedni odkrywają nowe prawa przyrody, inni piszą piękne książki, tworzą dzieła sztuki. Najgrubszy sposób użycia tej siły jest do rozmnażania rasy.

— To i ja spostrzegłem — rzekł Michał — że praca umysłowa zmniejsza zachcianki erotyczne, a na odwrót jest się mniej zdolnym do pracy umysłowej po tęgiej hulance.

— Hulanka to już rozpusta — skrzywił się lekko ksiądz — ja z nią nie chcę liczyć się w mojej teoryi. Mnie chodzi o przerabianie energii zwierzęcej na duchową.

Rajecki poczuł, że Lelejko przewyższa go w ścisłości rozumowania; skupił się więc i słuchał uważniej. A ksiądz cedził powoli, z natężeniem myśli, z chłopskim uporem, swe wywody.

— Mnie zdaje się, że kiedy Pan Bóg stworzył taki instynkt w każdym człowieku, to nakazał go używać.

— Bezwarunkowo. Jest to instynkt przyrodzony, zatem i potrzebny i chwalebny.

— Ja też nie potępiam żadnego człowieka, który żeni się i rozmnaża. Ale jeżeli energia, pochodząca z tego instynktu, jest jedna do wielu czynów twórczych, może człowiek wybrać, do którego chce je użyć.

— To jest chce ksiądz powiedzieć, że można tę energię podzielić między prokreacyę i prace umysłowe? Nie mówię o abstynencyi katolickich księży, która jest umartwieniem.

— A ja właśnie chcę mówić o absolutnej czystości męskiej. Dla mnie ona nie jest umartwieniem.

— To rzecz... gustu i temperamentu.

— To może być i źródłem pięknego zadowolenia, kiedy czujesz, że zwierzęcą siłę płciową przerabiasz na wysoką, ludzką energię intelektualną. — I można ją przerobić — zakończył] ksiądz z niezłomnem przekonaniem.

Pomilczeli trochę, sprawdzając wstecz przebieg rozumowania. Michał zagadnął znowu:

— I ksiądz nigdy nie znałeś kobiety?

— Nigdy.

— Ale tęskno było czasami... co? ciężko?...

— Może i tęskno... Tylko ja czułem od dzieciństwa, że mnie inna droga... A od czasu, kiedy ja wiem, że mojej zwierzęcej siły użyć mogę na dzieło duchowe i na chwałę Bogu, już i nie ciężko.

— Poniekąd rozumiem. — — Jednak jakże ksiądz dochodzi do zastosowań praktycznych? jak przerabia? W tem sztuka!

— Pracuję ciągle mózgiem, czytam, a kiedy już nie, układam w głowie myśli do spisania w przyszłości. I uciekam od wszystkich okazyi podniecenia.

— Dlatego ksiądz nie wchodzi w kwitnące żyto — rozumiem. No, a jeżeli okazya zdarzy się wypadkowa, nie mówię do... czynu, ale do podniety zmysłowej?... przy jakiemś spotkaniu, widoku... albo chociażby dzisiaj, tutaj, gdzie natura woła do fizycznej rozkoszy? Tu pachnie rozkoszą...

— Czuję i ja — odpowiedział ksiądz, wznosząc oczy miłośnie do swoich wysokich wizyi — ale we mnie jest już taki upór... wola uparta — — ja umiem już przerabiać. Z wrażeń zmysłowych rodzą się wyższe myśli. Ot i z pokus tej wyspy urodziła się piękna rozmowa.

Skoro tylko nazwali ją piękną, rozmowa się urwała. Michał spoglądał z niejakim podziwem na młodego chłopka w sutannie, który mu się wydał z pierwszego rzutu oka zaledwie godnym uwagi. A księżyk zapadł znowu w swą rumianą pospolitość, siedział cicho ze spuszczonemi oczyma.

Wypadało jednak, ze stanowiska myśliwskiego, przerwać leniwy odpoczynek i przetrząść brzegi wyspy, na której, według legendy, lęgły się czaple, a już kaczki winny były obowiązkowo znajdować się w sitowiu. Michał postanowił obejść wyspę piechotą z powodu trudności pędzenia dubicy przez gruby pierścień z trzciny i ajeru. Kuchta wycierał gorliwie, myśliwi napatrzyli się dowoli ogromnej wybujałości sitowia, kryjówek obiecujących, dzikich jak zaświat, najedli się jeszcze jagód na lądzie, pili, w braku innej, słodką i gęstą wodę z jeziora, — ale kaczek nie zdybali. Kaczkom, prowadzącym w tej porze roku życie rodzinne, matkom zapobiegliwym o przeżywienie piskląt nie dość jeszcze lotnych, milsze były brzegi tłuste, blizkie kultury ludzkiej. Z tej kultury

ciągnie się soki pożywne, z niej i śmierć czasem wypada. Taki już los kaczy podobny do człowieczego. Wyspę odwiedzą pod jesień, gdy już wszystkie lotne i szybkie nosić się będą chmurami dla ochoty i wprawy do zamorskich podróży.

Pierścień sitowia okazał się w jednem miejscu przerwanym; rąbek mułu i żwiru spełzał tutaj z lądu do jeziora, które, pomimo nadzwyczaj cichego dnia, przychodziło do brzegu płasko karbowaną falą; jej to lekkie i upalne westchnienia słyszeli młodzi podczas śniadania.

— Tutaj trzeba było przybić dubicę — rzekł Michał — nie znałem tej przystani.

— Ale tam piękniej było — zauważył Lelejko.

— Prawda i to.

Na żwirze sterczały dwa drobne kuliki, jedyni pono dzisiaj lotni mieszkańcy międzywodnej głuszy. Kuchta rzucił się na nich z impetem, spłoszył — i jasno pstrokate ptaszki poczęły uwijać się zygzakami nad sitowiem, przepadać, znowu śmigać na widoku myśliwych, jakby wyzywając ich do trudnego strzału.

Michał machnął ręką:

— Niema co strzelać; ani to bardzo piękne, ani smaczne — — żeby choć bekasy!

W tej chwili rozległ się strzał na wodzie dosyć blizki, a zarazem ucięło coś, jak biczem po trzcinach.

— Tam do licha! śruty tu świszczą! — zawołał ostrzelany już Michał. — Pewno proboszcz...

Jakoż, wychyliwszy się ostrożnie z za firanki sitowia, ujrzeli dubicę księdza Stulgińskiego, zbliżającą się do wyspy, o paręset kroków, a między łódką i wyspą — czarno-srebrzystą, dużą plamę na wodzie.

— Nur! wspaniały nur! — zawołał Michał stłumionym głosem. — On do niego pierze na sto kroków, nigdy nie dosięgnie. — — Spłatamy mu sztukę! — —

Pociągnął za ramię Lelejkę i podeszli obaj na wyższy brzeg i ukryli się za grubym pniem olchy.

— Stąd widzimy dobrze i zasłonięci jesteśmy od zapalczywego proboszcza, który nas gotów jeszcze postrzelić. A nura my dostaniemy — niech ksiądz tylko trzyma psa, żeby nie skoczył do wody. — — Kuchta! kusz! waruj!

Nur lawirował ukosem ku wyspie, kręcąc się na fali, ukazując to ciemną plamę swego łódkowatego boku, wielkości prawie indyka, to

front swój z wyniosłą szyją, obfitymi przy dziobie bokobrodami i pierś tak metalicznej bieli, że lśniła pod słońcem, jak polerowane srebro.

— Strzela znowu! — szepnął Michał i wepchnął Lelejkę za pień, sam zaś, napół wysunięty, obserwował pilnie.

Śmignął strzał księdza Stulgińskiego po wodzie; śruty obsypały rzęsiście miejsce, gdzie znajdował się przed chwilą nur, ale już go na wodzie nie zastały. Szybszy od śrutu, zniknął, tylko płynne kręgi znaczyły miejsce ucieczki do głębiny.

Po dobrej minucie wynurzył się znacznie bliżej od wyspy, na dystans ze siedmdziesięciu kroków, i obracając się ciągle, paradował zalotnie świetnem upierzeniem.

— Strzelaj pan! blizko już — szepnął niespodzianie ksiądz Lelejko, pożerając pięknego ptaka oczyma.

— Cicho... — odszepnął Michał — podpłynie jeszcze bliżej... A ksiądz, widzę, także amator?

— Kiedy zwierz chytry, i człowiekowi chytrość przychodzi — objaśnił Lelejko i oblał się ponsowym rumieńcem.

Teraz nur bez widomego powodu czmychnął pod wodę, aż usłyszeli myśliwi plusk, niby głośną czkawkę fali. Zamarli w oczekiwaniu: może spłoszyli go szeptaniem? — — Nie — wynurzył się o czterdzieści kroków od brzegu, w całym splendorze; zwracał uwagę tylko na dubicę, od której się oddalał, nie przewidział zasadzki na zaufanej, rodzinnej wyspie.

Cicho, powoli przyłożył Michał do ramienia strzelbę, mierząc, jak go już nauczyło doświadczenie, w wodę pod nura — i palnął. Wspaniały ptak dał jeszcze raz nurka, ale wypłynął natychmiast przewrócony, nakształt zarękawka o srebrzystym, gładkim włosie.

— Teraz, Kuchta, hul! aport.

Pudel skoczył, jak pocisk, do wody, i niebawem zaaportował nura.

Ale ze zbliżającej się łódki wołał tubalnie ksiądz Stulgiński:

— Cóż to? nagankę ja dla was urządzać będę?! — Pędzę się za nurem pół godziny, a wy mnie jego z przed nosa? — Nie po sąsiedzku, panie Rajecki!

— Broniliśmy własnego życia — odrzekł, śmiejąc się, Michał — śrutem tak w nas plułeś, księże proboszczu, że schroniliśmy się za olchę. A już w przewidywaniu blizkiej a niechybnej śmierci własnej — wolałem nura ustrzelić.

— Ot, opowiadanie! umyślnie koso do wyspy płynę i strzelam, a on mnie strofuje! Muchy pewno pobrzękiwały wam nad uszami.

— Znam ja się na brzękach — śmiał się dalej Michał — nie darmo dostałem śruty w bok i w ramię...

— Co mówisz?! — rzekł ksiądz, blednąc.

— Ej, nie dzisiaj! — przeszłej zimy.

— Tak czemu bredzisz?! — zawołał znów gniewnie proboszcz.

— Swoją drogą śruty tu koło nas gwiznęły. Od wody, licho wie, jak się czasem śrut odbije.

— Licho wie, a ja wiem lepiej, że, kiedy strzelam, śrut prosto sypie, nie w obręcz — odpalił proboszcz i siedział na dubicy osowiały.

Rajecki chciał go udobruchać:

— Może księdzu ten nurek potrzebny?

— Wiadomo! dawno już takiego na mufkę pani Kupściowej obiecałem. Przednie futro...

— To proszę go sobie zabrać.

Po krótkiej certacyi stanęło na tem, że ksiądz posiadł pięknego nura, co mu osłodziło poprzednią konfuzyę. Stary myśliwy powinien był bowiem strzelać jeszcze ostrożniej, a zwłaszcza wiedzieć, że nura na gładkiej wodzie nikt na daleką metę nie ustrzeli, bo baczny ten i zwinny ptak umknie zawsze pod wodę, zanim śrut doleci. Michał zaś oddawał niechętnie wielkiego nura, gdyż miał zamiar dać go do wypchania i dołączyć do zbioru trofeów, zdobiących przedpokój w Jużyntach. — Niepodzielną radość będzie miała jedynie pani Kupściowa na przyszłą zimę.

Ksiądz Stulgiński chętnie przyjął ofiarowane przez Rajeckiego manierkę z wódką i prowianty, ale przekąsił szybko, nie wysiadając z dubicy, bo dużo jeszcze brakowało mu kaczek do dwóch tuzinów, potrzebnych na odpust w Ucianach; miał dopiero siedm. Śpiesznie więc zaproponował plan dalszego polowania.

— Ty, Misiutku, pozostań na swoim brzegu Jużynckim, a ja pojadę po przeciwnym.

— Oj, księże proboszczu, bliżej domu ja już tak dokładnie przetrząsłem trzciny i tataraki, że chyba jakaś starka jałowa albo kaczor desperat tam zabłądzi.

— To mnie tam chciałeś wysłać? — zapytał ksiądz Stulgiński z uśmiechem, który usiłował być przenikliwym.

— Wcale nie, ale zmieścimy się obaj na tamtym brzegu. Ile tam

zatok, zalanych łąk! Ksiądz pojedzie na prawo, ja na lewo — albo na odwrót? — Dla obu wystarczy do wieczora.

— A wikarego mnie oddajesz?

— Ani myślę. Tak, jak siedzimy, spotkamy się przed wieczorem — i na kolacyę do Jużynt. Matka będzie bardzo rada.

— I pięknie! — odpowiedział ksiądz Stulgiński.

Przyglądając się pogodnej, zdobywczej postaci Rajeckiego, zaczął bez związku z poprzednią rozmową czynić uwagi zwykłym swym, poczciwie rubasznym tonem:

— Ot, dobrze takiemu! Majątek ma piękny, czasu wiele, strzelby zagraniczne — — uczy się tam gdzieś per dominum pstrum, a kiedy przyjedzie do nas, cały dzień poluje, wieczorem zawraca głowy pannom z sąsiedztwa, a w nocy dziewczyn szuka po odrynach. I jak tu się z nim mierzyć nam, parobkom bożym!

Ksiądz Lelejko spuścił oczy, proboszcz rozśmiał się głośno, a Rajecki pomyślał, że rozmowa o miłości fizycznej byłaby z księdzem Stulgińskim weselsza, niż z wikarym, ale i pospolitsza.

Płynęli czas jakiś czółno przy czółnie, kierując się od wyspy do lewego brzegu. Toń gładka i przyjazna żadnego nie stawiała oporu, trzeba było tylko żwawiej pracować wiosłami, gdy przecinano rzekę Świętą, a prąd znosił dubice w swym kierunku. Stasiulanis igrał z tą trudnością. Lelejko wysilał się niepomiernie, więc Rajecki chciał wyręczyć młodego księdza, lecz ten upierał się przy swej robocie; chciał być użyteczny. Proboszcz objawiał gderliwie swe zdanie:

— Daj ty jemu, Misiutek, zmachać się porządnie. Młody i zdrów, kiedy przymęczy się, nie tak będą mu świeckie myśli w nocy dokuczały.

Tani ten żart dał poznać Michałowi, że Lelejko nie zwierzył się proboszczowi ze swej wysokiej teoryi, o której przed godziną dyszkurował z nim, Rajeckim, choć pierwszy raz go spotkał. Pochlebiło mu to i bardziej jeszcze przekonało do księżyka. Przyglądał mu się i postanowił bliżej jeszcze go poznać. Odkrywał w nim jednak i drobne niedoskonałości, naprzykład braki kultury estetycznej.

Na brzegu, do którego płynęły czółna, błysnął w słońcu biały domek świeżo wymurowany wśród nagiego pola, bez wdzięku.

— Ot piękny domek pobudowali — odezwał się Lelejko, pociągnięty przez jaskrawą plamę.

— Gdzie on piękny? — fuknął zaraz ksiądz Stulgiński — kawał

kredy na dywanie! Niemiec tu się sprowadził i porzucił toboł z betami na naszem polu.

Obrazowa ocena proboszcza, zapleśniałego szlachcica, była w każdym razie trafniejsza od uwagi chłopka-filozofa.

Wkrótce czółna rozjechały się każde w swoim kierunku i Rajecki pozostał znowu sam na sam z Lelejką.

— Parno...

Ptaki, ryby i owady zwykły także, jak ludzie, obiadować o południu, a potem pogrążać się w drzemiącą lubość trawienia. Prawie nic żywego nie ruszało się na sennych wodach. Tylko jaskółki, czarne miłośnice błękitu, kreśliły niebo nikłą siateczką swych piorunowych lotów, wiążąc ją gdzieniegdzie przy wodzie w węzełki z trzepotań i jasnych bryzgów. Nizko coś krążą — — chociaż po niebie jeden tylko płynie biały, wydęty puchem, przyjazny obłok, może przyjść burza pod wieczór? — — albo dopiero jutro? — —

Dubica Jużyncka miała dalszą drogę do przebycia, niż czółno proboszcza; więc gdy ksiądz Stulgiński dotarł do ajerów i ogłosił się już strzałem, Rajecki i Lelejko płynęli jeszcze po gładkiem.

— Ksiądz urodził się w naszej okolicy?

— W Pietraszunach. Tam i moi rodzice mieszkają.

— Tak blizko od Sztarańc?!

— W sąsiedztwie... A dlaczego pan pyta?

— Tak sobie... nic... Znam dobrze obie wioski. Musi ksiądz mieć tam dużo krewnych?

— Sami krewni tam i naokoło. Trembele, Wencławy i Makuszkowie krewni... Tumelanis mój wuj — kto ich policzy!

— I ja tych znam — dodał Michał z emocyą — tych wszystkich i jeszcze... Łaukinisów...

— Także krewni. Tylko im nie wiedzie się. Jeden po kraju ze strzelbą włóczy się, pod sądem już był. Drugi chory, a syna jemu do wojska zabrali. Córka też, zdaje się, na służbie.

— Tak, u Pucewiczów — Warszulka.

— Niczego sobie dziewczyna — rzekł Lelejko zupełnie obojętnie.

Nie ta obojętność uderzyła Rajeckiego, lecz wiadomość, że Warszulka jest blizką krewną młodego księdza. Przez długą chwilę milczenia wypatrywał jakiegoś fizycznego podobieństwa. — — Nic a nic! Gdzież tamtej oczy żywe, błękitne kwiaty w bronzowych obsłonkach, usta samym już uśmiechem całujące, śmiała ochota do życia — mogą przypo-

minać ten wzrok zadumany i nieśmiały, wązkie wargi i układ młodego ascety? — Ale ten młodzieniec może być wkrótce profesorem, kto wie? — apostołem nowych teoryi etycznych? — Dlaczegoby Warszulka, jego krewna z sąsiedniej wioski, nie miała się stać wybitną kobietą? — Dziecko przecie jeszcze, ma czas się uczyć, dogonić w kulturze niejedną pannę ze szlachty, skoro kultura przychodzi tak łatwo tej pięknej i dobrej rasie włościan kowieńskich. — — A jednak, żeby ten kwiatek polny wyrwać z grzędy, przesadzić i doprowadzić do możliwego rozkwitu, trzeba przeżyć awanturniczy romans, pełen odwagi, wysiłków i poświęceń ze strony bohatera, któryby tej kreacyi zapragnął. — — Taki świat jeszcze pełen przesądów, egoizmów klasowych, starzyzny panującej pomimo rozpowszechnionych buntowniczych i reformatorskich haseł...

— Księże wikary! teorya, o której mówiliśmy na wyspie, nie zaspokaja wszystkich zagadnień, a szczególniej wszystkich porywów ludzkich, nawet chwalebnych.

— Wiadomo, ona tylko dla ludzi cichych i pokornego serca.

— A czy ksiądz nie myślał nigdy, jakąby wziął żonę, gdyby miał się żenić? Prawdziwa miłość może także uszlachetnić, i to dwa indywidua, mężczyznę i kobietę.

— Nie rozmyślałem nad tem, bo nie miałem projektu.

— Ależ dla innych, dla większości ludzi, to jest kapitalne zagadnienie! Ksiądz, czy proboszcz, czy profesor, powinienby, jako kierownik dusz...

Urwał, bo spostrzegł, że nie wywoła odpowiedzi, tylko zaambarasowanie księżyka, którego mądrość wyrosła z nowotnej gleby jedną bujną łodygą; brakło ziarna na szerszy rozrost zboża. Wprawdzie tyle jeszcze czasu miał do uprawy swej duszy świeżej i żyznej.

Jednak rozmowa z tem zamyślonem i dążącem wzwyż dzieckiem ludu żywo zajęła Michała. Posiadał wprawdzie bogatszy aparat nauki i dziedzicznej kultury, ale aparat ten nosił, jak szatę, nie zrośniętą z osobą. Tamten zaś pielęgnował istotną treść swego powołania i wewnętrznego życia całym wysiłkiem umysłu i woli. Pod pewnym względem poczuł się Michał niższym i słabszym od skromnego rówieśnika.

Zapatrzył się na wodę wielką i senną, po której powierzchni płynął, nieświadomy głębin, nie trzymając nawet steru swej drobnej łodzi. Ale świat był tak luby na jeziorze, na niebie i na okolicznych pagór-

kach, że nie wstyd było przepadać leniwie, jako atom dzieła wiecznej Mądrości, która ułożyła tę harmonię i krasę.

Stado lotnych cyranek ciągnęło nizko nad wodą. Michał chwycił instynktowo za strzelbę, ale ją odłożył. Trochę daleko było na strzał i nie bardzo się chciało Michałowi strzelać. Uśmiechnął się do Lelejki:

— Pięknie tak — niech wszystko żyje...



XI.

CO KOMU SĄDZONE.

Po skończonem nabożeństwie niedzielnem w kościele parafialnym w Jużyntach wszedł proboszcz na ambonę. Kazanie mówił już przed sumą, teraz miał odczytać tylko ewangelię na niedzielę dzisiejszą, po polsku i po litewsku. Nikt po tej lekturze nie obiecywał sobie wzruszeń, zwłaszcza, że niejeden odczytał już ewangelię z książki do nabożeństwa,— a przecież uroczysty nastrój oczekiwania panował na twarzach mężczyzn, prąd ciekawości biegł przez łopatki kobiet.

W prezbyteryum było dość pusto. Panie z Jużynt, z powodu upału, były na mszy porannej: w ławce kolatorskiej siedział sam jeden Michał Rajecki. I w przeciwległej ławce, zajmowanej zwykle przez towarzystwo z Gaczan, nie było starego pana Leonarda Pucewicza, który zresztą rzadko z domu wyruszał, nawet do kościoła: siedział tam tylko Pakosz, vulgo kapitan, i ochmistrzyni z Gaczan, szlachcianka. Kilkanaście innych postaci męskich i kobiecych, z miejska przybranych, mieściło się jeszcze w prezbyteryum, zaznaczając przez zbliżenie do wielkiego ołtarza swą przynależność do miejscowej gentry. W drzwiach od zakrystyi, oparty jak karyatyda o futrynę, sztywny i wyzywający postawą stał Stanisław Pucewicz.

Ale cała wielka nawa była nabita głowami ludu, na prawo mężczyzn, na lewo kobiet, oba łany: szary i kwietny, rozdzielone środkowym, pustym korytarzem. Gdy klęczeli, zaledwie kogoś znajomego mo-



żna było rozróżnić w zbitej mozajce głów, samodziałów męskich, jasnych chust i kwiatów osypujących kobiety. Dopiero, gdy na wysłuchanie ewangelii ruch się uczynił i krótki szum powstającego społem tłumu, zarysowała się na tle ogólnem wybitna grupa Trembelów. Byli tu pono wszyscy, starzy i młodzi, odznaczeni sążnistym wzrostem, a choć jedni nosili siwe włosy na głowach i takież na barach kurty, drudzy młode czupryny, a nawet tu i ówdzie czarny surdut, zwarta ich kupa tworzyła niby klan osobny, nacechowany rodowem podobieństwem i wyjątkową jakąś dzisiaj powagą. Józef Trembel, dziad ośmdziesięcioletni, stał na froncie familii, pochylony, ale krzepki jeszcze, bez kija, trzymając śnieżny, szczeciniasty podbródek w prawej dłoni, z prawym łokciem opartym na dłoni lewej. Jasne jeszcze, przemyślne oczy siwe wlepił w wielki ołtarz, jakby zdawał Bogu sprawę z rozkwitu swego potomstwa i zapytywał o przyszłe jego losy. Obok dziada najmłodszy z wnuków, także Józef, odznaczał się kędziorami tak jasnymi, że odbijały biało od czerstwej, dwudziestoparoletniej cery.

Puszczono mimo uszu, choć z zewnętrznem uszanowaniem, słowa ewangelii, oczekiwano z powszechnie ludzką ciekawością słów dotyczących bezpośrednio chwili. A przecież prawie wszyscy w kościele, oprócz może niemrawej młodzieży, wiedzieli już, co zostanie ogłoszone; czekali jednak z naprężoną uwagą wymówienia uroczystych słów z ambony, aby mieć to zadowolenie, że je łowią własnemi uszami. Słowa zaś miały być ważne i od pamięci ludzkiej nie słychane.

Jakoż po odczytaniu uświęconych tekstów proboszcz odchrząknął i uczynił dłuższą pauzę, zapewne z emocyi. Poczem wziął do rąk cienki

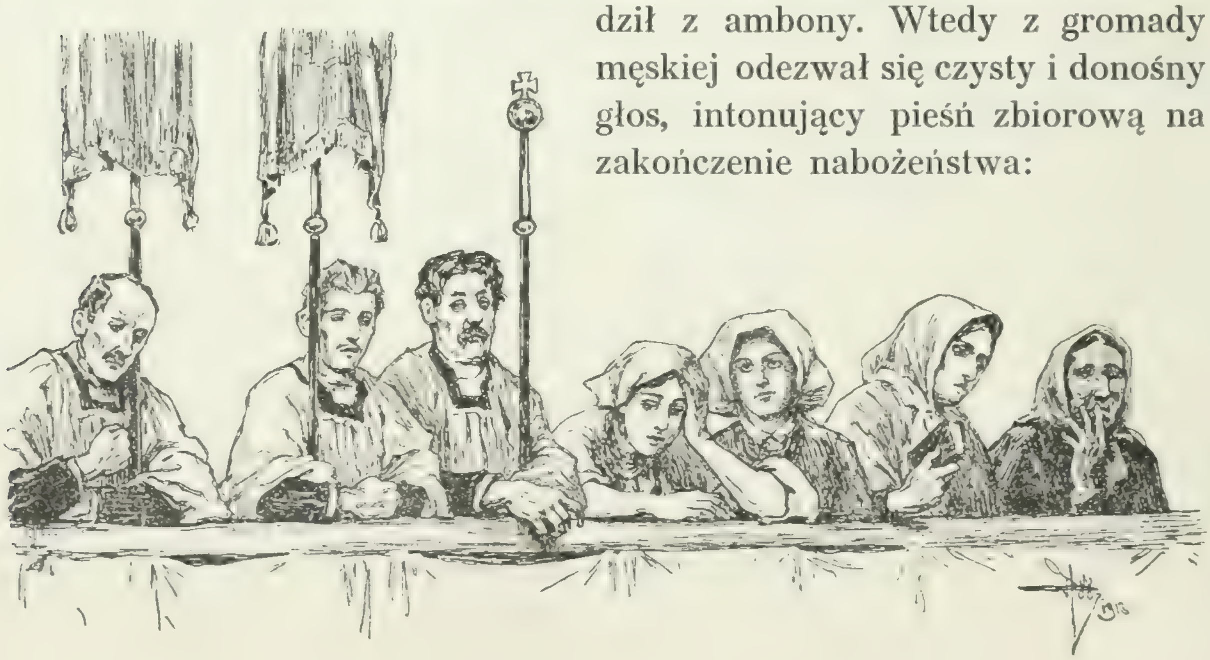
zeszyt ze spisem osób, zabierających się do stanu małżeńskiego, i głosem donośnym, a wzruszonym przeczytał:

— Stanisław Norbert Pucewicz, kawaler, stanu szlacheckiego, zamieszkały w majątku Gaczanach, z Anielą Trembelówną, panną, stanu włościańskiego, zamieszkałą przy rodzicach we wsi Trembeliszkach. — Zapowiedź pierwsza.

Szmer jakoby modlitwy dziękczynnej wionął przez kościół i wszystkie spojrzenia skupiły się nagle w dwa ogniska, na miejsca, gdzie stali oboje narzeczeni. Stanisław w prezbyteryum wytrzymał te oględziny dumnie, oczu nie odrywając od wielkiego ołtarza. Janielka, stojąc w tłumie dziewcząt, poczuła dotkliwe zestrzelenie mnóstwa magnetycznych spojrzeń na swej główce i, pofalowawszy trochę szyją i łopatkami, upadła gwałtownie na kolana, czołem aż do posadzki. Za jej przykładem runęły ukwiecone wokoło niej rówieśnice i drużki, za niemi cały łan kobiecy. Ale chłopi Trembele stali kamiennie, hardo wpatrzeni w przyszłość, jak ich zapowiedziany koligat ze szlachty; niektóry pociągał tylko plecami, krzyżował ramiona lub dumnie odrzucał w tył głowę.

I nikt nie słuchał wychodzących dalej zapowiedzi, że Żwirblis ma się żenić z Makuszkówną, Pipinis z Żukielówną, Balczunas z Tumelanisówną... Były to wypadki polne, doroczne. Większa unia, ogłoszona poprzednio, zajmowała umysły, a chociaż była właściwie tylko prywatną ugodą dwojga ludzi, spółparafian, miała swą doniosłość ogólną, którą bez teoretycznych rozumowań odczuwała serdecznie gromada obecnych.

Skończył proboszcz swe urzędowanie na dzisiaj i poważnie schodził z ambony. Wtedy z gromady męskiej odezwał się czysty i donośny głos, intonujący pieśń zbiorową na zakończenie nabożeństwa:



— Pulkem unt kelu...[1]).

Na wezwanie pieśni padł lud na kolana jednym gromkim pokotem. Zaraz podchwyciły pieśń głosy jednobrzmiące i wtórowe i w wyższej oktawie rozświegotane głosy kobiece. Melodya miękka, nasiąknięta polem i jakby lubością letniego wieczoru, przypominała melopeę żeńców; marzyła, omdlewała, to znów silniejszem buchnęła westchnieniem — aż usnęła — i lud jął się przesypywać z szurgotem ku wyjściu.

Gwarne było ożywienie na okólniku kościelnym, ograniczonym przez mur z pięknemi kapliczkami we wnękach. Zbiorowisko ludowe, krążące około Jużynckiego kościoła pod jaskrawem południem, wyjątkowo strojne, dyszało ogromną wesołością, nie miało wszelako nic charakteru tłumów jarmarcznych. Blizkość świątyni, estetyczny spokój litewskiego ludu, śpiewność głosów — tworzyły zespół harmonijny i malowniczy. Obcowali tu z sobą ludzie serdecznie, lecz nie hałaśliwie, ciesząc się pogodą łaskawą, licznem zgromadzeniem znajomych, no i wielkim wypadkiem parafialnym, zapowiedzianym z ambony.

Janielka Trembelówna, wychodząc w gronie dziewcząt z kościoła na słońce, mrużyła oczy z kilku powodów, między innymi może i dlatego, że popłakała sobie w kościele ze wzruszenia. Powieki jej nabrzmiały, a twarz silnym płonęła rumieńcem przy włosach bardzo jasnych; zdrową krew i len czesany niosła w ofierze narzeczonemu, który niebawem podszedł do niej i ujął jej rękę w obie swe dłonie.

Do tej pary połączonej już uroczyście zbliżali się krewniacy z oznakami radosnej, wstrzemięźliwej jednak gratulacyi. Stanisław podawał im kolejno rękę, którą oni przyjmowali i ściskali bez uniżoności, ale z poczuciem ceny tego uścisku. Niektórzy Trembelowie zaglądali Pucewiczowi głęboko w oczy, jakby badając, czy szlachcic nie pogardzi nadal ich towarzystwem, zabrawszy do wielkiego dworu najcenniejszą ich płonkę. Bo Janielka z urodzenia, z bogatego wiana, a nawet z postawy była pierwszą panną gospodarską w okolicy. Zarzucały jej nawet towarzyszki i krewne, że w obejściu się z niemi zadziera nosa, udaje panią. Teraz oglądały ją z zazdrosnym podziwem, stwierdzając, że miała do tego zasadę: sądzono jej być panią. Józef Trembel, dziad, odezwał się nawet głośno:

— Już kiedy rodziłaś się, Janielko, powiedziałem Dominikowi: tobie, synku, nie długa dola na świecie, a jej, małej, panowanie. Ot i dzisiaj prawda, przed samym Bogiem wszechmogącym.

[1]) Padnijmy na kolana.

Wspomniano zatem na chwilę, że ojciec Janielki, Dominik, od kilku już lat spoczywa pod ziemią. Miał piękny pogrzeb i kilka żałobnych nabożeństw; zapewne już w niebie świeci Pan nad jego duszą, bo chłop był zacny i pracowity. Dobrze i jemu — pomyślano — ale nam nie gorzej pod ziemskiem, radosnem słońcem. Nawet dziadowi Józefowi nie pilno było do chwały wiekuistej. Para zaś narzeczonych myślała i mówiła tylko o życiu ziemskiem, którego szczęśliwe przedłużenie stworzyć miała pospołu.

Michał Rajecki, wyszedłszy z kościoła, skierował się także do grupy ludzi szczęśliwych. Podał rękę narzeczonemu i staremu Trembelowi; innym ukłonił się okolnem uniesieniem kapelusza. I niebardzo wiedział, o czem mówić z tymi ludźmi, dla których żywił jednak serdeczną przychylność; zbyt odmienne były ich zajęcia, kultura, ideały... Nie miał bynajmniej przekonania, że ich życie jest gorsze, mniej warte dla wewnętrznego zadowolenia i dla społecznego pożytku, — owszem, może i lepsze z wielu względów, ale tak inne! Żeby z nimi żyć ściśle, trzeba albo schłopieć, albo ich przyciągnąć do swojej wyższej kultury — przypomniał sobie Michał zdanie starego Pucewicza. — — Jeżeli już wie o zaręczynach syna, musi być mocno rozdrażniony?

Jak odpowiedź na to zagadnienie wpadła propozycya Stacha:

— Cóż, Janielka, pojedziem zaraz na obiad do Gaczan?

Narzeczona skłoniła głowę potwierdzająco.

— I dziad Józef przyjedzie?

— Wszak można...

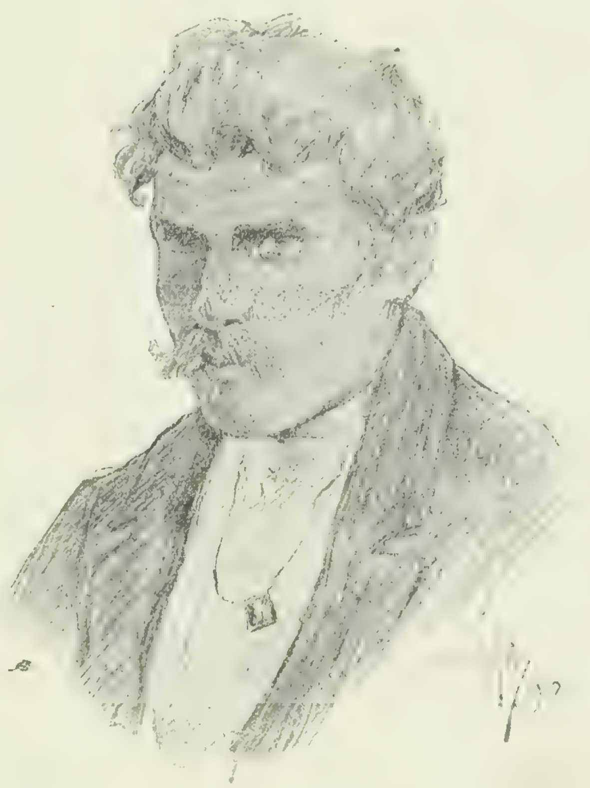
— I Antosia? Piotr? — — Matka Dominikowa już musi być w Gaczanach — Ojciec mój oczekuje dwunastu osób.

Więc wszystko w porządku — pomyślał Rajecki — pan Leonard już się pogodził z zamiarami syna, jak dawniej nie protestował przeciw wyjściu córki za Bomsego... Tak — siły przeżyte usypiają; młode pędzą żywiołowo wzwyż, splatają się, rosną w przyszłość — — Nie trzeba im przeszkadzać. — Z dobrych, choć różnych, ziaren nie urodzą się chwasty. Można zasiać razem żyto z pszenicą — byleby razem dojrzały — —

Myślał tak na uboczu i nie mieszał się do rozmów. Był także trochę dotknięty tem, że go Stach nie prosił na dzisiejszy obiad do Gaczan. Czy będzie tam zabawnie, wątpił, lecz był ciekaw tego familijnego już zebrania z liczebną przewagą włościan. I jak zachowa się pan Leonard, człowiek zaśniedziały, ale przecie wytrawny i kulturalny? — Do Stacha, serdecznego przyjaciela, miał Michał inne też urazy: od pewnego

czasu tak się rozamorował, że nie myślał nawet o polowaniu; a gdy się przyjaciele spotkali, Stach prawił teraz ciągle morały. — Po co to?— każdy ma swoją filozofię życiową — —

Rozejrzał się po okólniku, zabierając się do wyjścia; wszędzie przelewał się tłum, gęstszy lub rzadszy, w tej wielkiej ludowej sali niedzielnej. Ale jeden punkt pociągnął go magnetycznie — z pod muru świeciły dziwnie wyiskrzone oczy Warszulki. Uśmiechnął się do niej, dotknął kapelusza, ale zawahał się zbliżyć. Dziewczyna szła wolno wzdłuż muru, między innymi ludźmi, z pozorną swobodą skubiąc jakieś kwiaty, ale zatrzymywała się co kilka kroków, zwracając gorączkowe spojrzenie na weselną grupę, w której stał Michał; otrząsała potem główkę z bolesnych myśli, wlokła się dalej, pochylona, skubiąc kwiaty. Nietrudno było odgadnąć jej dramat wewnętrzny.



Zaczepić ją, rozmawiać wobec całej parafii — wydało się Michałowi czemś niby obowiązującem na przyszłość, ze względu na dzień zaręczynowy Pucewicza z Trembelówną, jakąś paralelą nawet niewłaściwą w pobliżu świątyni. Ale właśnie młody Józef Trembel, spostrzegłszy Warszulkę, podszedł do niej i zagadał. Oczy dziewczyny rozweseliły się widocznie; uczyniło się jej przyjemnie, że chociaż jeden człowiek porzucił dla niej orszak tryumfalny Janielki. I rozmawiała ze swym lekceważonym dotychczas konkurentem uprzejmie, jak nigdy. Wtedy i Michał uznał za stosowne zbliżyć się do rozmawiających.

— Czy zdrowa i żywa Warszulka? — zapytał po litewsku. — Dawno was nie widziałem.

— Dziękuję, paniczu... żywa póki co — odpowiedziała dziewczyna zalotnie i boleśnie, jak chore dziecko.

Józef Trembel popatrzył jasnemi, uczciwemi oczyma na Rajeckiego i, czy się bał z nim porównania, czy już wyczerpał swą pomysłowość do konwersacyi, oddalił się, z rękoma w kieszeniach.

— Dawno cię nie widziałem — powtórzył Michał, ale po polsku i zmieniając formę »wy« (tamsta), użytą wyjątkowo w obecności Trembela.

— A już dawno.

— Polowałem. I teraz wybieram się daleko, pod Kupiszki, na Szepetę.

— I nie słyszałam. Jeziora tam?

— Nie; ogromne mszary, takie, że nasze Ażubalskie to niby ta sadzawka za karczmą w porównaniu do Dusiackiego jeziora.

Warszulka zamyśliła się i rzekła troskliwie:

— A błota tam grzązka, jak w Ażubalach?

— Nie byłem, ale musi być tak samo.

— Tak panicz jeden nie jedź! Przez Ażubale tamtej niedzieli Pipiniukas[1]) jak poszedł, tak i wtopił się w błocie.

— Ja już okiem rozpoznam, gdzie można iść, gdzie nie można — przechwalał się Michał — gdzie mech wysoki i jakakolwiek krzewina rośnie, można, a jeżeli trawa gładka, choć wody nie widać, trzeba się wystrzegać przepaści. Ja zresztą w chodakach sunę, jak na łyżwach.

— A Pipiniukas taki między łoziną wtonął. Czapka tylko została na wierzchu; tak jego i naleźli.

— Słyszałem... Biedny chłopak... ale i gawron był całe życie. Ja będę miał na Szepecie dobrego przewodnika, bo tam utonąć nie utonę, ale mógłbym się zabłąkać. Cztery mile kwadratowe mszaru!

— Ot, jeśliby panicz miał z sobą stryja mojego Łaukinia! On wszędzie utrafi. Tylko jego panicz nie bierz; on już człowiek taki: kiedy kogo lubi, dobry...

— A kiedy nie lubi, niebezpieczny — dokończył Michał. — Wiem, on na mnie złem okiem patrzy z powodu ciebie, Warszulko. Ale powiedz mnie, co jemu właściwie do nas?

— Ot tak... jemu kce się, żeby ja za mąż wyszła.

— To rzecz rodziców i twoja.

— Wiadomo, ale kiedy jemu co w głowę wlezie, nie wybijesz.

— I zawsze cię swata z tym białym Trembelukiem?

Michał wskazał głową na jasnowłosego Józefa Trembela, który, choć oddalił się, krążył nieopodal, a Warszulka otworzyła zdziwione oczy.

---

[1]) Syn Pipinisa.

— Tak panicz wiesz?!...

— Opowiadali mnie. I on szedł za nami wtedy na wiosnę, kiedy to razem polowaliśmy na słonki.

— Stryj Łaukinis szedł, nie on.

— Może ten stryj w tobie kocha się? chce się z tobą żenić?

Warszulka wzruszyła ramionami:

— Pół wieku swego nie żenił się. Gdzież jemu dzisiaj?

— A ty, Warszulko, myślisz o mężu dla siebie?

Dziewczyna aż okręciła się na piętach ze wzruszenia, a potem z zalotną chytrością w oczach odpowiedziała ubocznie:

— Kiedy ja brałaby męża, tak tylko... ochotnika.

— Więc Łaukinisa? dobry myśliwy.

— Cóż mnie on?! stryj i stary.

— To może Józefa Trembela?

— On i strzelać nie umie. Do sochy on, do kosy — niczego; ale nie ochotnik.

— Nie podoba ci się?

— On... człowiek dobry i bogaty; ośmnaście jemu dziesięcin po ojcu przyjdzie.

— No, więc kiedy on prosi?...

— Mało kto prosi!

Ostatnie słowa dziewczyny zadźwięczały głęboko i, choć uśmiechnęła się jaskrawo, piękne jej oczy zaszkliły się łzami, wpatrzone błagalnie w Rajeckiego.

On zaś, mając szybki wybór między męską sumiennością a kokieteryą, wybrał drogę pośrednią:

— Trzeba pomówić o tem, Warszulko. Którą ty drogą wracasz dzisiaj do domu?

— A już po za jezierze, po za jezierze [1]) i dróżką przez łąki do Gaczan. A panicz na obiad jedziesz do Gaczan?

— Nie prosili mnie.

— Tak i cóż będzie?! — zawołało naiwnie dziewczę, myśląc oczywiście tylko o spotkaniu z Michałem gdzieindziej, niż na tym okólniku kościelnym.

---

[1]) Oryginalny prowincyonalizm, nie pochodzący ani ze staropolskiego, ani z rosyjskiego języka. »Po za jezierze, po za płocie« i t. d. znaczy: wzdłuż jeziora, wzdłuż płotu.

— Może jutro?... wybiorę się o świcie na Gaczańskie jezioro. Jeszcze tam nie szukałem kaczek w tym roku. Przyjdź i ty, Warszulko.

— Jutro?... — westchnęła dziewczyna — od rana robota. Dzisiaj niedziela...

Gorąca fala krwi oblała twarze obojga młodych. Umawiali się o schadzkę tutaj, w tłumie znajomych, z których niejeden mógł coś usłyszeć — i pod kościołem. Ale krew młoda ma swe rozkazy tak despotyczne, że jeżeli opanować je można, ukryć niepodobna.

— Czekaj na mnie przy twojem jeziorze, pod olszyną, o zachodzie słońca — szepnął Michał i, ścisnąwszy ukradkiem rękę dziewczyny, odszedł.

Już też przyglądano się z wielu stron tej długiej rozmowie.

Tłum rzedniał na okólniku kościelnym, rozchodził się poza mury. Niektórzy, uprzywilejowani przez urodzenie i dostatki, przeszli przez boczną furtę do ogrodu proboszcza i nieśli dostojnie swe świąteczne szaty przez jedyną dróżkę tego ogrodu, między tłustemi grzędami, gdzie barwiły się przy ziemi bratki i stokrocie, nasturcye i nagietki, wyżej pachnące groszki i misternie wykrojone lwie paszcze, a sztywne georginie bujały tak wysoko, że przenosiły wzrostem ludzi, czyniąc konkurencyę niejednej wiejskiej elegantce przez swe zielone świeże suknie i głowy płomienne, rozgorzałe ponsowo w upale. Jedni wstępowali do proboszcza — najwyższa kategorya szlachty i włościan w surdutach — inni przeciągali tylko powoli przez odurzające zapachy ogródka, kierując się ku wyjściu na rynek miasteczka: niektórzy przystanęli sobie przed gankiem plebanii: wejść czy nie wejść? — a tymczasem pomyśleć trochę można o życiu słodko śniącem w pogodną niedzielę.

Ale przeważna część ludu z głównej bramy okólnika przed frontem kościelnym wysypała się na rynek, czyli plac nieforemny, zawarty między kościołem, plebanią, pocztą, karczmą i paru sklepami. Z powodu tych gmachów Jużynty są »miasteczkiem« i mają swe jarmarki. Dzisiejszą niedzielę zwyczajną można było porównać z najświetniejszą jarmarczną; pogoda, a może i wieść o zaręczynach Pucewicza z Trembelówną, ściągnęła dużo ludu, i las podniesionych do góry hołobli od kałamaszek zajmował połowę rynku. Setka zaprzężonych koników żmudzkich stała przy płotach, lub uwięziona między zwartym pomostem drobnych bryczek. Lud litewski unika dalekich podróży piechotą, mało jeździ konno; kałamaszka i fajka są mu ulubionemi towarzyszkami.

Nie kwapiono się wcale do szynku w karczmie; chyba, że kto za-



szedł do kramu po »machorkę« do fajki, po karmelki Landrina dla dzieci, po gwoździe lub smarowidło, a wionęła woń smaczna od sąsiedniego szynkwasu, dawał się skusić na kieliszek wódki. Tylko Józef Trembel, spotkawszy Łaukinisa, stryja Warszulki, zaprosił go do izby weselnej za karczmą, postawił całą butelkę, częstował, ale i sam pił tęgo.

Warszulka marudziła długo w miasteczku, włócząc się z innemi dziewczętami, potem dała nurka między georginie w ogródku proboszcza i przypatrywała się przez nizki parkan, jak lud rozjeżdża się do domów. Odłączano po jednej kałamaszce ze zbitej tratwy i w obniżone hołoble wprowadzano konia pod duhę, która ujmowała mu szyję jak w dyby, przykuwając zarazem chomąto do hołobli. Coraz to nowa kałamaszka furknęła drobną, lecz szybką rysią po ulicy owianej gorącym pyłem. A właśnie ogier poniósł Bałtakisa, rwąc się do klaczy Żukiela, która poszła o minutę wcześniej i była już daleko na drodze; konie, dotąd uwiązane, zaczęły rżeć tu i ówdzie, szarpać się i pobrzękiwać rozkiełzanemi wędzidłami.

Zobaczyła potem Warszulka, jak Michał dosiadł pięknego wierzchowca i sfasowanym kłusem przeparadował po rynku, pośród przyjaznych ukłonów, pogodny taki, niepamiętny...

I znowu widowisko niepowszednie: szaraban z Gaczan zajechał w cztery konie; Stanisław siadł na kozieł obok woźnicy i sam ujął lejce, a na siedzeniu »pańskiem« zajęli miejsce stary Trembel i Janielka! — —

— Ot, wziąłby mnie mój panicz choćby za siebie na konia! — pomyślała Warszulka.

Ale musiała powracać piechotą — co było jej obojętne — i sama jedna — a to już napełniało jej serce żałością.

Poszła więc przez długą wieś szybko, aby wyminąć dziedzinę pyłu, a za wsią zboczyła z gościńca, ku jasnej, głębokiej wodzie Jużynckiego jeziora i szła już dalej »po za jezierze, po za jezierze«... A gdy gościniec oddalił się, wężem wpełzając w pagórki, dziewczyna, nie widząc już powozów weselnych, ani kałamaszek podrygujących, nie słysząc nic brzmiącego w południowym skwarze, osamotniona w świecie między siną wodą i próżnemi ludzi wzgórzami, przystanęła i wpatrzyła się w jezioro, które od stromego brzegu, za wązkim rąbkiem ze żwiru i muszelek, spadało w głębinę przezroczystą.

Usiadła; ledwie, że trzewików nie zanurzyła w wodzie, i patrzyła na podpływające do powierzchni rybki, na żółte i perłowe muszle — patrzyła machinalnie. A główka jej pracowała nad rozwiązaniem zagadnień losowych.

— Co z nią będzie? co będzie?...

Marzy o swym królewiczu od roku... ej, gdzie tam! dużo dawniej. Widywała go przecie zdaleka, kiedy on ledwie cień wąsów miał nad czerwonemi ustami, a ona chodziła do pomocy przy zwózce zboża, zupełnie jeszcze młódka, tylko, że śmigła była wcześnie i mocna. — — Przy podawaniu snopów stała na wysokiej górze zboża pod cieniem szczytowych wiązań stodoły i chwytała raźnie z wideł ciężkie snopy, cała zasuta złotą słomą. A on, stojąc na dole, na klepisku, podpatrywał dziewczęta, wijące się u góry w roboczych obrotach. Spojrzał czasem i na nią — ciemno było pod szczytem stodoły — nie zauważył. Cisnęła raz na niego umyślnie snopem — nie zauważył. — — A kiedy poznali się przeszłego roku w leszczynie, odrazu pocałował — — I cóż będzie z tego pocałunku? — — Urok na nią rzucił, myślała odtąd tylko o nim, uczyła się dla niego, dla jego pamięci stroniła od zabaw i pokus — — A on? chodził za nią tamtego roku, i jeszcze tej wiosny, i znowu kiedy przyjechał na lato, piękne słowa mówił i takie delikatne — całował — a czego chciał? — wiadomo, jak każdy młody. Tylko on pan, i dobry

i mądry, to musi lepiej wiedzieć, co z tego będzie? — — A panowie teraz i żenią się z chłopkami. Ot, Woronowicz, »dworzanin«, ekonom w Jużyntach, ma żonę nawet nie gospodarską córkę, a jaka pani! — i wiek szczęśliwie z sobą żyją. — — Pan Sołucha ma duży folwark i ożenił się ze swoją gospodynią, Agatką — prawda, że już lat pięć ona u niego na służbie, i dzieci czworo... A jeżeli sam pan Stanisław Pucewicz, dziedzic Gaczan, bierze za żonę Trembelównę, to już widać między największem państwem taka nastała moda...

Wtem w rozpalonej główce dziewczęcia powstała nowa wątpliwość z dziedziny społecznej: może Rajecki jeszcze większy pan od Pucewicza? Mówi jakoś inaczej, prawie tylko po polsku... i nos zawsze w chustkę uciera... Warszulka zauważyła to dawno i nosiła też przy sobie białą chusteczkę. — — Bogaty! wiadomo. Kto ich tam rozpozna, który bogatszy: Rajecki, czy Pucewicz? Obaj mają tyle ziemi, że samemu obrobić ani projektu! I kiedy za żoną wezmą jeszcze gospodarstwo, tylko kłopot większy. Wolałaby Warszulka być tak zamożną, jak Trembelówna, ale czuła instynktowo, że ta różnica posagów mało waży w wyborze dwóch okolicznych bogaczów.

— Za to ja ładniejsza od Janielki — uśmiechnęła się Warszulka do swego obrazu w wodzie, nachylając się nad wspaniałem, głębokiem lustrem. — Może ona trochę większa i szersza w biodrach, ale twarz jak piwonia czerwona. Mnie panicz mówił, że lubi bladą moją twarz, bo przy niej oczy piękniejsze, mówi, i bielsze zęby. — — A już kiedy do tańca, tak ja!

Pomyślała znowu smutniej, że, jeżeli jest ładna, to po chłopsku ładna; tyle tylko, że jej nic nie brakuje: gładka, zdrowa i do roboty zdatna. A co panicz mówi o jej oczach, ustach, to może tylko przez grzeczność? — — Gdzie jej się równać do tych panien białych, ściśniętych w pasie, ubranych w kapelusze, które powozami jeżdżą od dworu do dworu, albo do kościoła, albo chodzą po ulicy w Dyneburgu! — — Nagłą nienawiścią zapałała do swego chłopskiego stroju: tylko na głowie chusteczka jedwabna w kwiaty i ten sznurek korali — — Gdyby to się ubrać tak przynajmniej, jak panna ekonomówna z Nielubiszek!

Jeszcze posępniejsze przychodziły jej myśli. Pierwszy raz dzisiaj w rozmowie z nią wspominał coś panicz o małżeństwie, tylko nie o swojem, o jej zamążpójściu — — I od paru tygodni nie szuka z nią spotkania. Czy pokochałby inną? Nic słychać było, jako żywo — a izba folwarczna w Potyłcie, pełna kobiet, dobrą miała do tych spraw poli-

cyę śledczą. — Więc zamiary Jużynckiego panicza stawały się coraz bardziej zawikłaną zagadką. — Ale nareszcie dzisiaj wieczorem wszystko się wyjaśni: kazał czekać na siebie, zapowiedział wyraźnie, że o tych rzeczach będzie mowa. A rozmawiał tak przyjemnie, nie wstydził się długiej rozmowy w obecności świetnego zgromadzenia — a piękny był, najpiękniejszy ze wszystkich...

Zerwała się Warszulka w dalszą drogę.

* * *

Słońce zaszło i niebo bez chmury nakrywało opalową, zarumienioną pół-sferą kraj bardzo cichy. Wody wązkiego między wzgórzami jeziora stężały w szybę polerowaną bez skazy, połyskującą patynowanem srebrem. Przy brzegu, pod nawisłą kępą czarnej olszyny, woda, zaciemniona już zupełnie, wpływała niby w grotę, ciągnącą oczy do wypatrywania jakichś widziadeł tanecznych i lubieżnych, bo noc przychodziła nadzwyczaj ciepła, spocona jeszcze od minionego upału i odurzająco wonna. Słodkim zapachem parowało jezioro, ostrzejszym olchy a kwitnąca na pagórku przybrzeżnym koniczyna wprost zawrotowym perfumem zaprawiała powietrze.

Wśród pola, powyżej kępy olszyny, oczekiwała Warszulka zapowiedzianego przyjazdu Jużynckiego panicza. Jasno jeszcze było od wieczornej łuny. Czy przyjedzie on na parskającym ochoczo gniadym koniu, na którym odjechał w południe z kościoła? Czy w tarantasie myśliwskim, żółtym, najmilszym z tarantasów? — Jeżeli na kołach — jedna tylko ta dróżka. Jeżeli konno, ho! — to może śmigać na przełaj albo przez koniczynę, albo i tem ścierniskiem między kopami świeżo zżętego żyta. — — W każdym razie ukaże się na grzbiecie wzgórza pod jasną łuną i tak z nieba zjeżdżać będzie do jeziora, do niej...

A już kiedy przybędzie i z konia zeskoczy i chwyci w ramiona — niech się dzieje, co on zechce! — —

Od południa do wieczora namysł w głowie Warszulki dojrzał do postanowienia. Podawała się w moc i w niewolę swego pana. Jakikolwiek będzie jej los: czy panować z nim, jako żona, w tych pięknych Jużyntach, czy włóczyć się za nim po świecie, jako służąca posłuszna każdej zachciance — ona zgodzi się z losem. Bo przecie on jej nie weźmie na tydzień, dwa... i nie porzuci, jak Stefan Bałtakis zostawił Karusię Pipiniównę brzemienną, odchodząc do wojska... Nie zostawi jej

i bez pocałunku, samej na ziemi, skoro tyle już od roku z sobą, o sobie mówili!

Jednak nie nadjeżdża, a już słońce pół godziny jak zaszło... A może przez ostrożność czeka, aż noc zapadnie?...

Żary uderzyły na dziewczynę, bo wieczór był parny, oczekiwanie zaś jeszcze gorętsze. Zachciało jej się wykąpać w jeziorze.

Pomyślała: daleko naokoło nie widać nikogo — a długaż to robota rozebrać się i buchnąć do wody? — raz, dwa — i dosyć. Jeżeliby nadjechał, gdy ona będzie w wodzie, usłyszy zdaleka, pośpieje wyskoczyć, ubrać się pod olszyną, a choćby i bosa pozostała, niewielka bieda! Wykąpie się zresztą pod drzewami, które tworzą szeroką zasłonę od pola.

Zbiegła pędem ku olszynie, rozzuła się szybko, następnie zrzuciła w trzy sekundy trzy zasadnicze szmatki, stanowiące jej ubranie, stanęła nad brzegiem rzeźbiona w miękkim marmurze, skromna w swej doskonałej nagości, i stopą najprzód pomacała wodę. Gdy poczuła, że woda nagrzana prawie jak powietrze, pobiegła raźnie w nurt, mącąc radosną bielą ciszę i polor jeziora. Zaraz rzuciła się wpław, gdyż dno uciekało w głąb pod stopą.

Płynęła nie według reguł natacyjnych, zagarniając wodę prawem ramieniem tak silnie, że każde zagarnięcie wynurzało nad powierzchnię jej ramię lewe i profil piersi, i posuwało potężnie naprzód płynne przebłyski jej kształtów po fali ciepłej i głaszczącej, jaka się czasem śni w noce letnie.

Płynęła tak niepomna niczego, zanurzona w rozkoszy mocnych pocałunków fali, aż poczuła toń zimniejszą na głębinie, zwróciła główkę i zmierzyła znaczne oddalenie od brzegu. Więc skierowała się napowrót, lecz nie do olszyny, tylko obok, na brzeg pusty. Mogła tam łatwiej być spostrzeżona, ale i sama spostrzedz Michała, gdyby nadjeżdżał. — — A niechby ją i zobaczył raz nieodzianą w te biedne chłopskie szatki! Uczuła instynktowo, że jest w swej nagości rozciągniętej na fali nieuchronnie ponętna, piękniejsza może od wszystkich okolicznych elegantek, tych nawet ze dworów. — Niech on ją tak zobaczy...



Gdy zawadziła znowu stopą o dno, stanęła i, wynurzając się do pół piersi, spojrzała na pola coraz ciemniejsze — — Głucho — ani widu, ani słychu.

Ścisnęło się jej serce od przymierającej w niem nadziei. Nie zobaczy on jej dzisiaj ani w kąpieli, ani ubranej?... Pomimo zanurzenia w wodzie uczuła gorące mrówki po całem ciele. — — Jeszcze raz tam, do chłodnej toni środkowej, całym pędem młodych piersi i ramion! — Rzuciła się znowu wpław gwałtownie, aż woda zaburzyła się, rozpruta niby dziobem polotnej z białemi wiosłami łodzi. — Ale na oglądanie tego cudu nie przybywał nikt z ludzi. Z za pagórka wysunął się tylko księżyc śniady, na lewo odęty, na prawo okrojony, księżyc podstarzały, i wejrzawszy pożądliwie w jezioro, gdzie niezwykłe odbywały się harce, roznamiętniał się coraz ogniściej.

Warszulka powróciła wreszcie do brzegu pod olchami, mocno dysząca — ledwie jej tchu starczyło na dopłynięcie. Wyszła z wody, podbiegła trochę wzwyż i stanęła na chwilę naga między drzewami, samotna Ewa w tym nocnym raju. Ani turkotu kół, ani rytmu kopyt — nic nie słychać było w pobliżu. — —

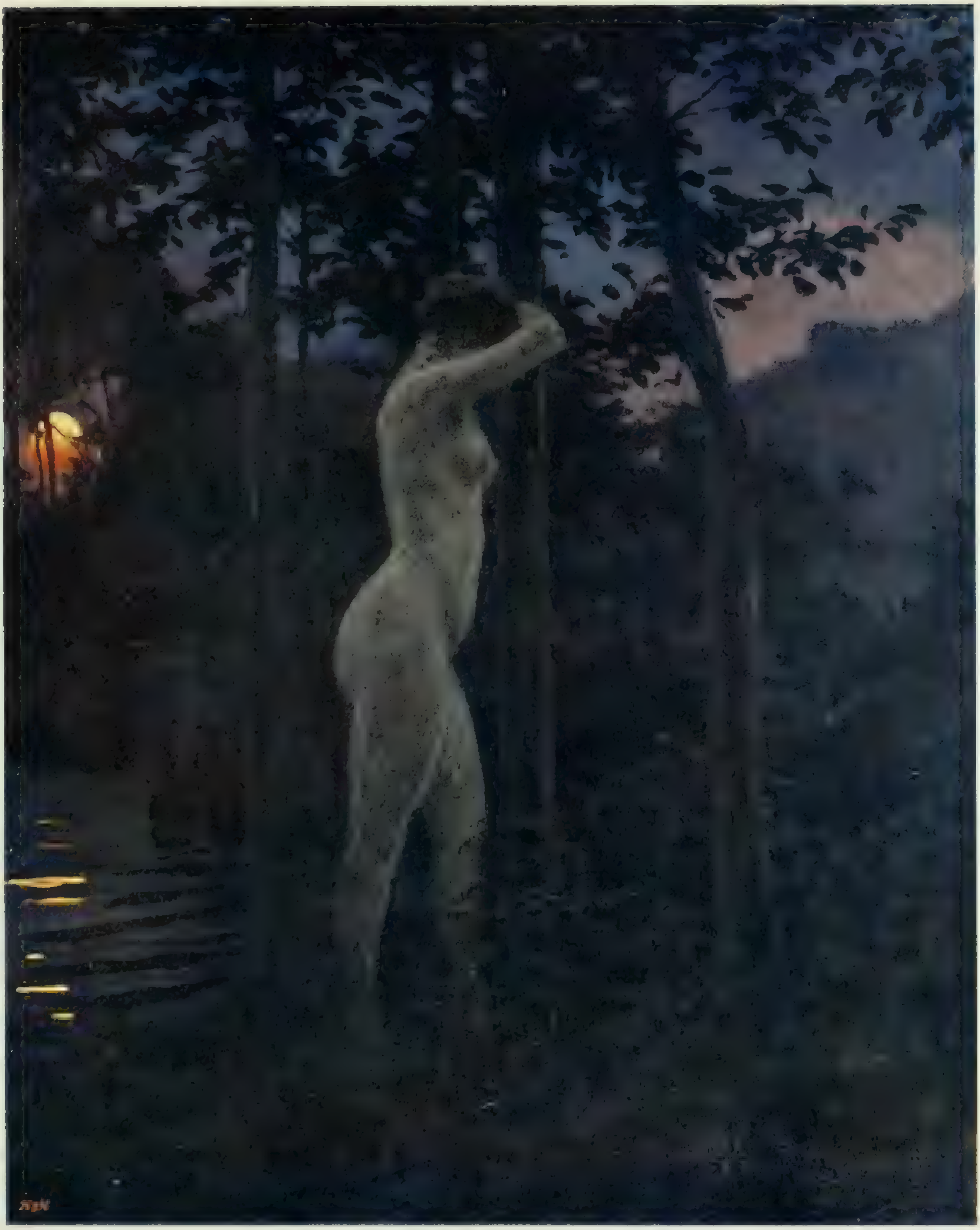
Uczuła zimno od parowania wody z rozgrzanego ciała, radaby była czem otrzeć się, choćby wytarzać się w trawie, lecz i trawa przemokła od rosy. Przypomniała, że ma w kieszeni spódnicy czystą chustkę, dobyła ją i jęła się ocierać, ale nagle podniosła ją do oczu, z których trysnęły gorące łzy — —

Odziała nareszcie ubranie na mokre jeszcze ciało i weszła wolno na szczyt wzgórza, z którego szerszy, lecz już nocny i mylny roztaczał się widok. Czuła już niezawodnie, że Michał nie przybędzie, chciała jednak wyczerpać ostatni brzask nadziei. I rozglądała się po polach, zdecydowana tu pozostać choćby do północy. Zamiast rozżalenia na ukochanego, zdjął ją o niego niepokój. On nigdy jeszcze nie chybił na schadzkę. — Jaka zaszła przeszkoda? co mu się stać mogło? — Boże miłosierny!

Wtem chwyciła uchem lekki tentent na polu żytniem. Nie koń to chyba, bo nie widać go nad kopami? — — może bardzo daleki galop? — cicha ziemia w nocy przenosi głosy i o wiorstę. — — Otworzyła oczy, usta, uszy — i serce nawet otwarte słuchało — — Wtem huknął blizki strzał.

— Jezus Marya!

Powstała z pod niedalekiej kopy żyta ciemna postać ze strzelbą,





pobiegła przez rżysko, schyliła się, wyprostowała, i już spokojnie zaczęła się zbliżać, chrupiąc ciężkimi butami.

— Ej, Warszulka, nie chodź ty po nocy, bo ciebie »welnis« [1]) rogiem ubodzie, tylko, że ja przeciw niemu mam święconą kulę w lufie.

— Stryj Łaukinis!

Lubiła dawniej Warszulka tego włóczęgę, bo ją zabierał z sobą na różne ciekawe łowy, ale w tej chwili uczuła do niego nienawiść. Pasmo rojeń najmilszych, choć trwożnych, przerywał jej natrętny opiekun, zdeklarowany przeciwnik tych rojeń. Podparła się hardo pod boki.

— A mnie czemu nie wolno kąpać się w jeziorze? To wam wstyd strzelać po nocy i jeszcze w niedzielę!

— A taki i w poniedziałek jeść trzeba — zaśmiał się Łaukinis cy-

[1]) Dyabeł litewski.

nicznie. — Pan Bóg nie zagniewa się za tego szczura — potrząsnął zabitym młodym zającem. — Ot, gdyby większy zwierz z Jużynckiego dworu ściągnął tu do ciebie, Warszulko, tak możeby i większy grzech przyszło się popełnić. Tylko jaby jego jutro nie jadł, a na polu zostawił.

— Co wy?! zwaryowali?! — zabełkotała przestraszona dziewczyna.

— Może ty, Warszulko, ale nie ja. Ja dobrze wiem, kogo czekałaś; jego szczęście, że nie przyszedł!

— Zostawcie mnie! — oburzyła się dziewczyna — już wy pewno sam »welnis« i znać was nie chcę!

Stryj-kłusownik zbliżył się jeszcze bardziej do bratanki i potężną dłoń położył jej na ramieniu:

— Znać ty mnie musisz. — — Z Łaukinisów jesteś, a ja z nich najmocniejszy. Piękna ty i do nas należysz.

Warszulka spojrzała ze strachem na stryja, którego dzikie oczy ciążyły na niej dotkliwie.

— Widziałem, kiedy płynęłaś. Piękna ty i silna.

— To innych przepędzacie, a sami podpatrujecie mnie w kąpieli? Ot, kiedy opiekun!

— Wiadomo. Jeżeli ja komu ciebie oddam, tak już swojemu człowiekowi i na wiek. — — A paniczom z tobą bawić się nie pozwolę.

Warszulka miała już na ustach wyznanie, że jej zabawa z Jużynckim paniczem to całe jej życie i szczęście, że zakończyć się może pięknie, jak między Stanisławem i Janielką. Ulękła się jednak dzikiego stryja i zamilkła. Wzruszyła tylko ramionami.

Ale chytry wyga przejrzał dziewczęce serce i rzekł ponuro:

— On zdradziecki Polak; on się z tobą nie ożeni.

Drgnęła dziewczyna i, nie pożegnawszy się ze stryjem, rzuciła się szybko w drogę, ku domowi, prawie biegnąc.

— Radzę ja tobie nie zawrócić do Jużynt. Ja w nocy widzę, jak ryś — zawołał za nią Łaukinis.

Szła, gnana biczami przekleństwa, w tę noc przygotowaną na wesele dla szczęśliwych, na męczarnie dla upośledzonych. Gdyby deszcz smagał i biły pioruny, lżej byłoby nieść chłopską dolę przez zasmuconą ziemię. Ale w cudownej nocy księżycowej każdy cień wyciągał miłosne ramiona, każdy zapach mroczył upojeniem — i to przeciwieństwo między panującą w przyrodzie rozkoszą a poziomym losem bezsilnego dziewczęcia wydało się Warszulce nieznośnem. Sięgnęła już pragnie-

niami po wyższe szczęście, nawykła do rojeń niedościgłych dla pospólstwa i we snach przestała być pospolitą. A tu ciężka łapa stryja-kłusownika trzyma ją przy znienawidzonej chłopskiej doli — gorzej jeszcze bo miła ręka panicza nie raczyła wyciągnąć się do niej szczerze i przychylnie, choćby na krótki uścisk, choćby na tę noc! — —

Gdyby kto chciał wyspowiadać Warszulkę z tego, co czuła podczas nieszczęsnego odwrotu z chybionej schadzki, nie wydobyłby z niej zapewne słów żadnych. Albo powiedziałaby krótko, że żyć jej niemiło i chce umrzeć.

XII.

SZEPETA.

Niema chyba na świecie kolei żelaznej tak towarzyskiej, sielskiej, romantycznej, jak ta, która idzie od Kałkun do Radziwiliszek. Stosując się do miejscowych potrzeb i gustów, pociągi nie bywają nigdy pośpieszne, są uprzejme i względne na podróżnych dojeżdżających z opóźnieniem do stacyi; wagony niewytworne mają wewnątrz urządzenie naśladowane ze stajni, ażurowe boksy z otwartym wzdłuż korytarzem; że jednak przewożą nie konie, lecz ludzi obyczajnych i łagodnych, są widownią ciągłego ruchu przez środek i miłych rozmów po kątach. Chyba, że jaki mizantrop weźmie zamknięty przedział klasy pierwszej; uniknie wtedy społecznego gwaru rodaków, ale wpadnie w towarzystwo generała, który niechybnie rezyduje w każdym przedziale pierwszej klasy. Więc ludzie, wyznający zasadę, że podróż po rodzinnym kraju nie jest amerykańskim wyzyskiem siły pary dla pożerania przestrzeni, lecz pouczającą i pełną słodyczy zabawą obywatelską, — jeżdżą drugą, a nawet trzecią klasą. W tych gwarnych wagonach spotyka się nierzadko miejscowego bogacza, który, gdyby chciał, mógłby całą kolej kupić na własność, lecz woli płacić mniej, a widzieć i słyszeć ludzi bardziej zajmujących.

Jeżeli nie spotka się znajomych, lub nie natrafi na ciekawą i oryginalną rozmowę, można z tych wagonów oglądać kraj po obu stronach drogi. Mijają przed oknami bogate lasy, tłuste, wzgórzyste pola, srebrne i błękitne jeziora; wyskakuje z boru dziwaczny zameczek Tyzenhauz,

uśmiechają się wesołe Abele z białym na górze kościołem, panoszą się wspaniałe Rakiszki strzelistym gotykiem swej świątyni i ładnym pałacem. Zresztą roztacza się kraj cichy i skromny, choć bogaty, pełen starożytnej szlachty i prastarego, dobrego ludu.

W pełnym wagonie drugiej klasy siedział Michał Rajecki, ponury, głuchy na śpiewne rozhowory sąsiadów. Jechał na sławne błotne polowanie pod Kupiszkami, na Szepetę, ale projekt ten wesoły nie zagłuszył w nim wewnętrznego dramatu. Uciekał prawie z Jużynt, uciekał od siebie samego.

Nie poszedł przedwczoraj na umówioną z Warszulką schadzkę i poczytywał dotychczas to swe postanowienie za dobre. Taki kuszący wieczór sam na sam poniósłby oboje niechybnie do ostateczności rozkosznych, lecz i obowiązujących. A coraz bardziej, może pod wpływem rozmów z Lelejką i z Pucewiczem, poczuwał się Rajecki do obowiązków względem pięknej dziewczyny, w której zgadywał duszę prostą, lecz czystą i głęboką; należała też do rasy pokrewnej i szanownej. Obowiązki te powstałyby naprawdę dopiero po nierozmyślnym jakimś kroku — — Ale już i dotychczas zaciągnął pewne zobowiązania: nęcił i rozkochał dobrą dziewczynę — — i po co jej obiecał tę przedwczorajszą schadzkę?! — W pośpiechu, z nieopanowanego popędu — — A co ona wycierpiała, gdy nie przyszedł?

W dobrze znajomym krajobrazie łatwo wyobrażał sobie oczekiwanie Warszulki. Widział ją, jak żywą, stojącą przy olszynie, pod księżycem, pośród zapachów takich samych, jakie on wchłaniał, błądząc tego dnia tęsknie i niespokojnie około dworu w Jużyntach. Już miał dosiąść konia i polecieć — — Zakazał sobie, gdyż czuł, że rozsądnie rozmawiać z Warszulką w taką noc nie zdoła. A nie przewidział nawet jej kąpieli w jeziorze! — Powinien był być zatem zadowolony ze swego panowania nad sobą, lecz czuł z oddalenia żałość dziewczyny, z którą go połączyły już mocne telepatyczne nici. Na tę żałość miałby lekarstwo: wziąć ją uczciwie za żonę — — lekarstwo jednak było, w jego mniemaniu, heroiczne.

Więc czasem znowu jego rozwaga wydawała mu się filisterskiem tchórzostwem, a całe postępowanie z Warszulką lekkomyślnem i niegodnem. Wszystkie zaś razem sprzeczne konsyderacye mieszały się z przemożnem pragnieniem tej właśnie, a nie innej kobiety — i od tego pragnienia, pociągającego za sobą doniosłe skutki, uciekał Michał w kraj daleki.

Rozmyślał, jadąc bryczką do stacyi, i w dalszym ciągu teraz, gdy wsiadł do wagonu. Powoli jednak świegotanie głosów kobiecych obsiadło mu głowę, jak stado wróbli, i zaczął mimowolnie słuchać. Towarzystwo, złożone z kilku kobiet i dwóch mężczyzn, było widocznie pod świeżem wrażeniem jakiejś uroczystości; rozpływało się w głośnych wspomnieniach.

— Pasterz nic nie jadł! — śpiewała niemłoda istota żeńska, zwana Moniką, załamując dramatycznie ręce.

— Ależ przestań, Monisiu! jadł, jak każdy z nas, ot więcej ode mnie — mruknął zawiędły mężczyzna o pozorach męża Moniki.

— Nie dla ciebie szak zgotowano, Ottonie. Ale on, osoba tak okazała i przymęczona bierzmowaniem! Ledwie zakąsiwszy, przestał.

— A jaka bogata była zastawa! — dowodziła inna kumoszka sentymentalna, panna Brygita. — Pani Aniela zapewniała, że cukry domowe, ale ja myślę, że z Wilna. I niektórzy nawet ocenić nie umieli, co im podają. Siedząc ja przy pani Kupściowej, która mało świata widziała, zapraszam: pakuj się! szak to pasztet! — Kiedy już nie lezie — powiada mnie ona.

— Wiadomo, kiedy człowiek syty, pasztet czy botwina — nie przechodzi przez gardło — zawyrokował pan Otton.

Ale zaraz napomniała go pani Monika:

— Przy festynach trzeba obejrzeć i rozpytać się, żeby, nie najadłszy się potraw prostych, miejsce zostawić na wykwintne.

Panna Brygita wzniosła się do uwag mniej poziomych:

— Jak pięknie pasterz mówił przy bierzmowaniu!

Michał, słuchając niedbale, teraz dopiero połapał się, że mowa o biskupie, objeżdżającym dyecezyę. Towarzystwo wagonowe powracało z jednej parafii, gdzie przyjmowano biskupa, jechało do drugiej na podobne przyjęcie, traktując tę wędrówkę pobożnie i turystycznie.

W innym kącie wagonu siedział mężczyzna o jasnych, starannie uczesanych włosach; twarz jakaś znajoma, tutejsza, ale ubiór i maniery zagraniczne. Wsłuchiwał się w śpiewne dźwięki sąsiedniej gawędy z rozrzewnioną lubością, patrząc na przelotne za oknami pola, i wybijał nerwowo takt na ramie okiennej. Oczyma mrugał i brwi ściągał, jak człowiek, który odnajduje coś cennego, przypomina, układa w głowie melodyjne wrażenia. Nareszcie powstał i zbliżył się do grupy rozśpiewanej o przyjęciu biskupa.

— Pozwolą państwo?... jestem Każyński.

Pan Otton wyciągnął do niego powoli wyprostowaną dłoń prawą, jakby go chciał pomacać i rozpoznać.

— Z Poniewieskiego, zdaje się?

— Tak jest: dojeżdżam do stron rodzinnych — jadę z Francyi. Jestem skrzypkiem solowym przy wielkiej operze paryskiej.

— Bardzo przyjemnie — rzekł pan Otton trochę śpieszniej.

Zelektryzowały się szczególnie damy, muzykalne, jak wogóle na Litwie. Panna Brygita, dyskretnie wyciągając palec z mitenki, wskazała na podłużny futerał, położony w siatce nad miejscem, które zajmował Każyński.

— Ach! to skrzypce?

— Tak jest, szanowna pani. Grać będę swoim polom, swoim ludziom, jeżeli zechcą słuchać...

— Może i dla naszego biskupa? — — Ot byłaby osobliwość w Ponikszcie!

— Mogę i dla biskupa.

Teraz Rajecki chciałby poznać skrzypka i kompozytora, o którym czytał w gazetach. Ale pociąg już dojeżdżał do Kupiszek, gdzie Michał miał wysiąść.

Spojrzał przez okno. Przed budynkiem stacyjnym, okazały na tle nikłych ścian i ludzi, stał ogromny pan Benedykt Talmont, łowczy, z którym się Michał umówił o spotkanie tutaj. Dostrzegł już wychylonego z pociągu Rajeckiego, rozczapierzył wielkie wąsy w szerokim powitalnym uśmiechu i kłaniał się czapką. Po minucie znalazł się Michał z manatkami swymi na drewnianym pomoście stacyi.

— Brawo, panie Benedykcie! Bałem się, że depesza na czas nie dojdzie.

— A panie-ż ty mój! Dyspozycya moja taka na stacyi: kiedy depesza przyjemna, sadzaj chłopa na konia i niechaj on mnie szuka, choćby ja o dziesięć mil w lasach był zaszyty. A kiedy nieprzyjemna, odłóż ty ją na bok i czekaj, póki ja sam na stacyę nie zajadę. Taki porządek zaprowadziłem.

— To musi pan mieć na stacyi dowcipnego człowieka, który decyduje, czy depesza przyjemna.

— A jest już taki — uśmiechnął się Talmont, jak mógł najmisterniej, wielką swą twarzą, zwierciadłem zadowolonej z siebie i pogodnej duszy.

— Kiedyż zapolujemy na Szepecie — zapytał Rajecki — jutro od rana?

— Jeżeli pan nie zmęczony podróżą, możem i dzisiaj wieczorem. Teleżkę nająłem u znajomego starowiera, koń rysak orłowski, za godzinę będziem przy błocie. A na noc zajedziem do leśnika Czerwińskiego. Choć on nie Czerwiński, tylko Szyrwintas, po szlachecku mieszka.

— To jedźmy zaraz do niego. Trzeba przecie przebrać się.

— Daleko z drogi byłoby. A ja na brzegu Szepety znam jedno miejsce, gdzie i w balowych bucikach chodzić można.



— Bardzo dobrze, ale cóż tam znajdziemy na suchem?

— Na suchem pod wieczór cietrzewie gromadzą się. A co być może na Szepecie, sam Bóg raczy wiedzieć. Ot ja zeszłego roku zabiłem tam ptaka nie ptaka, dziób jak u kruka, tylko żółty, pierza mało i w lot nie zrywa się; idzie kicający po ziemi na zadnich łapach.

— Jakto? ma i przednie?

— A takie malupasieńkie, niby nóżki z pod gardła rosną; czasem na nie opadnie, to myślisz, że zając z dzióbem, a kiedy na zadnich skacze — prosto szara gęś, galopa idąca.

— Co też powiadasz, panie Benedykcie!

— Dalipan. Chciałem ja jego do Wilna zawieźć i wypchać, ale wszów na nim pełno, jak na bąku — porzuciłem na błocie. Musi to być bardziej zwierz, niż ptak, bo pies do niego nie stanął, tylko piszcząc oszczekiwał jak jeża.

Takie cudowne historye opowiadał Talmont już na wózku, na którym obaj myśliwi pomieścili się niełatwo z dwoma wyżłami, przyprowadzonymi przez łowczego. Pies był i suka jednakowej maści dereszowatej z brunatnemi plamami, rasy niemieckiej; nosiły imiona swych sławnych praojców: Cezar i Minka. Rasa to mocna, karna, ale flegmatyczna i bez geniuszu, jak ludzie z nad Szprewy. Talmont opowiadał o nich cuda:

— Dostałem szczeniętami od księcia Radziwiłła z Towian. Rodziców księciu przysłał król pruski po kuzynostwie. Chcesz pan nie fatygować się, polując? — siądź albo stań na dobrem miejscu i tylko do suki: Minka, herum! — po niemiecku każdy pies lepiej rozumie. Tak

ona obłoży na pół wiorsty w koło, a kiedy co najdzie, zanotuje sobie akuratnie, przyjdzie do pana i pociągnie za ubranie na samo miejsce. Cezar już nie to. Stać będzie choć pół dnia i nie spłoszy, tylko już nie powraca i nie ciąga do zwierzyny. Minka lepsza.

Gdy je nazywał, psy zwracały na pana oczy do połowy zasłonięte krwawemi błonkami, lub kładły mu na kolana ciężkie łby z wielkiemi klapami, śliniąc z obwisłych fafli. Poddańcze i dumne zarazem z poddaństwa, pruskie psy były lojalne — doskonałe narzędzia do gospodarowania w błocie.

Chociaż »orłowski rysak« był właściwie tylko wychudzonym ranżerem z wojska, miał pewne tradycye dużego kłusa i wózek toczył się dość szybko. Ale droga była ze trzy razy dłuższa, niż zapowiadał pan Benedykt, choć ją skracał gorliwie barwnemi opowieściami. Zaledwie na godzinę przed zachodem stanęli myśliwi na miejscu projektowanem, wysiedli z wózka, dobyli strzelby z futerałów i poszli pieszo do rzadkiego brzeźniaka, ograniczającego z tej strony Szepetę. Brzeźniak rósł na dość suchym garbie gruntu w kształcie wału nad brzegiem ogromnego morza Szepety. I był przed wiekami istotnym brzegiem jeziora, zarośniętego dzisiaj niezmiernym kożuchem mchów i karłowatych zagajów.

Nie żałował Michał, że tu przyszedł jeszcze przed nocą, pierwszy raz bowiem oglądał ze wzniesienia mszar tego ogromu. Pochyłe promienie słońca barwiły różowo obszar zasadniczo żółty od mchów zapleśniałych, sośniny chorej i skarlonej w krzewy, brzózek marnie żyjących z błotnych soków podłoża. Coś tam jeszcze barwiło się jaskrawiej, sino i czerwono, jak rozkrzewione macki olbrzymich polipów, albo plamy na skorupie jednego na pół ziemi rozłożonego potworu — to rozlana między krzakami powódź jagód. Miejscami, bliżej brzegu, wysepki porośnięte wyższą olchą i brzozą ośmielały jeszcze do zapuszczenia się w tę dziedzinę błotną, budziły nadzieję możliwej w niej oryentacyi. Ale dalej, po krańce wzroku, zalegał bezmiar zbałwanionej dziczy, przejmującej dreszczem. Czy się tam lęgną jakieś potworne płazy? Czy ludzie, którzy tam pójdą, powracają? — —

Tymczasem pan Benedykt, trzęsąc wzniesioną ręką nad przepaściami mszaru, oznajmiał z pogodnym łowieckim apetytem:

— Ot w tym kierunku, wiorst dwie, trzy w głąb — królestwo pardw. Pójdziem tam jutro, tylko z innego miejsca. Dzisiaj pójść na moczary w butach i frantowskich, jak u pana, spodniach — ani projektu! Ale my z brzegu i dzisiaj coś podbierzem.

Rzeczywiście wyżły, pełniąc metodycznie swą powinność, wystawiły stado cietrzewi. Z czterech strzałów padły trzy sztuki, reszta pociągnęła na mszar niedostępny. Zachęceni myśliwi wycierali żywo brzeźniak, mocząc nogi tu i ówdzie przy zapędzaniu się w niższe miejsca, nie strzelając kszyków, choć co chwila furkały z pod nosa jednego lub drugiego psa; zaledwie z łaski i pogardliwie przystawały do tak marnego ptaka.

Od pewnego czasu Cezar zapuścił się w najgęstszą brzezinę i znikł. Pomimo nawoływania do nogi, nie wracał.

— Stoi tam pewno twardo — odezwał się Talmont. — Cóż? pójdziemy? Tylko już słońce zachodzi, a nam do Czerwińskiego wiorst pięć po mylnej drodze.

Gdy się namyślali, z gąszczu brzozowego odezwało się zjadłe, grube szczekanie Cezara. — — Talmont stanął, jak wryty, posłuchał chwilę, blednąc. — Aż odezwał się zdławionym szeptem:

— Chyba łoś? — — Nie co innego, tylko łoś! — — Panie Rajecki! kule do luf! napewno gruby zwierz...

I puścił się pędem w kierunku do nadzwyczajnego, alarmowego głosu wyżła. Sięgał zarazem do kieszeni, wyrzucał z luf ładunki śrutowe, wpychał inne i biegł nakształt wiatraka, zerwanego z posad przez wicher. Rajecki pobiegł zrazu za nim, ale zatrzymał się. Nie miał ładunków z kulami, a gdyby je miał, nie mógłby włożyć do luf, zwężonych u wylotu.

Tymczasem w gęstej brzezinie, obok głosu psa, rozległ się ciężki, miarowy tupot i trzask gałęzi. Cały ten zgiełk posuwał się przez chwilę niewidocznie w kierunku do mszaru, aż zamigał, zarysował się, wychynął na widok łoś — rogal. Błysnęła biała »latarnia« na froncie ogromnego łba, przedpotopowej struktury, ciągnącego za sobą palczaste »łopaty«, na których uwiesiło się sporo gałęzi brzeziny, przeprutej przez gmach zwierza wysoki w przodzie, a krótki, cały streszczony we łbie koronnym i w polotnie kłusujących nogach. Jeszcze na twardym gruncie pies zdawał się doganiać łosia, ale skoro dopadli obaj do moczarów, stała się rzecz dziwna: pozornie ciężka bestya sunęła po miękkim mszarze, jak po bitym gościńcu, krzyżując w sążnistych krokach zadnie z przedniemi nogami, lekki zaś pies galopował coraz trudniej, zapadał w błoto, i rosło oddalenie między nim a łosiem.

Świsnęła z brzeziny kula Talmonta — — łoś ani drgnął, ani zmienił kroku. Świsnęła druga bezskutecznie. Wspaniałe zwierzę mknęło da-



lej przez mszar, oddalając się ukośnie od myśliwych, jakby na pokaz potężnego kłusa, z którym żaden kłus konia-rysaka się nie zrówna.

Talmont powrócił do Rajeckiego na miejsce bardziej odsłonięte.

— Ot awantura! — wołał gorączkowo — żebym ja psa pilnował, kiedy dochodził, łoś byłby nasz.

— Może on dostał którą kulę? — rzekł Michał bez przekonania.

— Nie dostał — odrzekł pan Benedykt markotnie — jeśliby dostał, zaraz w galop wpadłby. Taka już jego natura. — — I jakże tu jego zwalić było? kroków trzysta!

— To dlaczego pan strzelał?

— Tak, dla honoru, takiego tuza nie wypadało puścić bez strzału.

Na przestrzeni równej i nizko porośniętej łoś, choć sunął bardzo szybko, nie przepadł z oczu. Znikły tylko krzyżowe błyski jego nóg ścigłych, szedł niby wpław przez ogromne morze mszaru, w ostatnim uśmiechu słońca, rudo migający przez powszechną rudość — już mglisty — różowy — zamleczony opalami — —

— Ot kiedy sunie bestya taka! — zachwycał się pan Benedykt — pudów piętnaście, a na łbie samym ze dwa pudy w łopatach! A obaczysz pan, jak tam lekko iść, gdzie on sobie pomyka, niby wiewiórka! Stąpi człowiek tylko nieuważnie na ten kożuch, po pachy w ziemię pój-

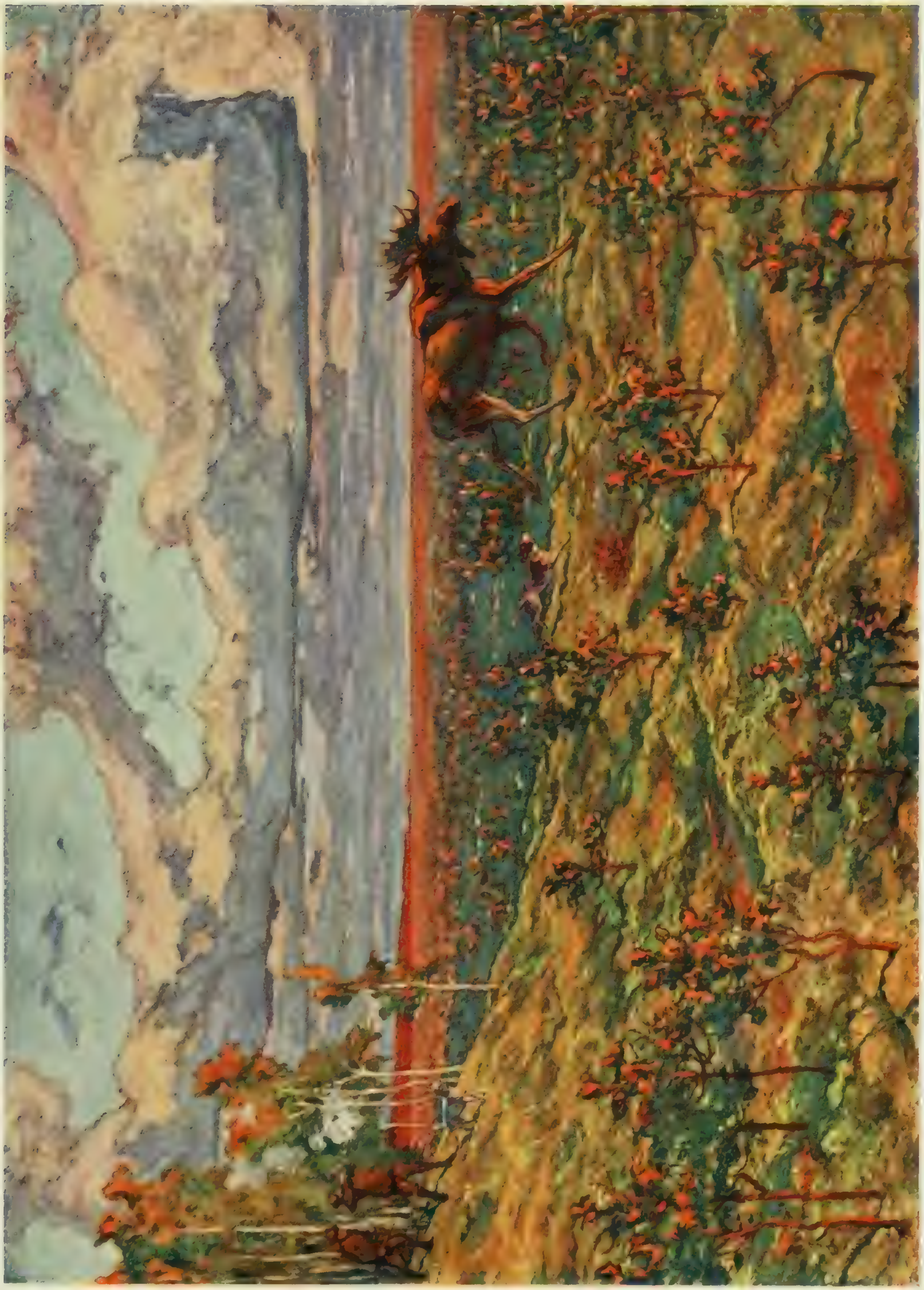
dzie. Prawda, że jemu dobrze: racice szerokie, jak kowadła... A taki on majster do chodu!

Przeprowadzili go tęsknemi oczyma, póki dojrzeć mogli. Rajecki bardziej po malarsku, Talmont ze stanowiska raczej przyrodniczego widział ten obraz, ale obaj, urodzeni myśliwi, odczuwali głęboko urok i potęgę tej niezmiernej dziczy, co urągała ludzkiemu panowaniu, i przebiegłego zwierza, który jej królował. Z powodu piękności widoku przebaczyli ostatecznie łosiowi, że się nie dał zastrzelić.

Cezar powracał do nogi zziajany, obłocony, z wyrazem skruchy w poddańczych oczach. Niemiecki wyżeł pogonił zwierza i to głosem! — — Ale, że pierwszy raz w życiu wytropił łosia, że mógł przy tak wyjątkowej okoliczności zapomnieć o rygorze swej tresury, puszczono mu winę płazem. I myśliwi, po wielkiem wzruszeniu łowieckiem, syci byli na dzisiaj. Powrócili do wózka i wertepami nad brzegiem Szepety dotarli przed zapadnięciem nocy do wygodnej siedziby Czerwińskiego, położonej na wzgórzu.

Znaczna to była osoba ten leśnik, a szczególniej skomplikowany miał urząd. Ponieważ Szepeta należy w części do rządu, Czerwiński był urzędnikiem państwowym i z tego tytułu nosił czapkę z zieloną taśmą, nazywał się nawet Czerwinskij. Ale był zarazem przedstawicielem kilkunastu innych posiadaczy udziałów na Szepecie, okolicznych ziemian, i jako leśnik prywatny zwał się Czerwiński. Wreszcie jako właściciel gruntu w niedalekiej wiosce, razem z nią uprawniony do serwitutu opałowego i pastewnego na Szepecie, korzystał z tych praw pod nazwiskiem Szyrwintas. Trzy te charaktery przyoblekał i zmieniał bardzo łatwo, nawet gdy zachodziła taka trudność prawna, że urzędnik Czerwinskij odmierzał wydatki serwitutowe włościaninowi Szyrwintasowi. Z największem zaś upodobaniem nosił skórę pośrednią Czerwińskiego i czuł się szlachcicem.

Te rajskie stosunki prawno-ekonomiczne umożliwiała jedna odwieczna tradycya: Szepeta, nie mierzona i nie dzielona od początku świata, należała do wszystkich, wystarczała dla wszystkich. Kto chciał, kosił tu rzadką trawę, rąbał chude drzewo, zbierał nieprzebrane jagody, a zwłaszcza polował na miryady lęgnącego się tu ptactwa. — Czerwiński miał jedną tylko pretensyę — aby ten, kto zapragnął korzystać ze skarbów mszaru, zameldował się do niego i otrzymał »razreszenie«. Był odźwiernym, zazdrosnym o klucze otwartej na cztery wiatry Szepety.



Uradował się szczerze z odwiedzin Talmonta, sławnego łowczego, i z poznania Michała Rajeckiego, dziedzica Jużynt; lubił bowiem wyższe towarzystwo. Przyjmował ich, jak dostojnych gości; o »razreszeniu« mowy nawet nie było; leśnik sam ofiarował się za przewodnika po Szepecie, której był biegłym znawcą, zarówno jej niebezpiecznych trzęsawisk, jak miejsc najobfitszych w zwierzynę.

Pan Benedykt znał dobrze Czerwińskiego i jego słabości, wyzyskiwał je w celach humorystycznych. Wiedział, że leśnik, który i w wojsku służył i kawał świata zwiedził, niezmiernie był czuły na stosunki z »wysoko postawionemi« osobami. Nie szczędził mu więc pan Benedykt wzmianek o gubernatorach, generałach i książętach, a Czerwiński z pozoru wyga, ze swą wygoloną twarzą i figurą kancelisty, wchłaniał te rozpylone w rozmowie tytuły z naiwną rozkoszą, marszcząc długi nos, jak amator tabaki, przy jej zażywaniu.

— Kiedy ja w przeszłym tygodniu polowałem z gubernatorem w Birżańskiej puszczy, mówi mnie on: »nie pora teraz w lesie, jaby na cietrzewie i pardwy zapolował, tylko żeby już ich było po kolana«. A ja jemu: tedy trzeba panu gubernatorowi na Szepetę. — Ja jego tobie przywiozę, panie Czerwiński, po niedzieli.

Leśnik wyprostował się po żołniersku:

— Tak mnie już pan łowczy dwa dni pierwej zapiseczkę przyślij, kiedy łaska, jeżeli nie byłoby rozporządzenia od samego Prewoschoditelstwa. Kazałby ja kładki przez błota położyć. Jaby i dla panów, tylko nie mógł wiedzieć o przyjeździe.

— Na co nam kładki? Na nóżkach my lepiej dojdziem, macając gdzie należy.

Pan Benedykt okazał nóżki w butach tak ogromne, jak słoniowe, ale wykonał kilka kroków posuwistych po podłodze leśniczówki, dość lekko.

— Widzę, że pan i do tańca skory — uśmiechnął się Rajecki.

— A panie-ż ty mój! żeby tylko podłoga sumiennie była zbudowana. Niedawno kompania mnie wypadła w Kownie u marszałka. Upodobała mnie sobie do tańca księżna Totamwidze...

— Co za księżna? — spytał ubawiony Michał.

— Jest taka, Gruzyjka, jak łania!

— Ależ panie Benedykcie, trzeba pomówić o jutrzejszem polowaniu.

— Pośpiejem. I cóż tu mówić? Chodaki na nogi, strzelba w garść, ładunki w kieszeń — gotowi. Pan Czerwiński już zaprowadzi.

— Wiadomo — odrzekł leśnik. — A panom pardwy w życzeniu? Rajecki trochę się zastanowił nad tym nowym zwrotem ugrzecznionej polszczyzny, więc Talmont odpowiedział:

— W najpierwszem życzeniu pardwy, panie Czerwiński. Pan Rajecki chce ich sto sztuk do Jużynt zawieźć.

— A choćby i dwieście. Ich tu przepaść wszędzie. Ot i na zakąskę przed noclegiem pardw popróbujecie panowie, bo porządnego mięsa w domu niema.

Mięso pardw, białe z czarnem przekładane, jaśniejsze trochę, niż cietrzewie, należy do przednich przysmaków. Tutaj oczywiście przejadło się okolicznym mieszkańcom. Ale myśliwym przybyłym z daleka, z miejsc, gdzie pardwy są rzadkie, pieczone ptaki zapachnęły smakowicie. Znalazła się i boćwina i ogórki z miodem. Wszystko to było w »życzeniu« przegłodzonych myśliwych.

Około wieczerzy krzątała się pani Czerwińska, niestara jeszcze i hoża, ubrana po szlachecku i mówiąca paru powikłanymi z sobą językami. W drzwiach często otwierających się migała inna jeszcze sylweta kobieca, mocno zaciekawiająca; świeciły jej ciemne oczy w białej bardzo twarzy, fertała się kiecka na okrągłych kształtach i dźwięczał czasem głos ponętny jakimś obcym akcentem.

Gdy gospodarz wyszedł na chwilę z izby, pan Benedykt rzekł do Michała:

— Ot jaką sikorkę przyswoił sobie Czerwiński! I nie widziałem. Córki on jeszcze takiej wielkiej nie ma.

Właśnie dziewczyna teraz weszła do izby z półmiskiem. Ładna była, śmiała i czysto ubrana w gorseciku na koszulce. Siliła się na powagę, ale oczy jej biegały, a wargi zacięła na zębach, jakby z ust przemocą nie chciała wypuścić śmiechu. Ale napotkała spojrzenia dwóch mężczyzn tak przychylne i łaskoczące, że, zanim jeszcze postawiła na stole półmisek, parsknęła śmiechem, odsłaniając szeroką, mokro błyszczącą paszczękę młodego zwierzęcia. Patrzyła na Michała, a Michał na nią i w pierwszem krzyżowaniu spojrzeń podobali się sobie nawzajem. Ale pan Benedykt, jak osacznik, ruszył chyłkiem z miejsca i zastąpił dziewczynie ode drzwi; wtem ona, postawiwszy szybko półmisek, zaczęła uciekać, ale jakoś tak niefortunnie, że wpadła pędem w objęcia Michała.

Na tę scenę powrócił do izby Czerwiński i wszyscy uspokoili się, czekając, co powie gospodarz.

— Ot durna Paraska, boi się! — rzekł niespodziewanie Czerwiński. — Biegaj teraz do kuchni, a jeśli panowie zawołają dla jakiej potrzeby — przychodź.

Skoro się oddaliła, rzekł zadyszany Talmont:

— Jakaż to u ciebie Paraska, panie Czerwiński? nowa, zdaje się, i nie tutejsza?

— Z Kurlandyi ona, Łotyszka, czy Ruska? — i sam nie wiem. Na lato przyjąłem do pomocy, kiedy goście przyjeżdżają na Szepetę ochocić się. Ot objeżczyk kazionnych lasów był — chwalił.

— A żona nie gniewa się?

— Zmiłuj się, panie łowczy! czegoż tu gniewać się? Dziewka do roboty mocna... no i cudza, nie swoja — na lato tylko do pomocy.

— Ot kiedy ludzie mądrzy! — zawołał Talmont.

A Rajecki, podniecony, z pijanym błyskiem w oczach, chwycił za manierkę z wódką, zwracając się do uprzejmego gospodarza.

— Napijemy się, panie Czerwiński?

— Szak możno.

*
* *

Nazajutrz słońce podniosło się nad obszarami Szepety ostro wykrojone w złotym błękicie, nie jak płomień dnia wchodzący łaskawie między chaty i drzewa, lecz astralnie, w samotnym majestacie, nad ziemią jednobarwną i wypukłą, jak morze. Coraz bledsze i ognistsze, wznosiło się, znacząc godziny bez cienia na uprażonych moczarach — jedną — dwie — trzy...

Michał ocknął się, zbudzony ostrym dźwiękiem stłuczonego szkła. Zanim otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że leży w głównej izbie leśniczówki, i pomyślał, że pospałby jeszcze; rozkoszne rozprężenie czuł po całem ciele, spokój ołowiany; ale zarazem przemknęło mu przez mózg wspomnienie, wywołujące i uśmiech i pewien niesmak — —

— Ech, co tam! przelotna awanturka...

Podstępem, właściwym ludziom rozleniwionym w łóżku, udawał, że jeszcze śpi, ale już był ciekaw, co się koło niego dzieje. Zobaczył przez rzęsy, że Talmont i Czerwiński, całkowicie gotowi do polowania, piją przy oknie herbatę. Łowczy musiał przed chwilą stłuc szklankę, bo zgarniał kawałki szkła ze stołu wielką, niezgrabną dłonią. Promienny dzień w izbie zaniepokoił nagle Michała, więc odezwał się:

— Dzień dobry. Która godzina?

— Dzień dobry panu. Już siódma.

— Bójcie się Boga! czemu mnie nie zbudziliście?

— A już tak...

Pan Benedykt zawiesił zdanie na stłumionym śmiechu, spoglądał żartobliwie i poufale, Czerwiński zaś był poważny i pełen uszanowania dla życzeń gościa, jak zwykle.

— Mogliśmy być już od paru godzin na mszarze!

— Pośpiejem, wasze wysokorodie — rzekł Czerwiński — tu szukać długo nie trzeba, wszędzie zwierzyny pełno.

Rajecki wyskoczył z łóżka, przeciągnął się gimnastycznie, i chwyciwszy w płuca pachnącego powietrza, które szło od otwartego okna zaprawne trochę dymem tytuniu, poczuł się zdrowym i ochoczym do trudów nowego dnia.

Po kwadransie trzy pary chodaków klapały pośpiesznie po stoku wzgórza, spuszczając się ku poziomowi Szepety. Ledwie ścieżka zabrnęła w łąkę, już wyżły zaczęły stawać do dubeltów. Aby nie tracić czasu i nie znarowić psów, trzeba było je wziąć na paski, bo zaczynały dziwić się i spoglądać ze zgorszeniem na myśliwych, że nie strzelają do dubeltów.

— Idźmy prosto tam, gdzie pardwy — rzekł Michał — już późno.

Dążyli więc po linii prostej, prowadząc psy między karłowatą, wężowo pokręconą sośniną, nie przenoszącą wzrostu człowieka. Grunt coraz bardziej ustępował pod stopami i napełniały się wodą zagłębienia śladów.

— Ale chodzi się lekko — zauważył Michał.

— Tu jeszcze bajki! grunt mocny — odrzekł Czerwiński. — Dalej ciężej po cienkim kożuchu.

— Czy tu rąbano niedawno? — zagadnął znowu Michał. — Ile ma lat ta sośnina?

— A już ona taka od początku świata, wyższa nie będzie.

Mieszała się dalej z poziomą krzaczastą łoziną. Kobierce czerwonych żórawin i czarnych, sinym pyłem pokrytych pijanic zasłaniały ziemię, przetykane kostką błotną i dzikimi chwastami niewidzianych kształtów, czasem potwornych rozmiarów.

— Już tu należałoby psy spuścić — rzekł Czerwiński — ale panowie pozwólcie mnie naprzód. Tu już nie wszędzie iść można, niewiedzący.

Poszedł więc pierwszy w szeregu przez rzadsze porosty.

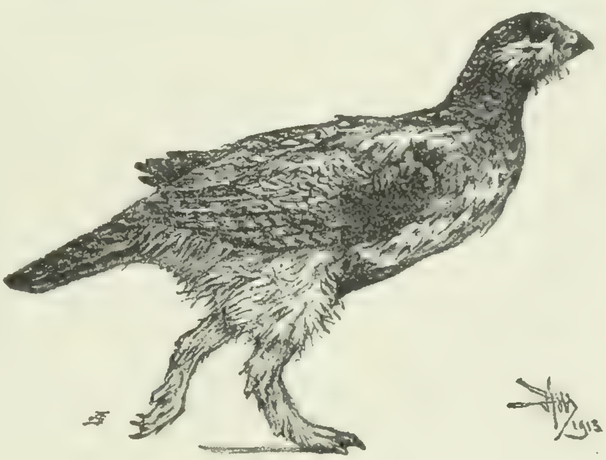
O staje dalej grunt nie lekko już zapadał pod stopą, lecz każdy krok wciągał w głąb lejek przynajmniej sążniowej średnicy. Myśliwi doznawali wrażenia, że kroczą po napiętym nad próżnią grubym samodziale ze mchu; wokoło nachylały się ku nim czuby traw, nawet krzaki, coraz mizerniejsze. Mszar zdawał się pełzać pod stopami powolną falą, z niepokojącem pod powierzchnią glukaniem.

Oba psy stanęły metodycznie, wzorowo.

— Są? — szepnął Czerwiński, schodząc na bok i ustępując miejsca — tu nie co innego, tylko pardwy.

Zapomniano i o przezorności stąpania, idąc gorączkowo i śpiesznie za psami, prowadzącymi po linii prostej, z krótkimi przystankami. Zanim psy doszły, rozległ się ogromny chlupot i wołanie:

— Uuch!... do dyabła ty prowadzisz, Czerwiński!...



Talmont po pas zapadł w błoto.

W tej chwili przed psami wzniósł się najpiękniejszy z litewskich ptaków, stary kogut pardwi, prowodyr stada. Rudo-złote pióra długiego ogona i jaskrawa pstrokacizna skrzydeł zagrały w słońcu i alarm napełnił powietrze:

— Gargar — gargar — gargar...

Rajecki obejrzał się szybko na towarzysza i, dojrzawszy, że gramoli się skutecznie z błota, wziął koguta na cel i zwalił strzałem już dalekim.

Za samcem, prawie jedną chmurą, porwało się stado młódek bez głosu, ale z suchym hałasem skrzydeł, migających śnieżnymi końcami. Jeszcze jedną sztukę zabił Rajecki z lewej lufy, drugą Czerwiński. Już stado uniosło się o kilkadziesiąt kroków, gdy od ziemi huknęły dwa strzały Talmonta. Zawzięty łowczy, jeszcze tkwiący w błocie, ścigał pardwy śrutem. Jedną zeskrzydlił — opuściła się ukośnie ku ziemi, podczas gdy reszta, zwarta w kupę, leciała nizko i szybko nad mszarem, lotem podobnym do kuropatwiego, i zapadła całem stadem w oddaleniu ćwierci wiorsty.

Pomożono najprzód wydobyć się z błota Talmontowi, który drwił wesoło z samego siebie:

— Ja tylko przykucnąłem, panowie-ż moi, żeby łatwiej na cel chwycić, a to kołyszesz się na tym mszarze, jak na hojdawce.

Wyżły zaaportowały sumiennie koguta i trzy młódki. Michał wyrwał czerwone piórko z ogona samca i zatknął za wstążkę swego kapelusza.

— Ot gargatún piękny — chwalił leśnik — jak te fazany, które ja widział w Białowieskiej puszczy.

— Po co tak daleko szukać? — rzekł Talmont — i w Towianach książę w parku bażanty zaprowadził. Tylko to ptak, co dzikości w sobie nie ma; kuchcikom ich strzelać, nie myśliwym.

Rajecki zwrócił się do Czerwińskiego:

— Cóż, czy pójdziemy tam, gdzie zapadło stado?

— Szak można — odrzekł leśnik — tylko ich znaleźć trudno; kiedy spłoszone, wpadną w mech i nie ciekną; do wieczora jak martwe leżą. Nie bój się, pan — najdziem inne; ich tu stad mało tysiąc.

— Tylko prowadź, panie Czerwiński, na bardziej ludzkie miejsca, żeby choć jakkolwiek po nich przesunąć się można było.

— A kiedy na pardwy, tak już po żółtym mchu, panie łowczy, a żółty mech na przepaściach.

— Bo wy już taki błotny człowiek — tłómaczył Talmont — a pan Rajecki młodzieńki, to jak na skrzydłach. A mnie ziemia już ciągnie, i kiedy pochowam się do niej, wolę nie w błocie.

— Szak tu, gdzie chodzim, jeszcze nie bieda. Zapadniesz i wyleziesz. Ot tam, gdzie panowie widzicie daleko na lewo — trawa gładka — tak tam człowiekowi nie chodzić. I nie ochota jemu, bo nic nie znajdzie: czasem kaczki siędą i to nie dobre, murzynki, albo łyski.

Spojrzeli wszyscy na lewo, gdzie zieleńsza od mszaru, niewinna pozornie rozciągała się łączka. Michał zamyślił się nad tem, że gdyby bez przewodnika włóczył się po Szepecie, mógłby próbować wejść na tę łączkę. — — Niemiły dreszcz go przeszedł. — — Na takich to zdradnych trzęsawiskach urodziło się charakterystyczne litewskie przekleństwo:

— Żeb' ty skroś ziemi poszedł! — —

Idąc znowu na czele pochodu, Czerwiński opowiadał dalej:

— A w samym środku Szepety, jeszcze o milę stąd, jest jeziora niezarośnięta, czarna. Tak z jej dniem i nocą para idzie ciężka, woniejąca jak dym torfowy, i w górę nie podlatuje, tylko rozłazi się nizko po brzegach. Jaka tam zwierzyna wodzi się — i niewiadomo, bo dojść nie można ani blizko. Czasem kiedy spłoszysz, idąc, którego z wielkich

kulonów, albo inne zwierzę do czorta podobne, tak ono ciągnie na te jeziora fajka palić[1]).

— Ot widzisz pan — rzekł Talmont do Rajeckiego — to, co ja opowiadałem wczoraj, że zabiłem, — ni gęś, ni zając — to było ze środkowego jeziora.

I zwrócił się do leśnika:

— A cóż to, byłeś, panie Czerwiński, nad tem jeziorem, że opowiadasz, jak wygląda?

— Zimą podszedłem, i to nie blizko; nie marznie ona i wszystko dymi. I wokoło bagna nie marzną. Latem i podsuwać się tam straszno...

Tymczasem psy wystawiły znowu stado pardw, jedno i natychmiast drugie. Koguty — gargatuny uszły cało, ale siedm młodych legło od strzałów. Znowu Minka stanęła dziwacznie, drżąc i cofając się bojaźliwie przed jakimś dużym ptakiem, do którego nie czuła zaufania. Porwał się cicho i lekko, rozskrzydlony łukiem na jakie półtora łokcia. Michał strącił go z powietrza i, podniósłszy, oglądał jego wielki dziób bekasi, ale zakrzywiony na dół, długie nogi i upierzenie czarno-bronzowe na skrzydłach, siwe na piersi.

— Czarny kulon — orzekł Czerwiński — z największych. Ale on do niczego, mięso hadkie. Ostaw jego pan na błocie.

— A nie! nigdy takiego nie widziałem; zabiorę do wypchania.

— Tak ja jego panu poniosę — ofiarował się usłużny leśnik.

Nie zbyt długo jeszcze polowali — słońce dobiegło zaledwie południa i grzało znośnie, bo i wietrzyk chodził po Szepecie, zaprawny odurzającą wonią błotnych porostów. Ale wszyscy zlani byli potem, gdyż chodzenie po uginającym się kożuchu mszaru należy do najuciążliwszych trudów myśliwskich. Zwłaszcza ogromny Talmont ledwie dyszał i stracił nawet humor. Zadecydowano więc przystanek i posiłek.

— Tylko żeby gdzie zawalić się można było nie jak wieprz w błocie — szukał oczyma dookoła pan Benedykt.

— Pozwólcie mnie — rzekł Czerwiński.

Wybrał miejsce, gdzie blizko obok siebie rosło kilka krzaków rosochatej łoziny. Trzy z nich urządził w ten sposób, że nałamał wszyst-

[1]) Litwini, słabo mówiący po polsku, mają stałą skłonność do przerabiania rzeczowników na rodzaj żeński i do używania ich generalnie w pierwszym przypadku.

kie gałęzie do środka. Następnie uciął myśliwskim nożem kilka pokrzywionych drągów sosnowych i umieścił je na krzyż na załamanych dośrodkowo krzakach.

— Ot, proszę siadać — —

Michał usiadł i zawisł jako tako w powietrzu. Ale pan Benedykt, choć siadał ostrożnie, załamał całe rusztowanie.

— Uuch! ziemia ciągnie — — i dosyć mnie już jednego zycbadu — wołał komicznie, gramoląc się z rozmiażdżonego krzaka.

Wzmocniono więc legary pod gmach pana Benedykta i wszyscy zażyli nareszcie odpoczynku przy śniadaniu.

— Opowiedz pan coś jeszcze o tem jeziorze środkowem, panie Czerwiński — prosił Michał.

— Istoryi wiele, a wszystkie ciemne — — Najlepiej o tej jeziorze wie jeden Petrulis, i to rozum u jego pomieszany.

— Aha, ten Petrulis, co to chciał na dubicy przez Szepetę przepłynąć? Wiem — odezwał się Talmont.

— A pan z Jużynt może nie znać?

— Nie znam; proszę opowiedzieć.

— Tak był Petrulis i on jest jeszcze. Ciekawy był mały i próbował każdą rzecz poznać, która ukryta jest dla rozumu człowieka. To jemu, bywało, przyjdzie do głowy rozpoznać, czy mrówki głos do siebie dają, kiedy artel ich w marszu, i sunął głowę w mrowisko na cały dzień zawaliwszy się. Kiedy wstawał od tej durnej roboty, ludzie myśleli, czerwona febra jemu na twarz rzuciła się. On i za łosiami chodził po kilka dni bez strzelby, żeby podpatrzeć, czy który łoś na padaczkę [1]) chory i jak on leczy się wtedy, skrobiąc ucho zadniem kopytem.

— Wiadomo — przerwał Talmont — w łosiej racicy wielka jest moc leczenia różnych chorób; i ja z niej proszek mam w apteczce, nazywa się ongula [2]). Ona nietylko na wielką chorobę, ale i na mniejsze, z padaniem połączone. Ot naprzykład panience trafi się poślizgnąć...

— Daj pokój, panie Benedykcie! — prosił Michał.

— Słówko tylko — upierał się żartobliwy łowczy — ja, będąc w pana wieku, nosiłem zawsze ten proszek przy sobie — tak na wypadek z panną, choćby i na polowaniu...

---

[1]) Epilepsya. Starożytna legenda o epilepsyi łosi naprowadziła na pomysł używania łosiej racicy jako środka lekarskiego dla ludzi, podlegających wielkiej chorobie.

[2]) Ungula alces.

— Et! pozwól pan opowiadać Czerwińskiemu — rzekł Michał.

Zaczerwienił się i spojrzał na leśnika, czy ten nie zrozumiał aluzyi do Paraski. Ale Czerwiński bez jakichkolwiek oznak wzruszenia rozpoczął znowu przerwane opowiadanie:

— Tak ten Petrulis pytał wszystko i pytał, co dzieje się na jeziorze we środku Szepety. Odpowiadali jemu: durny ty, żaden człowiek tam nie był i nie będzie. On taki uchytrzył się tam dojść. Pobudował sobie dubicę, nie dubicę, — prosto koryto niewielkie z pławkami. Nałożył tam kilka bochnów chleba, machorki funtów trzy — i dawaj-że ciągnąć tę dubicę przez suchy mech do środka mszaru. Widzieli jego ludzie, kiedy wyjeżdżał, śmiali się. Pierwszego dnia idąc na nogach ciągnął, poszedł do wieczora sążni ze sto. Widzieli i na drugi dzień, jak on pchał już przez luny swoje koryto, we środku siedząc, a drągiem wielkim od błota odpierając się. Widzieli i na trzeci dzień jeszcze dalej — a potem jak przepadł na wiosnę, tak i nie wracał. Nikt jego szukać nie poszedł, bo u jego ni rodziców, ni żony. Myśleli: wtopił się. Aż pod koniec septembra wraca on chudzieńki, zarośnięty. Pytają u jego: byłeś na jeziorze? Patrzy, jak sowa w dzień, i nie gada. W głowie jemu pomieszało się od tego, co widział — ot co jest!

— Jakto? i nie opowiada? — zapytał Michał.

— Jeśli pytają, co jadł, kiedy chleba nie stało, czasem odpowie on: pijanica dobra jagoda, krepka, jak wódka.

— To i rozumie się — rzekł Talmont — od duru pijanic zdurniał.

— Może i od pijanic, a mnie zdaje się, że od tego, co na jeziorze widział. Bo ludzie, u których on żyje, opowiadają, że sam do siebie albo i przez sen czasem gada. Dusze ludzkie pokutne — mówi — po śmierci na skrzydłach latają, złe na czarnych, a lepsze na pstrokatych. Niema im spoczynku nad czarną wodą. Na grunt twardy im siadać nie dozwala się, a jeśli opadną na wodę dymiącą, warzą się i jak kamuszki na dno idą. Tak wyrozumieli z jego gadania, że on to widział na jeziorze.

— Da przestań, panie Czerwiński, pogańskie historye opowiadać! — zawołał Talmont, splunąwszy — wszak wiadomo, że piekło we środku ziemi, a czyściec Bóg jego wie gdzie, tylko nie na Szepecie. I my przyszli tutaj pardwy strzelać.

— Jaż nie mówię, panie łowczy — Petrulis pomieszany opowiada.

Zadumali się wszyscy na chwilę o dziwach mszaru i jego oparzelisk, poczuli swą małość i nielotność. Przerwał milczenie Rajecki:

— Gdzież teraz, panie Czerwiński?

— A cóż, można jeszcze dalej do środka, można i powoli wracać do brzegu inną drogą.

— Trochę jeszcze do środka — wyrywał się Michał.

Pan Benedykt nie oponował, lecz pozostawał coraz bardziej w tyle, trzymając się krzaków, coraz rzadszych. Przez nagie połacie wybladłego mchu trzeba było teraz ślizgać się chodakami po powierzchni niby zwartej, lecz prawie płynnej. Dawało to Michałowi wrażenie postępowania po fali, cudne i podniecające: skoro się zwyciężyło tyle już przestrzeni, może dzisiaj właśnie dotrze się do widoku, choć zdaleka, dziwnego środkowego jeziora? — — Co chwila psy znajdowały pardwy i kilkanaście sztuk przybyło do troków myśliwych. Pardwy ciągnęły strzelców w kraj coraz bajeczniejszy, pływający na odmętach błotnych, ziejący wonią przemocną, od której nadużycia zwaryował Petrulis. Nie pijanice wydawały tę woń, ani inne jagody, bo ich dziedzinę pozostawili już myśliwi za sobą; wiały tu już pono dymy czarnego jeziora —

Nowe stado pardw furknęło z pod wyżłów. Kogut poprowadził je nizko nad mszarem nagim, gładkim i puszystym, jak strzyżony kobierzec zgniłej barwy. Głos koguta jakoś tryumfalnie i złowrogo śmiał się:

— Gargar — gargar — gargar...

Michał, zajęty samą trudnością postępowania, rozkołysany na chwiejnym gruncie, strzelił późno i zeskrzydlił jedną tylko młódkę, która opuściła się daleko na goły mszar. Cezar rzucił się za nią, ale po kilku susach uwiązł po brzuch w błocie, wygramolił się i zawrócił do myśliwych. Cezar pierwszy raz w życiu odmówił służby.

Przystanął i Czerwiński:

— Tutaj już, pan, my nie przeleziem. A przeleźliby raz, powrócić ciężko.

Namyślali się przez chwilę, dysząc ze zmęczenia. Wtem usłyszeli strzał za sobą w krzakach, z których niedawno wyszli.

— Ot gdzie pan łowczy za nami pozostał! — uśmiechnął się Czerwiński.

Rajecki obejrzał się:

— Co on tam? zapadł znowu? widać go tylko do połowy — —

— Nie; stoi on, nóżki w błoto maleńko wnurzywszy. A i my jemu widni tylko od brzuchów.

— Wracajmy do łowczego.

— Tak i trzeba.

Powracali, omijając ślady własne, zagłębione we mchu, ogromne, pełne ciemnorudego błota. Iść bez nadziei strzału zdawało się trudniej, niż za pardwami.

Pan Benedykt był w złym humorze.

— Nie dziw, że pan Rajecki, młody i nowy tutaj, lezie, gdzie popadnie. Ale żeby ty, panie Czerwiński, stary ochotnik, prowadził w takie miejsca, tak tobie już we łbie wódka musi zakręciła, albo na inny manier ty zdurniał, śmiem powiedzieć.

— Da cóż pan łajesz się? szak my przeszłego roku na samych tych miejscach z panem pardwy bili — odrzekł spokojnie leśnik, demonstrując dłonią.

— W przeszłym roku susza była, a w tym deszcze wiosenne rozmoczyły mszar jak botwinę, czort jego bierz!

— Czy nie to będzie, że panu łowczemu maleńko w tym roku wagi przybyło? — dodał Czerwiński nie bez cienia złośliwości.

Talmont obruszył się:

— Ot wymyślił! Jak było równo ośm pudów, tyle i jest.

I zwrócił się do Rajeckiego:

— A pan, choć lekki, kiedy patrzeć zdaleka, jak idziesz, aż niemiło: prosto w ziemię pan chowasz się. Mało to pardw między krzakami na pewniejszym gruncie? I po co leźć tam, gdzie i pies nie chce?

— Ma pan racyę, panie Benedykcie. Powracamy w krzaki.

Czerwiński, posłuszny jak dobrze ułożony wyżeł, prowadził teraz łukiem ku miejscom suchym i bliższym brzegu. Na tych miejscach znalazły się cietrzewie w niemniejszej ilości, jak pardwy na moczarach. Od czasu do czasu zabił Michał jakiegoś rzadkiego ptaka, to czupurnego bataliona, to przelotną kaczkę nieznanej odmiany. Kręcili się tak po równinie bez granic, aż Michał tracił czasem świadomość, kędy droga do domu, kędy zaś do środkowych przepaści Szepety. Wtedy objaśniał Czerwiński, wskazując nikłe wytyczne na horyzoncie:

— Ot tam sosna na pagórku — mój dom. A tam na prawo, jak chmurka, kiedy wschodzi na niebo — ta brzezina, z której panowie wczoraj ruszyli łosia.

Do obu punktów było daleko, daleko — — pospolity wędrowiec płakałby, że ma tyle przed sobą i tak ciężkiej drogi. Ale myśliwy, gdy oddycha powietrzem pełnem obietnic łowieckich, gdy strzela niemal bez przerwy, nie czuje znużenia; dzień mu za krótki, żadna zdobycz go nie nasyca.

Nie późny wieczór, ani brak zwierzyny wyrwały myśliwych z Szepety, poprostu — brak ładunków. Michał już ich nie miał wcale, a gdyby nawet zabrał resztę od Talmonta lub Czerwińskiego, ich ładunki nie pasowały do jego broni. Trzeba było wracać do brzegu najkrótszą drogą. Wzięli psy na paski i przebrnęli tę ostatnią przestrzeń mszaru najcięższą, bo beznadziejną. — Z pod nóg ich furknęło jeszcze kilka cietrzewi.

Gdy wydobyli się na brzeg twardy, o parę wiorst od leśniczówki, rzucili się z rozkoszą na suchą, gruntową murawę. Odpasali torby i troki pełne skrzydlatej zwierzyny: było czterdzieści dwie pardwy, dwadzieścia ośm cietrzewi i kilka sztuk rozmaitego ptactwa.

— Żeby mi nie zabrakło nabojów, doszlibyśmy do stu sztuk — narzekał Michał nienasytny, jak każdy młody.

— Wiadomo — potwierdził Czerwiński. — Tak jak pan strzelasz, od wschodu do nocy, sam jeden sztuk sto zabiłbyś, nie mniej.

— Bo i strzelba jaka! — dodał Talmont zimno, tłómacząc się ubocznie, dlaczego mniej zabił, niż Rajecki.

Leśnik wziął broń Michała do rąk, zważył w dłoni, przyłożył do ramienia, opatrywał fachowo i z lubością.

— Strzelba gubernatorska — — i lekka ona i składna i nazad nie odbija — a kiedy już plunie, tak trup! — patrzyłem ja dobrze.

— Angielska — rzekł z zadowoleniem Michał.

— Powiedzcie mnie panowie — zaczął Czerwiński konwersacyę — co znaczy się, że która rzecz z żelaza, tylko Angliczanin ją robić umie, a inny już nie tak? Wiele ja widział i strzelb i maszyn. Tulskie dranne, niemieckie równo co żydowski towar. A kiedy już z Anglii — satysfakcya!

— Taka już u nich manufakturna natura — objaśnił poważnie Talmont.

Rajecki zaś nie słuchał, troszczył się o naboje na jutro i pytał, gdzie ich dostać, gdyż tylko napoczętą setkę miał pozostawioną w leśniczówce.

— Wiem ja jednego — odrzekł Czerwiński — który do Dynaburga jutro rano jedzie, a na noc do Kupiszek powróci. Może on przywieźć nabojów, choć na tydzień.

— Zapóźno będzie. Pojutrze rano wracać mi trzeba do domu.

— Wasze wysokorodie! — zapraszał Czerwiński, który w uczuciowych momentach używać zwykł rosyjskich zwrotów — cóż na Szepetę

dwa dni? Na miesiąc tutaj ochotnikowi. I pogoda piękna i pora na pardwy. Ot jakie tłuścieńkie, choć ty je łyżką jedz.

— I gospodarz gościnny, i we dworku u niego pełno wszelkiego dobra — dodał pan Benedykt, mrugając figlarnie.

— Nie mogę — bronił się słabo Michał.

Powstali i poszli po suchej łąkowej dróżce, którą wczoraj dojeżdżali do leśniczówki, na granicy mszaru i pól uprawnych. Przedwieczorny chłodek muskał orzeźwiająco utrudzone ich ciała.

— Iść teraz pięknie — wołał Talmont, podrygując tanecznie w ogromnych chodakach — zielono i gładko, jak po bilardzie.

A przecie dróżka była najpospolitszą z bocznych dróżek, wyżłobiona w trzy koleje, kręta, przepadająca miejscami w trawie. Ale grunt stały pod stopami sprawiał myśliwym, którzy dzień cały huśtali się na przepaścistym kożuchu mszaru, wrażenie idealnego odpoczynku. Szybko i lekko niosły ich nogi uradowane.

Są w fizycznem życiu człowieka chwile wielkiej błogości po zdrowem, pracowitem zmęczeniu. Mózg rozedrgany zwykle nadmiernie, szarpany przez ambicye, przewidywania przyszłości, spekulacye, niepokoi ciało, przyśpiesza pulsy, a osłabia normalną, zwierzęcą grę organizmu. Czasami jednak mózg, ten przekorny psowacz harmonii, usypia pod wpływem silnych robót muskularnych, nie wybiega już pragnieniami poza granice ciała — i człowiek układa się jako posłuszny atom na swojem miejscu w przemądrem krążeniu materyi, rozpływa się w wieczności harmonii i szczęścia. Jedynie materya jest szczęśliwa, jedynie fizyczne szczęście jest doskonałe.

Michał niósł się przez tę dzicz radośnie. Nie wlókł już za sobą przeszłości, nie troszczył się o przyszłość, oddychał chwilą, która z nim razem przepadała w wieczności. Wiatr zapomnienia wiał od bosko pierwotnych rozłogów Szepety.

W milczeniu szli wszyscy, a na ziemi wokoło działy się rzeczy dostrojone do nich, harmonijne. Słońce zachodziło na pogodę, pokrzykiwały jakieś ptaki zadowolone z wieczoru, słała się trawa miękko pod rytmiczny pochód stóp. Dom był już blizko, z komina wywijał się dymek i przepadał, jak marzenie, w niebie szerokiem, pełnem słodkiej jasności. Na progu ukazała się Paraska wystrojona jaskrawo, jak na wesele — i czmychnęła po to, aby za nią pogonić.

XIII.

W SADZIE.

Dziesiątego dnia po owej niedoszłej schadzce z Michałem, Warszulka, w południowych, wolniejszych od roboty godzinach, weszła do izby folwarcznej w Potyłcie, gdzie gospodyni, pani Marcela, miesiła pszenne ciasto, przeznaczone dla dworu.

— Proszę ja do Gaczan — rzekła dziewczyna — mówić mnie trzeba z panami.

Gospodyni zebrała lepkie, białe ciasto z palców obu rąk, chlapnęła niem do dzieży i, przetarłszy pobieżnie ręce o fartuch, ujęła się pod boki:

— A tobie jaka potrzeba, Warszulko?

Dziewczyna milczała, wyskubując węzełek z grubego samodziału swej spódnicy.

— Może ty chcesz za służbę podziękować?

— Musi przyjdzie się dziękować...

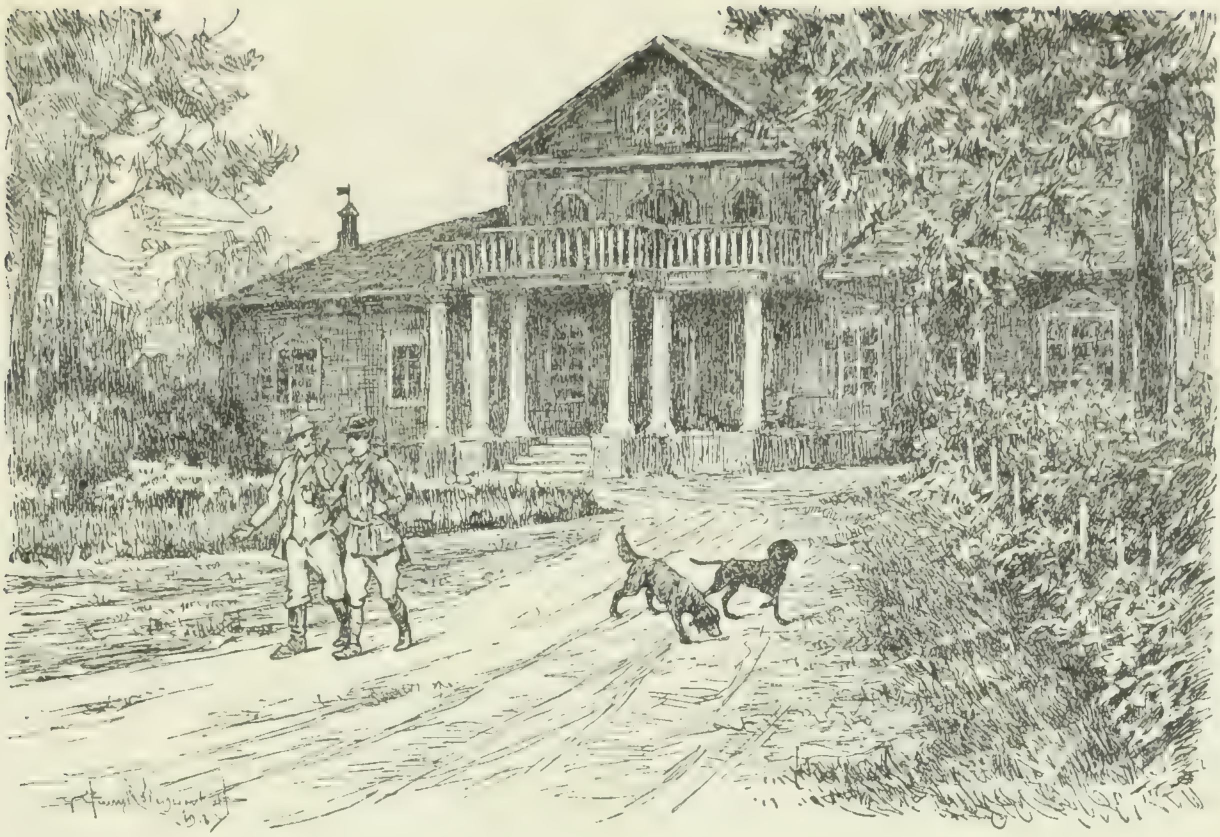
— Jakaż tobie tu krzywda? — zapytała Marcela głosem nieco rozżalonym.

— Krzywdy niema — odrzekła Warszulka.

I pocałowała gospodynię w obnażony łokieć, ze względu, że ręce jej oblepione były ciastem; Marcela z tegoż powodu niezgrabnie ujęła za szyję dziewczynę muskularnem ramieniem i pocałowała we włosy.

— Tak mów: za mąż ty idziesz?

— Gdzie mnie!...



Żałość taka jękła w tym wykrzykniku, że gospodyni jęła się przyglądać ze szczerem spółczuciem swej ulubionej pomocnicy:

— Źle wyglądasz, Warszulko!... I chuda, i oczy zapadły, a świecą, jak w febrze — — Oj, bo durna ty! Kiedy porządny i bogaty chłop prosi, bierz jego. A to głowę sobie nabijać. — — Nie każdy panicz, jak nasz. — —

Historya serca Warszulki była tak prosta i jawna, że ją każdy znał w parafii. Drażniło to znękaną już dostatecznie dziewczynę; od rana do nocy słyszała dogadywanie na ten sam temat: od życzliwych morały, od obojętnych żarty. Radaby ze swą publiczną tajemnicą ukryć się gdzieś — — i to był jeden z powodów, że postanowiła porzucić służbę w Potyłcie. — Bardziej stanowczo i uparcie powtórzyła:

— Ot ja chcę pomówić z naszym paniczem.

— Schodź, kiedy chcesz. — — A rady dobrej słuchaj: kiedy Trembelukas jeszcze nie zmęczył się i prosi — nie gardź nim. Taki drugi nie przyjdzie. Wszak to będzie na jesień brat naszej pani.

Była to właśnie dla Warszulki druga pobudka do odejścia z Potyłty. Nasza pani! — Ta Janielka Trembelówna, sąsiadka, gospodarska córka, jak ona, ma być teraz jej panią?! — — Trzeba ją będzie i w rękę całować?! — —

Podziękowała pani Marceli za pozwolenie i odeszła do izby czeladnej, aby się przebrać.

Trzecią zaś, główną przyczyną porzucenia służby było to, że już w niej Warszulka nie mogła wytrzymać. Michał, jak wyjechał bez pożegnania z Jużynt na tę Szepetę, tak i nie wracał. Żadnej wieści o nim, oprócz tej, że do dzisiaj nie wrócił. Co myśli? co mu się stać mogło? — były to dręczące pytania bez najmniejszej wskazówki na odpowiedź. Aby się czegoś o nim dowiedzieć, aby go szukać, aby pobiedz na jego skinienie — jeżeli skinie! — trzeba przedewszystkiem być wolną. Postanowiła prosić Stanisława Pucewicza o zwolnienie ze służby natychmiastowe, od jutra.

Przebierała się w wielkiej izbie, gdzie miała tylko swój kąt i łóżko. Właśnie gruba Justynia, najmniej przyjacielska z towarzyszek, legła sobie przy samem jej łóżku na malowanej skrzyni.

— A ty do którego tak się stroisz? — zapytała — do tego ze dwora, czy do tego z chaty? — — popróbuj obydwóch — pilnuj tylko, żeby ci obaj nie uciekli. —

Warszulka zacięła zęby, ubierała się pośpiesznie, choć starannie. Aż gdy spięła już korale na szyi, chwyciła jedwabną chustkę w rękę i, zamknąwszy swą skrzynkę, poszła ku drzwiom. Chustkę zawiąże i za progiem, byle wyjść stąd prędzej. Odwróciła się do grubej Justyni, z mściwym błyskiem oczu:

— Od jutra możesz przystawić moje łóżko do swojego. Będzie szerzej i dla ciebie i dla twoich kawalerów!

Wybiegła, nie czekając odpowiedzi.

Niedługa to droga z Potyłty do Gaczan: zaledwie wystarcza folwarcznej dziewczynie do namysłu, jak ma się znaleźć na wszelki wypadek we dworze wobec panów i czy zastanie obydwóch, ojca i syna, czy tylko jednego z nich.

Byli obaj; ale pan Leonard niedostępny, zwłaszcza po obiedzie, w porze natężonego skupienia myśli w kłębach fajczanego dymu. Nie mieszał się zresztą już prawie wcale do zarządu majątkiem. Owszem Stanisław siedział w swej kancelaryi, żywo rozprawiając z »burłakami«, dzierżawcami sadu, którzy przyszli wycyganić ulgę z czynszu z powodu rzekomych klęsk poniesionych.

— Da, paniczók, uwsie jabłoki parszywe od robaków, a czornych wiszni my nadziejaliś purów sto, to i dziesięć nie budzie, od towo szto zabor nie charosz, uwsie lezut u sad.



— Parkan przecie na wiosnę poprawiany — bronił się Pucewicz — a po dyabła was czterech siedzi w sadzie, z babami i dziećmi, kiedy nie pilnujecie?

— Narod tut chitry! — skarżyły się chytrzejsze napewno burłaki.

Gdy służący, Pypka, oznajmił, że Warszulka z Potyłty przyszła do panicza, Stanisław zadziwił się nieco i przez chwilę zwlekał z odpowiedzią:

— Niech idzie do sadu. Zaraz tam przyjdę.

Warszulka obeszła dwór, który pogrążony był w sadzie. Podjazd frontowy i trawnik przed nim miały niby zarysy parkowe, ale właściwie były tylko wykrojone z ogrodu owocowego z dodaniem pewnej ilości krzewów ozdobnych. Za to cały ogród, owocowo-spacerowy, ujęty był w ramę wspaniałych lip w dwa rzędy sadzonych, miejsce okólnej przechadzki.

Dzierżawcy mieli słuszność, że dostać się do ogrodu było łatwo; skoczyć tylko lub przeleźć przez suchy rów, pociągnięty od zewnątrz wzdłuż alei lipowych. Z jednej tylko strony od pola i z drugiej od okólnika były kawałki starych parkanów i sztachet.

Ale burłaki kłamały w żywe oczy, twierdząc, że mało na drzewach owoców. Gięły się jabłonie i grusze od obfitości twardych jeszcze, zimowych gatunków. Wcześniejsze wiśnie były z drzew obrane, ale późne, te »ekonomskie«, używane na soki i konfitury, stroiły powodzią nabrzmiałych jagód cały gaik przyległy do tyłów dworu, wyglądały zaś tak smacznie i świeżo, że godne były zaiste pańskiego podniebienia. Dróżki po sadzie, kręte i jakby przez kaprys przyrody wyznaczone, biegły między żywopłotami z agrestu i porzeczek; krzaki te, oddawszy już swój plon, wybujały w liście nieprzejrzanej gęstwiny; w niektórych tylko można było jeszcze wyśledzić rzadkie jagody porzeczkowe, lub wielki, kosmaty agrest, pełen wonnego cukru. W najbujniejszych kryła się czarna porzeczka, o smaku ostrym i sfermentowanym, teraz właśnie dojrzewająca. Gdzieindziej ciągnęła oczy kwatera malinowa, sążniowego

wzrostu, warowna od zbytnich odwiedzin, gdyż przerośnięta była pokrzywą jadowitą, ogromną, jak konopie. W innych miejscach panowały śliwki, na poły dopiero dojrzałe: żółte mirabelki, ogromne »kobyły«, niewiadomo dlaczego tak niedelikatnie przezwane, skoro przyszły do nas z Francyi, gdzie nosiły niegdyś nazwisko brata królewskiego [1]); twarde jeszcze węgierki z fioletowym rumieńcem i królowe śliwek, renklody, które, gdy dojrzeją, pękają, roniąc przedziwny ulepek. Te w całości ekscypowane były na użytek dworu. — Tu i ówdzie na niewyzyskanych kawałkach murawy rozpanoszyły się wyniosłe kminy, lekko złocone na przezroczystych baldaszkach, chwasty nie bez pożytku, skoro ich ziarenka dają szczypiącą mile w język zaprawę do wódek, serów i chleba. Było ich tylko stanowczo za wiele. Cały sad, od obarczonych gałęzi owocowych do przyziemnych ziół i jarzyn, był symfonią dostatku i oskomy.



Warszulka stanęła przy samym domu, opodal od drzew owocowych, aby jej nikt nie posądził, że chce z nich coś uszczknąć. Niemiłe jej były zresztą i przysmaki od czasu, gdy ogarnęła ją trawiąca gorączka, jadła mało, schudła, wyglądała na przebraną za chłopkę dworską panienkę; mówiono w piekarni, że zbrzydła — ale rzeźbiarz lub malarz terazby właśnie wzorował z jej cudownie wychudzonego ciała jakąś nimfeczkę smutną, z pocztu Dyany.

Wkrótce wyszedł ze dworu Stanisław, ubrany w jasne płótno miejscowe nie pierwszej świeżości, ale sam świeży, silny w ruchach, pogodny w oczach.

---

[1]) Prunes Monsieur.

Warszulka chciała swego chlebodawcę pocałować w rękę, ale Stanisław zabronił.

— Już teraz porządek u mnie taki: nikt mnie w rękę całować nie będzie, chyba dzieci. A ty wszak i krewna, zdaje się, Janielki?

Warszulka zaśpiewała kilka melodyjnych słów po litewsku, które znaczyły to samo, co »dziesiąta woda po kisielu«.

— Z czem przyszłaś?

Westchnęła, zachwiała się dziewczyna, zalecając się falą swych kształtów zupełnie bezwiednie, gdyż ciężkie same nosiła na sercu wyznania.

— A już... chciałabym do rodziców powrócić, do Sztarańc...

— Dobrze. — — A powiesz mnie, Warszulko, dlaczego?

— Żyć ciężko... — rzekło dziewczę, martwiejąc, z oczyma utkwionemi w ziemię.

Nie potrzebował Stanisław objaśnień. Wiedział to, co i wszyscy w okolicy, a nadto miał w pamięci i trochę wyznań Michała. Pominął więc niepotrzebne pytania. Ale widząc tak wyrazistą przed sobą niedolę, serdecznie chciał jej ulżyć, coś wymyślić, coś poradzić miłej dziewczynie, dla której czuł głębszą niż pociąg samca, męską przyjaźń dla istoty dobrej, ładnej i słabej.

Przetarł czoło i długo milczał. — — —

— Jeżeli ty tak sobie, bez namysłu, oddalić się chcesz z Potyłty — niedobrze, Warszulko. Jeżeli dlatego, żeby bliżej być Jużynckiego panicza — także niedobrze. A już kiedy chciałabyś za mąż wychodzić, wiadomo, lepiej z ojcowskiej chaty, niż z cudzego folwarku. Tak ty namyśl się, czego chcesz, Warszulko.

— Kiedy nie wiem... — odpowiedziało dziewczę z rozbrajającą prostotą.

— A ja wiem za ciebie: przyjmij ty Trembeluka Józefa.

— Wszyscy mnie tak mówią...

— I słusznie mówią. Człowiek dobry i majętny. Ot wrócisz teraz do rodziców, przyjdą swaty... A później siedzieć będziemy po sąsiedzku i krewni z tobą...

Wszystkie te ponętne perspektywy zaledwie blady uśmiech wywołały na zatęsknioną twarz dziewczyny. Nawet Stanisław namawiał ją z coraz mniejszem przekonaniem, miarkując, jak daleko odbiegła marzeniem od udeptanych kolei swego przyrodzonego losu, choćby najwygodniejszych.

Warszulka schyliła się znowu do ręki Stanisława, ten znowu się z nią certował. Zapłonęła nagle w oczach gorącem pragnieniem i wykrztusiła trudno:

— Jeśli już panicz dobry taki, powiedz mnie, czy niewiadomo jemu o Jużynckim paniczu, kiedy powróci?

— A nie wiem. — — On polował pod Kupiszkami i zdaje się, jeszcze dalej zajechał — on uczy się w takiej wyższej szkole — — rok jemu jeszcze tej szkoły, potem on do nas może i powracać nie będzie. Miasta lubi, kolej żelazną...

Warszulka piła każde słowo o Michale otwartemi namiętnie ustami. Gdy Stanisław przestał mówić, otwierała jeszcze usta, głodne — wreszcie wyjąkała prawie szeptem:

— A on i w mieście potrzebuje... służącej.

— Co ty, Warszulko? I nie myśl o tem! Gdzież jemu w mieście taka, jak ty, służąca, lat ośmnaście! I nie myśl! — — nie gub siebie, pozostawaj uczciwie przy wiejskiej robocie. — — —

Patrzył na nią troskliwie i trochę gniewnie. Dziewczyna była zupełnie oczarowana, w mocy Rajeckiego. Od niego tylko zależał jej los i przyszłość. — — —

Wtem zaturkotało coś za dworem od strony podjazdu. Zajrzeli oboje. — Męska zgrabna postać już skoczyła na ganek i znikła we drzwiach. Ale tarantas objeżdżał wolno trawnik — tarantas Jużyncki.

— Ot masz, przyjechał — rzekł Stanisław szorstko, pół nadąsany, pół wesoły.

— Zdrów i żyw! dzięki Bogu! — krzyknęła prawie Warszulka i załamała dłonie.

Pucewicz przyglądał się jej jeszcze przez chwilę. Wreszcie rzekł:

— Zostań tu trochę. — — Ot podjedz sobie wisien.

Głośniej zawołał do krążącego opodal burłaka, dozorcy sadu:

— Nie brońcie wisien dziewczynie!

Michał ogorzały, jak żołnierz po manewrach, wychudzony, ale zdrowo i zawadyacko wyglądający, wtargnął do dworu i już opowiadał o swych łowieckich zdobyczach panu Leonardowi, który patrzył na niego przez kłęby dymu, mrużąc zagadkowo oczy.

— Nic podobnego do tej Szepety niema chyba na świecie, przynajmniej w Europie! Cały kraj mchów i trzęsawisk, zaludniony wszystkimi gatunkami ptaków, o jakich się tylko u nas słyszało. Pardw tam tyle, ile tutaj naprzykład wron przed słotą! — Pozwoliłem sobie przy-

wieźć do Gaczan dwadzieścia przedwczorajszego strzelania. Wogóle zabiłem około trzystu sztuk ptactwa...

Nagle postać i fajka pana Leonarda, wielki fotel z bocznemi poduszkami, zapach pokoju — obudziły w pamięci Michała wspomnienie dawniejszej tu rozmowy i przerwały mu wątek opowiadania:

— Ale ja gawędzę o drobiazgach, tymczasem pierwszy raz tu jestem od czasu tego... ważnego wypadku w pańskiej rodzinie...

— Cóż? — odrzekł stary Pucewicz flegmatycznie — wypadek niewielki, owszem pospolity i przewidziany. Rozmawialiśmy o tem na wiosnę.

Michał poczuł się do obowiązku naszkicowania swej akcyi przeciw zaręczynom Stanisława z Janielką, akcyi niezbyt gorliwie prowadzonej, zresztą nieskutecznej.

— Niepodobna było Stachowi wyperswadować...

— Wiem — przerwał pan Leonard — uparł się i może miał racyę. Człowiek żeni się dla własnego szczęścia, nie dla cudzego.

— Stach wygląda szczęśliwy; widziałem go po zapowiedziach w kościele.

— I dziewczyna dobra — pocieszał się stary, choć bez zapału — nawet ma jakieś aspiracye. — — No! opowiadaj lepiej o pardwach.

Właśnie zjawił się Stanisław, uściskał Michała serdecznie i, według zwyczaju, pociągnął go do swoich pokojów. Tylko obiad lub wieczerza sprowadzały towarzystwo w Gaczanach do wspólnej izby i rozmowy.

Pod badawczym i okrutnie jakoś uroczystym wzrokiem przyjaciela czuł się Michał nieswojo. Aby umknąć od przewidywanych pytań lub morałów, opowiadał obficie o swem polowaniu na Szepecie, nie komponując ani cyfr, ani zdarzeń, omijał jednak niektóre szczegóły. Miarkując wreszcie, że Stach słucha tylko jednem uchem, przerwał i zapytał ironicznie:

— Nie zajmuje cię już polowanie... — Mówmy zatem o sakramencie małżeństwa.

— Owszem, polować ja będę, póki nóg starczy, i mówić o myśliwstwie lubię, tylko ja znam Szepetę.

— Wiem, że strzelałeś tam — wykręcał się Michał od rozmowy innej, wiszącej w powietrzu — ale nie zabiłeś pewno nigdy trzystu sztuk, jak ja?

— Bo i nie siedziałem tam nigdy tak długo. Ciągle tam byłeś przez tydzień?

— Ciągle — i na dobrą sprawę możnaby jeszcze powrócić.

— Gdzież mieszkałeś?

— U leśnika Czerwińskiego. Kapitalny jegomość.

— Znam i jego.

— Ale napewno nie znasz... Ech! co tam tobie opowiadać! Od czasu swoich projektów małżeńskich taki się stałeś święty, że cię nie poznaję.

Stach uśmiechnął się jednak figlarnie, po dawnemu:

— Pewno tam wytropiłeś jaką samiczkę i to bez pomocy wyżła?

— A choćby nawet! — odrzekł Michał, nadrabiając miną.

— A Warszulka? — —

— Ach mój Boże... tak... Warszulka. I tam o niej myślałem. — Ale co ja z nią pocznę? powiedz, Stachu.

Powróciło zaufanie do rozmowy przyjaciół. Michał bowiem zasępił się nagle, co ucieszyło Stanisława, bo zmiarkował, że Michał poczuwa się jednak do obowiązków względem Warszulki.

— Ani ja ksiądz, ani twój nauczyciel — rzekł serdecznie Pucewicz — tylko szczery druh i jeszcze sam w taką biedę wlazłem: Warszulka prawdziwie dobra dziewczyna i ona u mnie na służbie, niby pod moją opieką. Biedna ona, bo na śmierć w tobie zakochana.

— Ale cóż ja mogę zrobić?... tylko unikać jej? Przecie tak sobie z nią pobawić się, jak z Paraską, nie mogę.

— Co za Paraska?

— Ach... tak się nazywa tamta przy Szepecie. Wszystko jedno! — Więc z Warszulką tak nie mogę... sam jesteś przecie tego zdania?

— I pewno.

— A znowu ożenić się z nią — to nad moje siły. Zrozumiej, Stachu; rodzina moja jej nie przyjmie, a ja potrzebowałbym trochę innej towarzyszki, jeżeli na całe życie... I wogóle nie wiem, czy się kiedy ożenię. Włóczęga ze mnie, cygan...

— Cygan ty nie cygan, ale Warszulka nie dla ciebie żona — rozumiem.

— No więc jesteśmy jednego zdania. Tylko to nie rozwiązuje kwestyi, nie pociesza Warszulki, jeżeli ona, jak mówisz, biedna.

— A ot jest jedna rada. Ty na nią, jak powiadają, urok rzuciłeś; ona zrobi wszystko, co jej każesz. Każ ty jej wyjść za mąż za Józefa Trembela. — —

— Nie przeszkadzałem wcale, nawet wspomniałem jej o tem.

— Nie tak, panie Michale! Nie tak, że ty jej powiesz: bierz sobie Trembela, kiedy chcesz, a nie chcesz, to poczekaj — może i my coś z sobą, albo ty na służącą do mnie...

— Nigdy jej tego nie proponowałem! — zawołał Michał popędliwie. Pomyślał jednak chwilę i przypomniał:

— A może... w przeszłym roku — ale to żartem.

— Tak widzisz: żartować niema co. Chłopskie jej serce, a taki czuje mocno. Ty jej powiedz, że ją lubisz i dlatego nie chcesz łamać jej życia. Jej życie uczciwe z Trembelem... Sam wiesz i potrafisz lepiej ode mnie.

— Spróbuję — rzekł Michał poważnie. — Gdzie tylko ja ją spotkam? — bo rozumiesz — gdzieś na uboczu, bez świadków... dyabli mogą ponieść — — a ona już gotowa — to się czuje.

— A ot okazya: Warszulka jest tu w sadzie.

— Tutaj?!

— Przyszła mnie za służbę podziękować; wszystko z twojej przyczyny, że żyć jej ciężko. Pytała o ciebie, czy nie przepadłeś ty gdzie? — a kiedy przyjechałeś, ledwie ze skóry nie wyskoczyła. Tak — ona gotowa, jak sam wiesz. Tylko ty pan, a ona biedna i bezsilna.

— Pójdę do niej — rzekł Michał stanowczo — pozwól mi trochę pomyśleć.

Usiadł i dłońmi ścisnął skronie. Po chwili wstał, zapiął na sobie ubranie, jak pancerz, i poszedł do ogrodu.

Ujrzeli się zaraz nawzajem, patrzyli na siebie z oddalenia, bez ukłonów, oko w oko, stwierdzając powierzchowne zmiany: oboje schudli z rozmaitych powodów — wypięknieli. Warszulka ciągnęła Michała do siebie rzewnem spojrzeniem, on szedł ku niej, stojącej pod gaikiem wiśniowym. A gdy doszedł, nie wiedział, jak ją ma powitać, zwłaszcza, że sadownicy chodzili w pobliżu. Chwyciłby ją w objęcia, bez zamiarów lubieżnych, z rozczulenia, aby przytulić tylko do swej piersi zbiedzoną jej główkę, pogłaskać po wymizerowanem liczku. Jakoś się powitali niezgrabnie.

— Słyszałem, że chcesz odejść z Potyłty i wiem dlaczego: źle ci, Warszulko. — — Trzeba pomyśleć o przyszłości.

— Jak panicz zakcesz, tak i będzie. Powiedz mnie.

Patrzyła szeroko otwartemi, posłusznemi oczyma.

— Chcę, Warszulko, żebyś dobrze mnie zrozumiała. Lubię cię bardzo... Jesteś mi bliższa, niż którakolwiek kobieta na świecie...

Dziewczę podniosło brwi i zapytało:

— To jak, panicz?... ja blizka, a panicz wszystko ode mnie daleko?...

— Mówię: blizka sercu. Chciałbym, żeby ci przeze mnie dobrze było żyć na świecie, a nie tak, jak teraz... i dobrze na długo, nie na chwilę...

Warszulka błąkała się trochę w znaczeniu słów Michała, ale odczuła ciepło i szczerość głosu.

— I powiedz panicz, co każesz...

— Nie mam wcale prawa ci rozkazywać. Chciałbym tylko, abyś z mojego powodu nie była nieszczęśliwa, więc doradziłbym, jak masz postąpić...

Milczała — a Michałowi ta rada roztropna i lodowata nie przechodziła przez gardło.

— Mówiłem ja tobie w przeszłym roku i w tym jeszcze, słowa... nierozważne, choć z serca płynęły. I wtedy, kiedy całowałem cię, mniej kochałem, niż dzisiaj...

Tego już dziewczyna nie zrozumiała wcale.

— Tak i czemuż całowałeś?

— Boś była piękna, Warszulko, boś mi się strasznie podobała i podobasz teraz jeszcze bardziej. Ale teraz ja ciebie nie chcę bałamucić, zwodzić, porzucać... rozumiesz? Tyś dla mnie dzisiaj nie zwyczajną, ładną dziewczyną, ale ważną osobą, której życzę z całego serca, żeby była szczęśliwa. A ja ci szczęścia dać nie mogę, bo się z tobą nie mogę ożenić.

— To ja wiem — odpowiedziała Warszulka z rezygnacyą, bez jednego nerwowego drgnienia — i wszyscy ludzie tak powiedzieli. — Ale ja mogłabym... nie zagniewasz się panicz, kiedy powiem?

Chwyciła jego rękę i do ust ciągnęła przemocą.

— Daj pokój, Warszulko... my przecie już nie tak z sobą całowali się!

— Tak można w innem miejscu, a tutaj tak... i pozwól mnie panicz!

Przyciągnęła dłoń Michała do ust, trzymając ją oburącz, pieszcząc i nie puszczając. On zaś pasował się z sobą, aby nie uścisnąć dziewczyny tutaj, w sadzie, bądź co bądź otwartym na wszystkie strony. Zbliżył się tylko bardzo do niej, ujął ją także za ręce — i stali tak, jakby modląc się do siebie splecionemi dłońmi.

— Tak nie zagniewasz się panicz, kiedy powiem.

— Mów, mów, dziecino!



— Mogłaby ja do panicza w służbę iść do miasta... tobie szyć, prać, gotować... co tylko każesz robić — jaby utrafiła.

— Niepodobieństwo! — zawołał Michał — pomyśl: jakżebyśmy pod jednym dachem mieszkali i tylko tak?... Ja do ciebie nad jezioro już wtedy nie przyszedłem, bo się bałem samego siebie. Gdyby się coś takiego między nami stało, musiałbym się z tobą ożenić.

Warszulka opuściła ręce i odłączyła je od rąk Michała. Ostatni jej plan ratunkowy chybiał. — — Beznadziejnie już szepnęła:

— A bywa — i nie żenią się.

— Nie chcę tego, Warszulko. Nadto cię szanuję.

— Jak panicz mówisz?

— Chcę, żebyś była uczciwą kobietą, chociaż nie moją. Masz przecie starającego się... porządnego człowieka... Przyjmij Józefa Trembela.

Zdobył się nareszcie na postanowione słowa, odstąpił o krok i badał niespokojnie, jak ona to przyjmuje. Ona zaś przyjęła tę radę bez goryczy — spuściła oczy — może trochę zbladła.

Podniosła znowu oczy na Michała, te same, głęboko ufające. Odrzucona, oddana innemu, czuła przecie, że stoi przed nią najmilszy człowiek, najserdeczniejszy jej bliźni. I gdy on tak radzi, to już widać jej los, najlepsza dostępna jej droga. — —

— Kiedy i panicz mówisz, tak ja wyjdę za niego.

— Tak, Warszulko — mówił Michał, oziębiony bądź co bądź łatwem pozornie powodzeniem — nie zapomnę o tobie; będziesz mi zawsze najmilszą z tutejszych. A ty... zajmiesz się swojem gospodarstwem i nigdy źle mnie wspominać nie będziesz.

Dziewczyna miała jeszcze coś ważnego do powiedzenia; ona teraz dyktowała swe warunki:

— Ale ja jemu powiem, że jego nie lubię, a przyjmuję tylko dlatego, że panicz mnie kazałeś.

— No... nie wiem, czy on wtedy zechce?

— Tedy inaczej nie będzie.

— Widzisz... mnie chodzi nie o to tylko, żebyś mnie usłuchała, ale głównie o to, żebyś była w przyszłości szczęśliwa i spokojna.

— Ja spokojna...

Trzeba było pożegnać się, bez dramatu i bez nadmiernej serdeczności, przed oczyma ludzi, którzy mogli patrzeć i z sadu i z okien dworu. Znowu Warszulka uczepiła się rozmowy, jakby przewidywała, że to ostatnia, chociaż lato było jeszcze w pełni i Rajecki nic nie wspo-

mniał o blizkim swym wyjeździe. Uśmiechnęła się po raz pierwszy dzisiaj, a uśmiech jej był z przyrodzenia tak zapraszający do wesołości, że wyłączał wszelką myśl o dramacie.

— A panicz obiecałeś mnie coś dać...

— Co chcesz... — odrzekł Michał trochę zdziwiony.

— I zapomniałeś...

— Nie przypominam sobie.

Wyciągnęła ogorzałą, drobną rękę i dotknęła lekko piersi Rajeckiego:

— Nosisz panicz to, co ja dałam przeszłej jesieni?

Dopiero Michał zrozumiał, że chodzi o medaliki. Ten od Warszulki miał, na szczęście, w pugilaresie, ale o wywdzięczeniu się jej innym — złotym, jak chciała, i poświęconym przez biskupa — zapomniał. — Pokazał przynajmniej poświęconą blaszkę zawiniętą w papierek.

— Noszę, jak widzisz, tylko nie na szyi, bo mężczyźni nie mają tego zwyczaju. A dla ciebie nie dostałem dotąd medalika, bo bywałem w miastach, gdzie ludzie są innej wiary... Ale weź coś ode mnie — chcesz? zegarek?...

Dobył złoty zegarek z kieszeni i podawał go Warszulce. Oglądała go obojętnie.

— Na co mnie?... i niepoświęcony i niepotrzebny. Przywieź mnie panicz medalik, tak my choć raz spotkamy się.

Michał obiecał i teraz już pożegnali się na dobre. Ona ujęła go za rękę i podniosła ją do ust namiętnie: on przytulił jej główkę i cicho a mocno całował po oczach mokrych, słonych — — —

Oderwali się od siebie — skończyło się.

Pozostała w gaiku wiśniowym, Michał odchodził do dworu krokiem chwiejnym, jak pijany. I wspomniał pierwsze spotkanie, kiedy coś wołało od niej do niego tak radośnie, pokrzykiem dryady. Lubo tam było... dziko... natrętny rozsądek nie mącił pięknej chwili, urodzonej ze zbiegu pierwotnych, wiecznych instynktów ludzkich. — — Dzisiaj chwila o rok tylko starsza — i dziewczę to samo — jeszcze piękniejsze — i on ten sam, ale mniej szczęśliwy, bo zmądrzały. — — —

Sad parował słodyczą owoców — sprzedanych, zazdrośnie strzeżonych przez kupców. Nie można uściskać do woli kochanej dziewczyny, gdy patrzą ludzie zawistni o szczęście cudze. Nie można ożenić się z chłopką, gdy się jest paniczem.

Takie były prawa tu panujące, ale urągały im owoce dojrzałe, do

ust przychylone; przeczyły im cieniste gąszcze usłane dla kochanków; cmokały na te prawa satyrycznie drozdy, poskakując po gałęziach:

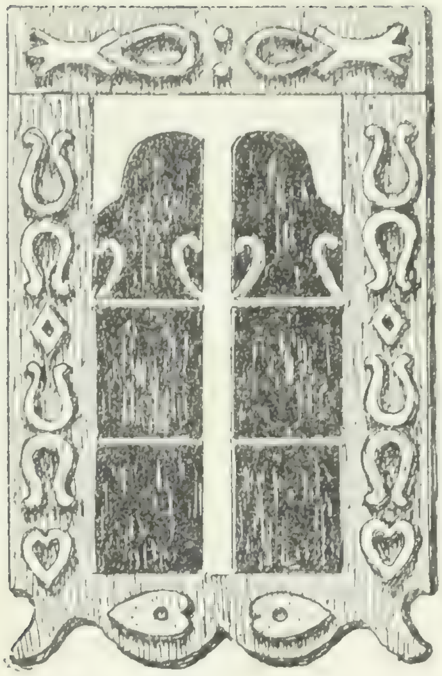
— Głupi Michałku, gdzie leziesz? — cmokały z litewska — ochota tobie mózg suszyć po miastach, książki połykać, szukać szczęścia, gdzie go niema? Ot, czeka na ciebie, Warszulka, sama ta słodka jagoda nasza, dla ciebie dojrzała, ciebie prosząca. Ona tobie kochanka i żona — takiej po miastach nie najdziesz. — — — Odchodzisz — niedobrze ty robisz — cc — cc, cc — cc!...

A głos Warszulki niewypowiedziany, zaparty w gardle, ścigał Michała aż do drzwi dworu, potem długo jeszcze, długo przez życie:

— Panicz!... panicz!...

XIV.

CISZA WIEJSKA.



Tęskno już na polu po zebranych zbożach? co, Hetko?

Tak mówił Michał, leżąc na zboczu suchego, pokrytego rżyskiem pola, do pięknej swej wyżlicy, perły angielskich psów legawych, która na tę uwagę odpowiedziała smutnemi oczyma, choć uśmiechając się półgębkiem z pod delikatnej fafli, a suchym ogonem potakując kilkakrotnie. Michał przeprowadził dłoń po czarnym aksamicie jej skóry, luźno oblekającej ciało długie, złożone z artystycznego doboru kostek i mięśni.

— Sami pozostaliśmy z tobą, Hetko... pan Stanisław nie chce już z nami polować... Fox zależy zupełnie pole... nas tylko dwoje, Hetuś!...

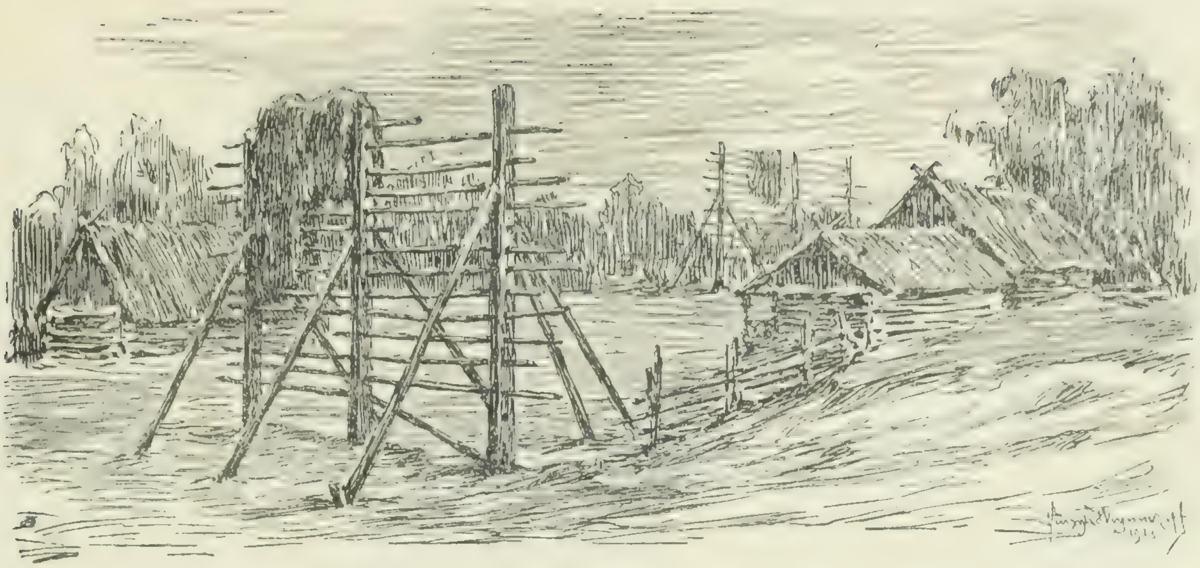
Wyżlica patrzyła na pana miłośnie, a rude plamy pod oczami nadawały jej spojrzeniu wyraz głęboki, tęsknie coś wymawiający, podobny do wzroku Warszulki — —

— Et, głupie porównanie! — żachnął się Michał.

I dalej o psich sprawach rozmawiał z Hetką:

— Nie lubi chodzić po przepaścistych błotach elegantka taka... dlatego nie wziąłem cię na Szepetę. A napatrzyłabyś się tam dziwnego ptactwa — co krok pardwy — najprzód gargar — gargar — a potem całem stadem prrr...

— Czy być może?... — zaznaczyła Hetka podziw nerwowem wzniesieniem głowy i drgnęła od nadmiaru wrażeń dźwięcznych.



— Tak, tak — odwagą suczka nie grzeszy, za to wiatru takiego żadna niema.

— Taka już jestem, ale cała twoja — wdzięczyła się Hetka, wtłaczając cienki pysk świdrem w ubranie Michała, cicho skomląc.

— Ale przynajmniej na suchem pokażmy, co umiemy. Mamy dopiero trzy kuropatwy. No, Hetka, marsz!

Wstał, rzucił strzelbę na prawe przedramię, i wskazał wyżlicy blizki łan kartofli, w które natychmiast zapuściła się, technicznie myszkując między przywiędłemi łodygami.

Kuropatwy nie tak są rozrodzone na Litwie, jak w południowo-zachodnich ziemiach polskich. Zdawałoby się, że szare, skromne ptaki wstydzą się porównania z bogato upierzoną pardwą, z czarnym cietrzewiem i jego olbrzymem, głuszcem, mieszkającymi tutaj na swych prawowitych dziedzictwach. Może też i kraj, pełen wód i moczarów w lecie, srodze zaśnieżony w zimie, onieśmiela szare kury do rozgoszczenia się na dobre. Wodzą się małemi stadkami, niby wygnane tutaj z krajów lepiej uprawnych.

W redlinie między kartoflami Hetka stanęła twardo, wyciągnięta w pas aksamitny, zakończony sztywnym ogonem. — Pomknął szarak, migając zaledwie końcami słuchów nad nacią kartoflaną. Rajecki darował mu życie ze względu, że pora jeszcze zawczesna na rzeź zajęcy niedorosłych, a Hetka ani susa nie skoczyła w pogoń, tylko, podniósłszy głowę i jedną przednią łapkę, śledziła wzrokiem kierunek biegu po rozchwianych łodygach; aż gdy zając wywinął się z kartofli i już po złotem ścierniu szorował, sam złotawy i ledwie jak kłębek pyłu widoczny,



dobrze wychowana suczka przyszła do nogi pana, fertaniem ogona prosząc o pochwałę.

— Tak, Hetuś, nie gonisz kota, wiem, wiem — — Ale kuropatw nam potrzeba. Poszukaj! — —

Niebawem Hetka wystawiła coś uporczywie przycupniętego, bo, stojąc, celowała pyskiem wprost sobie przed nogi. Nie kuropatwy to — one już harde o tej porze, rwą się daleko przed wyżłem. Więc co?

— Pyf, Hetka!

Skoczyła i ujęła w pysk przepiórkę, która spodziewała się ukryć swą maleńkość pod krzakiem kartofla. Druga zerwała się w lot, ciemna gałeczka mozolnie na krótkich łukowatych skrzydełkach niesiona, i ta legła od strzału Rajeckiego.

Przytroczył dwie przepiórki do pasa, oblane w tej porze roku i smakowite; szedł dalej, szukając kuropatw.

Szare ich stado przebiegło już kartofle, zerwało się nad ścierniskiem i zapadło o kilkaset kroków. Chodził za niemi Michał z pół godziny, jedną tylko sztukę zdołał odstrzelić.

I dosyć miał tego polowania, którego zażywał tylko, aby urozmaicać sobie drogę przez pola do Trembeliszek, gdzie miał pod wieczór zejść się ze Stachem Pucewiczem i z nim razem podążyć na ciąg kaczek między jeziorami.

Jeszcze z półtorej godziny do zachodu słońca — na ciąg zawcześnie, — ale pola dość puste. Trembeliszki przed nosem — trzeba tam zajść. Może też Stach już siedzi przy swojej Janielce? — —

Rajecki lubił chaty litewskie, miał z nich wspomnienia same pogodne, przyjazne i poetyczne. A jeszcze teraz, gdy od paru tygodni zakazał sobie szukania Warszulki, chata ciągnęła go wzmożonym powabem. Coś z kochanej, mimo zakaz rozumu, dziewczyny żyło w ciasnych okólnikach chłopskich, pełnych tłustego liścia i woni miodu, coś podobnego do jej głosu śpiewało w szczebiotach innych dziewczyn.

Wszedł w opłotki, dzielące Trembeliszki na kilka zagród udzielnych, okazałych i otoczonych sadami. Głucho było w zaścianku o tej porze dnia, jeszcze roboczej, w polu. Tylko psy stróżujące obudziły się

w każdej chacie na odgłos kroków po drodze: jeden szczeknął, drugi milczkiem dopadał, ale wszystkie, ujrzawszy człowieka ze strzelbą i jeszcze w towarzystwie pięknej wyżlicy, przybierały postawy przyjazne. Dwa kundle pobiegły nawet za Hetką, zapraszając ją do zabawy, ale arystokratyczna wyżlica dziękowała uprzejmie, szczerząc w krzywym uśmiechu zęby, jednak ostre, i trzymając się zblizka pana.

Tak doszedł Michał do osady starego Józefa Trembela, który siedział na ławie przed chatą, otoczony mrowiem dzieci, przeważnie prawnucząt. Niezdolni do pracy baraszkowali sobie, pozostawszy w domu; sprawiali się zaś tak cicho, że gdyby Michał nie spojrzał od drogi, nie zostałby zwabiony przez żaden głos ludzki. Ale przystanął w opłotkach, ciągnących się prostopadle do frontu chaty, i nawpół ukryty przyglądał się malowniczej scenie.

Dziad trzymał w kobiałce drobne, żółte śliwki i rozdzielał je między jasnowłosą gromadkę, która oczywiście zbiegła się tutaj z całego zaścianku. Najmłodsze dzieci tkwiły w kurzu ziemnym, jak woreczki parciane nakryte gałkami ze lnu; starsze stały w ubraniach, złożonych już z paru kawałków, na wzór odzieży dorosłych; wszystkie były bose. Osobne miejsce na ławie przy dziadku zajmowała dzieweczka może dwunastoletnia; ta piastowała urząd rozdawczyni owoców, które dziad jej tylko doręczał. Kontrolowała bystro biegającem spojrzeniem, które dziecko ile już dostało; najmłodszym dawała śliwki bez pestek, po szybkiem ich wydrążeniu paznogciem, albo i zębami. Bankiet odbywał się prawie bez słów; wyciągały się tylko rączyny, mlaskały różowe, zamorusane buziaki.

— Dobry wieczór sąsiadowi — odezwał się nareszcie Rajecki z za płota.

Stary Trembel dość surowo spojrzał ku drodze i rozpoznawał przez chwilę, mrugając oczyma. — — Pucewicz? nie Pucewicz — głos inny.



— Dobry wieczór — a kto taki?

— Rajecki z Jużynt.

Bez wielkiej skwapliwości zabierał się dziad do powstania z ławy — z polityki wypadało





uczciwie powitać gościa. Ale Michał kilku śpiesznymi krokami doszedł do przyzby i, ujmując Trembela za oba ramiona, przytrzymał go na miejscu.

— Nie przeszkadzajcie sobie, sąsiedzie.

— A no... tak bądź panicz łaskaw — —

Dostojnym ruchem obu rąk wskazał Rajeckiemu miejsce przy sobie.

— Poprobuj, panicz, naszych śliwek — —



— Dziękuję; najadłem się ich dzisiaj w Jużyntach. I nie chcę dzieciom zabierać.

— Starczy! Tereska może ich jeszcze pur z sadu przynieść. Poprobuj, panicz — —

Michał zjadł śliwkę.

— Doskonałe! lepsze od naszych.

— Lepsze to one nie — zaprzeczył Trembel — dworski sad tłuściej nawieziony, to i śliwki w nim pełniejsze i słodsze. A dzieciom i tak już dosyć. Tereska, nieś śliwki do izby.

Tymczasem jedno drobne dziecko, widząc oddalającą się kobiałkę, rozbeczało się. Inne patrzyły na Rajeckiego dziko i nieprzyjaźnie, jak sowięta.

— Jeżeli dzieci nie dostaną resztki śliwek, odejdę — rzekł Michał, żywo powstając z ławki.

Stary uśmiechnął się pogodniej, zwracając się do Michała:

— Lubisz panicz dzieci? — —

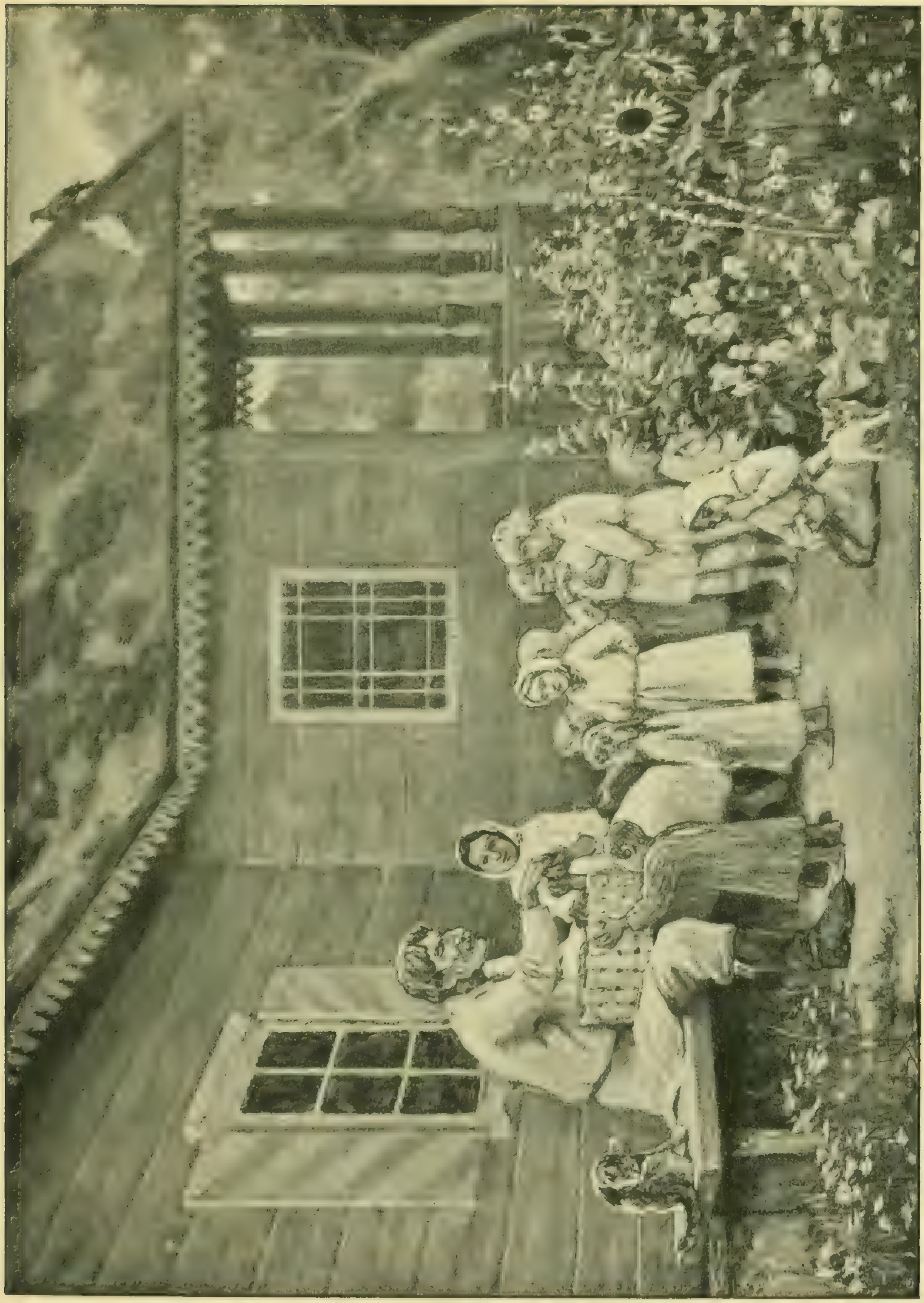
— Lubię. I dlaczego mają mi pamiętać, żem przeszkodził w podwieczorku?

— Tak niechaj! — machnął ręką Trembel — rozdaj Tereska dzieciom resztę śliwek.

Rozmowa ustąpiła przypatrywaniu się obrazkowi, trochę bardziej ożywionemu z powodu, że nie brał już w nim bezpośredniego udziału dziad dobry, ale surowy.

— Piękne mamy lato — odezwał się po chwili Rajecki.

— A już tak... owsy i jęczmiona zapalone, bez ziarna — len nie wyrósł — trawy na otawie mało.



— Za to zbiór oziminy był wspaniały — bronił Michał oskarżonego lata.

— Żyto bez ceny. Jedno z drugiem — rok średni.

— Ale w Trembeliszkach szczęśliwy. Wasza wnuczka wychodzi za Pucewicza.

— Dobrze jej, kiedy upodobała — a cóż nam? — —

Michał zadziwił się, był bowiem sam przy pierwszych zapowiedziach świadkiem radosnego wzruszenia dziada Józefa i całej rodziny Trembelów. Przekora dziad! — pomyślał — zażyję go inaczej.

— Zapewne... Tutaj lud ze szlachtą polską nie chce się bratać, zaczyna z nami wojować...

— Są takie durne, ale nie w naszym powiecie — mruknął Trembel, spojrzawszy zezem na młodzieńca.

— Po miastach jest ich za dużo — i buntują Litwina przeciw litewskiemu Polakowi. Więc od was żonę można wziąć, ale i zabrać już na dobre. Z wami żyć i pracować — coraz ciężej.

Trembel zwrócił do Rajeckiego twarz wcale ironiczną:

— Żeby panicz tak myślał, jak mówisz, byłoby niedobrze.

Michał zarumienił się, gdyż spostrzegł, że starego wróbla nie wziął na plewy.

A dziad ożywił się i gadał mocno:

— Kiedyby my z panami połączyli się, i lepiej wszystkim byłoby. Ziemię lepiej obrabialiby, i Żydów od handlu odpędziliby i burłaków od jezior i sadów. A jak my z panami spotkamy się, kiedy od czasu nadziałów każdy na swojem siedzi, swojego pilnuje, i wspólności między chatą i dworem niema? — Mówią: ziemstwa` zaprowadzą — Bóg ich wie? — Nam samym o sobie myśleć trzeba i w przyjaźni żyć i o sobie radzić. Ot co jest!

— Zupełnie się z wami zgadzam — rzekł Rajecki — ale dlaczegoż więc nie cieszycie się, gdy szlachcic żeni się z włościanką i to jeszcze w waszej rodzinie?

Trembel pogłaskał się po łysej czaszce z jakimś znowu wyrazem niezadowolonym.

— Wszak płakać niema czego. — Tylko to mało — raz na pięć lat zdarza się. Jedna jaskółka nie czyni wiosny — tak mawiał pan marszałek, dziad panicza.

— Znaliście go dobrze?

— Ot jak! duszą jego byłem lat czterdzieści. I zawsze z Trembe-

lami dobrze żył; ojciec panicza takoż; musi już i z paniczem tak będziem?

— Niewątpliwie. — Więc jesteście zdania, że za mało żenimy się między sobą?

— Wiadomo. — Tylko już nie tak, jak chciałby który: ot pan tysiąc dziesięcin ziemi ma, szkoły kończył zagraniczne, książki po nocy czyta — dawaj jemu żonę prosto od krów folwarcznych. I durny byłby, gdyby wziął. A już kiedy gospodarska córka po polsku i po litewsku umie czytać i pisać, z ludźmi proporcyę zna, tak czemu jej nie iść za mąż za szlachcica, który i rolnik jest tutejszy i porządny człowiek? A który od nas młody ciekawszy pójdzie do miasta, szkoły kończy, albo i doktorem zostanie, wszak może szlachciankę brać wiejską, nie jedynaczkę, których wiele na stare panny marnuje się.

— Macie słuszność, ojcze Józefie. — Mówiłem niedawno o tem z panem Leonardem Pucewiczem, gadał podobnie — rzekł Michał, trochę dla komplimentu.

Ale i tym razem mądry Trembel wystąpił z ulubionemi restrykcyami:

— Pan Pucewicz nie ze wszystkiem tak: jemu zdaje się, oni nam wielką łaskę robią. Niechaj jemu zdaje się. Każdy swoją dumę ma. Ot ksiądz proboszcz mnie mówił, kiedy stare papiery kościelne układał: my, Trembele, znaczeni już tu lat czterysta, a Pucewicze tylko dwieście bez mała.

— To i my wiemy — rzekł Rajecki — że Trembele najpierwsi z włościan naszych.

— Są jeszcze tacy — musiał jednak poprawić uparty oponent — Żukiele, Wencławy... niewielu. Ale nie myśl panicz, żeby ja na takie rzeczy łasy był. Tylko mówię: każdej dumie jest inna duma przeciwna.

— Mądrze mówicie, ojcze Józefie. Cóż kiedy mało takich, jak wy! Młodzi po miastach nie chcą nawet po polsku gadać!

— A pokaż mnie panicz takiego, który, na świąt wyjrzawszy, po polsku nie umie. Ot dziwaczą się tylko, żeby wszystko po litewsku było. Jaż sam mówię w chacie po litewsku i takoż w kościele modlę się. A kiedy o trudniejszej rzeczy pomówić, albo w książce przeczytać — po litewsku już i niema. Tak trzeba po polsku. Cóż to? obcy u nas język?

— A skąd to wy tak dobrze po polsku nauczyliście się?

— Za moich czasów i wstyd był nie mówić po polsku; sam tylko najprostszy naród nie umiał.

— Ale i po litewsku mówicie przecie doskonale?

— A już musi być, że nie... Tego nowego litewskiego języka, drukowanego w Wilnie, tak ja nie bardzo. Przywieźli mnie taką gazetę — czytam — i słowa nieznajome i w głowę nie lezie. Tak mnie straszno zrobiło się, czy ja na starość nie zdurniał. Poprosiłem polskiej gazety u pana Pucewicza, ojca. I rozumiałem — i dobrze napisane było: o hodowaniu ryb. — Mnie zdaje się: tych naszych nauczycieli jeszcze douczyć trzeba. — — Nam wszystkim uczyć się tylko i uczyć — a wszystko dobrze będzie.

Rozgadał się stary na potęgę, aż mu wypieki na żółte policzki wystąpiły, przecie jeszcze nie ustawał.

— Janielkę my w domu uczyli, — tak ona i udała się. A jest u mnie druga wnuczka po synu Janie. Tak ona do wyższych nauk chęć pokazuje, do szkoły poszłaby, tylko my jej do miasta nie puścim. Szkoły nie takie. — Chłopi do nich mogą iść; jeden zdurnieje, dwóch nauczy się na pożytek. Ale dziewczyny kruche stworzenia: im trzeba swojej szkoły, a już najlepiej, kiedy rodzice sami uczyć mogą. — — Ot, nie wszystko dobre u nas. — Kiedy myślisz o zaścianku, jeszcze sam utrafisz; a kiedy już o szerszym kraju, trzeba, żeby i panowie z nami pomyśleli. Zgodni my zawsze z nimi byli. Tak niechaj i będzie.

Trzeba było przerwać rozmowę, od pewnego bowiem czasu rósł ogromny gwar na cichem dotąd podwórzu. Szczytowa ściana świrna, pokryta pnącym chmielem, osypała się nagle niezmiernem gronem ciemnych, ruchliwych owoców — wróble z całych Trembeliszek, upodobawszy sobie na nocleg ścianę dziada Józefa, rozpoczęły swój świegotliwy sejmik wieczorny. Czy to są plotki z całego dnia znoszone dla użytku szarej gawiedzi? czy hymn do zachodzącego słońca? — — wiadomo tylko, że w pobliżu takiego wróblego sejmu wszelkie ludzkie rozmowy wdzięk swój tracą.

Słońce już się schowało za gaik olszowy, rosnący tuż przy Trembeliszkach. Michał powstał i oświadczył, że pójdzie poszukać Stanisława w chacie Dominikowej.

— Dowiedzieć się można wpierw, czy już przyszedł — rzekł stary. — Tereska!

Najstarsza prawnuczka wywinęła się zaraz z pobliża i, zapytana, powiedziała, że Pucewicz już dawno siedzi z Janielką. A w tamtej chacie, Dominikowej, wiedziano także o wizycie Rajeckiego u dziada Józefa. Wypadki dnia obnosiły po zaścianku lotne niedorostki, zostawione

w domach; gdy starsi powracali z roboty, gazeta miejscowa była zupełna.

Michał pożegnał serdecznie starego Trembela i obiecał powrócić tymi dniami na gawędę.

— Wszak gadać dziadowska rzecz — rzucił na pożegnanie stary — młodym żenić się i pracować.

Na pół drogi między chatami Józefa i Dominikowej spotkał Michał Stanisława, lekko, wesoło stąpającego, ze strzelbą na ramieniu. Obaj baczni myśliwi, jakby mieli w głowach budziki nastawione na tę samą godzinę, ocenili, że pora wyruszyć na miejsce ciągu, gdzie staną o samym zachodzie.

— Nareszcie cię widzę w dawnej postaci! — zawołał Michał, witając przyjaciela.

— I zobaczysz nieraz jeszcze. Ślub mój w początkach septembra. Chcesz? zaraz po ślubie pojedziem z gończymi, a tam już, gdzie ja wiem, polowanie królewskie!

Tymczasem czarna Hetka witała się z rudym Foxem uprzejmie, jako z wyżłem bądź co bądź wysokiej rasy, choć mniej delikatnego usposobienia, dawnym przytem znajomym.

— Nie wiem, mój Stachu, czy będę mógł być nawet na twoim ślubie. Muszę przecie raz skończyć ten uniwersytet; ostatni rok — trzeba przysiedzieć fałdów od początku wykładów.

— A ja tobie radzę: nie jedź, póki tam cholera. Ojciec dzisiaj czytał w gazecie — idzie ona ciągle od wschodu i coraz silniejsza.

— To i tutaj dojdzie.

— Uchowaj Boże! tu ona nigdy nie była i nie będzie.

— Może nie za naszej pamięci, ale przecież kiedyś musiała i tutaj być.

— W powiecie Jezioroskim i Wiłkomierskim — nigdy. Przychodzi do naszych jezior i buch w wodę! A tu już ją nasze raki zjadają, jak każde paskudztwo — — Ot, zapytaj u dziada Trembela — ośmdziesiąt sześć lat żyje, a od ojców wie, co i przed dwustu działo się. Nigdy tu cholery nie było. Kraj już taki — —

— Mądry dziad ten Józef Trembel — rzekł Michał.

— Ho, ho! — Jak on stary jest, daj jemu dzisiaj dziesięć folwarków w administracyę — poradzi.

— Jabym go i naczelnikiem powiatu zrobił. — —

— A ot urządź tak, kiedy możesz; dobrze będzie.

Szli, spotykając co chwila dorosłą młodzież Trembelów, wracającą z pól do domu. Piękne było plemię: mężczyźni wielcy i silni, jednak nie atletyczni, wysmukli. Na barkach zarzucone nieśli kurty, a kosy trzymali ze swobodą i powagą, niby godła dostojeństwa. Młode kobiety i dziewczęta w pracowitej, nieświetnej odzieży, nosiły ją, jak mokre szmaty rzucone przez rzeźbiarza na świeżo ulepione posągi. A śmiały się słodko i zalotnie, a strzelały oczyma z błękitu, kołysząc głowy rytmicznie do ruchu szyi i bioder. Krewni i krewne byli między sobą, aż czasem do niepoznania. Już myślał Michał, że to Janielka idzie z sierpem, wielka, lnianowłosa — Nie, to stryjeczna.

— Dożęliście grochu? — rzucił słowo Stanisław, nie zatrzymując się w pochodzie.

— Dożęliby, kiedy zwikłany, jak barani kożuch...

Trochę chichotów wśród mijającego stada wesołych ptaków.

Każdego witał Stanisław, każdemu coś dogadał, albo i dociął przyjaźnie. Odpowiadali ukłonami uprzejmymi, bez uniżoności — nie dziwota, przecie już niezadługo krewni. — Ale i Michałowi, dalszemu obyczajem od włościan, kłaniali się tak samo, z odcieniem tylko ciekawości. Szlachetne i spokojne spojrzenia chłopów krzyżowały się ze spojrzeniami szlachty bez trwogi, bez złych uprzedzeń, owszem z zaufaniem i przyjaźnią. Oczy kobiet błyskały do oczu młodych paniczów lubem porozumieniem samic z samcami jednej rasy, godnych siebie nawzajem.

— Kochane chłopy ci twoi Trembele! — rzekł Michał.

— Żyć z nimi i umierać! — potwierdził gorąco Stanisław — tylko nie tobie, ale mnie. Ty ptak wędrowny...

— Niby jak kaczka? — zadrwił sam z siebie Rajecki.

Po łące już bez drogi szli, po gładkiej, zroszonej. Pocięta była rowami, przy których rosła olcha i łoza.

— Wybierz sobie, Miś, który krzak przy tej kanawie — ot najlepiej w niższem miejscu, przy błotku; — ja pójdę sto kroków dalej. Tędy ich dukt z Dusiackiego jeziora na Roszę, albo i z powrotem. Słońce chowa się — sama pora.

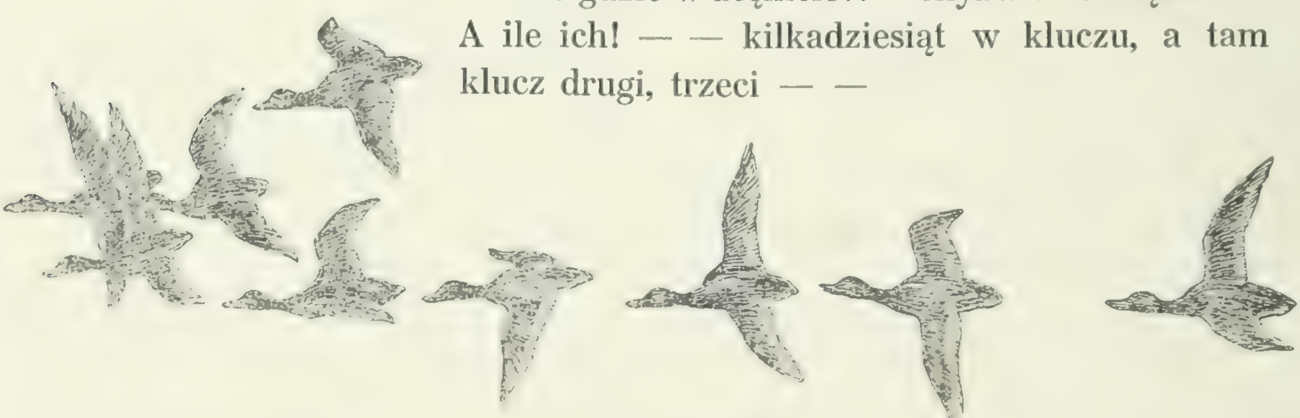
Zaledwie sam pozostał, zauważył Michał zmianę w programie koncertu, którego numer, ostatni dzienny, grał się w powietrzu, ale tak lekko, że ucho, przywykłe do rozlanego nawet w ciszy dźwięku, chwytało sens jego dopiero wtedy, gdy ucichł. Jak na skinienie batuty umilkły naraz przedzachodnie świegotania maleńkich śpiewaków w łozinie: trznadli, sikorek, pliszek. Przetrwał tylko najwyższy skrzypcowy brzęk komarów.

Ale zaraz obudziły się głosy basowe, odęte strachami nocy — dalekie bąki zagadały — i ostrzegawcze, jak kołatki stróżów nocnych, zdwojone pokrzyki derkaczów. Rozpoczął się nokturn.

Strop niebieski wydawał się jeszcze tak jasnym i przejrzystym, że głębszym, niż za dnia. A jednak zbladł i mroczył się coraz bardziej, bo opóźniona w błękicie jaskółka okazywała się muchą przy baczniejszem wpatrzeniu, a ostra chmurka przybywającego księżyca powlekała się złotem.

Na tle ciszy takiej, że nuta komara, spędzonego z twarzy, nabierała wartości prymu, w pustce nieba bezmiernej, łowiło jednak ucho jakieś rytmiczne szumy. — — Od jezior dalekich, czy od mieszkań ludzkich powietrzne telegrafy bez drutu? — — Nie — szum rośnie w tentent podniebny, zbliża się — — to już kaczki nad głową Michała.

Ale gdzie w błękicie?! — chyba o stosążni? — A ile ich! — — kilkadziesiąt w kluczu, a tam klucz drugi, trzeci — —



— Szu—szu—szu—szu—szu—szu...

Nie dziw, że łoskot słychać zdaleka, skoro taka ich ćma. — — Ale jeżeli tym szlakiem ciągnąć będą dzisiaj, to żadnej nie dostaniemy.

Po rozczarowaniu inna nadciągała dolegliwość: komary cięły nieznośnie, chociaż Michał wsadził głowę w krzak i przeciw regułom myśliwskim palił papierosa. Legiony ich przybywały od tego błotka, przy którem stanął, za poradą Stanisława. Opędzał się niecierpliwie, trzaskał się to po rękach, to po karku.

Wtem ujrzał Stanisława, zbliżającego się w lekkich susach. Co takiego? — — Dopadł i podał mu flaszeczkę.

— Masz tu olejek gwoździkowy; posmaruj sobie ręce, szyję i twarz; pilnuj tylko, żeby do oczu nie zalazł. Komar ciebie ani powącha.

— Dziękuję ci, mój Stachu — — ale ty? —

— Ja już cały wysmarowany, aż lepki. — Deszcz jutro będzie, kiedy tną tak zajadle. — I pilnuj teraz! — —

Do oddalającego się mówił Michał:

— Ależ my stoimy na stanowiskach niezbyt spokojnie.

— Nie bój się! tutaj im droga przepisana — nie zboczą one — — I pyszny ciąg będzie, widać to po pierwszych stadach.

— Tylko dyablo wysoko ciągną!

— Bo jeszcze jasno. Pójdą niżej — obaczysz —

Jeszcze Stanisław nie doszedł do swego stanowiska, gdy nowy ogromny klucz zaszumiał nad głową Michała. Musiał lecieć trochę niżej, niż poprzednie, bo z lotnego pułku doleciało kilkakrotne kwaknięcie, zapewne dowódcy, ostrzegającego o zasadzce. Stanisław wymownymi gestami dawał znać z oddalenia, że można było już strzelić.

I natychmiast dał przykład.

Przeciągało nad Pucewiczem stado mniej gęste i złożone ze sztuk, które wydały się Rajeckiemu najmniejszym gatunkiem cyranek. Stach dał ognia z obu luf. — Po drugim strzale od rozpędzonego stada odłączyła się jedna sztuka ze złożonemi skrzydłami, zniżała się ogromnym łukiem ku łące, rosnąc w oczach, aż brzdękła głośno o trawę duża krzyżówka. Fox skoczył natychmiast i zaaportował.

— Ot widzisz! — krzyknął Stach — można —

Michał powiał kapeluszem, winszując pięknego strzału, cicho zaś strofował się:

— Mogłem z tamtego stada choć jedną ściągnąć. Trzeba tylko ufać strzelbie i odważyć się nawet dwa sążnie przed dziób mierzyć. — — A zawsze w jedną sztukę i dokładnie — nigdy w kupę!

Nadciągały właśnie kaczki nad błoto. Pełen świeżych postanowień Michał wymierzył do pierwszej sztuki i strzelił. Rozległo się w powietrzu żałosne kwakanie i kaczka, z przetrąconem skrzydłem, jęła spadać dziwacznym zygzakiem, ciągle kwacząc, aż klapnęła w mokradło. Tyle miał Michał emocyi z tego widowiska, że nie strzelił już z lewej lufy. Hetka zaś, czy zrażona hałaśliwem zachowaniem się spadającej kaczki, czy że nie raczyła nóg zamoczyć, stała na miejscu, pomimo rozkazu, aby aportowała. Trzeba było wezwać pomocy żarliwego Foxa.

Ciemniało. Kaczki płynęły teraz trochę niżej przez blado-błękitną porcelanę nieba, czasem przekreślały długim szeregiem złoty sierp księżyca, jakby wzorem japońskich wazonów.

Strzelanina trwała wściekła. Kaczki, niezbyt przebiegłe wogóle, głupieją jeszcze na ciągu. Po kilkudziesięciu strzałach w jednem miejscu nieustannie waliły nowe pułki na tę dolinę śmierci, mając jedyną obronę

w nadzwyczajnej szybkości. Myśliwi nie żałowali prochu; i chociaż najlepszy strzelec zużyje przeciętnie trzy ładunki na jedną kaczkę przy tych warunkach oddalenia, rozpędu i zaniku światła, zdarzały się piękne myśliwskie efekty. Stanisław dał kilka dubletów, z których jeden wspaniały do wysokiego stada: spadły dwie sztuki zabite tak piorunowo jedna po drugiej, że trup gonił trupa po wielkim łuku spadania. Michał znów zabił aż pięć sztuk z jednego stada, które po pierwszym dublecie zawróciło, dając mu czas do ponownego nabicia strzelby i do zwalenia jeszcze trzech sztuk dwoma strzałami.

Ale teraz ciemniało już na dobre i ciąg zdawał się wyczerpanym. Przez kilka minut nie nadleciała ani jedna kaczka. Michał już chciał ruszyć z miejsca w kierunku do Stanisława, gdy mu ten dał znak, aby pozostał przy błotku. I słusznie — gdyż nadciągnęły niebawem marudery wojsk powietrznych, nizko i powolniej, niż poprzednie pułki, zapadając pojedyńczo na błotko pod samemi nogami Michała. Jedyną przeszkodę stanowiła rosnąca ciemność. — Tyle było do roboty teraz przy błotku, że Stach podążył na pomoc Michałowi.

Strzelanina przeszła w rodzaj opędzania się od nadlatujących kaczek. Czasem cień tylko zawisnął w powietrzu — prało się do tego cienia na pamięć, z przyrzutu, a kiedy skutecznie, ciężka sztuka spadała w wodę między trawą, bryzgając głośno. To znowu myśliwi czuli aż na twarzy wiatr blizkich skrzydeł, przelatujących w niespodziewanym kierunku.

— Tiro! [1]) — wołał jeden do drugiego, gdy nie zdążył nabić wyładowanej strzelby — o tu — tu! nad samą głową — —

— Łap ją za ogon, kiedy widzisz! — odpowiadał drugi, gdy prześlepił kaczkę.

A zdarzało się to często w tej ciemności; dojrzeć bowiem lot można było tylko na tle gasnącej łuny niebieskiej; gdy kaczka ciągnęła przez tło krzaków, lub nizko nad łąką, kot chyba, lub ryś zdołałby ją upatrzyć.

Złożyli broń nareszcie, choć szumy i kwakania dawały się jeszcze słyszeć. Noc otuliła zasłoną niedobitki, rzuciła też całun na polegle, rozsiane po łące. Fox podniósł kilka sztuk i przyniósł do panów — resztę znajdą o świcie chłopcy z Trembeliszek, gdy się im powie, gdzie mają szukać.

---

[1]) Tire haut! — okrzyk myśliwski, oznajmiający zbliżanie się ptaka w locie.

— Ależ dymu napuściliśmy! — —

Nad błotkiem leżał tuman mgły, przesiąknięty ostrym swędem prochu, i nie rozchodził się w martwem powietrzu.

— Bo też i kaczek natłukliśmy! Zabierajmy, co przy nodze, i chodźmy.

Skoro porzucili to miejsce zgiełku i dymu, noc cicha i wonna ogarnęła ich przejmującem objęciem. Dzwoniło w uszach od rozległej ciszy, dzwoniło w sercach od nieutulonych pragnień.

— Ach, Stachu, — westchnął Michał — może to ostatnie dni mojej młodości?! — —

Taki wykrzyknik z ust dwudziestoparoletniego studenta mógłby wywołać drwiącą odpowiedź towarzysza, który dobiegał trzydziestki. Ale Stanisław, nie zatrzymując się nad dosłownem brzmieniem słów przyjaciela, starał się odgadnąć wewnętrzną treść jego wynurzenia.

— Tobie w cudzych krajach nieswojo — ty nasz, Litwin, a ciągle daleko od nas żyjesz.

— Tak już coś gna — — Śni mi się, że będę pisarzem, pożytecznym i sławnym.

— I na co tobie? — — Pozwól ty innym książki pisać, a chcesz sam, pisz u nas.

— Trzeba szeroki świat obejrzeć, aby rozjaśnić sobie wiele rzeczy.

— Świat oglądać będziesz, a dusza z nami pozostanie. Dusza przymocowana do rodzinnej ziemi.

— Tobie dobrze, Stachu, wiem. Zżyłeś się z tutejszym krajem i ludźmi, wystarczają ci do szczęścia. Nie wybiegasz pragnieniami w dalekie strony.

— Tak i jest. — Obaczysz, jak my z Janielką zagospodarujem się. Kiedy poznasz ją lepiej, powiesz: ot gospodyni i żona! Nie taka tam z podrygansem, która stroi się, mizdrzy i pół życia zabiera na darmo. Ty do takich masz ochotę, Miś.

— Gdzie? co? do jakich?...

— Wszak opowiadałeś o jednej... Jak ona tam już nazywała się? — nie pamiętam.

— Ach! pani Teresa! — — nie widziałem jej od nowego roku. I teraz jestem od niej bardzo daleko... całem sercem tutaj.

Imię Warszulki zbliżyło się cieniem do rozmawiających, musnęło powiewem ich skronie, zawisło nad nimi. Ale Stanisław zakazał sobie mówić już o niej z Michałem od czasu gdy ten, usłuchawszy jego rady,

oddalił się od ukochanej dziewczyny. Stanisław czuł, że nie przyszło to Michałowi łatwo, że mu dotąd serce wije się od wysiłku tego postanowienia. Nie dotykał więc tej sprawy nieodwołalnej, okazywał tylko Michałowi uprzejmiejszą jeszcze przyjaźń, z odcieniem uszanowania.

Pomyślał o tem milcząc, a potem nawiązał do przerwanej rozmowy taki pomysł:

— A ty, Miś, kiedy pisać będziesz książki, może i o naszych stronach?

— Z pewnością. — I ciebie żywcem odmaluję, Stachu.

— Tylko już nie w tej starej hałderjupce, kiedy łaska. Ubierz mnie pięknie — wszak wypisać piórem samodział, czy kort angielski wszystko tobie bajki.

— Krzywdy ci nie zrobię, Stachu.

— Ja i nie boję się — — ty nas taki lubisz — prawda, Miś?

— Serdecznie — odpowiedział Michał.

Zatrzymali się obaj naraz w nocnej wędrówce i uścisnęli się tak, jak mężczyźni całują się czasem na ziemiach polsko-litewskich, na wsi głębokiej, gdzie jeszcze nie każdy człowiek bywa człowiekowi wilkiem, gdzie chrześcijańska cywilizacya zatrzymała się w złotym okresie swego rozwoju na punkcie szczerej miłości między bliźnimi, nawet jednej płci.

— I nie zapomnisz ty, Miś, naszej starej przyjaźni?

— Nie zapomnę.

— Ani naszych polowań i różnych historyi, które nam zdarzyły się, o których my wiemy?

— Nie zapomnę.

— A pamiętaj ty i o całej naszej ziemi —

— Nigdy nie zapomnę.

XV.

ZŁOTA JESIEŃ.

Dwudziestego października około dziewiątej rano Michał Rajecki, w ubraniu podróżnem i z kuferkami, jechał bryczką od stacyi kolei. Niezwykłe okoliczności sprowadziły go o tej porze do Jużynt: z powodu cholery zawieszono wykłady na uniwersytecie dorpackim, z czego wynikły niespodziewane wakacye dla Michała, który przed dwoma miesiącami stąd był wyjechał. Ten okres zupełnie innych przeżyć koleżeńskiego życia uśpił w nim trochę wspomnienia z lata. Jednak i dzisiaj witał z rozrzewnieniem powietrze rodzinne, lecz czuł w niem zimniejsze niby przyjęcie z powodu posuniętej już jesieni, którą rzadko tu widywał. Na polach ruń ozima, na łąkach przywiędła trawa, pełno złotego liścia na drzewach i wody jezior karbowane zimną falą, spienione u brzegów — kraj zadumał się trochę, postarzał.

Droga nie pyliła już pachnącym letnim kurzem, koła lgnęły do ziemi wilgotnej, chlapały po kałużach, pomimo, że dzień był jasny, przesłonięty białawą oponą. Musiały przechodzić niedawno uparte deszcze. Smak powietrza był rzeźwy i cierpki, zaprawny fermentami późnej pory roku. Ale ta woń raduje nozdrza myśliwego.

Pomykał zając wyrośnięty i sprężysty po zielonej runi; nad podorywkami przeciągały nizko wielkie stada siwek, szare na szarem, jak poziome tumany oderwane od roli; w zaroślach zaś i w lasach czuł myśliwy przywarowanie i ostrożne wędrówki zwierzyny. Przepędzićby ten kawał lasu na nowinę — puścićby gończe w te zarośla, a stanąć



w wąwozie między pagórkami. — — Zając poszedłby po zboczu, a lis napewno dołkiem.

A właśnie bryczka skakała po wybojach drogi ni to leśnej, ni łąkowej, odcinającej szmat zagaju od przestrzeni zadrzewionych wyniosłą jedliną, to znowu otwierających się długiemi polanami w głąb, w kraj falisty, narysowany według fantazyi przyrody, bez śladu ludzkiego planu. Złoto żółte, rude i krwawe znaczyło domieszkę drzew liściastych: brzozy, osiny i dębu; olchom przymrozki zabrudziły tylko zieleń. Podcienia leśne już były usłane płowymi kobiercami jesieni.

Dzień był wymarzony na polowanie z gończymi, a że wiatr trochę żwawy, to mała przeszkoda. Stanąć tylko pod wiatr, a można usłyszeć gon i o pół mili. — O, tutaj naprzykład, las wysokopienny zawodzi jedną ogromną nutą, jakby płynącą z dalekich organów. Ale w nucie tej jest tysiąc tonów, dętych w szumne kity i korony drzew, szeptanych, skrzypiących. — — Pośród tych głosów górnych, spokojnych i wytrwałych, wyróżniłby się odrazu zgiełk napastniczy, urywany goniących psów albo i ludzi, zazgrzytałby w harmonii dysonansem, dla łowieckiego ucha rozkosznym. — — I jest niby coś takiego tutaj w ogromnym gwarze lasu? —

Michał wytężał słuch, jadąc, i poił się koncertem, który, wiejąc mu przez głowę, rozrzedzał trudne i tęskne myśli pozostałe z różnych kombinacyi i wątpliwości uprzednich. Ogarniał go szał kniei, ten stan duszy nadczuły na poczucia pierwotne, na ciekawości dziecinne, a mocne, jak war życia we krwi.

A organowe tchnienia wiatru nasiąkały coraz wyraźniej swarliwym jakimś zgiełkiem.

— Poczekaj, Antoni — zatrzymaj się. Chyba to psy gdzieś daleko gonią? — —

— A już musi być, gonią — — one teraz codzień — szak i pora im...

— Skrauja![1]) napewno.

W szerokim szumie, przychodzącym nawałą do drogi, na której za-

---

[1]) Okrzyk, oznaczający gon; wyraz łotewski, przyjęty na całej Litwie.

trzymała się bryczka, można już było rozróżnić basy i tenory psów, alty i dyszkanty suczek. Grała duża, dobrana psiarnia. Michałowi zdawało się, że poznaje po głosach znajomych śpiewaków, jak Zagraj, Grzmilas, Cymbał, Trębacz, i słynne śpiewaczki: Dudę, Lutnię, Płaksę.. Zakotłowało mu w głowie od przejmujących wspomnień i szkicował w wyobraźni obroty, które mogłaby wziąć ta przygoda.

Na wszelki wypadek dobył śpiesznie strzelbę z futerału, gdzie znalazł i kilka zapasowych ładunków, zrzucił płaszcz i wyskoczył z bryczki, gdyż gon zbliżał się niewątpliwie. Ktokolwiek tam polował, jeżeli zwierz pomknie przez tę drogę nie strzeżoną, można go zabić bez ubliżenia uczestnikom polowania i litewskim prawom myśliwskim.

Gdy stanął bez płaszcza w pogotowiu do strzału, poczuł przez chwilę chłód, ale zaraz o nim zapomniał, bo muzyka kniei dawała nowe wrażenia dźwięczne, mocno grzejące: odezwała się zdaleka trąbka — nie róg litewski, jękliwy i donośny, lecz sygnał pasażowy, harmonijny i ochoczy.

— Kurlandzka trąbka! — rzekł Michał do woźnicy — psy poszły przez pole! — — Ale któż to poluje? — —

Antoni długo myślał, wzruszając ramionami, poczem ogłosił swe przypuszczenia:

— A już musi pan Hryncewicz, u którego piękne psy i Wejsz [1]) Łotysz, sławny dojeżdżacz.

— Gdzieżby on, aż z Kurlandyi?!

— Pies granicy nie pyta, ani gubernii. I przewieźć jego można.

Wtem ożywił się znacznie roztropny Antoni, bo, jak każdy Litwin, był w duszy »ochotnikiem«.

— A wo, wo!... patrzaj panicz — — psiarnia Hryncewicza. — —

W odległości niespełna wiorsty, między dwoma wzgórzami, jednem leśnem, drugiem łysem i tylko kępami krzaków porośniętem, migała po-

[1]) Wiatr (po łotewsku).



goń. Gdyby nie szybki ruch, nie możnaby dojrzeć plamek psów gończych, sypiących się w poprzek szerokiego jaru ze wzgórza na wzgórze. Ale za psami, prawie na ich ogonach, sunęła jaskrawa bryłka większa — krwawo ubrany dojeżdżacz na karym żmudzkim kucu. On to był, sławny Wejsz pana Hryncewicza, i ogłaszał stosownym sygnałem trąbki, że psy poszły przez pole.

— Ot jak, z górki na pazurki, polują sobie... pięknie! — zachwycał się Antoni, rozszerzając usta drapieżnym uśmiechem.

Gdy tak Michał stojący, a woźnica z kozła rozprawiali o gonie, który teraz od nich się oddalał, i zgadywali, czy lis tam idzie przed psami, czy sarny — bo zwierza nie dostrzegli — zwrócili naraz uwagę na przemykającego między drzewami, o sto kroków od drogi, człowieka szarego jak kora, a chytrze stąpającego, jak urodzony mieszkaniec lasu. Strzelby nie miał przy sobie, lecz gruby kij pod pachą. Leśnik czy nie leśnik, ten człowiek musiał coś wiedzieć o polowaniu, bo zdążał w kierunku do gonu. Można go było zapytać.

Antoni wpatrzył się przez chwilę, aby się nie omylić, poczem zwrócił się do Michała:

— Łaukinis tu — —

Poznał go właśnie i Rajecki po jakimś wilczym właściwym mu ruchu, i aż zaczerwienił się od widoku tego człowieka, którego postać zbudziła całe kręgi wspomnień porzuconych, znowu blizkich. Tak pies szczekliwy, pierwszy witający od progu, natęża w podróżnym radość dojazdu do ukochanego domu.

— Hej! Łaukinis! Proszę tu bliżej! — —

Nieprzyjazny dawniej kłusownik podbiegł jakoś bardzo uprzejmie — dobra to, czy zła wróżba? — W twarzy, która jeszcze przychudła i ogorzała, wyraz chytrej odwagi złagodzony był przez uśmiech zimny, lecz zapraszający, jak myśliwska pogoda.

— Wiecie zapewne, kto poluje?

— Pan Hryncewicz z całą kompanią — wielu ich tam — i Pucewicz z nimi.

— Doskonale! to i ja mogę przyłączyć się do polowania.

— A cóż panicz myślisz? — Konie do Jużynt niechaj jadą — Pucewicz ma tarantas u leśnika, podwiezie wieczorem. A nie, tak niechaj Antoni popasuje u leśnika.

Łaukinis, mocno przekonany, że kto trzyma dubeltówkę w garści, powinien polować, nie miał żadnych wątpliwości i dawał rady podo-

bne do rozkazów. Trafiał też w myśl Rajeckiemu, który marudził tylko jeszcze z powodu lekkiego swego ubrania.

— W tych trzewikach?... Może buty wydobyć z kufra i myśliwską odzież? — —

— Pluń panicz na buty! Po suchym lesie dzisiaj polują, po dyrwanach, po poletkach i krzakach. Już ja zaprowadzę, że i kropli wody w podeszwach nie poczujesz — — I zostaw panicz tę burkę: kiedy zabiegać przyjdzie się, do koszuli rozebrałbyś się, tak gorąco będzie.

Więc jak stał, w kurtce podróżnej, ze strzelbą na ramieniu i kilku ładunkami w kieszeni, Rajecki poszedł w las z Łaukinisem, odprawiwszy bryczkę do leśnika.

— A cóż to dzisiaj Łaukinis bez strzelby?

— Nie prosili oni mnie na polowanie — odpowiedział wymijająco kłusownik.

Michał przypomniał sobie, że Łaukinis miewał zatargi z policyą i strażą leśną co do noszenia broni. Zapewne i dzisiaj działały te zakazy. — Możnaby mu dać sztuciec, który znajdował się w bryczce? — Ale myśl tę porzucił Rajecki — z paru względów wolał mieć przy sokie kłusownika nie uzbrojonego.

Psy tymczasem urwały, albo nie dochodziła ich gra do uszu, gdyż gon poszedł przez pola i nie miał leśnych potężnych odgłosów.

— Dokąd prowadzisz, Łaukinis?

— A już pod gon: powróci on przez te pagórki, jeśli psy dotrzymają. Wejsz za nimi, on majster do prowadzenia.

— A jeżeli psy wpadną w puszczę?

— Za daleko. — Kozy stąd ruszone idą przed psami; obłożą i powrócą. My staniem w wąwozie między dwiema górami.

— Dlaczego teraz nie było tam nikogo z myśliwych? bo przecie nie słyszeliśmy strzału.

— Musi nie pośpieli zabiedz. — — Stali oni pierwej tutaj w lesie na przesmykach, niedaleko od drogi, którą panicz jechałeś. Myśleli: zwierz pójdzie z wiatrem, a poszedł na ukos. Teraz oni wszyscy tam, gdzie idziemy.

— A Łaukinis stałeś z nimi?

— Cóż mnie z kijaszkiem? Ot stanąłem za strzelcami sto kroków; czasem zając postrzelony, tak jego i z kijem dostać można. Ale ja i nie spodziewał się. Tylko kiedy polują, czemu mnie w domu siedzieć?

Nie z pokorą skromnego podbieracza cudzej zwierzyny, owszem

z urażoną dumą rozbrojonego kłusownika opowiadał Łaukinis swój dzisiejszy plan polowania. Ale Rajeckiego mało obchodziły te kłopoty; zmierzał do wypytania o wiele rzeczy, które wiedział napewno wyga kniejowy i stryj Warszulki. Rajecki zaś prawie, że nie miał powiadomień z Jużynt z ostatnich czasów; wiedział tylko, że odbył się ślub Stacha Pucewicza z Janielką Trembelówną sześć tygodni temu.

— Cóż słychać tu u was, Łaukinis?

— Nic: wszystko w porządku.

Michał nie chciał zapytać wprost o Warszulkę; czekał, aż to wyniknie z rozmowy.

— A pan Pucewicz poluje znowu po ślubie?

— Oj je! tydzień po ślubie wycierał już Dusiacką i Komajską puszczę. A w przeszłym tygodniu on i do Kurlandyi na łosie jeździł. On już na wiek taki zostanie.

— A w Jużyntach cicho... nikt nie poluje?

— Szak panicz wiesz. — —

Oczywiście wiedział Rajecki, że nikogo w domu nie zastanie, gdyż rodzina jego wyjechała już do Wilna. Zajeżdżał teraz do Jużynt na kilka dni tylko, aby się napić jesiennego powietrza i jesiennej tęsknoty. — — Gadał, byle krążyć słowami w pobliżu miejsc, gdzie znajdowała się Warszulka, i wywołać niby mimochodem o niej rozmowę.

— I cóż dalej w naszej parafii? Umarł kto? urodził się? ożenił?

— Umarł stary Żukiel Józef.

— A Józef Trembel żyje? ma się dobrze?

— On i sto lat pożyje. Niedawno szedł do lasu drwa rąbać, rąbał pół dnia, spociwszy się, powrócił do chaty, wieczerzę zjadł za dwóch i nic jemu — zdrów i żyw.

— No... a ożenił się kto?...

— Kto miał żenić się, ożenił... a kto wyjechać, tedy i wyjechał! — Posłuchaj panicz — zdaje się, psy gonią. — —

Gonu wcale słychać nie było. Łaukinis omijał tylko rozmowę, którą Rajecki chciał wywołać. Zrozumiał to Michał i przestał pytać, ale z ogólnego tonu i obejścia się Łaukinisa wywnioskował, że Warszulka musiała już wyjść za mąż.

Szedł teraz w milczeniu, ponuro. Zdawało mu się wczoraj jeszcze, że ta dziewczyna, którą sam oddał innemu, majaczy mu już tylko w sercu miłem wspomnieniem sielanki i spełnionego obowiązku. Dzisiaj, zaledwie wstąpił w kraj swój i jej rodzinny, znowu ta istota drobna, roz-

tęczona przez wyobraźnię, wydała mu się najczulszym punktem jego wrażenia, treścią jego tęsknoty. A że ginęła dla niego niepowrotnie, kraj cały był jakby pozbawiony ciepła i młodości. I jesień! — — ani jednej jagody po drodze, ani jednej jaskółki w powietrzu! Biała kopuła niebios zimna, nadąsana upartym smutkiem.

Ale dochodzili już do miejsc, gdzie przypuszczalnie spotkać mieli myśliwych. Szli środkiem łagodnego jaru między wzgórzami, leśnem i łysem, odsłaniając się umyślnie, aby ich zobaczono. Jakoż z pod krzaka wynurzył się pierwszy myśliwy na stanowisku — nieznajomy.

Otyły był i znacznie już szpakowaty. Twarz miał rozczarowaną jakimiś życiowymi zawodami, uprzejmie tragiczną. Brał udział w polowaniu jakby z musu, bo nie można było zdybać w jego postaci śladu łowieckiej ochoty. Nazywał się pan Pauksza. Rajecki przedstawił mu się z obowiązku gościa wpraszającego się do kompanii, bez przyjemności, gdyż podstarzały jegomość był niby uosobieniem złej wróżby. Ale dowiedział się od niego przynajmniej, że Stanisław Pucewicz stoi obok, o sto pięćdziesiąt kroków dalej.

Niebawem przyjaciele uradowali się wzajemnym widokiem.

— Wszelki duch!... skąd ty tutaj, Miś?! — w tem ubraniu? — —

Krótka relacya Michała uspokoiła wykrzykniki.

— Siadaj, Miś! dyrwanik piękny i suchy. I powiedz, co z tobą.

Usiedli na wrzosowisku obok siebie. Łaukinis, który miał zwyczaj przypadać i wynurzać się, jak dzikie stworzenie leśne, ukrył się gdzieś w krzakach. Nic też innego nie było do roboty, jak czekać. — Psy zapędziły się daleko za sarnami.

— Co tam w mieście! nic ciekawego! — machnął ręką Michał — opowiadaj ty, co się u was dzieje. — Jakże tobie, dobrze z Janielką?... z panią Anielą?

— Że i lepiej nie potrzeba. — A polować nie przeszkadza mnie, jak widzisz. Łosia zabiłem w przeszłym tygodniu.

— Opowiadał mi Łaukinis.

— To i wiesz wszystko, kiedy z nim gadałeś.

— Właśnie, że nie. O Warszulce niczego się nie dowiedziałem.

— Jakto? nie mówił?! — uparta sztuka. — A ja myślałem, on tobie teraz druh, że oddałeś jego synowicę Trembelowi...

— Dość niby łaskaw na mnie... Ale powiedz, Stachu — wyszła za Trembela?

— Jeszcze w septembrze pobrali się i wyjechali.

— Gdzie?!... No opowiadaj.

— Było tak: oni zaraz po twoim wyjeździe dali na zapowiedzi. Warszulka porzuciła u mnie służbę i mało ja o niej słyszałem przez miesiąc. Aż słyszę: chora, w chacie rodziców leży, przez ręce leci — a Trembelukas lamentuje, że mu ktoś narzeczoną urzekł. Tak ja do niej doktora z Dyneburga sprowadziłem. Mówi doktór: dziewczyna w sobie zdrowa, tylko krwi w niej mało. A my z tobą, Miś, wiemy, z czego ona chorowała. — Durne te doktory! Poradził jej w morzu kąpać się, a kiedy już zimno będzie, tak choć morskiem powietrzem oddychać, klimat zmienić. Przepisał kuracyę jak dla pani jakiej, elegantki, niby to u nas nad jeziorami klimat nie zdrowy! A Trembelukas słuchał, słuchał — i sam oczadział. Pieniędzy napożyczał, gdzie mógł, ślub w kościele jużynckim wziął i żonę wywiózł do Połągi.

Ta historya mniej zadziwiła Michała, niż ścięła mu serce mrozem. Pomimo wszystkie roztropne postanowienia, miał nadzieję choć raz zobaczyć Warszulkę, przez ciekawość, przez romantyczną zachciankę. Teraz nietylko nadzieja zawiodła, lecz przybywał niepokój o zdrowie biednej Warszulki.

— Jakże oni tam sobie poradzą? — zapytał, rozglądając się smutnie po wrzosach.

— Biedy im nie będzie, jeżeli ona poprawi się. Naród tam pokrewny, Józef Trembel dobry cieśla, to i zarobić jeszcze może. A koło Warszulki chodzi, jak niańka; sam widziałem, kiedy chora była w chacie, jak jej, co mógł, znosił i siedział przy niej wpatrzony, posłuszny, jak pies. Za to go ona polubi — i wszystko dobrze będzie.

Coś tam mruknął Michał, aprobując te horoskopy, ale zarazem westchnął tak głęboko, że Stanisław przyjrzał mu się uważnie i rzekł:

— Już teraz przepadło, panie Michale. Póki dziewczyna, no... różnie to bywa, kiedy oboje wolni i chcą oboje. Ale sam postanowiłeś, żeby została uczciwą kobietą — i pięknie. Teraz ona dla ciebie nie ta sama. U nas taki obyczaj: cudza żona święta.

Blizkie hasło trąbki przerwało rozmowę.

— Ach tak? — Wejsz powraca i psy zwołuje; trzeba nam gdzieindziej — rzekł Stanisław, powstając.

Na szczycie łysego pagórka ukazał się czerwono ubrany Wejsz na karym kucu. Tułały się koło niego psy zziajane, z wywieszonymi ozorami. On zaś, niby centaur, obracał bez pomocy uzdy czworonogi spód swej postaci, strzelbę miał przewieszoną przez plecy, lufami na dół, zło-

cistą trąbę na piersiach i długi harap w prawej ręce. Tych sprzętów, równie jak czarnego konia, zażywał niby zrośniętych członków jednego organizmu. Młody był, czarniawy, dziki w oczach i w ruchach, polotny jak wiatr, którego nosił miano.

— Ot dojeżdżacza przyswoił sobie Hryncewicz! trzeba i mnie takiego naleźć — mówił Stanisław, przypatrując się z upodobaniem Wejszowi.

— Cóż, kiedy psy nie obróciły i zwierzyna przepadła? — zauważył Michał.

— To już musi tak trzeba było: sarny poszły tam, gdzieby my ich nie dostali, albo kozła w gonionym stadzie nie było. I pytać nie warto — on chłop pewny. Patrz teraz: puszcza znowu psy do wysokiego lasu. — —

Wejsz podniósł trąbkę do ust i bez wysiłku zadzwonił czysto »pochodnego«. Popłynął raźny sygnał, skoczył przez jar, odbił się o las na przeciwległem wzgórzu, napełnił powietrze radością i ochotą. Teraz Wejsz rzucił trąbkę pod ramię i, palnąwszy głośno z harapa, puścił się cwałem z pagórka. Zgniłe tła krajobrazu przekreślał czerwono-czarny dojeżdżacz równym polotem, jakby nie istniały po drodze pochyłości i wyboje gruntu; koń miał żelazne nogi, a jeździec niepohamowaną zaciekłość. Za nim psy posypały się kołysanką ciał czarnych, rudo i biało poplamionych, chyląc wietrzące pyski ku murawie, szastając długiemi klapami, aż niektórym odwalały się na czaszki. — Co tam fatyga! — powinność i sława! — Waliły sforne, obowiązkowe gończe, dopiero co omdlałe, już znowu ożywione łowczą nadzieją, za swym ulubionym tyranem, za Wejszem. Jedna niedouczona jeszcze suczka w pierwszem polu zławiała się piskliwie, nie wietrząc zwierza, tak sobie, na ochotę. — Aż cała czereda, przebiegłszy stok łysego wzgórza i łąkę, zaczęła równym cwałem wspinać się na wzgórze leśne, migać się między drzewami — i przepadła.

Ale po przelocie łowieckiego korowodu pozostał czar w powietrzu. Odeszły myśli nie mające związku z łowami, rozpłynęły się tęsknoty jesienne, nawet dzień rozjaśnił się i ocieplił. Michał myślał już tylko i wypytywał, gdzie stanąć, aby spotkać zwierza, jeżeli psy ruszą w lesie i wezmą na oko.

— Wszystkim nam trzeba na prawy brzeg lasu — odpowiedział Stanisław. — Na lewo las już przetrzęsiony. Wejsz zabiera od lewej ręki i stara się pogonić na prawo. Taki plan był umówiony. Trzeba nam iść ostro. Łaukinis, gdzie ty?

Kłusownik ukazał się w kierunku, o którym mówił Stanisław; szedł już naprzód.

— Ot widzisz, taki wie, choć jemu nikt planu polowania nie opowiadał.

Idąc śpiesznie, spotkali paru innych myśliwych, przechodzących na nowe stanowiska. Po drodze przywitał się Rajecki z Hryncewiczem, właścicielem psiarni, który ucieszył się z przybycia nowej, dobrej strzelby. Wkrótce znaleźli się wszyscy w przerzedzonym, wysokim lesie, gdzie trzeba było się rozstawić. Dano grzecznie Michałowi parę stanowisk do wyboru, a gdy jedno wybrał, pan Hryncewicz zawołał obiecująco:

— Wie młodzieniec, gdzie stanąć! Czy lis, czy sarna, czy zając — pójdzie tędy.

Ale właśnie Rajecki nie znał dokładnie tej kniei, zwłaszcza zaś nie wiedział, gdzie zabiegać, gdyby gon się zwrócił lub oddalił. Sam pozostawszy, szukał oczyma Łaukinisa. Ten wywinął się odrazu z pod blizkiego krzaka i stanął przy Michale.

— Dobrze tu, panicz.

Nieźle było istotnie Michałowi. Kołysanie lasu w górnych dziedzinach ogarniało go szumem błogim i kojącym, a wiatr nie smagał go chłodem po twarzy w tej wyniosłej warowni o tysiącach kolumn i piramid. Wyborna psiarnia pod komendą niezrównanego Wejsza przetrząsała knieję, Michał zaś stał na obiecującym przesmyku, gdyż tu właśnie podszewka z leszczyn i jałowców wchodziła długim językiem w głąb lasu, nęcąc do siebie, jak w zasadzkę, zwierza, który, spłoszony, lubi pomykać szlakiem zakrytym. Wszystko składało się na podnietę ciekawości łowieckiej. — Tylko cały las i powietrze i ziemia były niby sieroce, ogołocone z wesela. I zadawał sobie Michał senne pytania, czy w nim samym, czy w jesiennej szacie kraju tkwi smętek taki uparty, niewywiany? — — Widział ten kraj niedawno w pełnej ozdobie lata, wszystkie jego ponęty były mu dostępne; blizko zawsze w okolicy promieniowało ku niemu wiele serc przyjaznych i biło dla niego jedno serce kobiece, trochę lekceważone wtedy, teraz tak bardzo do czaru brakujące. — —

— Kochała mnie ona — marzył — chorowała z tęsknoty i przymusu do swojej marnej doli. A teraz może ten, któremu ją oddałem, zastąpi mnie nawet w jej sercu, ujmie ją przez swą upartą troskliwość i dobroć. — — I tam, nad morzem, są razem, kochają się, wracają na noc do wspólnej chaty. — —



Przejął go niesmak i niepokój. — Znowu górny wiatr przynosił pomiarkowanie:

— Sam chciałem i tak trzeba było.

Jednak czuł ciągle, że mróz mu powarzył najmilsze kwiaty w krainie kochanej.

Stojąc tak, zasnął prawie pod wpływem równej melopei lasu, granej na paru półtonach, i zapomniał, gdzie się znajduje — czy nad morzem, jęczącem pod Połągą, czy na dnie wielkiej zielonej toni, która go powoli unosi do swych górnych, płynnych szumów.

Ocknął się, gdy przy ziemi trzasnęła nieopodal gałązka. Tylko ucho myśliwego rozróżni tak nikły szmer znamienny w szerokim rozgwarze dźwięków obojętnych. — Ową smugą niższego gąszczu zbliżał się jakiś zwierz ostrożnie — mignął płową plamą. — Sarny! — większa i mniejsza sztuka. — Wymykały się cichaczem z ostępu prosto przez stanowisko Michała. Długie ich, wysokie w zadach postacie huśtały się w powolnych susach tak lekko i łatwo, jakby podparte od dołu we środku ciężkości. Już widać obie misterne głowy z rozłożonemi poziomo uszami, i łabędzie szyje — widać już całe — niestety, obie kozy!

Michał ostygł i powoli opuścił strzelbę. Pomimo zaostrzonego przez dwumiesięczny post strzeleckiego głodu, nie chciał plamić się zabójstwem kozy. One zaś, czy zaufane w szlachetność myśliwego, czy poprostu niebaczne, stanęły w oddaleniu trzydziestu kroków, podając lewy bok do wygodnego strzału. Stara koza i kic. Dwie głowy na wzniesionych, nieruchomych szyjach wpatrywały się w strzelców słodkiemi, kobiecemi oczyma. — I Michał patrzał z upodobaniem na wdzięczne tanecznice w spokoju; radby je pogłaskać po wypieszczonem futrze, albo im z ręki podać jaki przysmak.



Ale poczuł z tyłu lekkie targnięcie za rękaw, potem silniejsze, i dłoń jakby wyciągającą się po strzelbę.

— Panicz... panicz!... — mówił raczej tchem bezdźwięcznym, niż szeptem Łaukinis — strzelaj!... albo daj mnie!...

— Kozy przecież! — odszepnął Michał, zwracając nawpół głowę.

— Da cóż, że kozy?! dawaj mnie! niech mój grzech będzie...

— Idź do licha! — odparł głośniej Rajecki, czując, że Łaukinis dobiera się nie żartem do jego strzelby.

Tutaj już sarny, nie znoszące swarów ludzkich, wolały się oddalić w pięknych podskokach, niby w ukłonach.

Michał spojrzał teraz kłusownikowi w dzikie, zakrwawione od pożądliwości oczy:

— Cóż to, Łaukinis? będziesz mnie uczył kozy strzelać?!

— Ot wielka bieda! — odrzekł zuchwale kłusownik — czy to jedną kozę większe od panicza ochotniki przy mnie ubili? kiedy do lasu idziesz ze strzelbą, tak żeby strzelać, nie żeby czekać, póki tobie koza zadni talerz pokaże!... I sztuka w dwa pudy!

Rajecki rozgniewał się:

— Proszę schować swoje rady dla innych! Poluję, jak myśliwy, nie jak włóczęga.

— I poluj sobie panicz po odrynach na kozy, nie po lesie! — Et!

Machnął ręką pogardliwie, czapkę nasunął na oczy, i jak poszedł w las, tyle go dzisiaj i widziano.

Zrazu gniewnie patrzył za nim Michał, potem tylko ciekawie — aż, gdy znikł za drzewami, Michał rozśmiał się bez goryczy. Taki już był Łaukinis, niepoprawny. Szczęście, że nie dało mu się sztućca do rąk!

Rajecki stał teraz zupełnie sam w lesie, przesypującym nieustannie swe koronne gwary. Choć nie odzywały się ani psy, ani trąbka Wejsza, lada chwila zagrają, muszą zagrać. A tymczasem leśny szum wlewa się w płuca, w nerwy, w mózg dobroczynnym balsamem.

Las gadał:

— Szumię, szumię na cześć dzikiego życia, na cześć wolnej wędrówki wiatru, na cześć lęgu i żeru stworzenia żywego w moich gąszczach i cieniach. We mnie jest wieczność zadumy nad sprawami ważnemi, jak wschód i zachód, ciepło i zimno, głód i pożywienie, dobór miłosny par młodych i śmierć słabszych dla odrodzenia się w silniejszych tworach. — We mnie jest chwila, ta drżąca, która obiecuje rozkosz, i ta mocna, która rozkosz sprawia. — Nic ponade mnie na polach nagich, albo porosłych lepiankami twego pomysłu, człowiecze. Szukasz, szukasz, mieszczuchu, szczęśliwości poza mną, ale ze mnie wyszedłeś

i do mnie powrócisz. — — I dzisiaj tobie, młody strzelcze, na zapomnienie, na ukojenie, co chcesz. — —

Z szumnej bredni lasu wytrysnął nagle głos realny, natarczywy i namiętny, jak dzwonek na trwogę. Michał drgnął — poznał odrazu: pies gończy nie żartem zławiał się po niepewnym tropie, lecz ruszył z oka, i to grubszego zwierza. Zdwoił się głos, potroił — do rzewliwego ujadania Płaksy, która zwierza wytropiła, przybył jadowity jeden tenor i ponury bas — zagrał gon akordem. I rosnącą psią wrzawę roztrącił sygnał mosiężny, radosny, jak poskok młodego tańca. — Wejsz trąbił na lisa.

Jak deszczowe poniki, gdy ze wzgórz okolicznych sączą się naprzód, potem leją, aż dotrą do dna wąwozu i zaszumią jednym potokiem — tak rzewliwe, jadowite i niedbałe głosy psów gończych, rozpierzchłych po lesie, zbierały się zewsząd w jeden gon potężny. Już uchem można było zrozumieć, dokąd zmierza, kędy się wykręca zajadła pogoń za lisem: ukośnie z prawa na lewo zbliżała się do stanowisk strzelców.

Michał, przywarty nieruchomo do pnia dębu, oczyma tylko rewidował knieję. Nie istniało już nic dla niego oprócz nurzającego się w tej złotej zieleni pożądania: wypatrzyć i zabić lisa. Tędy, między kaliną a jałowcem, wychynąć powinna jego przezorna, grzeszna morda, wlec się będzie po mchu długa kita, a szybko, a wykrętnie przed psami. Może, ogłuszony pogonią, zapomni o baczności na zasadzki frontowe? — Chociaż stary lis przewiduje wszystko, zna plany polowań, wie, że lepiej czasem rzucić się rozpaczliwym obrotem między dwa psy goniące i odwrócić na wspak kierunek gonu, niż cwałem uciekać prosto na miejsca ciche a zdradliwe, gdzie czai się chytry człowiek, zbrojny zbójeckim piorunem — — ale ten lis, przyparty przez psiarnię tak liczną, nie zaryzykuje chyba zwrotu wstecz, zwłaszcza, że musiał już dojrzeć między gończymi psy wielkie i ścigłe, z którymi mierzyć się na szybkość i siłę niepodobna — tylko na rozum. — A może i wie, przechyra, że Wejsz dojeżdża za psami, który umie chwycić w galopie strzelbę z ramienia i razić gromem wymykającą się z obławy sztukę. — Więc lis musi pójść tędy — oby przez moje stanowisko! — wzdychał Rajecki — a wtedy na tym rzadkim lesie strzał niechybny — kita młyńcem do góry — co za rozkosz!

Jednak lis musiał mieć jeszcze jakiś fortel we łbie i drogę nieprzewidzianą, gdyż pogoń zmieniła kierunek, płynęła teraz równolegle do linii myśliwych.

Naraz ciężki tupot po linii zwrócił uwagę Rajeckiego. Ów otyły myśliwy, Paukszа, zbliżał się pędem, ze strzelbą w prawej ręce, lewą zaś przytrzymywał na głowie kapelusz. Biegł zapamiętale pomimo tuszy, tryskał zapałem z oczu, niedawno tak zniechęconych.

— Panie Rajecki!... — rwało się Paukszy z gardła — na poprzednie stanowiska... lis... tamtędy!

Nie było nic wymowniejszego w lesie na cześć i tryumf łowiectwa, jak ten obraz człowieka przeistoczonego przez furyę gonu. Prainstynkt łowczego pościgu za zdobyczą leśną odmładzał go, niósł na skrzydłach swą odwieczną mocą.

Szalały psy rozegraną kapelą, zabiegali strzelcy co tchu; las trząsł się od śmiechu i podszczuwał:

— Hej, heco, dalej, hola — tola — tola!! — Trzymaj, Lutnia! tu, tu, Zagraj! — — A co, panie Pauksza, lekko już? — A co, panie Rajecki, czy ci w głowie szerokie tęsknoty? czy nawet miłostki? — A mówiłem zawsze: jedyna uciecha we mnie. — I wszystko w was ucichnie, przeminie — ostatnia przetrwa moja gra łowiecka. — — —



OBJAŚNIENIA I MOTYWY ILUSTRACYI.

SPIS ROZDZIAŁÓW.